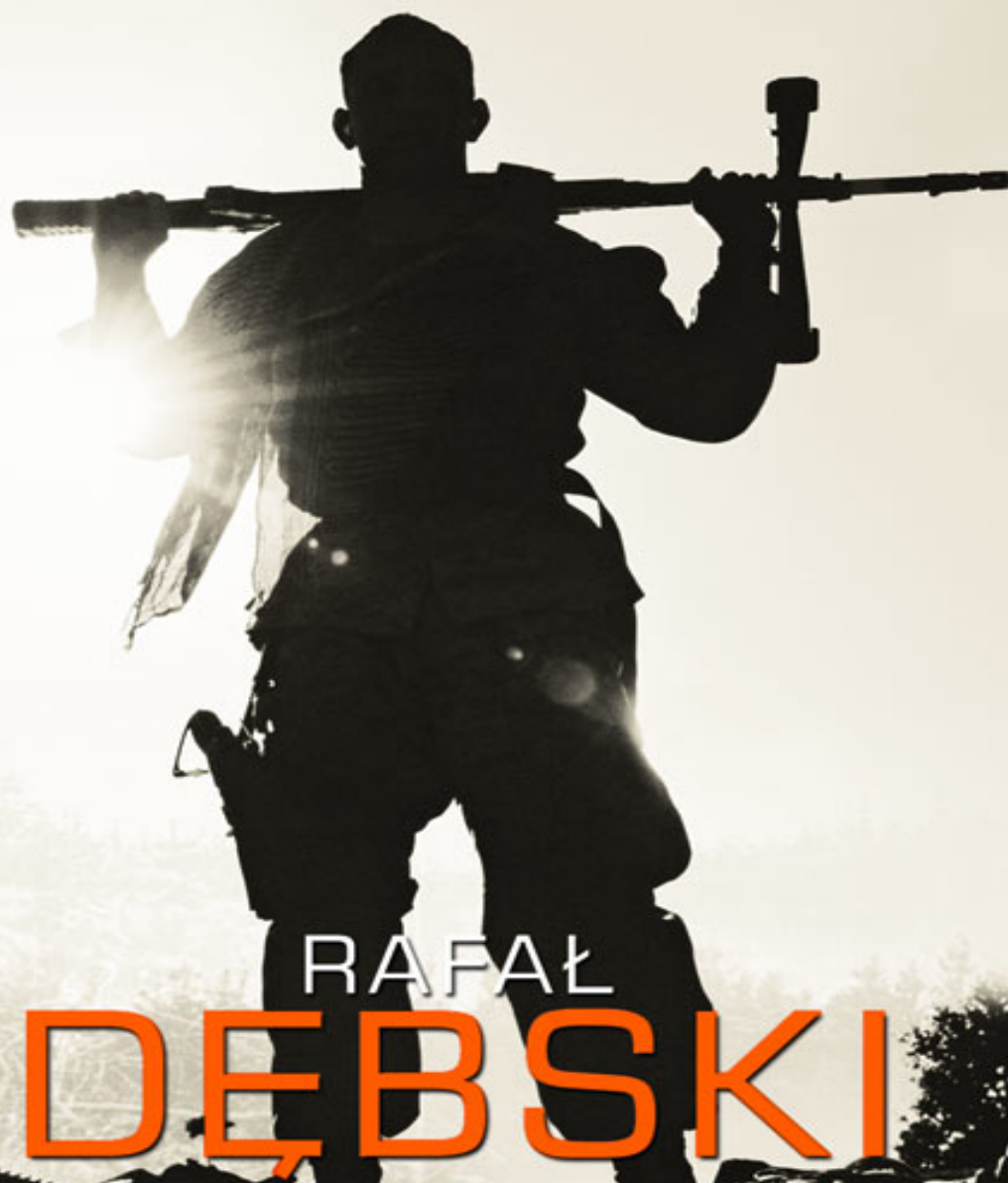




fabryka sensacji



RAFAŁ

DĘBSKI

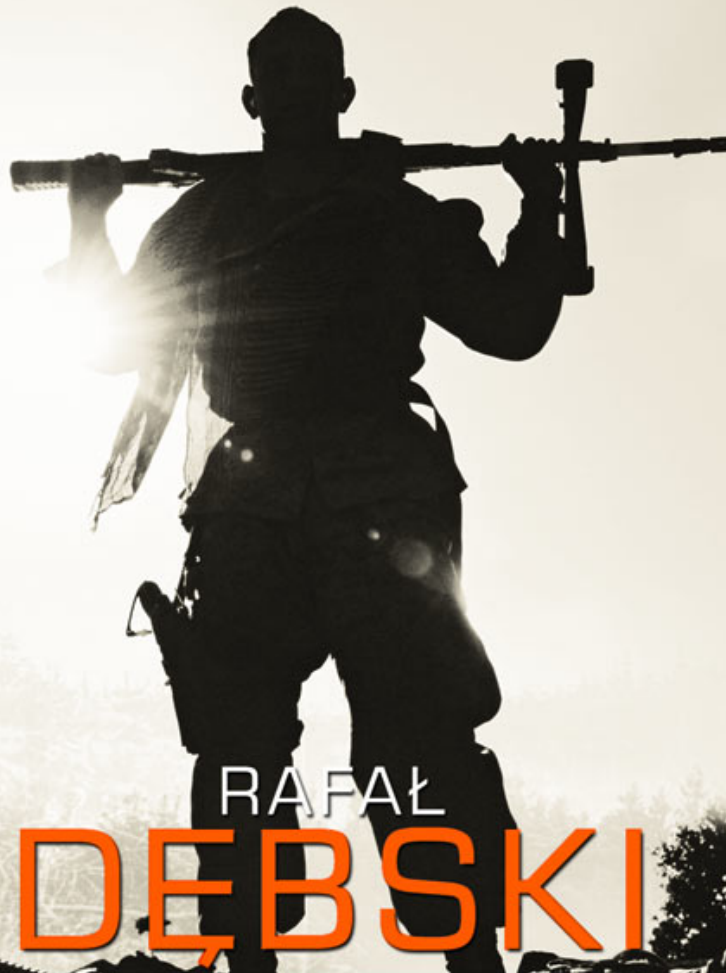
**WALKI
i ORŁY**

fabryka słów

W OBLICZU ŚMIERCI WSZYSTKO NABIERA NOWEGO ZNACZENIA



fabryka sensacji



RAFAŁ

DĘBSKI

**WIELKI
i ORŁY**

fabryka słów

W OBLICZU ŚMIERCI WSZYSTKO NABIERA NOWEGO ZNACZENIA

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Epilog

Książki Rafała Dębskiego

Rafał Dębski

Karta redakcyjna

Okładka

RAFAŁ
DĘBSKI



WALK
FORRY

fabryka słów
Lublin 2011



Prolog

Wilczyca z niepokojem chwyciła wiatr w ruchliwe, czujne nozdrza. Delikatny powiew przynosił znany, drażniący zapach jedyne drapieżnika, którego obawiała się naprawdę. Nieprzyjazna woń przebijała przez słodki odór krwi świeżo upolowanego królika, zwisającego bezwładnie z pokrytego karminową posoką pyska wadery. Gdzieś tam jest człowiek. Nie, nie jeden – większa grupa ludzi. Dawniej ich zapach nie był tak bardzo niepokojący. Wtedy wilczyca bez trudu odróżniała pasterza od spracowanego rolnika czy groźnego myśliwego. Zresztą nie musiała bać się nawet ludzi z karabinem. Miejscowi żywili ogromny szacunek dla wilków. Nikt by jej nie skrzywdził z rozmysłem, chyba że podeszłaby zbyt blisko i realnie zagroziła ludzkim siedzibom. Bardziej niebezpieczne od strzelców były wnyki – one nie zwykły wybierać ofiar. Jednak i te nauczyła się obchodzić szerokim łukiem. A czasem, jeśli szczególnie trudno było zdobyć pożywienie, szła śladami pozostawionymi przez kłusownika, żeby skorzystać ze zdobyczy uwięzionej w potrzasku. Jednak jakiś czas temu pojawili się inni ludzie. Czuć było od nich zapachy, których dawniej nie znała. Wjechali w ostępy leśne na wielkich, przerażających, warczących i wyjących potworach. Samotna wadera obserwowała przybyszy z gęstwy chaszcy. Nie tylko ona. Niektóre odważniejsze zwierzęta także kryły się wśród krzaków i czujnie spoglądały na niepokojące zjawisko, inne zaś uciekały w popłochu. Nie trzeba było długo czekać, by wybuchła strzelanina. Pociski świstały tak gęsto, że wilczyca przywarła płasko do mchu, kosmaty łeb schowała między łapy, bojąc się poruszyć. Potem przywykła do podobnych hałasów. Zdała sobie sprawę, iż strzały nie są skierowane do niej. Istoty ludzkie mordowały się wzajemnie. Czasem tylko jakiś przybysz, lekceważąc miejscowe zwyczaje, zapuszczał się w las przeżyć przygodę i zapolować na grubszego zwierza.

Dzisiaj znów wyczuła obcych. W dodatku woń nadciągała ze strony, z której absolutnie nadciągnąć nie powinna. Szczęnięta! Tam przecież zostały młode! Wilczyca rzuciła się pędem. Zagrzechotała pierwsza seria. Wadera, wbrew naturze, na przekór temu, co nakazywał instynkt, gnała w kierunku strzałów. Wszystko w niej protestowało! Wszystkie komórki ciała krzyczały! Nie wolno! Tam śmierć... Jednak serce matki zawsze jest silniejsze od rozsądku. Tak musi być, inaczej świat zamieszkiwałyby tylko beznamiętne rośliny.

Wpadła między doskonale znane sobie drzewa, po chwili wyskoczyła na wielką polanę, a właściwie rozległą łąkę pośród lasów. Musiała przez nią przebiec, by znaleźć najkrótszą drogę do potomstwa.



Wylądowali w samym środku wymiany ognia. Oleg kłął pod nosem na czym świat stoi, po równi dowództwo i kretyna pilota. To nie było lądowanie, ale ledwie kontrolowana katastrofa. Jeśli w ogóle można ją nazwać kontrolowaną. Komandosi powinni zostać spuszczeni na linach kilkaset metrów dalej, tuż za miejscem, gdzie oddział Michaiła bronił się najmocniej. Co za sens wprowadzać do walki desant, jeśli żołnierz nie jest w stanie wykorzystać elementu zaskoczenia, nie ma nawet gdzie się schronić? Kto wydał rozkaz, żeby lądowanie odbyło się w otwartym terenie? Rozkaz, którego nie można było już cofnąć. Z pozostałych trzech transportowców wysypali się zbrojni. Pułkownik obrzucił okiem swoich.

– Na co czekacie? Z maszyny! – wrzasnął – Już was, kurwa, tutaj nie ma!

Kule rebeliantów rwały poszycie transportowca. Stary, wysłużony Mi-8 był co prawda mocny, ale na pewno nie niezniszczalny. Oleg rzucił okiem na karabin przytwierdzony przy bocznym włączniku. Skoczył do broni, otworzył ogień w kierunku błysków w oddalonych o jakieś sto kroków krzakach. Uprząż cekaemu ucierpiała przy zetknięciu śmigłowca z ziemią,

pozwalala na wykonywanie jedynie niewielkich ruchów w prawo i w lewo. Mimo to pułkownik zdołal chociaż odrobinę przytlumic kanonade. Żołnierze sprawnie opuszczali pokład. Zostal dwóch – jeden nadzial się na ostre szczatki rozbitej skrzyni z amunicją i dogorywal, wstrzasany konwulsjami, drugi lezal bez ruchu, z twarzą pokrytą krwią. Oleg przerwal ogień. Czeczeni natychmiast wzmoгли ostrzał. Pułkownik podpelzl do żołnierza, wyciagnal rękę, żeby sprawdzic puls na szyi. W tej samej chwili seria przemknęła po nogach rannego, jakis pocisk ugodzil w pierś. Podrzucilo nim, otworzil oczy, z ust buchnela krwawa piana. Oleg zobaczył zrenicach podwladnego rezygnację. Znal doskonale takie spojrzenie. Żegnal juz ludzi w Afganistanie, potem podczas tajnych misji w róznych zakatkach świata, a teraz w Czeczenii – nieomylnie rozpoznawal, kiedy czlowiek przestaje walczyć, kiedy jest gotow na przyjęcie chłodnego pocałunku śmierci. Huknelo potężnie. Maszyna stanęła w ogniu. Oficer chwycil ramie żołnierza.

– Nie pozwolę ci się spalic – wychrypial. – Daj łape, Dimka.

Ranny pokręcil głowę.

– Uciekaj – wyszeptal samymi wargami.

Czas jakby stanal w miejscu. Oleg widzial nieruchome oczy kaprala. Stawaly się szkliste, uciekalo z nich życie. Kazde uderzenie serca zbližalo żołnierza do kresu wędrowki po tym świecie. Płomienie rozrastaly się błyskawicznie z lewej strony, gdzie paliwo wyciekalo z przerwanych przewodów.

– Rękę daj! – Pułkownik szarpnal się, próbując uchwycic zakrwawione palce żołnierza.

– Odejdz, szefie... Tam jesteś potrzebny. Ja juz...

Oleg poczul szarpnięcie za stopy, gdy zostal ostro pociagnięty w tyl. Bezskutecznie próbował się wyrwac, wierzac nogami, chwyt byl zbyt silny. Po chwili mężczyzna szorowal brzuchem po trawie, gdy wloklo go dwóch ludzi.

– Oszalales, dowodco?! – wrzasnal ktorys. – Jemu i tak juz nie pomożesz...

Z wnętrza helikoptera buchnął płomień, rozległ się straszliwy krzyk. Ucichł zaraz jak ucięty nożem, ale pułkownik wiedział, że ten głos będzie mu się odtąd śnił po nocach. Wybuchła skrzynka z amunicją. Żołnierze, którzy uratowali Olega, padli plackiem, zakrywając głowy. Dookoła zaświstały znowu pociski. Zaczęły eksplodować następne jaszczce.



Lufa kałasznikowa wcale nie wydaje się imponująca. Z daleka wygląda jak krótki kij. Jednak kiedy człowiek znajdzie się przed nią, na linii ognia, a z drugiej strony trzymają karabin krzepkie ręce, wtedy niewielka lufa urasta do rozmiarów kolejowego tunelu.

– Rusłan – powiedział ojciec.

Chłopiec spojrział na niego przez łyżę.

– Rusłan – powtórzył starszy mężczyzna. – Wojownik nie płacze.

– Ja nie płaczę, tato. Dym gryzie w oczy.

Za ich plecami dopalał się dom. Kobiety zostały w środku. Wołały śmierć w ogniu od pohańbienia. Mężczyźni starali się stawić opór, ale w końcu zabrakło amunicji.

– Nie płacz, synku, nie rozpaczaj. Możemy umrzeć z dumą. Pół dnia nie mogli nas zgryźć. Dokąd żyje choć jeszcze jeden taki jak my, nie zgryzą i całego kraju.

– Mordy w kubel, pierdolone fanatyki! – wrzasnął sierżant. Podbiegł, wyciął w twarz starszego jeńca. – Ścierwa, bydlaki!

Strużka krwi spłynęła z warg uderzonego. Nie mógł jej obetrzeć, gdyż ręce miał związane z tyłu.

– Niech szejtan smaży twoje flaki na wolnym ogniu – rzekł młodszy. Oczy natychmiast mu obeschły, pojawił się w nich ogień nienawiści.

Odpowiedziało uderzenie kolbą pistoletu prosto w usta. Chłopak ukląkł, kilka wybitych zębów spłynęło wraz ze strugą krwi na rozchełstana

koszulę. Wstał z trudem, opierając się o ojca. Wypłuł resztę złamanych zębów, spojrzał wyzywająco na podoficera.

– Zaraz będzie z wami koniec – wycedził sierżant. Podeszedł do plutonu egzekucyjnego.

– Gdzie się podziała Halima? – spytał ojciec. – Widziałeś?

– Uciekła. Na pewno jej nie złapali, bo teraz stałaby tu razem z nami.

– Wie, dokąd pójść?

– Wie. Zabrała dolary i karabin. Poradzi sobie.

– Niech ją Allah poprowadzi.

– Uwaga! – krzyknął sierżant. – Gotuj broń!

Karabiny się uniosły.

– Pamiętaj, synu, nie lękaj się. Żołnierz Proroka idzie wprost do raju. obrońca wolnej Iczkerii może tam liczyć na szczególne względy.

– Nie lękam się. Ale życia szkoda.

– Szkoda, co jednak poczniesz?

– Ładuj! – doleciała komenda, a zaraz po niej szcęk odciąganych zamków.

– Żegnaj, ojcze.

– Żegnaj, Rusłan. Niebawem spotkamy się w niebie. Wybacz wszystko, co uczyniłem złego przeciw tobie. Nawet jeśli coś takiego zrobiłem, zawsze z miłości.

– I ty mi wybacz, ojcze.

– Celuj! – Sierżant uniósł rękę.

Sześć luf skierowało się ku jeńcom.

– Śmierć wam! – wrzasnął starszy.

– Przekleństwo na was! – zawołał w tej samej chwili młodszy.

– Ognia!

Karabiny zagrzechotały, suchy odgłos odbił się echem od okolicznych wzgórz. Na piersiach jeńców wykwitły krwawe kratery. Zwinęli się, padli jeden na drugiego, jakby w chwili śmierci chcieli się objąć pożegnalnym uściskiem. Sierżant zapalił papierosa, podeszedł do dowódcy.

– Ci już nie będą kęsać, panie lejtnancie – rzekł. – Ale może jednak trzeba ich było przekazać wywiadowi.

Porucznik skinął obojętnie głową. Wskazał ciała i uczynił gest palcami w dół.

– Nie twoja sprawa. Rób, co do ciebie należy.

– Zakopać ścierwa – rozkazał sierżant. – Nie dyskutować! Nawet specnaz musi sprzątać po sobie. Generał Komarow zakazał zostawiać ciała na wierzchu. Przychodzą potem baby, zbierają kości, relikwie z nich robią i podsycają nienawiść.

– Przeklęty kraj. – Oficer splunął, nadepnął plwocinę i roztarł. – Ujarzmić go nie idzie, a zostawić samemu sobie niepodobna.

Sierżant nie odpowiedział. Dochrapał się szarży właśnie tutaj. Grzechem by było narzekać na kraj, dzięki któremu awansował o wiele szybciej niż podczas pokojowej służby.

Nagle rozległ się niedaleki ryk silnika, zza pagórka wyjechał przysadzisty humvee. Porucznik skrzywił się. Oto następny sztabowiec, który woli urodę amerykańskich wozów od surowej i niezawodnej prostoty rodzimych aut. Za kierownicą siedział człowiek w mundurze z kamuflażem pustynnym zamiast obowiązującego tutaj latem maskowania w zieloną panterkę.

– Cudak – mruknął oficer. – Widać go w tej bluzie lepiej niż gówno na torcie.

Sierżant milczał. Wiedział jedno – zbliżają się kłopoty. A porucznik jest idiotą, jeśli tego nie zauważył. W takim nieregularnym łaclu bez dystynkcji może bezkarnie chodzić tylko jedna formacja. Przybysz zeskoczył z terenówki, obrzucił wzrokiem oddział, potem trupy, zwrócił oczy na oficera. Miał błękitne, zimne tęczówki. Sierżant pomyślał, że w takich oczach może mieszkać nieludzkie okrucieństwo.

– Gdzie jeńcy? – warknął przybyły.

– A ty kto? – spytał porucznik niedbale.

– Kapitan Wiktor Malinin, wywiad armii. Meldować po porządku!

Lekceważenie natychmiast znikło z oblicza lejtnanta. Wyprężył się.

– Porucznik Matwiej Dmijew melduje patrol na rozpoznaniu!

– To nazywasz rozpoznaniem, durniu? – Przybysz wskazał zgliszcza chałupy i ciała. – Nie słyszałeś rozkazu, aby w tym rejonie wszystkich jeńców przekazywać do dyspozycji służb informacyjnych?

Sierżant czekał z ciekawością, co powie Dmijew. Rozkaz słyszeli wszyscy, nawet pijani kucharze. Kiedy dowódca kazał rozwalić tych dwóch, przez chwilę próbował dyskutować. Ale oficer się uparł, a podoficerowi przecież nic nie szkodziło wykonać polecenie.

– Próbowali uciec!

Bardziej kretyńskiego tłumaczenia sierżant dawno nie słyszał. Kapitan GRU na pewno też, bo nawet nie odpowiedział. Podeszedł do trupów, uniósł spętane ręce tego, który leżał na wierzchu.

– Normalnie czekałby was sąd polowy – rzekł spokojnie, podchodząc na trzy kroki do Dmijewa. – Ale warunki nie są normalne.

Porucznik odetchnął z ulgą. Wojna ma swoje prawa. A świętym prawem żołnierza jest zabijanie, to rozumieją nawet sztabowe pierdoły.

– Dlatego sprawę załatwimy na miejscu.

Kapitan wyjął pistolet, szybkim ruchem kciuka odciągnął kurek. Beretta, kaliber dziewięć, ocenił natychmiast sierżant. Broń, jak i mundur, też najzupełniej nieregulaminowa. Ale oficerów wywiadu nie obowiązują przecież ścisłe przepisy pola walki. Strzał wydał się nierealny, nie pasował do chwili i sytuacji. Ale przecież padł. Porucznik ze zdziwieniem spojrzął na pierś, podniósł oczy na kapitana. Tym razem lufa była wymierzona prosto w czoło. Żołnierze, jak na rozkaz, odruchowo skierowali karabiny ku intruzowi.

– Spokój! – wrzasnął sierżant. Jeszcze tylko brakuje, żeby rozstrzelali oficera wywiadu. Żaden by nie dożył jutra. – Lufy w ziemię, rozładować broń!

Ludzie z ociąganiem wykonali rozkaz.

– Dziękuję, sierżancie. Skoro wykazaliście taką trzeźwość umysłu i należyty osąd, od tej chwili wy dowodzicie patrolem. Kiedy tylko

skończę, zabierzecie oddział do bazy. Opowiecie wszystko waszemu pułkownikowi.

– A pan, kapitanie, nie pojedzie z nami?

– Nie twój zasrany interes. Ustaw pluton w szeregu i czekaj na rozkazy.



Żołnierz podniósł karabin, celując we włochaty kłęb mięśni, pędzący prosto na niego. Pociągnął długą serię, jednak w pośpiechu nie trafił. Zobaczył tuż przed twarzą wielkie zęby, odruchowo zamknął oczy. Nie miał już czasu na jakąkolwiek sensowną reakcję. Z rezygnacją czekał, aż kły zacisną się na szyi. Zamiast tego poczuł potężne uderzenie. Przetoczył się przez plecy. Oszołomiony popatrzył za wilkiem, który pędził dalej przed siebie. Zwierzę potraktowało go niczym zwykłą przeszkodę, jakby był po prostu zwałonym pniem. Młody mężczyzna nie zdążył się nawet zdziwić. Zanim myśl podążyła za niecodziennym zjawiskiem, nim zagościła na dobre w umyśle, pierś żołnierza przeszyły kule, z ust rzuciła się fala krwi. Ostatkiem sił próbował wziąć oddech, ale zamiast ożywczego tlenu do płuc spłynęła lepka maź. Natychmiast obok rannego pojawił się kolega z drużyny. Spojrzał w gasnące oczy.

– Będzie dobrze! – zawołał, przekrzykując strzały i wybuchy. – Trzymaj się, zaraz nadciągnie pomoc.

– Sawka – wyrzeźił umierający z najwyższym trudem. – Pojedziesz do mojej matki... Pojedziesz? Obiecaj.

Żołnierz skinął głową.

– Pojadę, przysięgam. Ale lepiej sam jej w domu wszystko opowiesz... Przecież rannych odsyłają do kraju. Musisz tylko...

Nie dokończył. Oczy przyjaciela wywróciły się białkami do góry. Sawka zacisnął zęby, ujął mocno karabin, wycelował w kierunku błysków nieprzyjacielskiego ognia.

Na przedpolu płonął helikopter. W środku widać było wychyloną do przodu, uwięzioną pasami sylwetkę pilota. Kilkanaście kroków w bok od Sawki pułkownik Mirko wykrzykiwał komendy. Nie docierały jednak do uszu żołnierza. Nagle zdał sobie sprawę, że nie słyszy nic, chociaż w prawym uchu mocno tkwiła słuchawka polowego interkomu i dolatywały meldunki oraz okrzyki towarzyszy broni. To mogło oznaczać tylko jedno – oficer ma uszkodzone radio i jeszcze tego nie zauważył. Oddział pozostał praktycznie bez dowodzenia. Sawka zerwał się, skoczył, przetoczył przez głowę. Pociski ułamek sekundy później przeszły powietrze i rozorały miejsce, w którym leżał. Znów skok, potem błyskawiczne czołganie. Przypadł w ciasnej bruździe obok dowódcy. Pułkownik spojrzał groźnie. Absolutnie nie wolno grupować się w podobnej sytuacji.

– Nadajnik panu wysiadł – wydyszał Sawka. Odpiął własny, wyszarpnął z ucha słuchawkę, zerwał cały zestaw, podał oficerowi. – Chłopaki nie wiedzą, co robić.

Mirko skinał tylko głową. Sam ledwie kilka sekund temu pojął, że coś się stało ze sprzętem. A teraz, kiedy zdjął z pasa małą puszkę wypakowaną elektroniką, zauważył dziurę od kuli.

– Dzięki, szeregowy – mruknął. A potem wrzasnął do mikrofonu: – Nikołów i Szulin, co wy robicie?! Natychmiast za osłony! Sami las chcecie szturmować?! Oszczędzać amunicję. Tamci też nie mają jej bez ograniczeń! Poczekamy, aż ostrzał osłabnie.

Sawka spojrzał spod zmarszczonych brwi na dowódcę. Dlaczego nie każe drucikowi wezwać pomocy? Mirko pochwycił wzrok podwładnego.

– Radiotelegrafista – posłużył się archaicznym nieco terminem – nie żyje. A sprzęt szlag trafił. Nie patrz tak. Michaił też został bez łączności. Nieszczęścia chodzą parami.

– Gdzie zapas?

– Tam, niech to cholera – słowom towarzyszył bezradny gest, wskazujący płonąca maszynę. – Leży w trawie parę metrów przed wrakiem. Chłopaki, zamiast ratować mnie, powinni zająć się nadajnikiem. A teraz

spieprzaj, chłopcze – rzucił ostrzejszym tonem. – Przetocz się chociaż dwa kroki, bo jesteśmy tutaj jak dwa młode gawrony na moskiewskiej jezdni.

Sawka posłusznie odczołgał się nieco w bok i do tyłu. Wysoka trawa w tym miejscu chroniła żołnierza przed oczami rebeliantów, ale nie mógł znaleźć żadnej znaczniejszej nierówności terenu. Zaległ bez ruchu, słuchając jęśliwego świstu pocisków. Łączności nie ma, a to znaczy, że zanim z bazy ruszą za nimi, zaniepokojeni brakiem kontaktu, może upłynąć jeszcze kilkanaście minut. A każda minuta to coraz więcej trupów i mniejsza nadzieja na ocalenie. Czeczeni mogą mieć spory zapas amunicji, o wiele większy, niż się tego spodziewa dowódca. Niż się spodziewa, czy raczej niżby chciał się spodziewać? W dodatku te przekłete moździerze... Kapral podniósł głowę. Helikopter palił się żółtoczerwonym płomieniem. Przestały już wybuchać skrzynki amunicyjne. Sawka zacisnął wargi. Wiedziony nagłym impulsem, poderwał się i skulony pomknął do przodu.

– Dajcie mi osłonę! – ryknął, przebiegając obok pułkownika.

– Gdzie, wariacie? Wracaj! – wrzasnął dowódca.

Ale Sawka gnał już ile sił w nogach. Upadł. Oleg wstrzymał oddech. Oberwał? Nie – dostrzegł ruch podoficera.

– Przygasić tych w lesie – rzucił w mikrofon. – Prać ile wlezie we wszystkie strony!

Był spokojny, opanowany, wręcz zimny. Przecież w końcu walczą tak, jak ich do tego przygotowywano podczas szkoleń. Zajęli pozycje, trochę już okrzepli, uspokoili się po katastrofie transportowca. Komandosi są przygotowywani do prowadzenia obrony okrężnej. Zasadniczo prawie zawsze działają otoczeni przez wroga. Rzadko co prawda zrzuca się ich prosto w taki ognisty kocioł, ale i to trzeba jakoś przeżyć. W Czeczenii ludzie Olega zdążyli nieco odwyknąć od normalnego treningu, bo wykonywali tu często zadania typowo policyjne i charakterystyczne dla zwyczajnych jednostek liniowych. W tej chwili procentowały jednak wpojone nawyki i morze potu, jakie wsiąkło w ziemię poligonów.

Sawka pędził, co kilkanaście kroków przypadał do ziemi. Wiedział, że koledzy z oddziału robią teraz wszystko, by nie dosięgły go wrogie pociski.

Dyszał ciężko, ale z emocji, nie zmęczenia. Serce mu waliło i słyszał łomot krwi w uszach, zagłuszający kanonadę. Teraz trzeba wykonać ostatni skok. Czeczeńskie psy na pewno zorientowały się, że żołnierz chce zrobić coś, co może skomplikować sytuację. Zerwał się na równe nogi, poczuł szarpnięcie, rzuciło go na ziemię. Lewa ręka na wysokości ramienia zamieniła się w krwawą miazgę. Oberwał z ciężkiego kalibru albo dosięgnął go duży odłamek. Sawka skonstatował to obojętnie, nie czuł rany. Poderwał się, pognął przed siebie. Miał wrażenie, że droga do helikoptera trwa wieki. Wreszcie znalazł się przy nadajniku, padł plackiem.

– Boże na niebie – zamruczał – błagam, niech to gówno odpali...

Przekręcił potencjometr. Nasłuchiwał znajomego szumu, jednak na próżno. Dopiero po dłuższej chwili zdał sobie sprawę, że hałas dookoła jest zbyt duży, żeby można dosłyszeć coś z zewnętrznego głośnika. Wyrwał z gniazda słuchawkę, przycisnął ją mocno do ucha, pokonując odrętwienie i narastający ból w ranie. Jest! Jest łączność! Nastawił częstotliwość bazy.

– Tu Buzdygan dwa – krzyknął w mikrofon. – Tu Buzdygan dwa! Wzywam cię, Jurny.

Przez trzaski zakłóceń przedarł się głos radiowca z drugiej strony.

– Ja Jurny! Ja Jurny! Buzdygan dwa, melduj.

– Mamy tu piekło. Skurwiele założyli kocioł! Trzeba posiłków. Dawaj starego!

– To ja, Buzdygan dwa – dopiero teraz kapral poznał głos generała. – Nie wyślę wam wsparcia, bo wszystkie odwody poleciały w rejon dziewiąty. Tam też mamy walki. Wysyłam maszyny kompanii medycznej i trzy Mi-24. Wreszcie dotarły. Będziecie się ewakuować pod ich osłoną.

Dłoń spoczywająca na gałce aparatu nagle odskoczyła. Sawka ze zdumieniem patrzył na krwawe strzępy w miejscu, gdzie jeszcze przed sekundą miał palce. Strzaskana radiostacja zamilkła. Rebelianci położyli zmasowany ogień na śmigłowiec. Strzelały tu chyba wszystkie moździerze. Sawka uniósł skrwawioną rękę.

– Zginiecie, skurwysyny!

Bliski wybuch rzucił go dobre trzy metry w bok, ciało poszatkowały gorące odłamki.



Stanęli przed odrapanymi drzwiami. Spod złuszczonej warstwy farby wyglądały szare plamy ocynkowanej blachy.

– To się gadzina zabezpiecza – mruknął krępy mężczyzna o rudawych, rzadkich włosach. – Patrz, Mitia. Niby to kiepskie, niby się sypie, a spróbuj sforsować. I granat wytrzyma.

– A co, chcesz wysadzać?

– Po co? – Rudawy wzruszył ramionami. – Sam przecież ma otworzyć.

– Jesteś pewien, że nie wykręci żadnego numeru? Na tyle mu ufa? – Wskazał smagłego, wysokiego mężczyznę, który im towarzyszył.

– A komu innemu może zaufać? To przecież jego dawny kumpel od mokrej roboty.

– Dość gadania – zniecierpliwił się smagły. – Schowajcie się pod ścianami. Płasko przy murze. Ty za tamtym załomem, bo go spłoszycie i będzie rzeźnia. Wizjer ma panoramiczny, sporo przez taki widać.

Nacisnął dzwonek. Z drugiej strony dobiegł delikatny gong. Człowiek po lewej sięgnął za pasek na plecach.

– Nie ruszaj się! – warknął smagły. – I schowaj gnata. Idziemy przecież do mojego przyjaciela. Nie masz go rozwalić, tylko zatrzymać do przesłuchania.

Za pancernymi drzwiami nie było słyhać ruchu, jednak mężczyzna wiedział, że człowiek w mieszkaniu jest już przy wizjerze. Czekał cierpliwie, patrząc prosto w szklane oczko.

– To ty, Tarkhan? – zabrzmiał przygłuszony głos.

– To ja, Dżochar. Wpuścisz starego kumpla?

– Nie powinienes tu przychodzić. Nigdy. Nie powinienes wiedzieć, gdzie mnie szukać.

– Nigdy i absolutnie, jak najbardziej. Nie powinienem wiedzieć, gdzie się zamelinowałeś, i nie miałem wcale ochoty tu przyłączyć. Czasem trzeba złamać zasady. Dzieje się coś, co cię musi zainteresować.

– Musi? Ciekawie to zabrzmiało. Cóż to takiego?

– Chcesz rozmawiać przez drzwi? – zniecierpliwił się smagły. – To może od razu podam informacje do wiadomości ITAR-TASS, jutro dowiesz się wszystkiego z gazet, radia i telewizji.

– Jesteś sam?

– Nie, przyprowadziłem oddział specnazu. Otwieraj wreszcie!

Szczęknięta zasuwa najpierw górnego, potem dolnego zamka, wreszcie przekręcił się klucz pod klamką. Ludzie, przyczajeni po obu stronach, sprężyli się do skoku. Tarkhan uspokoił ich niecierpliwym gestem. Drzwi uchyliły się w wąską szparę.

– Poczekaj – powiedział Dżochar – zapomniałem o łańcuchu.

– Co ty, złoto tutaj trzymasz?

– Coś cenniejszego od złota – moje zasrane życie.

Drzwi przymknęły się, zabręczał łańcuch.

– Włącz – powiedział Dżochar, wysuwając rękę na przywitanie.

Z tego, że coś jest nie tak, jako pierwszy zdał sobie sprawę człowiek po prawej stronie Tarkhana. Zanim zdążył cokolwiek zrobić, rozległo się ciche pyknięcie i Rosjanin padł na plecy. Zawisł głową nad pierwszym stopniem schodów prowadzących w dół klatki schodowej. Z niewielkiego otworu między oczami wypłynęła strużka krwi. Tymczasem smagły mężczyzna przerzucił pistolet do lewej dłoni. Drugi z agentów spojrzał prosto w czarne oko tłumika. Błyskawicznie uniósł rękę, w której ścisnął masywną kolbę rewolweru. Tarkhan był szybszy. Strzelił prosto w otwarte do krzyku usta. Tamten zwinął się, jakby otrzymał silne kopnięcie w brzuch.

– Migiem – mruknął Dżochar, wyskakując na korytarz. Lufa pistoletu maszynowego zatoczyła łuk, kiedy lustrował otoczenie. – Do środka! Gdzie reszta tych gierojów?

– Czekają na dole. Budynek jest otoczony.

– Masz jakiś plan?

- A ty masz trochę granatów, C-4 i kawałek liny?
- Dżochar kiwnął głową.
- Nawet więcej niż trochę. Ile nam zostało czasu?
 - Najwyżej dziesięć minut.
 - Nie wystarczy, żeby zrobić coś sensownego.
 - Gdzie masz telefon? Moją komórkę zabrali tuż przed akcją. Najwyższy czas ściągnąć pomoc.



Wiktor Malinin uważnie obszukiwał trupy. Starszy z Czeczenów nie miał przy sobie zupełnie nic. U młodszego w kieszeniach znalazł tylko pestki słonecznika. Kapitan podniósł wzrok na sierżanta.

– Stiepan, każ ludziom oddać wszystkie przedmioty, które zabrali bandytom albo wynieśli z chałupy.

Podoficer wzruszył ramionami, podszedł do stojących w szeregu podkomendnych.

– Słyszeliście?

Zapanowała cisza, żołnierze zamarli w bezruchu. Sierżant mierzył ich surowym wzrokiem.

– No już! – wrzasnął. – Wyskakiwać z trofejnych rzeczy, gadziny! Kto nie wykona rozkazu, tego postawię pod sąd dywizyjny! Za rabunek i nieposłuszeństwo.

Groźne słowa pozostały bez odpowiedzi. Sierżant zaklął w duchu. Ludzie nie boją się żadnego sądu. Nic dziwnego. Zanim dotrą do miejsca, w którym można ich porządnie wziąć pod lupę, pozbędą się łupu, ukryją go gdzieś na postoju w lesie, zaznaczą miejsce i za tydzień lub dwa wyślą kogoś, żeby to przyniósł. Byli na patrolu od czterech dni, rozbili zbrojną grupę, nawiedzili także kilka siół. Zapewne niektórym żołnierzom trafiła się nawet cenna biżuteria. Miejscowi dawno nauczyli się, że trzeba dać bakszysz, aby uniknąć większego rabunku. Obok sierżanta stanął Malinin.

– Nie obawiajcie się – powiedział łagodnie. – Nie zamierzam was pozbawiać zdobyczy. Gównu mnie interesuje, ile tego jest i skąd to macie. Szukam tylko pewnego śladu. Ten, u kogo go znajdę, może liczyć na nagrodę.

Żołnierze milczeli uparcie. Ich także ta wojna czegoś nauczyła. Nie wolno ufać oficerom. Są gotowi obiecać wszystko, nie dotrzymać niczego i jeszcze na dodatek ukarać, jeśli ktoś upomni się o swoje.

– Jak chcecie – westchnął kapitan.

Podszedł do pierwszego w szeregu, szybkim ruchem wydobył pistolet, przystawił zaskoczonemu szeregowcowi do piersi i wypalił. Chłopak zatoczył się, chwycił za krwawiącą ranę. Oczy uciekły mu do tyłu, zwałił się ciężko na bok. Dwaj jego towarzysze unieśli broń, przeładowali.

– Nie radzę – powiedział spokojnie oficer. – Widzicie to? – Wskazał niewielkie, czarne pudełeczko, zwisające niedbale przy pasie. – To nadajnik. Ale nie taki syf jak wasze. To cacko łączy się z satelitą. Wszystko, co się tutaj dzieje, jest odbierane i nagrywane w sztabie wywiadu. Każde słowo. Nie wyłgacie się od odpowiedzialności, nie zeznacie zgodnie, że zastrzelili mnie terroryści. A ja mogę kropnąć was po kolei i samemu posprawdzać, co macie w plecakach i po kieszeniach.

Jeden z żołnierzy oblizwał nerwowo wargi. Oficer patrzył z kamienną twarzą, jak rozedrgany palec tańczy na spuście broni. Potem spojrzał młodemu człowiekowi prosto w oczy.

– Warto, Wania, Saszka czy jak tam ci na imię? Warto pomścić kumpla, pokazać się przed kolegami, żeby potem do końca życia siedzieć w najgorszych tiumach wielkiej Rosji? Nigdy już nie zobaczysz dziewczyny, co wypłakuje za tobą oczy. Nie dopuszczą na widzenie nawet matki. Chcesz tego? Nie lepiej zrobić, co mówię?

Do tej chwili oficer wydawał się żołnierzom zwyczajnym sztabowym bubkiem, jednym z wymuskanych oficerków, którzy wążają proch tylko wtedy, gdy przybędą na pole walki, ale już po bitwie. Nawet zabójstwo nielubianego porucznika nie zrobiło na plutonie większego wrażenia. Swoją załatwił swojego. Nic im do niesnasek między szarżami. Ale teraz ujrzeli

w oczach Malinina stal i ołów. Takie spojrzenie może mieć tylko ktoś, dla kogo człowiek jest nic niewartą mierzwą. Ktoś, kto nie zawaha się posłać na śmierć tysięcy, żeby tylko dopiąć swego, wykonać zadanie za wszelką cenę.

– Job twoju mać – warknął szeregowiec, opuszczając lufę.

– W co tylko zechcesz – uśmiechnął się kapitan. – Ale najpierw pokaż łupy.

– Nie zabierzecie?

– Tylko to, co mnie interesuje, mówiłem przecież.

Żołnierz kiwnął głową pozostałym. Najwyraźniej był nieformalnym przywódcą grupy. Kapitan doskonale zdawał sobie sprawę, że w oddziałach specnazu oprócz szarzy podoficerskiej i oficerskiej obowiązuje również coś, co można porównać do hierarchii więziennej. Najczęściej rolę herszta pełnił człowiek najbardziej brutalny i bezwzględny. Ale z reguły tylko w koszarach i podczas ciężkiego szkolenia. Warunki wojenne wymagały czego innego, czegoś więcej. Tutaj koledzy z drużyny ufali raczej nie temu, kto był najsilniejszy fizycznie, lecz potrafił dominować, a jednocześnie można się było na nim w razie potrzeby oprzeć. Na wojnie mocna osobowość jest więcej warta od twardej pięści.

– Jak masz na imię, żołnierzu? – spytał Malinin.

– Fiodor – odparł ponuro kapral. – Bo co?

Sierżant syknął ostrzegawczo, ale kapitan uciszył go gestem.

– Nic. Po prostu lubię wiedzieć, z kim mam do czynienia.

Fiodor bez słowa zaczął opróżniać kieszenie, potem zdjął plecak, wydobył ze środka lniany worek. Po chwili na ziemię wysypały się różne przedmioty. Malinin patrzył z mimowolnym podziwem na kosztowne zapinki, bransolety, zabytkowy zegarek na łańcuszku. Zdumiewające, jak zapobiegliwi potrafią być wojacy, na pozór nieumiejący zliczyć do trzech, często przyglupio patrzący w twarz rozgniewanego ich tępotą dowódcy. Kiedy trzeba, umieją wycisnąć złoto nawet z kamienia. Po latach wojny w ubogich czeczeńskich wioskach nie powinno już zostać nic cennego. A jednak rzeczywistość okazywała się zaskakująca.

– Teraz ty. – Kapitan wskazał szeregowca, który przed chwilą także w niego celował.

Po kolei, uważnie, przeglądał wszystko, co żołnierze wydobywali z zakamarków plecaków i kieszeni. Zatrzymał się na dłużej przy ósmym z kolei.

– Skąd to masz? – Wskazał zaśniedziały medalion na poczerńiałym, przepoconym rzemieniu.

Zapytany wzruszył lekko ramionami.

– Nie było już nic lepszego w chałupie, wziąłem więc to. Odczyszczę, będzie na prezent dla dziewczyny.

– W chałupie? – Kapitan pokręcił głową. – Nieprawda. Zerwałeś to z szyi tego starego. – Machnął ręką w kierunku trupów. – Zgadza się?

Żołnierz nie odpowiedział. Malinin zwrócił się do sierżanta:

– Wasz porucznik nawet nie sprawdził, z kim ma do czynienia. Potraktował tych ludzi jak zwykłych bandytów. A może był tak głupi, że naprawdę nie czytał ostatniego okólnika dowództwa sztabu armii?

– To by mnie nie zdziwiło, panie kapitanie. Dmijew niedawno został przysłany z Moskwy w miejsce zaginionego dowódcy. Mleko miał pod nosem i gówno w głowie. Napompowali go na szkoleniach jakimiś bzdurami, a tak naprawdę nie wiedział, co się tutaj dzieje.

– W porządku. – Malinin rzucił medalion sierżantowi. – A ty wiesz, co to jest?

– Znak rodowy?

– Raczej plemienny, a właściwie klanowy. Wiesz, kto go nosił?

Bez zdziwienia przyjął wiadomość, że podoficer nie ma pojęcia, kogo niedawno rozstrzelał. Tego akurat nie miał prawa wiedzieć.

– A wiesz, co oznacza dla Czeceńców zwierzę uwiecznione na tym medalionie?

– Wilk? Coś tam słyszałem, ale kto by się zajmował takimi bzdurami.

Kapitan westchnął. Niewiedza o podstawowych symbolach kraju, w którym się odbywa służbę, to rzecz po prostu karygodna. Ale przecież doświadczonego wywiadowcy i to nie powinno zdumiewać – szkolenie

specnazu i desantowców nie obejmuje historii ziemi, którą mają za wszelką cenę ujarzmić. A przydałoby się przekazać im chociaż garść najważniejszych informacji. Tak na wszelki wypadek. Zrozumienie ułatwia działanie.

– Panie kapitanie – powiedział cicho sierżant. – Z tym łączem satelitarnym to był bluff, prawda? To pudełko to jakaś bzdura. Żadna armia nie ma takiego sprzętu. Nawet Amerykańce.

– Może tak, może nie. Po co ci ta wiadomość?

– Ciekaw jestem.

– Oddział zbierz i wracajcie do garnizonu.



Wilczyca doczołgała się do gniazda ostatkiem sił. Tylna łapa zwisała bezwładnie, w rozległej ranie białały odłamki kości. Boki poszarpane zostały pociskami i odławkami granatów, pod łopatką tkwiła pistoletowa kula. Zwierzę z najwyższym trudem wspięło się na wał okalający wejście do jamy, wskoczyło do środka. Z gardła wydobył się skowyt bólu, spowodowanego ruchem i wywołanego widokiem, który ukazał się oczom zrozpaczonej matki. W wilczą siedzibę trafił zabłąkany pocisk moździerzowy. Krwawe szczątki bezbronnych szczeniąt zmieszały się z ziemią i potrzaskanymi korzeniami. Wilczyca zapomniała natychmiast o własnych ranach. Przypadła do martwych dzieci, trąciła nosem najbliższe, które wydawało się najmniej uszkodzone. Leżało na brzuszku, z łebkiem złożonym na wyciągniętych łapkach, oczy miało zamknięte. Kiedy matce udało się przewrócić szczeniaka na bok, ujrzała wylewające się wnętrzności. Uniosła łeb ku niebu i zawyła. Głos zatańczył pod koroną wielkiego dębu, który udzielił gościny zwierzęcej rodzinie, poniosł się po lesie, niosąc ze sobą zarazem cierpienie i ogromny wyrzut. Bardziej niż zew drapieżnika, przypominał rozpaczliwy, nabrzmiały utraconą nadzieją płacz

człowieka. W dali cichły odgłosy strzelaniny. Przestraszone, milczące do tej pory ptaki, zaczęły się nieśmiało odzywać.

Wilczyca ułożyła się pośrodku gniazda, jeszcze raz obrzuciła wzrokiem martwe wilczęta, a potem zamknęła oczy, pograżyła się w odrętwieniu, czekając na łaskawy, aksamitny dotyk śmierci.



Wybuch wstrząsnął budynkiem. Komandosi czekający na dole odruchowo padli na ziemię. Dookoła posypały się fragmenty tynku, cegieł i szkła. Mieszkanie na piątym piętrze oraz spore części przylegających do niego kwater zamieniły się w wielką dziurę, w której widać było fragmenty ścian działowych. Z popękanych rur trysnęła woda. Major dowodzący plutonem antyterrorystów zerwał się, klnąc na czym świat stoi. Od razu zrozumiał, co się wydarzyło. Ostatni raz uwierzył w zapewnienia kogoś ze służby bezpieczeństwa. Ostatni raz dał się też przekonać, aby zaufać jakiemukolwiek terroryście. Oni są niczym białe niedźwiedzie – nigdy się nie oswajają, zawsze gotowi kąsać i szarpać pazurami łaskawą rękę. Nawet jeśli zdaje się człowiekowi, że zdołał takiego okiełznać, zmusić do posłuchu, ten skorzysta z byle okazji, żeby zerwać łańcuch i rzucić się do gardła. Wspólna akcja oddziałów Alfy i FSB pod dowództwem kapitana kontrwywiadu miała być gwarancją pełnego sukcesu. Też coś! Gdyby major sam decydował o przebiegu zdarzeń, tamci dwaj bandyci na górze dawno leżeliby z przestrzelonymi kolanami, żywi, ale zupełnie niegroźni. Dobrze, że kazał przed akcją zakręcić główny zawór gazu na osiedlu. Inaczej mogłoby dojść do prawdziwej katastrofy i zawalenia budynku.

– Wstawać, chłopaki! Wstawać! Trzeba zablokować wszystkie drogi! Przypominam, brać ich żywcem, celować po nogach!

Zagrzechotały krótkie serie i pojedyncze strzały. Z pierwszego piętra, z okna usytuowanego nad zadaszeniem wejścia do klatki schodowej, wyskoczyło dwóch ludzi. Jeden poleciał w prawą, drugi w lewą stronę.

Spadli na trawnik, dokładnie w tym samym momencie przetoczyli się przez plecy. Ten z prawej posiał ogniem z niewielkiego pistoletu maszynowego. Czeski skorpion, ocenił natychmiast major. Drugi mężczyzna rzucił granat. Natychmiast obaj znów przypadli do ziemi. Ogłuszający huk i świst odłamków zmusiły dowódcę do kucnięcia za samochodem. Kiedy się wyprostował, zobaczył Czeczenów biegnących w stronę murku okalającego wjazd do podziemnego garażu.

– Po nogach, przypominam! – krzyknął w mikrofon, widząc, że za plecami uciekających pociski dziurawią ścianę na wysokości piersi. – Który zabije, pojedzie na Magadan!

Ogień natychmiast znacznie się obniżył. Kule ryły ziemię, odbijały się rykoszetami od kamieni. Jakaś staruszka, niosąca zakupy z pobliskiego bazaru, nagle wspięła się na palce, puściła torby i padła na plecy jakby rażona gromem. Leżący płasko na ziemi mężczyzna w szarym płaszczu wzdrygnął się i poderwał głowę, gdy seria przeszła mu wzdłuż pleców. Tymczasem ścigani zdołali ukryć się za osłoną. Jeden wstał, położył ogień na samochodach, za którymi chowali się agenci. Rozległ się charakterystyczny dźwięk przebijanych karoserii i kruszonych szyb.

– Zorka, przyciśnij ich. Sierioża, weź pięciu chłopaków i zajdź gnojów z flanki. Kapitanie, twoi ludzie niech na razie wstrzymają ogień!

Grad kul zaczął zamieniać płyty wieńczące murek w poszarpaną mozaikę. Czeczeni musieli schować głowy. Żadnych szans na coś więcej niż rzucanie na oślep granatów. Tych jednak nie mogli mieć zbyt dużo. Major z zadowoleniem patrzył na oddział Siergieja, sprawnie posuwający się pod osłoną ognia. Koledzy z tyłu, doświadczeni w podobnych akcjach, pokrywali precyzyjnie całe przedpole, wyłączając jedynie miejsce, w którym właśnie przebywali komandosi. Tym zostało nie więcej niż dwadzieścia metrów. Zaledwie jeden skok. A kiedy już znajdą się za osłoną ukrywającą terrorystów, wszystko potrwa nie dłużej niż dwie sekundy. Siergiej podniósł rękę, jego ludzie rzucili się do przodu. Nagle przez hałas broni przedarł się ryk silnika. Major spojrzał w stronę, z której usłyszał nieoczekiwany odgłos. Po trawnikach i chodniczkach, od strony miasta,

pędziła wielka terenówka. Przez uchylone okna siedzący wewnątrz otworzyli ogień. Dwóch funkcjonariuszy służby bezpieczeństwa padło od razu, inni zorientowali się zbyt późno, żeby odpowiedzieć dostatecznie celnie. Za to zmasowany ostrzał poszedł tuż za samochodem, tam, gdzie właśnie pędzili przed siebie komandosy...

– Sierioża – wrzasnął major w mikrofon – spieprzaj w tył, ale już!

Pociski wystrzelone przez agentów i komandosów krzeszały iskry na masce samochodu. Dopiero teraz dowódca zauważył, że okna wozu wcale nie są uchylone, a napastnicy strzelają przez specjalnie skonstruowane luki w szybach. Jeszcze chwila, a samochód wpadnie na komandosów znajdujących się najbliżej ściganych. Na szczęście Siergiej już dostrzegł niebezpieczeństwo. Krzyknął krótko, ludzie się rozpierzchli. Terenówka zaryła kołami w ziemię przed murkiem, otworzyły się drzwi od strony, gdzie schronili się terroryści. Z okien wozu nadal pruły mordercze serie.

– Rozpierzdolić ich! – usłyszał major ze stojącej obok radiostacji krzyk kapitana FSB. – Dawaj RPG!

Było już jednak za późno. Samochód ruszył, drąc trawę grubymi bieżnikami. Pocisk przeciwpancerny trafił tuż za nim i eksplodował w murze, robiąc wielki wyłom.

– Kurważeż twoja mać – warknął major.

Nieco osłupiały patrzył na znikający za rogiem samochód. Skąd bandyci mają taki sprzęt? Kuloodporna karoseria, samoklejące się opony, stanowiska do prowadzenia ognia i rzucania granatów. Czołg, nie auto. Po takim wypadzie nadaje się pewnie już tylko na złom, nie ma cudów. Kule nie pszczoły, musiały poważnie uszkodzić sporo ważnych części. Ale swoje zadanie wykonał. Wszystko tylko po to, by ratować dwóch bandytów. Na podobną rozrzutność stać różnych Abramowów, Bieriezowskich albo im podobnych Nowych Ruskich. Jednak oni nie mieszają się do wojny na Kaukazie. Niektórzy rebelianci też mają forszę, ale żeby któryś dysponował aż taką gotówką?

– Zwijamy akcję – rzucił major do krótkofalówki. – Wezwijcie na teren karetkę i straż pożarną. Zorka i Siergiej natychmiast meldować się u mnie.

Bez odbioru.

Bez większego zainteresowania obserwował agentów FSB, którzy wsiedli do ocalałych samochodów i puścili się w pogoń za terenówką. W mieście nie mają najmniejszych szans dopaść zbiegów. W gęstym ruchu porannego szczytu nie da się celnie strzelać.



Rozdział 1

Leżał na boku, w pozycji, przy której odczuwał stosunkowo najmniejszy ból. Litościwa ręka rzuciła pod niego kłęb koców. Inna, mniej współczująca, postawiła naczynie z wodą, ale w takiej odległości, że musiałby się wyciągnąć, aby uchwycić ucho dzbanka. Nie był w stanie tego zrobić. Starał się w dodatku nie patrzeć na swoje rany – z przedramienia oblaża skóra, przez spalony wierzch dłoni przeświecały kości. Z drugą było jeszcze gorzej. Leżała bliżej pożaru, przez chwilę ogarnęły ją płomienie, palce zlepiły się, tworząc potworny kikut, który wyglądał, jakby należał nie do człowieka, ale istoty z kosmosu. Młody mężczyzna powinien nie żyć. Tego był pewien i on, i ci rebelianci, którzy wynieśli go z pola walki. Wyparli w końcu desantowców. Ci podczas pośpiesznej ewakuacji nie zdążyli nawet pozbierać zabitych, zostawiając ciała na pastwę przeciwników. Jego też musieli uznać za zmarłego. Nie mogli wiedzieć, że wybuch amunicji przygasił nieco ogień, a jednocześnie wyrwał wielką dziurę w burcie śmigłowca. Nie byli przecież w stanie odgadnąć, że poparzony, poszatkowany kulami i odłamkami kapral zdołał się przez nią wyczołgać, zanim eksplodowały następne skrzynie. Nie słyszeli jego jęków. Pewnie to dobrze, bo może zechcieliby po niego wrócić, ryzykując życie i ponosząc niepotrzebne ofiary. W oddziałach specjalnych na solidarność wśród żołnierzy kładziono ogromny nacisk. Uczono, że kolegów nie wolno zostawiać, chyba że w stanie najwyższej konieczności.

Nie miał pojęcia, dlaczego Czeczeni w ogóle go zabrali, zamiast po prostu dobić. Dlaczego taszczyli na noszach w skaliste góry, przysparzając sobie pracy, a jemu ogromnego cierpienia. Błagał ich, żeby dobili. Poparzenia bolały straszliwie. Tracił przytomność, majaczył. Potem złożyli cierpiącego na pace wojskowego postrzelanego łazika, zdobytego niedawno zapewne w starciu z jakimś oddziałem albo – co jeszcze bardziej prawdopodobne – w górskiej zasadzce. Traktowali jeńca jak ranne dzikie

zwierzę. Podawali jedzenie, nie dotykając jego twarzy, wlewali wodę prosto do gardła, celując niedbale w rozchylone, spuchnięte od poparzeń usta. Pojmany pragnął śmierci, a jednak przyjmował pokarmy. Wiele razy słyszał opowieści frontowców o niesamowitej woli życia, która sprawia, iż pozbawiony rąk i nóg ludzki kadłub jest w stanie przetrwać w niesłychanie ciężkich warunkach, żywiąc się mięsem martwych kolegów, spijając wodę z zagłębień terenu. Słyszał opowieści o czołgistach w czasie drugiej wojny światowej, którzy z głodu potrafili ogryzać własne ręce, ale nie rezygnowali z marnej, pozornie niewiele wartej egzystencji. Jednak teraz żałował, że udało mu się przeżyć. Oparzenia doskwierały z każdym dniem bardziej. Wiedział, że w wielu miejscach, szczególnie tam, gdzie otrzymał postrzał, z pewnością wdało się już zakażenie. Przedwczoraj rebelianci złożyli go w tej norze i chyba zupełnie zapomnieli o jego istnieniu. Jeśli tak, zginie z pragnienia. Może i lepiej...

Ponure rozmyślenia przerwało znenacka skrzypienie drzwi. Nie miał siły odwrócić głowy. Bolało każde włókno w karku i na ramionach. Ciężkie kroki, ktoś stanął nad nim.

– Specnaz – stwierdził krótko przybyły.

Ranny z najwyższym trudem pokręcił głową.

– Nie specnaz? A kto?

– Desantowiec – wychrypiał z trudem.

– Dla mnie na jedno wychodzi. Twoje nazwisko.

Po co ten góral w ogóle pyta? Przecież wyjęli mu z kieszeni książeczkę wojskową. Nie miał możliwości jej zniszczyć.

– Nazwisko, świniojadzie!

Pokonując ból, odwrócił głowę. Zobaczył nad sobą brodatą twarz. Mężczyzna przypominał wszystkich czeczeńskich bojowników, jakich Dymitr miał okazję w życiu widzieć. W identycznych połowych rosyjskich mundurach, z kałachami albo granatnikami na ramieniu, byli do siebie podobni niczym Murzyni z jednego afrykańskiego plemienia.

– Pocałuj mnie w dupę, Waha.

Czeczen drgnął. Wielu zamieszkujących ten teren muzułmanów było wahabitami, a przy tym imię Waha było bardzo popularne. Rosjanie często tak wołali na więźniów, chcąc ich zdeorientować i upokorzyć.

– Dobrze, psi synu – warknął brodacz. – Ja ci odpowiem. Nazywałeś się Dymitr Szewadze. Gruzin. – Splunął gęstą śliną. – Na kontrakcie? Ochotnik?

– Rosjanin – poprawił go ranny.

– Szewadze to gruzińskie nazwisko.

– Ale mój ojciec urodził się już w Rosji. Od dziecka mieszkałem w Uchcie, na Syberii.

– Dla mnie jesteś takim samym zdrajcą jak Kadyrow i syn tego wieprza.

Dimka nie odpowiedział. Dyskusja nie miała sensu. Czeczen najwyraźniej był jednym z fanatyków. Dla takich każdy o kaukaskim pochodzeniu, kto nie strzelał do Rosjan ani nie podkładał bomb, automatycznie musiał być zdrajcą.

– Dobrze, Gruzinie. – Brodacz trącił go nogą. Z gardła leżącego wydobył się przeciągły jęk. – Jak sobie chcesz. Jeśli nie zdechniesz, wykurujemy cię trochę i pójdiesz pod sąd. Mamy tutaj pewnego kadiego, Afgańczyka. On rozpatrzy twoją sprawę zgodnie z zasadami szariatu.

– Po to mnie taszczyliście? Żeby teraz zabić?

– Tylko ciebie wzięliśmy żywcem, Szewadze. Lepszy taki język niż żaden. Zresztą kto wie, może zdasz się nawet na wymianę jeńców. Ale coś mi się widzi, że niewiele przed tobą życia.



Tarkhan odłożył na popielnicę tłący się niedopałek. Siny dym o charakterystycznym, intensywnym zapachu uniósł się pod sufit.

– Doskonały towar – stwierdził leniwie. – Aż szkoda coś takiego sprzedawać zwykłym żołdatom.

Dżochar, siedzący naprzeciwko, wzruszył ramionami i syknął przy tym z bólu. Podczas ucieczki dostał w ramię. Pocisk przeszedł po wierzchu, nie uszkodził mięśni, ale rana dokuczała przy każdym gwałtowniejszym ruchu.

– Niech Allah dotknie karzącą dłońią psy niewierne. A dopóki sam tego nie uczyni, możemy im podsuwać rzeczy, które ich niszczą.

Z pewnym zgorszeniem przyglądał się przyjacielowi, który z upodobaniem wciągał narkotyczny dym. Prorok zabronił podobnych rozrywek. Tarkhan pochwycił jego wzrok, roześmiał się szyderczo.

– Ty ich nienawidzisz chyba jeszcze bardziej ode mnie. Wiem, wiem. – Zamachał rękami. – Zabili ci żonę i dzieci. Nie rozumiem tylko, dlaczego w takim razie zgodziłeś się wziąć udział w akcji na Dubrowce. Obaj wiedzieliśmy od początku, że gdzieś tam macza palce FSB.

– Dałem się wtedy zwieść Basajewowi, niech psy wiecznie szczają na jego grób – warknął Dżochar. – Tak, masz rację, nie ukrywał przed nami, że ruska służba bezpieczeństwa jest zainteresowana akcją. Pamiętasz? Dwa tygodnie pieprzył, że wykorzystamy to do naszych celów. Wielki dowódca... tfu!

Tarkhan spoważniał.

– Nie zapominaj, że w Iczkerii pamięć o nim jest powszechnie czczona. Nazywa się go świętym mężem dżihadu.

– Ja wiem swoje i ty też. FSB była przekonana, że jesteśmy wtajemniczeni w te wszystkie jego machinacje. Jak to powiedzieli? Wzajemne gwarancje. Ale ja spieprzyłem im przy pierwszej okazji. A ty poszedłeś na współpracę. Gdybym wiedział, że zdradzisz...

– Nie zdradziłem! – poderwał się Tarkhan. – Robiłem interesy. Nie wiesz nawet, ilu rosyjskich żołnierzy za moją sprawą wpadło w narkotyczny nałóg. Marihuana, hera, opium, amfa... Moi ludzie w Osetii i Dagestanie sprzedają im to za pół ceny. Nie wiesz, ile przez ten czas zrobiłem dla naszych braci w Czeczenii!

– Nie zbiedniałeś od tego.

– Nie zbiedniałem. Rozleniwiałem się nawet, utylłem. Ale kiedy przyszli do mnie, gdy cię namierzili i powiedzieli, że bym pomógł wziąć cię

żywego, rzuciłem to wszystko, plunąłem na forszę i łatwe dziewczynki.

– Przylazłeś z agentami do mojej meliny!

– Tak, ale to oni mnie tam doprowadzili, a nie ja ich. Rozumiesz? Nie ja powiedziałem, gdzie się ukrywasz. Nie oskarżaj mnie więc o zdradę!

Dżochar przymknął powieki. Przez ponad cztery lata potrafił zacierać za sobą ślady, kąsał Rosjan, kiedy tylko mógł. Podkładał ładunki wybuchowe, na własną rękę likwidował agentów, współpracował z podobnymi sobie desperatami. W tym czasie Tarkhan siedział na Syberii i korzystał w życia pod zmienionym nazwiskiem, ukryty pod skrzydłami służby bezpieczeństwa. Przy podobnych okazjach Rosjanie zwykli patrzeć daleko w przyszłość. Jeśli kogoś nie likwidują, to tylko dlatego, że może się jeszcze przydać, a nie dlatego, że wypełniają jakieś tam zobowiązania.

– O co im chodzi?

– Między innymi o Achmada Nikułajewa. Chcą go koniecznie dopaść.

– Przecież ruskie gazety wypowiadają się o nim niesłychanie pogardliwie. Podobno w Czeczenii nie ma już wojny, nie istnieje nawet cień wolnej Republiki Iczkerii. Zabili Maschadowa, zatłukli Sadułajewa, wyrwali powstańcom serce, zabrali nadzieję.

– Zapominasz, że rąbnęli też Basajewa.

Dżochar zacisnął zęby, na policzkach wyskoczyły węzły mięśni.

– Basajew pewnie już się bezpieczniakom zużył. Przeszedł operację plastyczną, przerzucili go gdzieś na daleki wschód albo północ i dali walizkę pieniędzy na początek nowego życia.

Tarkhan pokręcił głową. Dżochar pochodził z rodu Abdułajewów, pozostającego w odwiecznym konflikcie z rodziną Basajewa. Zawsze oskarżał o współpracę z FSB Szamila, najpierw jednego z najsłynniejszych komendantów, a potem wiceprezydenta Iczkerii w rządzie Umarowa. Tyle że przed akcją w teatrze na Dubrowce jego podejrzenia rzeczywiście zostały uspijone zapewnieniami nie tyle Basajewa, co bezpośredniego dowódcy zamachu, Mowsara Barajewa. Za to po krwawym finale doszedł do niezłomnego już przekonania, że Szamil nie jest zwykłym agentem służby bezpieczeństwa, ale wręcz etatowym oficerem tej formacji.

Poprzysiągł zemstę. Potem, po wkroczeniu komandosów, okazało się, iż ci, którzy jakimś cudem przeżyli, chcąc nie chcąc, zostaną ewakuowani na północ, otrzymają nowe dokumenty i kontakty, by mogli się tam zaczepić. Powoływano się przy tym na układ z Basajewem. Dżochar początkowo wzdragał się przyjąć podejrzane dary. Potem doszedł do wniosku, że jeśli ma zginąć bez sensu, jak nieszczęsne szahidki w teatrze, albo zgnieć w więzieniu, lepiej żyć i poczekać na okazję do rewanżu. Podpisał więc wszystkie potrzebne dokumenty. Na Syberii czekały interesy związane z wydobywaniem ropy naftowej, a przy tym można było prowadzić handel narkotykami w państwach Kaukazu. Tarkhan rozwinął ożywioną działalność, natomiast Dżochar uciekł przy pierwszej okazji.

– Nie pomyślałeś – powiedział z namysłem Tarkhan – że Rosjanie zrobili to wszystko właśnie dlatego, żeby pokazać, jakoby Szamil był ich człowiekiem? Pamiętaj, jak oni działają. Nie wahają się poświęcić czegoś, żeby uzyskać to, o im chodzi. Nieważne, czy zginie przy tym wielu ludzi, czy wypuszczą z rąk terrorystę.

– Chcesz mi powiedzieć, że cała ta rzeźnia na Dubrowce była tylko po to, żeby w naszych oczach skompromitować Basajewa?

– Żartujesz. To efekt uboczny, wykorzystali po prostu okazję. Już wtedy Basajew zaczął się dla nich stawać niewygodny. Dlatego wbili klin między naszych decydentów. Dzięki jatce w teatrze Putin mógł znów łączyć w żywe oczy Amerykę i całemu NATO, że jesteśmy zwykłymi terrorystami, że trzeba dać Rosji w Czeczenii wolną rękę. Sprowokowali nas przecież, zmusili do walki, a sami zabili gazem sporo własnych ludzi. Naprawdę uważasz, że Basajew o tym wiedział?

– Myślę, że od początku chodził na pasku Rosjan. A Czeczenia dała się oszukać tak samo jak my, a później ci frajerzy w Biesłanie. Tam też wojskowi urządzili krwawą jatkę, tam także w końcu zmuszono bojowników do walki. Przecież to Rosjanie rozwalili większość ofiar, a potem podali, że to terroryści. I mówią tak do dzisiaj, chociaż sami mieszkańcy Biesłanu, świadkowie, którzy patrzyli na to zza kordonów, twierdzą inaczej. Chociaż dowody wskazują, że uciekające ze szkoły dzieci

miały rany nie tylko na plecach, ale przede wszystkim z przodu. Co z tego? Rusczy kłamstwo uparcie przekuwają w medialną prawdę. Nieważne, jaka jest rzeczywistość; ważne, jak się ją przedstawia. Są mistrzami w mydleniu oczu.

Tarkhan kiwnął głową. To prawda. Nawet z nieudanej obławy na nich dwóch zrobiono niezłą tubę propagandową. We wszystkich publikatorach ukazała się informacja, że podczas likwidacji siedziby terrorystów w centrum Petersburga czeczeńscy separatyści zabili trzech żołnierzy i dwoje cywilów, chociaż postronne osoby zginęły od ognia komandosów i funkcjonariuszy FSB. Prasa, radio i telewizja grzmiały oburzeniem, apelowały do społeczności światowej o poparcie walki rządu Federacji Rosyjskiej z międzynarodowym terroryzmem.

– Mów – mruknął Dżochar. – Mów, co z Achmadem?

– Wiesz na pewno, że został prezydentem Iczkerii, stał się najważniejszym przywódcą ruchu powstańczego.

– Wiem. To nawet ciekawe, bo według komunikatów Moskwy powstanie wygasło, żadnych walk już na terenie Czeczenii nie ma. Panuje pokój i powszechna radość ze zduszenia rebelii.

– Nie kpij. U nas nigdy nie będzie spokoju i wszyscy mają tego świadomość. Czeczeńscy wyznawcy Allaha nigdy nie pogodzą się z jarzmem niewiernych. Jednak Achmad Nikułajew...

– Achmad Nikułajew – wpadł mu w słowo Tarkhan – jest może wielkim przywódcą, ale w tej chwili stał się tylko płótką. Obok niego pojawił się ktoś, kto może mu pomóc wywołać nową wojnę, kto być może potrafi odmienić jej oblicze. Jego przede wszystkim chcą dopaść bezpieczniecy.

– O kim mówisz?

Tarkhan wyjął z kieszeni niewielki, okrągły przedmiot, rzucił na stół.

– Poznajesz?

Dżochar ostrożnie ujął połyskujący mosiężny medalion, zapatrzył się w wizerunek na awersie.

– Czyżby znów nadeszła pora? – spytał lekko drżącym głosem.

– Na to wygląda. Ale musimy się bardzo śpieszyć. Rosjanie zdążyli się już zorientować, że coś się szykuje. Mają wśród nas więcej szpiegów niż parę lat temu.

– Na co więc jeszcze czekamy?

– Na transport. Zostaniemy przerzuceni przez terytorium Turcji i Gruzję. To dłuższa droga, ale na pewno bezpieczniejsza.



Major Wadim Wołkowski obserwował generała spod zmarszczonych brwi. Nieudana akcja sprzed tygodnia nie doczekała się jeszcze ostatecznej oceny ze strony przełożonych. Dowodzący oddziałem Alfa został wysłany na przymusowy urlop, podobnie jak żołnierze biorący udział w strzelaninie.

– Przeczytałem uważnie twój raport – powiedział generał. – Wiesz, co o nim sędzę?

– Nie mam pojęcia, Michaile Antonowiczu.

– Masz, chłopie, masz, tylko nie chcesz mi odbierać chleba. Sędzę mianowicie, że ten raport byłby doskonały, gdybyśmy działali sami. Niestety, współpracowaliśmy z delegaturą FSB. Z informacji, które przedstawiłeś, wynika, że kapitan dowodzący siłami służby bezpieczeństwa zaniedbał podstawowych zasad. Wysłał na górę tylko dwóch ludzi, nie zabezpieczył wszystkich pięter agentami ani nie pozwolił na to tobie.

– Tak było, panie generale. Gdyby mnie powierzono dowodzenie całością...

– Ale nie powierzono. Ujęcie tego bandyty leżało w gestii FSB. Ty miałeś jedynie zabezpieczać teren na wszelki wypadek, nie pozwolić się wymknąć figurantom z zasadzki. Z tego zadania absolutnie się nie wywiązałeś.

– Gdyby...

– Gdybanie nic tu nie pomoże, majorze. Ze strony przełożonych kapitana Wiktořenki wpłynęła na ciebie skarga. Podobno wycofałeś ludzi bez

powodu.

– To jest w raporcie.

– Owszem. Ale ty twierdzisz, że nasi nie mieli szans schwytać bandytów, mogli jedynie zginąć, a dowódca akcji utrzymuje coś wręcz przeciwnego. Gdyby nie zaniechano działań, ci dwaj zostaliby jeśli nie ujęci, to przynajmniej zabici.

– Podobno mieliśmy ich wziąć żywcem za wszelką cenę. Taki był priorytet.

– Priorytety się zmieniają w zależności od sytuacji. W chwili, kiedy tamym udało się zbiec, lepiej, gdyby jednak zginęli.

– Nie powiadomiono mnie o tym. Dlatego nie użyłem broni przeciwpancernej.

– Oczywiście. Służba bezpieczeństwa niechętnie udziela pełniejszych informacji.

Major skrzywił się. Kolejne podobne przedsięwzięcie. Niewiele z nich wynika oprócz ofiar.

– Ci debile – oznajmił spokojnie – zatłukli dwie Bogu ducha winne osoby. To na pewno zostało utrwalone na materiale filmowym. Podobnie jak sytuacja, w której odwołałem Siergieja. Dalsze działanie było beznadziejne. Z jednej strony pruli do nich z samochodu, z drugiej rozpoczęli intensywny ostrzał ścigani, a z trzeciej otworzyli ogień agenci FSB. Na dzień dobry dwóch ludzi oberwało. Na szczęście kamizelki wytrzymały.

– To twoja wersja. Materiał filmowy można interpretować bardzo różnie.

– Moim zdaniem...

– Twoje zdanie jest tu nieistotne. Wiesz, czym krewnym jest kapitan Wiktoренко?

Wołkowski nie odpowiedział. Do tej pory ani razu o tym nie pomyślał. Wiktoренко to stosunkowo popularne nazwisko. Nie każdy, kto je nosi, musi być z miejsca pociotkiem ministra spraw wewnętrznych.

– Masz pecha – westchnął generał. – Obaj mamy. Niesłuchanie trudno będzie wyciągnąć cię z tego gówna. Pan minister już uruchomił

znajomości, żeby uchronić bratanka.

– Chuj mu na grób – warknął major. – Jak go kiedyś spotkam...

– Nie rzucaj grózb na wiatr, bo na razie nie możesz ich spełnić. Powiem więcej: spotkasz naszego przyjaciela, i to niebawem. Ja też mam swoje kontakty. W końcu siedzę w tym interesie ponad ćwierć wieku. Wczoraj zadzwoniłem do Jego Wysokości ministra Abrama Piotrowicza Wiktořenki. Doszliśmy do porozumienia. A raczej zawarliśmy pewien układ. W związku z tym mam dla ciebie przykrą wiadomość. Najbliższe tygodnie, jeśli nie miesiące, spędzisz w towarzystwie kapitana Zachariasza Wiktořenki. To twoja jedyna szansa, żebyś nie stanął przed sądem.



Czułe, matczyne dłonie. Tylko one potrafią ulżyć w cierpieniu, sprawić, że ból ucieka gdzieś daleko. Ale czeka przyczajony, aż dobre dłonie się oddalą. Wtedy wraca ze zdwojoną siłą, jakby chciał zemścić się za chwilę, kiedy nie mógł kasać ofiary. Matczyna dłoń... Wystarczy, że spocznie na czole, a rozgorączkowany umysł ogarnia spokój, znikają majaki, uspokajają się drżące członki.

– Mateczko – wysilony, ochryply szept. – Mateczko moja...

Za oknem śnieg. Piec rozpalony do granic możliwości. Jeszcze chwila, a stopnieją brązowo-zielone kafle. Okropnie ten piec doskwiera. Żar ogarnia całe ciało, wlewa się gorącymi falami we wnętrznosci. Trzeba będzie narzucić kozuch na ramiona i uciec na dwór, posypać głowę śniegiem. Ciekawe, czy będzie syczał, opadając na skórę.

– Mamo, wychodzę!

– A wróć na kolację, żebym nie musiała się martwić.

– Wróćę, wróćę na pewno!

Zaraz za drzwiami zduszony śmiech. Wróci! Oczywiście, ale niekoniecznie na czas. Może się okazać, że na zamarznętej rzece spotka kolegów ze szkoły. Śmigają pewnie na łyżwach. Uprosi któregoś, to i jemu

da pojeździć. Ech, gdyby ojciec żył! Na pewno byłoby co przykręcić do butów. Pamiętał jak przez mgłę surową, smagłą twarz wielkiego wusacza. Podrzucał go ten olbrzym wysoko, pod sam sufit. Rozochocony chłopczyk spadał ze śmiechem w bezpieczne ramiona. Zabili ojczulka. Pojechał do Afganistanu w osiemdziesiątym piątym. Po kilku miesiącach przyszła depesza. Napisano w niej, że zginął w jakiejś górskiej zasadzce śmiercią bohatera, spłacając ojczyźnie dług krwi. Dimka odczuwał zarazem wielki żal i także dumę. Bohater... Jego ojciec bohaterem! Ale potem zaczęli wracać z tej wojny żołnierze nazywani powszechnie afgańcami. Opowiadali straszne rzeczy. Dymitr dużo o tym myślał. Może ojciec nie poległ wcale, szturmując pozycje nieprzyjaciela? Może rozerwała go po prostu mina, a może zastrzelili przez pomyłkę koledzy? Tak też się zdarzało.

Na rzece ruch i gwar. Mrowie małych dzieci i starszych chłopców. Pobiegnął pędem. Nagle potknął się, padł jak długi. Boże drogi, co za ból! W jednej sekundzie rozlał się w całym ciele, jakby każdą komórkę przeszły rozpalona igła.

– Mamusiu – załkał.

Chciał chwycić rękę, ale zagarnął jedynie powietrze. Znów straszliwe uderzenie bólu. Otworzył oczy. Półmrok rozjaśniał jedynie płomyk niewielkiej lampki. Jakaś postać pochyliła się nad nim, położyła na czole chłodny okład.

– Mamo...

Ledwie zaczął wypowiadać to słowo, wiedział, że się pomylił. Nawet w podłym świetle dostrzegł, że twarz kobiety nie jest pomarszczona, że na głowie – owszem – chustka, ale pod nią błyszczą młode oczy.

– Kim jesteś? – Cofnął głowę tyle, na ile mógł, jakby chciał uciec, gdy sięgnęła, by zdjąć mokry ręcznik.

– Nie bój się – powiedziała po rosyjsku z charakterystycznym kaukaskim akcentem. – Mam na imię Halima.

– Halima – powtórzył. – Halima... – Syknął nagle. Przez ciało przetoczył się paroksyzm bólu.

Zaniepokojona dziewczyna pochyliła się nad nim. Poczła znajomy już, mdły zapach spalonej skóry i woń ropy zbierającej się w miejscach największych oparzeń.

– To nic – powiedział słabym głosem. – Nie przejmuj się, Halima. Twoje imię. Jakbym je skądś znał... – Zamyślił się. Jego umysł pracował nieoczekiwanie jasno. Słyszał kiedyś o podobnym zjawisku od doświadczonych kolegów. Rozległe obrażenia wraz z gorączką potrafią właśnie tak działać na organizm, wydobywają odległe, zatarte dawno wspomnienia. – Tak, znam. Czytałem przecież „Księgę tysiąca i jednej nocy”. Tam, na pewno. Nie wiem tylko, co oznacza. Pewnie było coś w komentarzach, ale kto by tam czytał takie rzeczy, jeśli nie musi.

Dziewczyna uśmiechnęła się smutno.

– Po arabsku to słowo znaczy „łagodna” albo „cierpliwa”.

Ranny podniósł głowę z wysiłkiem. Halima uczyniła ruch, jakby chciała mu pomóc, ale zatrzymała się. Dimka opadł ciężko na zrolowany pod potylicą, brudny koc.

– „Łagodna” bardzo do ciebie pasuje. Masz oczy młodej gazeli. Takiej, której nie skrzywdzi nawet wygłodniały tygrys, jeśli tylko zechce w nie spojrzeć.

Potrząsnęła głową ze śmiechem.

– Mówisz jak poeta.

– Może jestem poetą. Nie zawsze byłem żołnierzem. Byłem nim na pewno krócej niż kimś innym.

– Powiedz więc jakiś wiersz.

– Słyszysz, jak mówię. Jakby piasek zgrzytał w trybach piekielnej maszyny. Pożar spalił mi krtań.

– Nie szkodzi. Powiedz coś.

Zamyślił się, przywołując z pamięci na wpół zapomniane strofy.

*Ponad przepaścią bezdenną,
na samym jej brzegu, na skraju,*

*konie puszczam w pełny bieg,
głosem gnam, tnę jak nahajem.
Tam, gdzie mgliste, ostre zbocze
mrozem w piersiach dech zapiera,
chcę zatańczyć w krąg ze śmiercią,
czuć, że żyję i umieram.*

Zamilkł na chwilę, oddychał szybko. Nigdy by nie przypuszczał, że mówienie może kosztować tak wiele wysiłku i cierpienia. Po chwili podjął:

*Śpieszmy, by u Boga gościć,
nie wypada być spóźnionym.
Czemu aniołowie kraczą
jak zgłodniałe, wściekłe wrony?
Czy to dzwonek głos schrypnięty
płacze na stromiźnie grani,
czy też ja do koni krzyczę,
by nie niosły tak prędko sani?¹*

Przymknęła oczy, wsłuchując się w język wrogiego narodu, w słowa dziwnie miękko wypowiedane, tak inne od krzyków komend i wyzwisk żołdaków.

– Jakie to piękne – szepnęła. – Prawie każdy Czeczen zna rosyjski, ale coraz mniej wśród nas jest takich, którzy usłyszeli w tej mowie cokolwiek dobrego. Naprawdę sam to ułożyłeś?

– Nie – pokręcił lekko głową. – To nie ja, ale Włodzimierz Wysocki. On był naprawdę wielkim poetą. Wielkim pieśniarzem.

– U nas tacy pieśniarze są traktowani jak święci. A u was?

– A u nich zwykło się ich dręczyć, więzić i zabijać! – dobiegł głos od drzwi. Ponury Czeczen wszedł do pomieszczenia chwilę wcześniej. Dimka nie zwrócił uwagi na skrzypnięcie drzwi, pogrążony w zamyśleniu,

podobnie jak zasłuchana Halima. – Wysockiego też wykończyli. W tym samym roku, w którym weszli do Afganistanu. Widocznie nie chcieli, by układał o tym pieśni.

– Zmarł na raka – zaproponował Dymitr.

– Taka jest oficjalna wersja, wiem. Znamy was, Rosjanie. Znamy waszych władców i pomniejszych kacyków. Oni nie lubią takich, co za dużo myślą i zbyt mądrze mówią. Nienawidzą tych, którzy chcą żyć po swojemu, a w szczególności nienawidzą niepokornych poetów.

– A wy takich tolerujecie? – poderwał się żołnierz. Gniew sprawił, że usiadł. Skrzywił się z bólu, czując, jak pękają ledwie zasklepione rany na plecach. Poczuł wypływającą z nich gorącą ciecz. Ropa pomieszana z krwią. – Pamiętasz, co robił Basajew? Ledwie wszedł do rządu, wprowadził wam szariat! To chore prawo jest ostatnią rzeczą, jaka pozwala człowiekowi być wolnym.

– Uczony zdrajca z ciebie – prychnął z pogardą brodac. – Nie mówisz jak zwykły wojak, ale jakbyś pobierał nauki. Studiowałeś?

– Wzięli mnie do wojska z czwartego roku.

– A co studiowałeś, Gruzinie?

– Nie jestem Gruzinem.

– Dla mnie jesteś. Z czwartego roku, powiadasz? Znaczy, co – pomyłka wojskowej komisji? A może nie miałeś pieniędzy, żeby zapłacić komu trzeba? Coś mi się zdaje, że zgłosiłeś się na ochotnika, bohaterze, ale teraz głupio się przyznać przed tymi, których przyjechałeś zabijać.

Dimka nie odpowiedział. Czeczen kiwnął głową, wydał wargi.

– Tak, poszedłeś na ochotnika. Uwierzyłeś w te wszystkie bzdury, które opowiadają o naszej walce i naszych bojownikach. Może jesteś i kształcony, ale też głupi.

– Może jestem głupi. Mimo to...

– Dość – uciał ostro brodac. – Halima, zakazałem ci tutaj przychodzić! Twój ojciec nie byłby zadowolony. Tacy jak ten żołdak zabili całą rodzinę Mizjewów, która udzieliła ci schronienia. Nie oszczędzili nawet mojego ukochanego bratanka, mego imiennika. Miał ledwie czternaście lat.

– Wuju Rusłanie. – Dziewczyna wstała, pochyliła się przed brodaczem w pełnym szacunku ukłonie. – Wybacz. Trudno jednak obojętnie patrzeć na tak wielkie cierpienie.

– Nie patrz więc – rzucił sucho. – Jego cierpienie jest niczym w porównaniu do ofiary naszego narodu, do poświęcenia Supyana Mizjewa, który patrzył na śmierć bliskich, zanim sam skonał. Ten tutaj to zwyczajny zdradziecki pies.

– To człowiek.

– Ruski Gruzin. Co może być podlejszego? Jedynie ruski Czeczen albo Osetyniec.

– Ale zawsze to człowiek.

– Nie dla prawowiernego wyznawcy Allaha. Wy, kobiety, nigdy nie będziecie prawdziwymi wojowniczkami Proroka. Zbyt wiele w was litości. Żeby gryźć wroga, musicie wpierw stracić wszystko – dom, męża, rodzinę i dzieci, inaczej wolę walki zabija w was współczucie. A litość jest słabością, pętami zesłanymi na duszę przez szejtana. Jeśli masz co do tego wątpliwości, możesz zapytać kadiego. A teraz zabieraj się wreszcie! Nasz gość chce zostać wreszcie sam. Musi przemyśleć parę rzeczy przed śmiercią.



Wadim wpatrywał się w krajobraz za oknem. W oddali poszarpane szczyty gór zdawały się bardziej odległe niż wczoraj. Okrywały je szare tumany, rozrywane na ostrych szczytach. Za plecami słyszał stukot klawiatury. Siergiej usiłował dostać się do bazy danych. Musieli uzyskać najnowsze informacje na temat dyslokacji własnych posterunków w rejonie pogranicza osetyjsko-czeczeńskiego.

– Po cholere! wam łączyć się z dowództwem? – spytał niecierpliwie Wiktoренко. – Nawiążę kontakt z naszą delegaturą w dystrykcie naurskim. Podadzą nam każdą żadaną informację.

Wołkowski odwrócił się gwałtownie.

– Spróbuj – warknął. – Zobaczymy, czy wtedy dożyjesz jutra.

– Grozisz mi? – poderwał się kapitan.

– Nie muszę. Nie ja cię wykończę, tylko kretyni i szpiedzy z twojego własnego wydziału.

Wiktoренко nieco oklapł. Major Alfy miał sporo racji. Stryj uprzedzał, że w najbliższym otoczeniu ministra spraw wewnętrznych są ludzie pracujący nie tylko dla obcych wywiadów, ale także dla Al-Kaidy i czeczeńskich odszczepieńców. Degeneraci, którym najzupełniej obojętne, od kogo biorą pieniądze. Co dopiero musi się dziać w okupowanym kraju.

– Musimy się przedostać przez granicę niepostrzeżenie – ciągnął Wadim bardziej na użytek swoich podwładnych niż oficera FSB. – Po drugiej stronie złapiemy kontakt z człowiekiem z wojskowego wywiadu. Znam tylko jego kryptonim i umówione na tę okazję hasło. Wiem też, że przez najbliższy tydzień będzie przebywał w którymś z przygranicznych garnizonów wschodniego dystryktu szelkowskiego. Musimy go sami odszukać, nikt nam nie pomoże. Nie możemy ujawniać się zbyt wcześnie. Co tam, Zorka? – spytał, widząc, że podwładny chce coś powiedzieć.

– Kiedy dowiemy się bliższych szczegółów?

– Nie wiem. Może nawet nigdy, jeśli by się coś nie powiodło. Wtedy lepiej, żebyście naprawdę nic nie wiedzieli.

Zorka kiwnął głową z obojętną miną. Siergiej był jednak nastawiony bardziej bojowo. Może dlatego, że miał dosyć beznadziejnego grzebania w fatalnie zakodowanej, pełnej pułapek bazie danych. Była tak dobrze zabezpieczona, że wyrzucała go co chwila, zmuszając do bezustannego logowania.

– W razie czego i tak nas zarzną. – Spojrzał zaczerwienionymi ze zmęczenia oczami na dowódcę. – Czy coś powiemy, czy nie, wyweleką z nas flaki. Wolałbym wiedzieć, za co mam zdechnąć. Bo może to kolejna doniosła misja w stylu dostarczenia jakiemuś aparatczykowi ulubionego gatunku koniaku.

W normalnych warunkach za takie słowa wobec oficera Wołkowski postawiłby podwładnego do pionu, wyczytał mu listę obowiązków żołnierza grup specjalnych, obsobaczył i znieważył rodzinę do ósmego pokolenia w przód i wstecz. Nie z gniewu – dla zasady. Jednak warunki nie były normalne.

– Dowiemy się wszystkiego, kiedy przyjdzie czas, słyszałeś.

– Koniaku? – zmarszczył brwi Wiktoренко. – O czym ten żołnierz mówi?

– O pewnym zadaniu, które mu kiedyś polecono. Znasz generała Marasza?

– Słyszałem o nim. Doskonały dowódca.

– Doskonały – parsknął pogardliwie major. – Zgadza się, robi wszystko, żeby tak o nim sądzono. Dla niego świat dzieli się na tych, którzy przed nim klękają z czcią, i na wrogów, którzy nie doceniają wielkiego geniusza strategii. Przypomina w tym niejakiego generała Clarka z czasów drugiej wojny światowej. Dla tamtego najgorszym wrogiem także byli ci, którzy stali mu na drodze do sławy. Jeśli Niemiec, bił Niemców. Jeśli Anglik, użerał się z Anglikami. Jeśli inny amerykański generał, bez skrupułów zwalczał kolegę. Marasz jest dokładną kopią Clarka. Chcesz posłuchać tej historii, kapitanie? Sierioża służył wtedy jeszcze nie w Alfie, ale w liniowej jednostce, która podlegała Maraszowi. W grupie zwiadu. Za zasługi bojowe uzyskał już wtedy stopień sierżanta. To była pierwsza wojna czeczeńska. Nasz Einstein wojskowości wysłał wtedy najlepszych rozwiędzcików z pilnymi meldunkami na drugą stronę górskiego grzbietu. Stamtąd mieli mu dostarczyć niezwykle ważną przesyłkę. Kto tam zalegał między wami a sztabem głównym?

– Zgrupowania rebeliantów w sile dwóch batalionów pod dowództwem Giełajewa – odparł ponuro Siergiej. – Tak, tego słynnego Giełajewa. Odcięli nas od głównych sił, byliśmy pod ciągłym ostrzałem. Ludzie padali jak muchy od ognia moździerzy i strzelców wyborowych. Na dwustu ludzi w mojej kompanii po dwóch dniach mieliśmy pięćdziesięciu zabitych i rannych.

– Właśnie. Sierioża był przekonany, że chodzi o coś niezwykle doniosłego. Przeszedł przez pilnie strzeżoną przełęcz. Ilu ludzi straciłeś?

– Połowę przeprowadziłem na tamtą stronę. Ranni byli chyba wszyscy. Zostawiliśmy w szpitalu polowym najbardziej poszkodowanych, zabraliśmy przesyłkę i dawaj z powrotem. Do pułku dotarłem tylko z trzema żołnierzami.

– Właśnie – podjął Wołkowski. – Dostarczył tę niezwykle cenną przesyłkę. Marasz był na tyle głupi, żeby otworzyć ją przy nim. W środku była butelka gruzińskiego koniaku. Wyobrażasz sobie, majorze? Generał z nudów założył się ze swoim szefem sztabu, że na kompletnym bezrybiu skombinuje jakąś flaszkę. Miał w dupie, że wytraci przy tym wojsko. Za tę akcję Siergiej poszedł pod sąd polowy.

– Nie rozumiem?

– Kiedy Marasz się ocknął, kazał go wsadzić do aresztu.

– Ocknął się? O czym mówimy?

– Nie domyśliłeś się? Co z ciebie za oficer bezpieczeństwa? – w głosie majora zabrzmiała kpina jeszcze bardziej zjadliwa niż wypowiedziane słowa. – Sierżant Siergiej Iwanow najpierw zwyzywał swojego generała od najgorszych, a potem strzelił go w pysk. Skończyłby pewnie na Kołymie albo w innym równie wesołym miejscu, gdyby nie obecny szef Alfy, Michaił Antonowicz Sierpin. Wieść o incydencie doszła do jego uszu. A że w tamtym czasie zbierał po jednostkach najlepszych żołnierzy, żeby utworzyć z nich szturmowy pluton specjalny, nie mógł pominąć takiego zucha. Marasz dostał po zakończeniu wojny kopa w górę, wylądował w sztabie głównym w Moskwie. A Sierioża przeszedł do antyterrorystów, rzecz jasna w stopniu szeregowego, bo obniżenia stopnia dowództwo cofnąć nie chciało. Dochrapał się znów sierżanta, choć kilka razy groziła mu degradacja. Jak widać i słyhać, lata służby nie nauczyły go trzymać języka za zębami. A przekroczył już przecież czterdziestkę.

– U nas – wyjął wargi Zachariasz Wiktoренко – nazywamy to zwyczajną niesubordynacją. Wszelkie zbędne dyskusje i podważanie decyzji położonych...

– Nie wymądrzaj się, kapitanie – uciął ostro Wołkowski. – Opowiedziałem ci tę historię z dwóch względów. Ciekaw jesteś jakich? Pewnie, że tak. Wy, z bezpieczeństwa, jesteście ciekawi wszystkiego, niezależnie od tego, czy wychodzi wam to na zdrowie, czy wręcz przeciwnie.

– Majorze, dość tego – wycedził przez zęby oficer FSB. – Nie pozwolę się znieważać na każdym kroku...

– Pozwolisz – przerwał mu Wadim. – Pozwolisz, bo beze mnie nie wykonasz zadania, a ja bez ciebie i owszem. Dlatego powiem ci o powodach, które skłoniły mnie, abym strzepił sobie język opowieścią o losach naszego przyjaciela. Po pierwsze, uczyniłem to z tego względu, że zapytałeś. A ja uważam, że grzecznie jest odpowiadać na pytania, nawet jeśli zadaje je idiota. Och, nie bierz tego do siebie. To stwierdzenie bardzo ogólne, niekoniecznie dotyczy akurat twojej osoby, kapitanie. Żeby było wszystko jasne – nie mam cię wcale za kretyna, ale odwrotnie. Uważam, że jesteś niesłychanie sprytny, co nie musi być w moich ustach komplementem.

– Wołkowski – wychrypiał Wiktoренко – zaczynasz przeciągać strunę. Ostrzegam cię!

– Po drugie i ważniejsze – ciągnął major swobodnie, jakby nie dosłyszał groźby – powinieneś wiedzieć, z kim masz do czynienia. Musisz zdawać sobie sprawę, że ani ja, ani moi ludzie nie będziemy cię traktować wyjątkowo przez wzgląd na stryja ministra. Nie zwykliśmy nikomu dawać forów, jasne? Porucznik Zorka Minijew także ma barwny życiorys. Wprawdzie nie dał jeszcze nigdy po mordzie generałowi, ale chyba tylko z braku odpowiedniej okazji. Nie sądzę, aby się przed czymś podobnym specjalnie wzdragał.

Kapitan zmełł w ustach grube przekleństwo. Spojrzał majorowi prosto w oczy.

– Przegiąłeś, Wołkowski. Gdyby coś podobnego zdarzyło się gdzie indziej, nie w trakcie ważnej misji...

– To co, wezwałbyś na pomoc Jego Wysokość pana ministra?

Wiktoренко zacisnął pięści.

– W dupie mam rodzinne koneksje – warknął. – Zęby bym ci policzył. Docień moje zdyscyplinowanie, że do tej pory tego nie zrobiłem. Ale uprzedzam, jeszcze jedno słowo...

Major rozparł się wygodnie w fotelu. Obserwował Zachariasza spod przymrużonych powiek.

– Kto wie – zamruczał leniwie. – Może nie jesteś jednak takim ostatecznym fiutem, jakim się wydajesz. W jednym masz na pewno rację – zadanie jest najważniejsze. Ważniejsze niż czyjaś urażona duma. Sierioża – zwrócił się do sierżanta – wygrzebałeś wreszcie co trzeba?

– Staram się, Wadimie Siemionyczu. Staram się i niech mnie diabli, jeśli po powrocie nie porachuję kości sztabowym informatykom!

1 Włodzimierz Wysocki – „Koni priwieriedliwyje” (fragmenty), przekład własny. Przyp.aut.



Rozdział 2

Pawka! Pawka, złaź, zmiana przyszła. Zza załomu skały, kilkanaście metrów wyżej, wyłoniła się szczupła, wysoka sylwetka. Jasne, miękkie włosy rozwiewały się na wietrze, odbijały południowe słońce, tworząc wokół głowy coś na kształt delikatnej aureoli.

– Najpierw wejdź tutaj, Abdul – odkrzyknął. – Nie słyszałeś, co rozkazał Rusłan? Nie wolno ani na minutę spuszczać z oka drogi przez przełęcz. Rzucić ci linę?

– Nie trzeba! Zasiedziałem się, dobrze mi zrobi trochę wysiłku.

Paweł wrócił na postereunek, zniknął z oczu Czeczenowi. Abdul sprawnie wspiął się na stromą ścianę. Po kilku minutach siedział w kucki obok towarzysza.

– Zapominam się – powiedział. – Zrobiłem się leniwy i nieruchawy niczym wykastrowany baran. W oddziale Selima przestałem pamiętać o dyscyplinie. Wszyscy tam zgnuśniali. Każdy patrzy, jak urwać parę dolarów i pohandlować, nieważne z kim. Nie to co u Rusłana. Kiedyś wojowałem pod Giełajewem. Był podobny do Kadajewa, tylko na ogół mniej porywczy. U niego też był prawdziwy rygor i porządek. Za najdrobniejsze nieposłuszeństwo kula w łeb. Za rabunek swoich i gwałty to samo. Srogi był i okrutny, ale żołnierze go kochali.

– A Ruscy nienawidzili – uzupełnił Paweł.

– Zgadza się. Nie mogli go zlikwidować przez parę lat. I gdyby nie zdrada, na pewno nie dopadliby do tej pory.

– Zdrada – kiwnął głową jasnowłosa. – Zdrajcy są wszędzie, w każdym narodzie.

– Wy, Polacy – powiedział w zamyśleniu Abdul – Podobno wiecie, co to znaczy być zdradzonym. Tak mówił Rusłan.

– Wiemy – zaśmiał się Paweł. – Wiemy lepiej od innych.

– Dlatego z nami jesteś przeciw Rosji?

– Nie tylko. Kiedyś może ci opowiem. A może opowie ktoś, kto zna mnie dłużej. Ludzie zwykle wiedzą takie rzeczy.

– Komendant ma do ciebie większe zaufanie, niż do własnych oficerów – rzekł z zastanowieniem Czeczen.

– Wiele razem przeszliśmy. Przyjechałem do Czeczenii w czasie pierwszej wojny z Rosją. Jakoś tak się zdarzyło, od razu trafiłem na Rusłana. Różnie bywało, wreszcie los nas rzucił w różne miejsca, nie widzieliśmy się ostatnie dwa lata, ale świat jest zaskakująco mały.

– Może raczej nasza Iczkeria zrobiła się bardzo mała...

– Pewnie masz rację. Powstanie się skończyło, zostali tylko tacy jak my, którzy broni nigdy nie złożą, bo nie mają nic do stracenia.

– Nic? Ty masz przecież swój kraj. Tam spokój. Nie taki udawany jak tutaj – westchnął z zazdrością. – Prawdziwy.

– Nie zawsze człowiek może wrócić tam, gdzie by chciał. I nie zawsze chce wracać tam, gdzie by mógł.

Abdul zmarszczył brwi. Nie bardzo do niego docierał sens ostatnich zdań wypowiedzianych przez Polaka. Wreszcie machnął ręką. Wiedział jedno: Pawka nie jest jakimś tam najemnikiem. Podczas wojny Czeczen spotkał wielu żołnierzy fortuny, głównie Serbów, jakichś awanturników z Europy Zachodniej i Ameryki. Wszyscy byli dobrymi żołnierzami, jednak nigdy nie potrafił się przekonać do takich, którzy służyli tylko za pieniądze. Dopiero niedawno, przed dwoma tygodniami poznał tego człowieka. Też mówiono, że jest najemnikiem, ale zdawał się rozumieć o wiele lepiej sens prowadzonej przez Czeczenów walki. W brudnej wojnie najwyraźniej potrafił dostrzec jasne tony.

– Pójdę – Paweł wstał. – Trzeba ogrzać się, zjeść coś i wyciągnąć kości.

– Zajdź po drodze jeszcze do Rusłana. Ma do ciebie sprawę.



Minister Wiktoренко odłożył na biurko teczkę z raportem. Z drugiej strony szerokiego biurka siedział generał Michaił Sierpin. Bawił się długopisem, przewijając go błyskawicznie między palcami. Robił to od samego początku wizyty, irytując dostojnika bezmyślną zabawą.

– Jesteście tego wszystkiego pewni, obywatelu generale?

– Jestem, panie ministrze.

Wiktoренко, jak wielu członków rządu, zaczął karierę polityczną jeszcze za poprzedniego systemu. Nigdy nie pogodził się do końca z nowymi formami zwracania się do osób związanych w jakikolwiek sposób z władzą. Przez długi czas nie potrafił się przełamać, żeby przestać mówić „towarzyszu”. Niejako na pocieszenie pozostało mu, jako pewnego rodzaju wytrych, owo „obywatelu”. Życzył sobie także, aby rozmówcy także się w ten sposób do niego zwracali. Generał słyszał, że na prywatnych rautach wysocy funkcjonariusze nadal śpiewają międzynarodówkę i stary tekst hymnu państwowego, a potem z lubością sobie „towarzyszą”. Wydawało mu się to żalosne. Z kolei Wiktoренко uważał za pożałowania godny fakt, iż musiał współpracować z ludźmi, których kariera w strukturach władzy zaczęła się od chwili moskiewskiego puczu. Ten, który przed nim siedział, był jednym z dowódców murem stojących po stronie tego uzurpatora i zdegenerowanego alkoholika, Jelcyna.

– Nigdy nie miałem zaufania do waszej formacji – rzekł minister, krzywiąc się z niechęcią i postanawiając się pilnować, by odtąd nie nazywać rozmówcy obywatelem. – Jakoś nie mam stuprocentowej pewności co do pobudek waszych działań.

– Zdaję sobie z tego doskonale sprawę – uśmiechnął się generał. – Dlatego w Biesłanie nie pozwolono działać „Alfie”, „Wypiełowi” ani nawet wyspecjalizowanej jednostce specnazu. Postanowiliście udowodnić, że poradzicie sobie lepiej, czyż nie tak? A może raczej racje mają ci, którzy podejrzewają, iż masakra była wam bardzo na rękę?

– Skoro już mówimy o nieudolnym przeprowadzaniu akcji – odparł spokojnie Wiktoренко, chociaż krew w nim zawrzała. – Podległe pana

poprzednikowi oddziały nie popisały się w teatrze na Dubrowce. Ta cała afera z gazem...

– Tak, to ciemna karta dziejów „Alfy”. Jednak przy okazji należałoby zadać pytanie, kto zamienił podczas transportu pojemniki z gazem na te, które komandosi otrzymali bezpośrednio przed akcją. I dlaczego nie chciano ujawnić szpitalom składu mieszanki obezwładniającej. Lepiej było pozwolić umrzeć przeszło setce ludzi, niż ujawnić tajemnicę, która jest fikcją, chociażby dla amerykańskich specjalistów od broni chemicznej.

– Dość tego – minister uderzył otwartą dłońią w blat biurka. – Nie czas na wytaczanie ciężkich dział.

– Nie czas – zgodził się generał. – Są takie sytuacje, kiedy muszą podjąć współpracę nawet najbardziej zawzięci wrogowie, a co dopiero ludzie, którzy poświęcili życie służbie krajowi.

– Piękne słowa – usta Wiktořenki wykrzywił przykry grymas. – Oby tylko za nimi szły równie piękne czyny.

– Ma pan na myśli honor, poświęcenie i tym podobne bzdury – raczej stwierdził niż zapytał Sierpin.

– Tak. Honor, poświęcenie i to wszystko, co tak pochopnie nazywa pan bzdurami.

– Panie ministrze – generał pochylił się nieco do przodu, patrząc rozmówcy prosto w oczy – Może darujmy sobie bohaterskie opowiadki. Taki pogląd na rycerskie zasady i zwyczajną ludzką przyzwoitość to nie mój wymysł. Świat wygląda inaczej, niż sto czy dwieście lat temu. Wojen nie wygrywa się pięknymi czynami, ale bezkompromisową, bezlitosną walką. Tarkhana Hamsajewa i Dżochara Grumana nie znajdziemy, nawołując ich łagodnym głosem, stojąc na skraju lasu o zachodzie słońca. Rosja znalazła się w obliczu wielkiego zagrożenia. To, co dzieje się w Czeczenii, a o czym mam niezwykle skąpe informacje, może się okazać otwarciem kolejnego rozdziału w naszych dziejach najnowszych. Co więcej, wcale nie musi to być rozdział kończący się słowami „żyli długo i szczęśliwie”.

– Dlatego rozmawiamy ze sobą bezpośrednio, choć żadnemu z nas nie sprawia to przyjemności. Taka jest wola prezydenta. A z nim się nie dyskutuje. Proszę mi tylko wyjaśnić, dlaczego na misję wysłał pan trzech swoich ludzi i zrobił wszystko, aby ze strony FSB wyruszył jedynie mój bratanek.

– To chyba oczywiste. Nie mam krzty zaufania do współpracowników majora Zachariasza Wiktořenki. Służba bezpieczeństwa potrafi być bardzo niebezpieczna dla swoich sprzymierzeńców. Za dużo tam podwójnych agentów i zwyczajnych przekupnych skurwysynów.

– Ale czyja muszę mieć zaufanie do pana ludzi?

– Na to pytanie musiał pan sam sobie odpowiedzieć, kiedy ustalaliśmy zasady współpracy.

– Dobrze – odetchnął głębiej minister. – Do rzeczy. Z raportu wynika, iż Achmad Nikułajew zdołał zgromadzić dość poważne siły w górach dystryktu aczhojmartanowskiego. Nie bardzo rozumiem jak to możliwe w kraju zupełnie opanowanym przez nasze wojska, gdzie ludność ma dość wojny, a wszędzie roi się od szpiegów i konfidentów.

– Panie ministrze, Czeczenii nie udało się ujarzmić nikomu. Nawet Mongołowie, którzy się tam zjawili w dwunastym i trzynastym wieku odpuścili sobie ten kraj. Przecież opanowali cały region, bez specjalnego wysiłku wzięli pod but Gruzję. Ale gdy w górach Iczkerii wyrosła zbrojna opozycja, kiedy ugrzęźli w walkach pośród lasów i wąwozów, stwierdzili, że nie ma sensu tracić sił na kraj praktycznie pozbawiony znaczenia dla imperium.

– Czyżby uważał pan, że powinniśmy się wycofać z Czeczenii? Pozwolić im na odrodzenie się Republiki Iczkerii?

– Nam tego uczynić nie wolno. To wie pan lepiej ode mnie. Za czasów potomków Czyngis–chana, ta część Kaukazu rzeczywiście nie miała większego znaczenia strategicznego. Dzisiaj, tracąc kontrolę nad Czeczenią, tracimy nie tylko prestiż niezwyciężonego mocarstwa, ale także ważny punkt oparcia na granicy ze światem islamu. A poza tym Al–Kaida i

inne pokrewne jej organizacje terrorystyczne zyskałyby nową, bezpieczną bazę.

– My siedzimy w Czeczenii, Amerykańcy w Iraku i Afganistanie... Niby wszystko pod kontrolą, a jednak tak późno dowiadujemy się o strasznym zagrożeniu. Jak pan myśli, czy kurierzy z towarem dotarli już do Nikułajewa? A w zasadzie tego jego doradcy, Sajfa... jak mu tam?

– Sajf ad-Daula.

– Właśnie. Kto to w ogóle jest?

– Informacje są sprzeczne i niepewne. Na pewno jest to ktoś w rodzaju ich świętego, człowiek poważany wśród talibów i czeczeńskich separatystów. Do tej pory ukrywał się w Pakistanie albo Iranie. Nawet tego nie wiemy z całą pewnością. Nie znamy dokładnie narodowości tego człowieka, może jest afgańskim Pasztunem, a może Tadżykiem. Imię, oczywiście, nie jest prawdziwe. Wziął je od średniowiecznego księcia, mecenasa poetów i literatów. Dziwne to trochę, zważywszy na stosunek szariatu do spraw kultury świeckiej. Ale czy z tymi cholernymi muzułmanami można w ogóle dojść do ładu? W każdym razie to dzięki jego kontaktom, rebelianci mogli uzyskać dostęp do broni.

– Czy to ktoś w rodzaju Osamy ben Ladena?

– Nie. Ad-Daula nie był i nie jest powiązany z żadnym zachodnim wywiadem. Osama został wyszkolony przez CIA i nigdy nie przestał być ich człowiekiem. Ad-Daula stworzył sam siebie. Gdybym miał użyć górnolotnego sformułowania, rzekłbym, iż został wykuty w fanatycznym ogniu walki ze znieprawionym imperializmem, najpierw radzieckim, potem rosyjskim, a wreszcie także amerykańskim.

– Co pan proponuje?

– Na razie czekać. Niedługo powinni się odezwać nasi ludzie, już z tamtej strony. Mam nadzieję, że przekroczenie granicy odbędzie się bez fajerwerków.



Dymitr obudził się z gorączkowego snu jeszcze przed świtem. Ciało bolało okropnie. Zastanawiał się, czy zdoła do tego chociaż odrobinę przywyknąć, zanim nadejdzie śmierć. Słyszał, że oparzenia są najbardziej dokuczliwymi ze wszystkich ran, przysparzają najwięcej cierpienia.

Leżał owinięty bandażami, na których każdego dnia pojawiała się krew i ropa. Halima wymogła na Rusłanie, by pozwolili jej zająć się jeńcem bardziej troskliwie, niż do tej pory. Miał przecież spalony cały lewy bok. Akurat to miejsce nie bardzo doskwierało, bo stracił tam czucie, ale nie pozwalano mu się na nim układać, gdyż zniszczona tkanka zaczynała wydzielać nieprzyjemny zapach. Przeniesiono go też z cuchnącej ziemianki do drewnianego domku. Przynajmniej mógł widzieć słoneczne promienie, inne zabudowania i szczyty gór za oknem. Czeczeni oparli infrastrukturę obozu o niewielką dolinę, w której kiedyś została założona osada. Niskie, drewniane chaty posadowione zostały na kamiennych podmurówkach. Rebelianci wzmocnili je, odnowili, wryli się znacznie w skalisty grunt dookoła, budując dla żołnierzy świetnie zamaskowane przestronne ziemianki. Musiały być dość duże, bo pewnego ranka Rosjanin zobaczył dziesięciu lub więcej żołnierzy wychodzących spod ziemi. Z góry, z lotu ptaka to miejsce na pewno nie wyglądało podejrzanie. Zresztą przez cały czas pobytu tutaj, Dimka tylko raz usłyszał warkot śmigłowca. Cała przestrzeń natychmiast opustoszała, separatyści jakby nagle rozplynęli się w powietrzu. Byli karni, zdyscyplinowani bardziej niż większość zwykłych liniowych oddziałów rosyjskiej armii.

Halima przychodziła każdego dnia. Zmieniała opatrunki, smarowała ropiejące rany wywarami z ziół i zwyczajnymi maściami, jakich się używa w szpitalach. Chłopak zauważył z pewnym zdziwieniem, że rebelianci są bardzo dobrze wyposażeni, także w leki. Czyżby tajna pomoc nadal płynęła ze strony Stanów Zjednoczonych?

Któregoś dnia zobaczył za otwartymi na oścież drzwiami, jak bojownicy noszą mąkę w charakterystycznych workach z gwiazdzistym sztandarem. Przecież Amerykanie nie powinni pomagać Czeczenom. Zabraniają podobnych procederów Rosji w okupowanych przez siebie krajach. Z

drugiej strony amerykańska mąka może pochodzić z innego źródła. Mało to konwojów humanitarnych jeździ po świecie? Tego problemu sam nie rozstrzygnie. Musiałby kogoś zapytać. Ale czy ktoś z dumnych Czeczenów, którzy okazują mu bezgraniczną pogardę, w ogóle zechce o czymś podobnym rozmawiać? Po co? Zresztą co może to wszystko obchodzić człowieka stojącego o krok od śmierci. A jednak obchodzi. Trzeba by samemu spędzać czas w beczynności, cierpiąc przy tym katusze, żeby zrozumieć jak działa umysł w podobnym położeniu.

Drzwi otworzyły się bez ostrzeżenia. Z reguły, kiedy ktoś podchodził, ranny słyszał odgłos kroków. Wyjątek stanowił komendant. Ten zawsze chodził bardzo cicho, wręcz niedosłyszalnie. Dimka wiedział, skąd to się bierze. Słyszał o takich ludziach – urodzonych tropicielach. Tym razem Kadajew nie przyszedł sam. Towarzyszył mu wysoki mężczyzna o płowych włosach, wymykających się spod przekrzywionej czapki.

– To ten – komendant wskazał Szewadze. – Cholerny Gruzin w ruskiej armii.

– Jestem Rosjaninem – zaproponował z przyzwyczajenia Dymitr.

– Spadli na nas jak sępy – Rusłan puścił mimo uszu protest jeńca. – Trafili dokładnie w punkt koncentracji. Tyle dobrego, że byli nieprzygotowani na tak wielki opór. Zaskoczyła ich liczba naszych żołnierzy i siła ognia.

– Witaj, braciszku – jasnowłosy usiadł na skraju łóżka.

– Nie jesteś mi bratem, ani ja tobie – Dymitr odwrócił głowę. – Stoimy po przeciwnych stronach barykady.

– Tak. Tylko może mi wyjaśnisz, która strona jest właściwa.

– Ta, po której akurat sam stoisz.

Przybysz uśmiechnął się. Rzucił okiem na Rusłana, bez większego zainteresowania przysłuchującemu się wymianie zdań.

– Celną uwagę, jednak z gruntu niesłuszna. Tylko jedna strona może być obiektywnie właściwa.

– Nie pytałeś o obiektywizm. A czy ty potrafisz rozpoznać, która?

– Tak mi się zdaje.

– Jesteś naprawdę do końca i bez żadnej wątpliwości przekonany, że wiesz? Nigdy nie masz wątpliwości? A może świat wygląda zupełnie inaczej niż ci się zdaje?

– Co masz na myśli?

Dymitr odetchnął głęboko. Gardło znów go rozboleło. Nie powinien tyle mówić. Jednak jak milczeć w takiej sytuacji?

– Pomyśl... nie wiem, jak ci na imię.

– Paweł. Paweł Mech.

– Pomyśl, Pawle. Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że krzesło na którym siedzisz może w istocie mieć zupełnie inny kształt niż ten, który odbierasz zmysłami? W konsekwencji może się okazać, że twoja dupa ma diametralnie inną formę, niż ci się zdaje. To jedno z najbardziej fundamentalnych zagadnień teorii poznania. Podobnie idea, której tak gorliwie służysz, może w prawdziwym, ukrytym przed tobą jądrze zawierać zupełnie inne wartości niż ci się wydaje.

– Filozof – prychnął pogardliwie Rusłan. – Nie daj się wciągnąć w całe to jego gadanie. Wolę już tępych kaprali od takich mędrków. Tamtemu dasz w pysk i wie, o co chodzi. A ten będzie zaraz kazania prawić.

– A mnie się podoba to, co nasz przyjaciel powiedział – odparł Paweł. – Czy idea, której służę mogłaby się okazać z gruntu fałszywa, choć uważam inaczej. Braciszku – spojrzał na rannego. – Każda idea jest czymś zupełnie innym niż się człowiekowi wydaje. Znaczna część ludzkości pojęła to już dawno. Nauki niemieckich idealistów straciły mocno na wartości i aktualności wraz z pojawieniem się kanclerza Bismarcka.

Dymitr spojrzał zdumiony. Skąd u czeczeńskiego bojownika podobna wiedza? No tak – te jasne włosy to nie tylko genetyczna domieszka obcej krwi w kaukaskim narodzie. To imię i nazwisko... Zaskoczony i rozdrażniony nie zwrócił na to uwagi.

– Jesteś najemnikiem. Skąd? Bo przecież nie z Afganistanu albo Iranu. Chyba nie jesteś Rosjaninem? Bo jeżeli tak...

– Jestem Polakiem, braciszku. Ale mówiąc o Afganistanie, nie pomyliłeś się za bardzo. Bywałem i tam.

– Polak – szepnął Szewadze. – Mścisz się na Rosji za krzywdy przeszłości? Te prawdziwe i wydumane? Za rozbiory, drugą wojnę światową i czterdzieści lat komunizmu?

– Zemsta to niewłaściwe słowo – uśmiechnął się Paweł. – Nawet nie rewanż. Tak się złożyło w moim życiu, że wylądowałem wśród tutejszych bojowników. Los rzucił mnie między wilki i przyłgnałem do nich.

– Wilki... Tak, to pasuje do Czeczenów.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo. Poproś Halimę, żeby opowiedziała ci legendę o wilczycy; wyjaśniła jak wadera znalazła się w godle Iczkerii.

– Długo będziecie tak gruchać? – zniecierpliwiał się Rusłan. – Wypytaj go, Pawka. Ja nie mam cierpliwości. Za każdym razem nachodzi mnie ochota, żeby mu obciąć łeb bagnetem...

Polak uczynił uspokajający gest. Znow uśmiechnął się do rannego, porozumiewawczo przymrużył prawe oko.

– Tutejszy lud bywa w gorącej wodzie kąpany. A czasem trzeba uspokoić emocje, szczególnie podczas trudnych rozmów. Przejdźmy do rzeczy. Wiedzieliście, że celem desantu będzie zgrupowanie Kadajewa?

– Jestem tylko żołnierzem – odparł spokojnie Dymitr. – Oficerowie nie spowiadają się nam ze wszystkich informacji.

– Jesteś żołnierzem desantu – pokręcił głową Paweł. – A takim mówi się przed akcją więcej niż jakimś piechocińcom. Powinniście widzieć, co jest głównym celem działań. Jeśli nie powiesz, obawiam się, że nasz komendant zadba, aby więcej nie zmieniano ci opatrunków. Znow wylądujesz w ciemnej norze. Zgnijesz, zanim umrzesz.

Rosjanin przymknął oczy. Nie bał się śmierci. Nie obawiał się też cierpienia. Ten Polak musiał o tym wiedzieć. Jedyne, czego Dimce będzie żał to promyk słońca, odrobina ciepła, jaką odnalazł we wrogim miejscu.

– Wiesz, co znaczy gniew Rusłana? – ciągnął Paweł. – Nie wiesz. On, jeśli raz coś zdecyduje, nie ma siły, która to może zmienić. Zastanów się.

– Naprawdę nic nie wiem. Mój pluton był w pogotowiu alarmowym. Poderwali nas z koszar na pomoc kompanii majora Michaiła Juszewicza. Ktoś od nich może by wiedział więcej o sprawie. Nas przysłano na pomoc.

Paweł wzrokiem porozumiał się z Kadajewem. Czeczen ledwie dostrzegalnie skinął głową.

– Mylisz się, braciszku, albo z rozmysłem nie mówisz prawdy – Paweł rozprostował ramiona, odetchnął głęboko. – To była całkowicie zaplanowana akcja. Rosjanie mieli dokładne informacje o położeniu oddziałów. Nie przewidzieli jedynie pojawienia się drugiego zgrupowania bojowników. Zabrakło wam obwodów, mieliście pecha. Rzucili was na pożarcie bez mrugnięcia okiem, choć wiedzieli, że to może być samobójstwo.

Zamilkł czekając, co powie jeniec. Rosjanin milczał.

– Chcesz więc skończyć w ziemiance?

– Nic więcej nie wiem. Macie przecież narkotyki, na pewno inne środki. Możecie mnie naćpać jakąś skopolaminą albo podobnym świństwem.

– To mogłoby cię zabić, zanim zaczniesz mówić. Nas interesuje tylko, ile wiedział twój oficer, co wam powiedział przed akcją.

– Co powiedział? To samo, co każdy dowódca podczas nagłego alarmu. Głównie kłął nas, dowództwo, i cały świat.

Paweł milczał długo, przyglądając się zmasakrowanej twarzy więźnia.

– Masz szczęście, że jesteś tak mocno poszkodowany. Ostatni Rosjanin, którego przesłuchiwał Rusłan wyszedł z tego z obciętym nosem, wargami i oberwanymi uszami.

O innych częściach jego ciała nawet nie wspomnę.

– Rzeźnik – powiedział bardzo głośno i wyraźnie Szewadze. – Możecie mi zrobić, co wam się spodoba. Nic więcej nie wiem. A nawet, gdybym wiedział...

– Milcz, psie – nie wytrzymał Kadajew. – Daję ci żreć i pić, ale to się może zmienić w każdej chwili.

– Daj spokój – powiedział pojednawczo Polak. – Dimka naprawdę nic nie wie.

– Niepotrzebnie ciągnęliśmy go aż tutaj. Trzeba było dobić na dole, albo zostawić, żeby sam zdechł.

– Nie mogłeś wiedzieć, że będzie bezużyteczny. Chcesz go teraz zlikwidować?

Komendant machnął ręką.

– Halima by mi tego nie wybaczyła.

– A odkąd to muzułmański wojownik przejmuje się opinią dzierlatki? – spytał przekornie Mech.

– Nie każda młoda dziewczyna jest ukochaną córką Achmada Nikułajewa – odparł ponuro Rusłan. – Urwałby mi jaja, gdyby uroniła choć jedną łzę. Chce dziewczucha, niech pielęgnuje tego świniojada. Do czasu.



Rozdział 3

Żołnierza nie powinno być w tym miejscu. Podobnie jak całego patrolu, który szedł za nim. Wołkowski klął w duchu, zaciskając zęby. Przewodnik zapewniał, że nie ma możliwości natknąć się tutaj na wojsko. Powodem niechęci do patrolowania akurat tego rejonu miał być okropny smród. Rzeczywiście, podmokły teren wydierał potworny zapach zgnilizny. Tutaj znajdowały się masowe groby. Wojskowe koparki i spychacze swego czasu przez prawie tydzień pracowały dzień i noc. Wadimowi kiedyś pokazano nawet film nakręcony przy takiej okazji. Nie wiedział, czy to było dokładnie to miejsce, ale przecież to bez różnicy. Masowe groby zawsze są takie same. Najpierw kopano wielki dół, potem podjeżdżały ciężarówki, z których czeczeńscy jeńcy wydobywali ciała pobratymców. Dół wypełniał się do połowy. W zasadzie żołnierze powinni dbać, by każdą warstwę trupów zasypać warstwą ziemi i wapnem, ale ludzie, których przełożeni należycie nie pilnują, mają skłonności do partaczenia roboty. Poza tym wapno to też towar, szkoda go marnować na trupy. Wreszcie dół był zasypywany, na miejsce wjeżdżał spychacz, by wyrównać teren. Czeczeńskim jeńcom dziękowano za pracę strzałem w tył głowy. Wołkowski brzydził się takimi metodami. Enkawudziści postępowali podobnie w czasie drugiej wojny światowej z żołnierzami obcych armii i – co gorsza – swoimi także. Prawdziwy przyczynek do przyjaźni międzynarodowej i zaufania do władzy. Tu zdarzyło się coś podobnego. Masa rozkładających się ciał sprawiła, iż ziemia dookoła nasiąkała trupim odorem, przeszła nim cała okolica.

Przypadli w kępie wybujałych krzaków. Wadimowi przeleciało przez głowę, że takie strzeliste badyle mogą wyrosnąć tylko na podłożu bogatym w substancje mineralne. Człowiek to nawóz historii, tak przynajmniej utrzymywali liczni luminarze socjalistycznej doktryny. Okrutne, ale poniekąd bardzo prawdziwe. Nawy państw mogą sprawnie żeglować

jedynie po morzach trupów. Gdyby nie pomordowano tylu bojowników, gdyby nie wyrwano rodzinom młodych chłopców niczym zbędnych chwastów, Rosja miałaby ich wciąż przeciwko sobie. Z fanatykami nie można się dogadać. Można ich jedynie pokonać, wdeptać w ziemię albo odpuścić i czekać aż podniosą głowy, zechcą dokonać ekspansji na tereny wroga. Jedno ustępstwo zaraz pociąga następne. Muzułmańscy bojownicy nie szanują tych, którzy okazują słabość. Dlatego trzeba ich traktować bardzo okrutnie, aby zapracować na przynajmniej cień respektu. Wołkowski nigdy przedtem nie był w Czeczenii, ale nieraz zetknął się z islamskimi terrorystami, kiedy służył na pograniczu afgańskim. Talibowie nie uznawali żadnych zasad w stosunku do niewiernych. Major widział straszliwie okaleczone szczątki żołnierzy, torturowanych w najwymyślniejszy sposób. Kilka razy dowództwo sił NATO zwróciło się do Rosjan o pomoc w ściganiu terrorystów, którzy chronili się na ich terenie. Oczywiście nieformalnie. Równie nieformalnie wojsko rosyjskie przychyliło się do próśb, chyba że akurat pogorszeniu ulegały stosunki Moskwy z Waszyngtonem. Pogarda, jaką Wadim widział w oczach schwytych talibów mogła zarazem rozżłościć i przerazić. Wtedy Wołkowski nauczył się, że każdego muzułmańskiego jeńca trzeba najpierw pobić i upokorzyć. Tych samych metod używano wobec Czeczenów, choć tutaj sytuacja była bardziej skomplikowana, bowiem ludzie z Kaukazu walczyli nie tyle przeciwko chrześcijańskiemu najeźdźcy z przyczyn religijnych, co prowadzili wojnę z okupantem. Wojnę narodowowyzwoleńczą, zaś hasła dżihadu pojawiały się niejako przy okazji. Działania separatystów były ostro oddzielone od zamachów terrorystycznych. Przynajmniej na początku tak właśnie było, bo potem wszystko uległo rozmyciu, roztopieniu w interesach z narkotykami, handlem bronią i ludźmi. Nie było już jasnego podziału na powstańców i zwyczajnych bandytów. Wymieszali się i zmętnieli ideologicznie, podobnie jak zmętnieniu uległy międzynarodowe kompetencje wielkich mocarstw, jeśli chodzi o metody walki z terroryzmem, a przede wszystkim definicję terroryzmu.

Rozmyślenia przerwało Wołkowskiemu szturchnięcie. Zorka wskazał stojącego nieruchomo żołnierza, który najwyraźniej usłyszał jakiś nieostrożny ruch, a może po prostu wyczuł, że coś jest nie tak. Zorka przeciągnął palcem po szyi. Major nasłuchiwał chwilę. Patrol było słycać gdzieś z tyłu o kilkadziesiąt metrów. W ciemności doświadczony komandos powinien ściągnąć człowieka bez zwracania uwagi.

– To Rosjanin – szepnął z drugiej strony Wiktoренко.

– To na pewno Czeczeniec – powiedział Zorka usłyszawszy słowa Zachariasza. – Czeczeński tropiciel. Dla miejscowych renegat.

Wadim skinął głową, klepnął podwładnego w ramię. Zorka zniknął niczym duch. Czekali w napięciu, obserwując uważnie przedpole. Nie powinni nawet wiedzieć, kiedy strażnik zostanie unieszkodliwiony. Tamten jednak okazał się nadspodziewanie czujny. Rozległ się odgłos szarpaniny, stłumiony krzyk, zduszony natychmiast pchnięciem noża prosto w gardło. Od strony patrolu padły strzały na oślep. Oficer FSB poderwał karabin, ale Wadim przycisnął lufę do ziemi.

– Spokojnie. Przecież nie wiedzą, gdzie jesteśmy. Rozejrzał się za przewodnikiem. Nie było go już w miejscu, gdzie leżał przed kilkunastoma sekundami. W mdłym świetle wąskiego sierpa księżyca mignęła ciemna postać.

– Do tyłu – syknął. – Wycofujemy się. Osetyniec nas wystawił!

– A Zorka?

– Musi sobie jakoś poradzić.

Z przodu dobiegł tupot nóg, pojawiły się ogniki strzałów. W niebo wleciała rakietka oświetlająca. Flara powoli opadała na spadochronie, wydobywając z ciemności ostre kontury przedmiotów.

– Przydusić ich ogniem! – krzyknął Wołkowski. Zamietli przed sobą z karabinów. Zdyszany Zorka pojawił się obok dowódcy.

– Nie dałem rady. To był chyba jakiś większy geroj, lepszy od specnazu i desantowców.

W tej chwili usłyszeli za sobą głosy komend i strzały.

– Obława – warknął Wadim. Pociągnął za rękę Zachariasza. – Tyle są warte wasze sławetne metody wywiadowcze i kontakty na całym świecie. Takich macie zaufanych agentów.



Pułkownik Oleg Siergiejewicz Mirko z nieprzyjemnym grymasem na twarzy przyglądał się rozmówcy. Kapitan Wiktor Malinin nie zwracał uwagi na jawnie okazywaną mu niechęć.

– Niech pan pamięta, panie pułkowniku – powiedział z kpiącym uśmiechem. – Że priorytetem zawsze były, są i będą działania mojej agendy.

– Korzystacie z tego priorytetu bardzo chętnie i bardzo często. Nie wiem tylko, na ile wasze działania są zgodne z interesem państwa.

– O interes Rosji niech pana głowa nie boli – odparł Malinin, poważniejąc. – Od zamartwiania się takimi sprawami mamy rząd i wywiad właśnie. Sam prezydent dał nam najszersze uprawnienia.

– A czy prezydent wie, jaki robicie z nich użytek?

– O co właściwie panu chodzi? Nie ma pan do mnie zaufania?

Oleg roześmiał się głośno.

– A jakie mogę mieć zaufanie do faceta, który handluje ludzkimi narządami? W dodatku, o ile wiem, panu i pańskim ludziom jest wszystko jedno czy wybebeszycie jeńca, bezbronną kobietę, dziecko, czy nawet rosyjskiego żołnierza.

Twarz Wiktora Malinina ściągnęła się, wyglądała w tej chwili jak nieruchoma maska z japońskiego teatru.

– Skąd bierze pan takie informacje, pułkowniku? (Mirko poderwał się, chwycił wywiadowcę za gardło.

– Myślisz, że desant składa się jedynie z tępych osiłeków? Uważasz, że nie uczą nas myśleć? Albo zaniedbują szkolenia w pracy wywiadowczej?

Wiem o twoich sprawkach więcej niż twoi przełożeni. Zbyt długo siedzę w Czeczenii, żeby nie docierały do mnie pewne informacje.

Kapitan zmrużył oczy. Przypominał żmiję, gotową do ataku.

– Takie rzeczy możesz wiedzieć tylko od Czeczeńców. A to znaczy, że jesteś zdrajcą, skoro masz z nimi tego typu kontakty.

Pułkownik roześmiał się, puścił oficera wywiadu, odepchnął go tak mocno, że tamten klapnął na fotel.

– Pieprzysz, szpiegu. Doskonale wiesz, jak tu jest. Część dawnych rebeliantów idzie teraz z nami ramię w ramię, służą w milicji i miejscowych siłach militarnych. Wiesz, ile razy miałem z nimi do czynienia? To wspaniali żołnierze. Są wśród nich także tacy, którzy robili z tobą interesy jeszcze za czasów Dudajewa. Mam paru z oddziałów Kadyrowa, takich, co służyli pod nim, kiedy był dowódcą polowym Iczkerii i pozostali mu wierni, gdy poszedł na współpracę z Rosją. Nazwisko Malinin jest wśród nich bardzo znane. Mówią o tobie bardzo chętnie, choć niekoniecznie dodając takie określenia jak „uczciwy, szlachetny, honorowy”.

– To bez znaczenia – odparł zimno kapitan. – Ma pan wykonywać rozkazy.

– Posłuchaj, skurwysynu – Mirko mówił spokojnym, niemal uprzejmie brzmiącym tonem. – Możesz ode mnie żądać pomocy w działaniach operacyjnych, ochrony akcji, nawet jeśli nie mam pojęcia, po jaką cholere się ją przeprowadza. Możesz nawet prosić o udział w zbiorowym samobójstwie na polu walki. Ale nielegalnym handlem zajmuj się na własną odpowiedzialność ze swoimi kumplami. Ja do tego ręki nie przyłożę. Powiedzieć ci, ilu moich żołnierzy jest uzależnionych od prochów? Karmią ich nimi Czeczeńcy. Herę i opium można kupić w każdym kiblu. A ty chcesz, żebym tutaj przyjął ludzi, którzy im to ułatwiają? Możesz się z nimi spotkać w swojej bazie. Macie przecież najlepsze warunki.

Malinin leniwym ruchem sięgnął do kabury.

– Możesz mnie nawet zastrzelić – prychnął pułkownik. – Ale nie wiem, jak wtedy wyjdiesz z koszar. Żołnierze mogą się zrobić cholernie

nerwowi.

– Nie gadaj bzdur – mruknął Malinin. – Uprzedzano mnie, że uparty z ciebie sukinsyn, ale żeby odmówić wykonania rozkazu...

– Możesz mnie mieć za naiwnego głupka, jednak życie jest za krótkie, żeby się babrać w byle gównie.

– Zależy mi na twojej bazie – powiedział kapitan. – Ta sprawa jest zbyt poważna, żebym ryzykował, iż ktoś coś wywęszy. W jednym się z tobą zgadzam. W GRU zbyt dużo jest ludzi służących więcej niż jednemu panu – Wyjął z kabury jakiś niewielki przedmiot, rzucił na biurko. – Wiesz, co to jest? Poznajesz?

Mirko ujął ostrożnie w palce zaśnieżony medalion.

– Poznajesz? – powtórzył Wiktor.

– Niech mnie szlag. Znak Klanu Wilka. Myślałem, że zdołaliśmy ich zlikwidować w dwa tysiące trzecim. Sam brałem udział w akcji. Jeśli tę rzeź można w ogóle nazwać akcją. Wyrznięliśmy wtedy chyba wszystkich do nogi.

– W tym kraju wilki są chyba nieśmiertelne – rzekł w zamyśleniu oficer wywiadu. – Dobrze, że nasz orzeł ma dwie głowy. Dzięki temu jest w stanie wcześniej dostrzec zagrożenie.

– A tak bez barwnych metafor, o co chodzi?

– Pojawili się ludzie, którzy chcą pod tym znakiem odnowić ideę Klanu Wilka. Pamiętasz, czym się zajmowali jego członkowie?

Pułkownik wciągnął ze świstem powietrze.

– Chcą to pociągnąć dalej?

– Nie możemy tego wykluczyć. Wprawdzie zostali wtedy wyklęci nawet przez swoich i skazani na zapomnienie. Przecież nie kto inny jak sami rebelianci wskazali nam ich bazę, przestraszeni konsekwencjami ich ewentualnych wyczynów. Nie podawaliśmy nawet do publicznej wiadomości informacji o istnieniu takiej grupy, żeby nie wywoływać paniki. Taka zresztą była umowa z czeczeńskimi komendantami. Im też nie pasowało publicznie przyznawać się, że ktoś u nich wpadł na pomysł powołania tak ekstremistycznego ugrupowania. Tylko Bush został

powiadomiony osobiście przez Putina, żeby nie robił dymu o krwawą akcję, aby CIA zablokowała wszelkie informacje na ten temat. Ale teraz, kiedy Al-Kaida zyskuje tu coraz większe wpływy, musimy się liczyć z każdą możliwością. Podobno do Klanu Wilka przystąpił samozwańczy prezydent Iczkerii Achmad Nikułajew.

Oleg milczał dłuższą chwilę, trawiąc wiadomość.

– A ci ludzie, którzy mają tu przybyć? Mają z tym coś wspólnego.

– Mam im pomóc namierzyć dwóch zbiegów, dawnych członków Klanu Wilka. Ujęliśmy ich podczas wydarzeń na Dubrowce. Zgodzili się na współpracę, dostali nową tożsamość, ale wiesz jak jest z Czeczeńcami.

– Daliście dupy – zaśmiał się krótko Oleg.

– Nie my, tylko FSB. Gdyby to ode mnie zależało, tamci dwaj skończyliby w parku sztywnych, jak i pozostali terroryści..

– Bez połowy cennych organów wewnętrznych – uzupełnił gładko Mirko. – Na wszystkim można i warto zarobić, prawda?

Kapitan wyjął z kieszeni złożony na cztery papier, podał pułkownikowi. Oleg rozwinął kartkę, przeleciał ją szybko wzrokiem. Malinin w tym czasie patrzył w ciemne okno.

– Noc sprzyja śmierci – powiedział cicho. – Ludzie z reguły odchodzą właśnie o tej porze.

– Możliwe – rzekł niecierpliwie pułkownik. – Nie wiem, po co to mówisz. Podobnie, jak nie rozumiem, dlaczego wyjawiałeś mi te wszystkie informacje, przekonywałeś mnie, zamiast po prostu przekazać rozkaz od dowódcy.

Wiktor spojrział rozmówcy prosto w oczy.

– Są myśliwi, którzy podchodzą zwierzyńię, traktując to jak szlachetne rzemiosło, ale są też tacy, których śmiało nazwać można artystami. Znałem pewnego zapalonego strzelca. Był naprawdę dobry i naprawdę okrutny. Lubił obserwować konające zwierzę. Strzelał zawsze tak, żeby nie zabić od razu. Potem tropił uciekiniera. Kiedy znalazł zgonionego, opadłego z sił jelenia, siadał niedaleko. Wiesz, co znaczy dla dzikiego zwierzęcia patrzeć w ostatniej chwili życia na prześladowcę? Takie stworzenie przeżywa

strach po prostu nie do opisania. Ponoć właśnie to potrafi utrzymać je dłużej przy życiu, przedłużyć jeszcze cierpienie.

– Bardzo ciekawe – rzekł z niesmakiem pułkownik. – Jednak wolałbym usłyszeć odpowiedź na swoje pytanie.

– Już wyjaśniam. Praca w wywiadzie bardzo przypomina polowanie. Bez ustanku tropimy i staramy się ustrzelić zwierzynę. Wśród nas także są myśliwi o różnych upodobaniach. Ja lubię się podrażnić, doprowadzić obiekt do białej gorączki, żeby potem go uspokoić, zanim zadam ostateczny cios. Lubię też wyjawiać badanemu tajne informacje, bo to z jednej strony wzbudza zaufanie, a z drugiej powoduje niepokój. Zastanawiasz się, dlaczego opowiedziałem o reaktywacji Klanu Wilka, chociaż nie musiałem. Otóż dlatego, że moje polowanie właśnie dobiega końca. Chciałem też dać ci szansę. Wybadałem, co wiesz, czy mogę liczyć na twoją bezwarunkową lojalność. Uważam, że nie mogę, więc...

Oleg z zaskoczeniem spojrział na pękaty ryj tłumika, który Malinin wyjął z kieszeni. Drugą ręką wywiadowca błyskawicznie sięgnął do tyłu. Pistolet nosił nie w kaburze pod pachą, lecz w uprzęży na plecach, nieco powyżej krzyża. Było to z pewnością niezbyt wygodne, ale na pewno stanowiło element zaskoczenia nawet dla doświadczonego przeciwnika. Zanim pułkownik zdążył zareagować, tłumik z cichym szcękaniem zaskoczył na lufie. Nie był to solidny, nakręcany model. Urządzenie zatrzaskowe, bardzo zawodne jeśli trzeba było oddać więcej strzałów, do jednorazowej egzekucji nadawało się doskonale. Zostało opracowane w laboratoriach wywiadu właśnie w tym celu. Podobnie jak sam pistolet – płaski, nieporęczny, z magazynkiem mieszczącym zaledwie kilka pocisków.

– Za dużo wiesz, a przy tym masz zbyt wiele skrupułów – powiedział z drapieżnym uśmiechem Malinin. – Niniejszym przejmuję dowodzenie twoją jednostką, aż do przybycia bardziej kompetentnego i skłonnego do współpracy następcy.

– Nie prościej było dosypać trucizny do kawy? – Oleg wyjął pogardliwie wargi. Patrzył Wiktorowi prosto w oczy. – Albo ukradkiem

strzelić, z którejś z tych waszych zabawek na strzałki? Po co tak spektakularnie?

– Lubię załatwiać sprawy do końca osobiście i bez wątpliwości, że coś może pójść nie tak.

– Po prostu lubisz patrzeć na śmierć. Czemu nie powiesz wprost?

Kapitan nie odpowiedział. Nacisnął spust. Pułkownik przyjął kulę obojętnie, zupełnie rozluźniony. Zawsze powtarzał, że żołnierz desantu powinien być gotów w każdej chwili powitać śmierć niczym długo oczekiwaną, wytęsknioną kochankę. Nigdy nie wiadomo, kiedy przyjdzie i z której strony pojawi się jej łagodne, zatroskane oblicze.

– Ze specjalnymi pozdrowieniami od Łomy Piętrowa – powiedział Malinin z paskudnym uśmiechem do umierającego. – To się nazywa upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Trzeba było nie psuć nam interesów. Nie wiedziałeś, z kim zadzierasza. Życie to nie knajpa. Nigdy nie wiadomo, kto i kiedy przyniesie rachunek. I patrz – dzisiaj mogłem cię rozwalić w majestacie prawa.

Dokończył zdanie, choć wiedział, że mówi już do trupa.



– Dziadek był Gruzinem pełną gębą – szeptał, a właściwie mruczał półgłosem Dymitr. – Służył w kawalerii, szabłą podobno robił równie sprawnie, jak dawni bohaterowie. Umiał siekać i ciężką kawaleryjską, i szaszka, i lekką pojedynkową. To był jeden z tych oficerów, których Stalin tak bardzo się bał, że kazał go ściągnąć do sztabu w Moskwie, żeby mieć na oku. Dziad jakoś uniknął czystki z trzydziestego siódmego. A w czasie Wojny Ojczyźnianej okazało się, że taki dowódca to prawdziwy skarb, tym bardziej, że w armii brakowało doświadczonych dowódców.

Zamyślił się, zapatrzył w zakopcone belki powały. Halima delikatnie zebrała wilgotną gąbką zgromadzonego na czole i policzkach wysięk z poparzonej skóry. Na początku pielęgnowała chorego powodowana jedynie

litością, musiała przemóc mdłości, kiedy zmieniała opatrunki. Jednak od chwili, gdy zaczęli rozmawiać, było jej o wiele łatwiej. Słowa są niczym magiczne stworzenia. Potrafią być lekkie jak motyle albo ciężkie niczym ostrze topora. Mogą kaleczyć duszę, ale umieją także leczyć. Pozwalają dostrzec w drugiej istocie człowieka, wydobyć piękno spod odpychającej maski brzydoty. Im dłużej patrzyła na zniekształcone rysy rannego, tym bardziej docierało do niej, że przed wypadkiem był to niezwykle przystojny młody mężczyzna.

– Mów dalej – szepnęła. Wskazała posłanie pod ścianą, na którym głośno chrapał bojownik w pełnym umundurowaniu, ściskając w rękach kałasznikowa. – Jego na pewno nie obudzi rozmowa. Co innego, gdyby usłyszał coś podejrzanego, chociażby szuranie myszy pod drzwiami.

– Ojciec urodził się już w stolicy, po wojnie – podjął Dimka. – Niby wszystko było dobrze, ale w czterdziestym siódmym roku dziadka areztowali. Dostał piętnaście lat więzienia, zamienionego na zsyłkę. Babka pojechała za nim, zamieszkała w Norylsku. To przeklęta ziemia. W latach trzydziestych miasto zbudowali zesłańcy. Dookoła pełno łagrów. Dopiero po śmierci Stalina nadano wielkiej osadzie prawa miejskie. Dziadka zrehabilitowali, ale do Moskwy nie wrócił. Parę lat po powrocie z obozu zmarł. Babcia wyszła za mąż za enkawudzistę, wyższego oficera. Zachodził do niej jeszcze zanim dziadka wypuścili. Rodzina została więc na Syberii. Ojczym ojca okazał się całkiem porządnym człowiekiem. Nie wiem, czy on nie mógł mieć dzieci, czy babka zadbała, by nie komplikować pierwotnemu życiu, więc mężczyzna przelał miłość na ojca. Chciał go także wykierować na oficera NKWD. Niestety, a może na szczęście, zmarł, zanim ojciec skończył dziesiątą klasę. Nie chciał wbić się w mundur. Poszedł do technikum, potem wojsko. Odsłużył swoje, wrócił i przeniósł się z babką do Uchty. Pracował w rafinerii, dochrapał się stanowiska brygadzysty. Ożenił się z Rosjanką. Babka długo nie potrafiła zaakceptować synowej. Chciała widzieć przy boku jedyne syna tylko czarnobrewą, hożą kaukaską dziewczynę. Jeśli już nie Gruzinkę, to chociaż Inguszkę czy Osetynkę. Pamiętam jeszcze ciche dni w domu. Kobiety chodziły koło

siebie nadąsane, milczące. Ojciec jedynie wzruszał ramionami. Ciężko pracował, nie miał sił ani ochoty godzić zwaśnionych niewiast. Pogodziły się dopiero po jego śmierci w Afganistanie. To już pamiętam doskonale. Płakały, przytulone do siebie, a ja nie bardzo wiedziałem, o co im chodzi. Dopiero po kilku dniach matka powiedziała mi prawdę. Nie mogłem spać przez miesiąc.

– Dobrze wiem, jak to jest stracić bliskich – powiedziała smutnym głosem Halima. – Matka zginęła podczas bombardowania Groźnego. Bracia polegli gdzieś w górach. Jednego schwytali Rosjanie. Wiesz, co mu zrobili? Wycięli mały otwór w pępku, wyjęli jelito i przybili do pnia. A potem pędzili dookoła drzewa, bijąc i kopiąc aż padł i nie mógł się ruszyć. Nie dobili go nawet, pozwolili zdychać jak wściekłemu psu.

Dimka przełknął ślinę.

– Wojna niesie zawsze wielką krzywdę – rzekł po chwili. – Wojna jest niepotrzebna i dlatego tym okrutniejsze ma oblicze. To tak jak z ludźmi. Im który bardziej zbędny dla innych, im mniej może dać bliźnim, tym okazuje się gorszy, skłonny do zbrodni.

– Dlaczego więc poszedłeś na ochotnika do wojska? – spytała z nutą pretensji. – Nie wiedziałeś, że trzeba będzie zabijać i krzywdzić?

Przymknął oczy, przywołując wspomnienia. Po północy gorączka wzrastała, było coraz trudniej myśleć.

– Pojechałem na studia do Moskwy. Najpierw poszedłem na filologię rosyjską, potem wzięłem fakultety na informatyce i filozofii. Ale geny... Urodę odziedziczyłem po ojcu. Na pierwszy rzut oka znać pochodzenie. Wiesz, co to znaczy w Moskwie? Traktują cię jak terrorystę. Przecież Czeczeni przeprowadzają zamachy. A czym się różni z wierzchu Gruzin od Czeczena? Może wy tutaj widzicie jakieś wielkie różnice, ale dla Rosjanina jesteśmy tym samym. Milicja zatrzymuje cię przy każdej okazji, słyszysz za plecami wyzwiska. Moskiewscy skinheadzi pobili mnie kilka razy, nazywali brudnym talibem. Na uniwersytecie nie było lepiej. Znaleźli się tacy, co za wszelką cenę usiłowali podstawić mi nogę. Dlatego w końcu poszedłem na kurs samoobrony. Czuję się coraz gorzej, coraz bardziej

zagrożony i izolowany. Po masakrze w Biesłanie, niektórzy koledzy przestali ze mną rozmawiać. Powiniennem chyba nosić na piersiach zaświadczenie z urzędu, że jestem Rosjaninem gruzińskiego pochodzenia. Wreszcie nie wytrzymałem. Chciałem udowodnić coś sobie i innym. Zgłosiłem się do komisji poborowej. Tam przynajmniej nikt nie zająknął się o moich czarnych włosach i smagłej skórze. Skierowali mnie do jednostki desantowej, bo przecież po treningach w klubie byłem sprawny i wstępnie przygotowany do ciężkiego szkolenia.

Zamilkł, oddychał szybko. Mówienie było nieco łatwiejsze niż kilka dni wcześniej, ale wciąż męczyło. Halima czekała cierpliwie. Położyła na rozgorączkowanym czole mokre płótno. Lampa naftowa paliła się równym płomieniem.

– Po zaprawie w dywizji trafiłem do porządnej jednostki. Szefem batalionu był pułkownik Mirko, wspaniały żołnierz. Niewielu jest wyższych oficerów, którzy osobiście lecą z odsieczą w największy ogień, nie bacząc na niebezpieczeństwo. Za takim idziesz w bój, nie patrzysz, czy zdołasz wrócić.

– I u nas są tacy komendanci – przerwała mu. – Chociażby wuj Rusłan albo Giełajew.

– Słyszałem o Giełajewie. Pułkownik wspominał podczas wieczornic w koszarach dawniejsze czasy. Mówił o tym komendancie, że twardy był i okrutny, ale zachowywał się jak żołnierz, a nie zwyczajny rzeźnik. Inaczej niż Basajew.

– Nie mów złego słowa na Szamila – oburzyła się. – To najlepszy dowódca, jakiego miała Iczkeria.

– Mam na ten temat inne zdanie – odparł. – Ale nie będę się kłócił. Może wiem za mało, a może zbyt wiele.

– Co masz na myśli?

– Jest takie powiedzenie, że punkt widzenia zależy od punktu siedzenia. Z mojej strony wygląda to tak, że Basajew był zwyczajnym terrorystą.

– Powiedz lepiej jakiś wiersz. Nie mam ochoty na sprzeczki.

Dymitr uśmiechnął się, pokonując sztywność mięśni twarzy. Z każdym dniem czuł, jakby stawały się coraz mniej posłuszne jego woli. Halima pocieszała, że tak może przebiegać gojenie. A on dodawał w myślach – jeśli w ogóle ma się co goić...

*W twoich oczach zaczął się mrok,
Podobny tajemnej porze tuż po zachodzie słońca,
Na moich wargach osiadła wieczorna rosa,
Chcę cię objąć ramionami i utulić,
Mrok w twoich oczach to nie jest zło świata,
Lecz najpiękniejszy poblask nocy i gwiazd,
Gdy słyszę niedalekie wycie wilka,
Pragnę się schronić w cieniu źrenic gazeli.*

– To chyba nie znów Wysocki? – spytała. – Przypomina raczej wersy arabskich poetów.

– To mój wiersz – odparł nieco zawstydzony. Gdyby był zdrowy, gdyby skóra wyglądała jak trzeba, na pewno by się w tej chwili zaczerwienił. – Ułożyłem go dziś rano dla ciebie.

Patrzyła na niego miękko ciemnymi, wilgotnymi oczami.

– Powinieneś zostać w Moskwie i pisać wiersze, a nie biegać po górach z karabinem.

– Pewnie masz rację. Jednak teraz nie ma sensu o tym mówić. Mam prośbę.

– Mów śmiało – powiedziała, choć przeszedł ją dreszcz na myśl, że zechce, aby go pocałowała. – Spełnię każdą, jeśli nie będzie zbyt śmiała. Muzułmańskiej dziewczynie nie przystoi...

– Nie bój się – uniósł obandażowaną rękę w obronnym geście. – Chcę tylko, żebyś mi opowiedziała legendę o wilczycy.

Odetchnęła z ulgą.

– Oczywiście, Dimka, ale nie dzisiaj. Jest zbyt późno, pora spać. Bierze cię gorączka.

– Nigdy nie jest za późno na opowieści – jego oczy zaświeciły, jakby zakręciły się w nich łzy. – Nie odchodź jeszcze.

– Muszę iść. Wuj byłby na mnie zły. I tak zbyt długo przy tobie siedzę. Jutro opowiem.

– Zostań jeszcze choć chwilę – poprosił. Oddychał ciężko i szybko. – Samemu tak źle. Nie odchodź, zostań.

– Ale tylko chwilę.

– Tak, tylko chwilkę, mamó. Jeszcze dwie minutki, zaraz wstanę.

Temperatura podniosła się nagle, jak zwykle o tej porze. Halima nie była pewna, czy to od poparzeń, czy ran postrzałowych, czy też może od wszystkiego po trochu.) Każdego wieczoru i każdej nocy Dimka majaczył, mówił do ludzi, którzy zostali gdzieś daleko, albo odeszli już na tamten świat. Czuła się wtedy nieswojo. Trudno znieść towarzystwo człowieka, widzącego osoby, które nie istnieją, a w każdym razie nie ma ich w tym miejscu. To tak jakby zajrzeć w cudzy sen. Zdjęła okład z czoła rannego. Materiał był już gorący. Zanurzyła go w zimnej wodzie, starannie wycisnęła i znów położyła na rozpalonej głowie.



Rozdział 4

Cieężko strzelać do swoich – powiedział Siergiej, patrząc na jaśniejącą kreskę po wschodniej stronie nieba.

– Ciężko, ale czasem trzeba – odparł znużonym głosem Wołkowski. – Nikt nie może wiedzieć o naszej obecności w Czeczenii. Lepiej żeby nas ścigali jako przemytników, niż tłumaczyć się przed diabli wiedzą kim. W ogóle cała ta sprawa coś mi śmierdzi. Tajemnice w tajemnicach, skryte pod jeszcze innymi tajemnicami.

Zostawili za sobą trupy zaskoczonych nadspodziewanie twardym oporem żołnierzy. Na polu walki legł także Zorka. Komandos uratował im życie, ale sam poświęcił swoje. Skryli się w wielkiej jamie, przypadli pod gradem kul. Wtedy nadleciał celnie ciśnięty granat. Padł między nich, sycząc wściekle. Doświadczony żołnierz należycie zaostrzył go przed rzuceniem. Mieli może sekundę czasu, może mniej. Pierwszy zareagował właśnie Minijew. Nakrył granat własnym ciałem. Wadim potarł policzek, na którym zastygły krople krwi towarzysza. Oderwali się od pościgu niedługo potem. W sukurs przyszła kapryśna natura. Żołnierze zrezygnowali, bo w kompletnych ciemnościach i ulewnym deszczu nie sposób było sprawnie poruszać się w zwartym oddziale, a rozdzielać się nie bardzo mogli i chcieli ze względu na bojową sprawność ściganych.

Teraz uciekinierzy odpoczywali ukryci pod skalną półką, przypominającą nieco zadaszenie na przystanku autobusowym. W innych okolicznościach taki widok na pewno wywołałby kilka dowcipnych uwag. Siergiej uważnie oglądał karabin. Podczas biegu wśród skał zawadził lufą o jakiś głaz, obawiał się więc, że ucierpiał mechanizm odprowadzania gazów do zamka. Wiktoренко ocierał usta. Przed chwilą wymiotował. Wołkowski zastanawiał się czy torsje kapitana spowodowały nerwy, czy długotrwały bieg. Agentów FSB uczono raczej sprawnie prowadzić samochód niż ścigać się w maratonach.

– Co teraz? – spytał Siergiej.

– Trzeba iść według mapy – wzruszył ramionami major. Wyjął z plecaka wojskowy bukłak–termos, odkręcił korek, powąchał i kiwnął głową z zadowoleniem. – Nie zepsuła się.

Podał butlę sierżantowi. Ten pociągnął solidny łyk, otarł wargi, oddał naczynie. Wadim szturchnął Wiktořenkę, który niechętnie wziął bukłak, przyłożył do ust i przechylił głowę do tyłu. Chwilę trwał znieruchomiły, a potem powoli podał pękaty termos majorowi. Obaj komandosi z pewnym rozbawieniem obserwowali poczerwieniałe oblicze Zachariasza. Widać było, że ze wszystkich sił próbuje nie kaszleć. Opanował się wreszcie, złapał oddech.

– Czysty spiryt – poinformował go Wadim, po czym przyssał się do pojemnika. – Nie spodziewałeś się?

– A ty byś się spodziewał? – wydyszał Wiktořenko. – Po tym jak powiedziałaś, że się nie zepsuła? Myślałem, że to cola, mocna herbata, albo co najwyżej kawa po kozacku.

– Taki nasz żart – wyjaśnił Wołkowski. – Każdy nowy w oddziale przez to przechodzi.

– Nie jestem nowym w waszym oddziale – sprostował agresywnym tonem oficer FSB.

– Teraz już jesteś. Włazłeś między wrony, krakaj jak i ony. Pochodzisz z Ukrainy, powinieneś znać to przysłowie.

– Nie pochodzę z Ukrainy. Urodziłem się w Leningradzie.

– Ale ojciec zapewne w Kijowie. Nazwisko masz jak w mordę strzelił.

– A może raczej jestem korzeniami z Białorusi, co?

– Nie patrzysz na Białorusina, bracie. Zresztą co to za kraj ta Białoruś? Powinni się zdecydować czy wolą do Rosji, do Polski, czy może właśnie Ukrainy. Cholera wie, po co komu takie państwo. Chyba żeby utrudniało życie wszystkim dookoła, bo tranzyt gazu idzie tamtędy.

– Co masz właściwie przeciw Białorusi?

– Zasadniczo właściwie niewiele. Po prostu nie lubię takich typów jak Łukaszenka. Pieprzony, kieszonkowy Mussolini.

– Dobrze mówisz, dowódco – wtrącił się Siergiej. – Morda żaby, a oczy psychola. Jak się tam tacy będą pieniść, zmuszą nas do braterskiej wizyty na czołgach. I te ich imiona. U nas człowiek ma na imię Aleksander, a tam, jakby na przekór – Alaksander. I tak ze wszystkim. Połowa narodu mówi po polsku, połowa po rosyjsku. A ja i tak podejrzewam, że połowa z tej drugiej połowy bez trudu też zrozumie i coś wyduka jeśli ma do czynienia z Polakami. Jeśli mają spłacić Rosji paręset milionów dolarów długu, zaraz grożą utrudnieniami w tranzycie, chcą podnosić ceny, bo ich niby nie stać. To ma być państwo? U nas byle Nowy Ruski mógłby uiścić taki dług i nie zbankrutować.

Wołkowski nagle zdał sobie sprawę z absurdalności położenia. Znajdowali się na obszarze wrogiego kraju, ze wszystkich stron czyhało niebezpieczeństwo, tak samo ze strony buntowników, jak i swoich, na dobitkę siedzieli w jakimś miejscu, którego położenia nie zdążyli jeszcze dokładnie ustalić. Ale to wszystko nie przeszkadzało, by zacząć gadać o polityce. Gdzieś tam z tyłu został rozpruty granatem trup Zorki, w każdej chwili mogli spodziewać się pościgu, a jednak nie szkoda im było czasu na takie głupoty.

– Skończ już, Sierioża – rzucił ostro. – Ukraina, Białoruś czy inny Kirgistan, nam w tej chwili bez różnicy. Dawaj lepiej GPS. Trzeba zgrać się z mapą i wybrać kierunek marszu. Jeśli nie dotrzemy do umówionego punktu jutro przed południem, możemy spokojnie wracać do domu, a tam na pewno nam wylewnie dziękować nie będą.

– Wielka Rosja – mrucał sierżant, grzebiąc w plecaku. – Najpotężniejszy kraj na świecie. Niedługo połowa klubów piłkarskich będzie należeć do naszych biznesmenów. Wszyscy się boją Rosji, wszyscy jej nienawidzą za to, że jest mocarstwem wbrew wszystkiemu. Ale nie stać nas, żeby grupę specjalną wyposażyć w porządny sprzęt, jaki byle amerykański nastolatek dostaje pod choinkę do zabawy.

– Marudzisz jak stara baba – obruszył się Wiktoренко. – Zamiast się cieszyć, żeśmy w ogóle dostali najlepszy GPS, jaki był w magazynie, tylko narzekasz.

Siergiej podniósł wzrok na kapitana.

– Z całym szacunkiem – odparł ponurym głosem. – Ale na cholere nam najlepszy sprzęt? Lepiej, żeby każdy dostał zwyczajny zestaw naręczny. Tym tutaj można gwoździe wbijać.

– Nie mądruj się – rzucił Wadim. – Nie czas na pyskówki. Dostaliśmy to pudło przynajmniej razem z telefonem satelitarnym.

– Którego wolno użyć tylko w razie najwyższej konieczności – uzupełnił gładko sierżant. – A co to jest najwyższa konieczność nie wie chyba nawet nasz przyjaciel kagiebista.

Zachariasz poderwał się z przekleństwem na ustach.

– Kogo nazywasz kagiebista, gnojku? Jestem oficerem Federalnej Służby Bezpieczeństwa! Nie mam i nie miałem nigdy nic wspólnego z KGB!

– Wszyscy jesteście jednakowi – zaczął Siergiej, ale przerwał mu ostry głos dowódcy.

– Sierżancie Iwanow, baczność!

Sierioża poderwał się natychmiast, wyprężył jak struna. W jego oczach błyszczał gniew.

– Sierżancie Iwanow, zapominacie się – ciągnął podniesionym głosem Wadim. – Mamy do wykonania niezmiernie ważne zadanie. Jeśli nam się nie uda, zagrożone może być bezpieczeństwo państwa. Los waszych krewnych i niechęć do pewnych służb nie może mieć destrukcyjnego wpływu na akcję. Zrozumiano?

– Tak jest! – Siergiej zwarł pięty. W galowym mundurze strzeliłby głośno obcasami. Miękkie polowe obuwie wydało tylko cichy stuk.

– W takim razie – zakończył o wiele łagodniej major. – Spieprzaj na tamtą stronę góry ustalić pozycję i wyznaczyć marszrutę.

– Powinieneś rozkazać mnie przeprosić – odezwał się z wyrzutem Wiktoренко, kiedy sierżant zniknął za załomem skały. – To niedopuszczalne, żeby...

– Naprawdę zależy ci na nieszczerych przeprosinach? On nie żałuje ani jednego wypowiedzianego słowa. Starszego brata jego ojca śledczy KGB

zakatowali podczas przesłuchań. Wiesz za co? Za samo podejrzenie, że znał przelotnie jakiegoś ich agenta, który uciekł do Anglików. A potem wzięli się za żonę tego człowieka i niektórych członków dalszej rodziny w tym jego starego.

– Tamte czasy już minęły – mruknął Wiktoренко.

– Może, ale czy do końca? Za co biznesmen Mikulin dostał wyrok dożywocia?

– Za malwersacje.

– Za sprzeciwianie się Putinowi. System zawsze będzie niszczył niepokornych. Każdy system, nie tylko nasz. Ale u nas robi się to wyjątkowo brutalnie. Sierioży się nie dziw. Jako dziecko patrzył na konającego ojca, bo bezpieczeniacy odesłali go do domu, widząc, że nie pożyje. Pozbawili go nadziei, złamali i upokorzyli tak, jak tylko jeden człowiek potrafi złamać i upokorzyć drugiego. To też była część terroru, uświadomienie wszystkim dookoła kolejny raz: patrzcie, ludzie, co dzieje się z takimi, którzy sprzeciwiają się władzy. A nawet z takimi, których tylko mętnie podejrzewamy o taką możliwość.

– To nie usprawiedliwia twojego sierżanta.

– Posłuchaj, panie kapitanie wywiadu – syknął Wołkowski. – Iwanow stracił dzisiejszej nocy przyjaciela. Z Zorką byli w „Alfie” od pierwszego dnia służby. Wiesz, co to znaczy stracić najbliższego kumpla? Oplakuje go tak, jak umie. A że nie potrafi uronić łez, gryzie cały świat. Na jego miejscu, co byś zrobił?

– Jednak...

– Odpuść lepiej, dobrze radzę. Będzie ci bardzo głupio jeśli Sierioża uratuje w pewnym momencie twój oficerski tyłek tak, jak to zrobił Minijew. A teraz zbierajmy się.



Ruslan czytał rosyjską gazetę. Marszczył brwi, zaznaczał ołówkiem niektóre miejsca, co chwila spoglądał na płachtę papieru pokrytą drobnym pismem. Błat stołu, pokryty okruskami chleba, porysowany nożem, nie ułatwiał zadania.

– Niech to – mruknął wściekle. – Lepiej żeby się ta dziewczyna zajęła sprzątnięciem, a nie ciągle siedzi przy tym Rusku.

– Rusku czy Gruzynie? Zdecyduj się – powiedział leniwie Paweł. Pótleżał na krześle z wysokim oparciem, nogi wyciągnął, oparł o stół samymi obcasami.

– Ruskim Gruzynie, może być?

– Strasznie się na niego uwziąłeś. A to normalny chłopak, jakich pełno w Rosji i każdym innym kraju.

Kadajew zacisnął wargi w wąską kreskę, porzucił zaznaczanie liter w gazecie.

– Każdym innym kraju, mówisz? Spójrz na Czeczenię. Tutaj nie ma normalnego życia. Tutaj każdy mężczyzna powyżej piętnastego roku życia jest dla okupantów podejrzany o kontakty z powstańcami. Tutaj nawet młodszych chłopców rozstrzeliwuje się na wszelki wypadek.

– Bardzo się denerwujesz – stwierdził Polak. – Ostatnio coraz łatwiej wyprowadzić cię z równowagi. Martwisz się, że Hiram jeszcze nie wrócił?

– Powinien być dwa dni temu.

– Wiesz, jak jest. Może musieli nadłożyć drogi? Mieli nie wdawać się w walkę z patrolami. Czasem trzeba się przyczaić nawet na parę dni.

– Pewnie masz rację – westchnął Ruslan. – Ale on jest ostatnim z synów mojej siostry. Najmłodszy, najbardziej wypieszczony. Jego matka nie darowałaby mi, że posłałem oko jej duszy na śmierć.

– A odkąd to prawy muzułmanin liczy się ze zdaniem kobiety? – spytał z lekką, dobroduszną drwiną Mech.

– Baby są dopustem zesłanym prawowiernym przez Allaha – odparł Kadajew, krzywiąc wargi w grymasie przypominającym ni to uśmiech, ni szyderstwo. – Pan doświadcza mężczyznę i wystawia go na próbę każdego dnia małżeństwa. A jednak jest coś w tych istotach, co sprawia, że serce

człowiekowi mięknie. Nawet nie wiesz, ile razy szorstkością i przyganami ukrywałem przed niewiastą własną słabość. Gorzej, że mam pewność, iż ona to doskonale wie. Potrafi wyczekać, przeczekać, a potem nagle mówi coś, co każe mi się zastanowić, potrafi wymóc na twardym wojowniku wielkie ustępstwa. Zresztą Koran zaleca, aby mężczyzna słuchał rad żony w codziennym życiu.

– Koran – rzekł w zamyśleniu Paweł – zrównał kobietę z mężczyzną o wiele wcześniej niż kościoły chrześcijańskie. A jednak cały czas traktujecie je jak coś gorszego. To tak, jakbyście się cofnęli kilka epok...

– Nigdy tego nie mów głośno – syknął komendant, patrząc na drzwi. – Mamy tutaj wielkiego kadiego. Dla niego takie słowa to gorzej niż zdrada.

– Święty mąż z bardzo mało świętymi metodami – prychnął Paweł. – Dla niego zabić człowieka to jak splunąć, widziałem na własne oczy. Nie musisz mi mówić, jaki jest i co myśli. W końcu sam go tutaj przywiozłem. Ten, jak go nazywacie, Sajf ad-Daula, w Afganistanie nosił imię Abdul ibn Simajew. Rozumiesz? Abdul ibn Simajew! – powtórzył z naciskiem. – To półkrwi Rosjanin. Nie przeszkadza ci to?

– Jego matkę uwiódł podstępem rosyjski gnojek, kiedy studiowała w Moskwie. Sprzeciwiła się woli rodziców, uciekła z domu do Związku Sowieckiego, żeby zerwać rodowe więzi, zostać kobietą europejską. Tak się kończą wasze zachodnie wymysły o wolności dla niewiast. Gdyby przestrzegą szariatu, nigdy by się to nie stało.

Paweł chciał jeszcze coś odpowiedzieć, ale za drzwiami wszczął się ruch.

– Komendancie – bojownik pełniący straż na zewnątrz wszedł do środka – Może pan wyjść?

Kadajew podniósł się ciężko. Zwinął starannie gazetę, zwinął w rulon płachtę papieru, włożył je do szuflady, przekręcił klucz i schował go do kieszeni na piersi.

– Co jest takie pilne? – spytał niechętnie.

– Hiram, wasz siostrzeniec – w głosie żołnierza było coś, co kazało Kadajewowi wyskoczyć na dwór w ułamku sekundy.

– Allah! – dobiegł po chwili krzyk. – Synku! Boże, czemuś to uczynił jego matce?

Paweł zerwał się natychmiast, wybiegł z chałupy. Rusłan klęczał przy ciele, złożonym na wojskowym płaszczu. Trup miał zmasakrowaną, opuchniętą twarz. Półotwarte oczy błyszczały mętnie, niepodwiązana w porę przed zastygnięciem mięśni szczęka opadła, ukazując poczerniały, wzdęty język i zęby, z których przynajmniej połowa została wybita.

– Prosił, żeby zaczekał – mówił brudny, uznojony żołnierz, stojący obok ciała. – Poszedł z Małpą znaleźć jakieś nowe przejście, bo stare zaminowali. Potem Małpa wrócił po nas, a Hiram się przyczał pod posterunkiem. Ja miałem ruszyć pierwszy, rozpoznać teren, ale twój syn postanowił, że przejdzie pierwszy, nie będzie się zasłaniał innymi...

Rusłan podniósł na mówiącego suche, zaczerwienione oczy.

– Mów – poprosił ochrypłym głosem. – Mów wszystko!

– Nie szło go przekonać. Uparty jest... To znaczy był... Chyba nawet bardziej niż ty, komendancie. Trzeba mu było nie powierzać dowództwa albo zakazać podejmowania ryzyka. Twój rozkaz może by wykonał, naszej prośby nie chciał nawet wysłuchać. Złapali go, a nas przycisnęli ogniem. Spodziewali się, że tam będziemy. Zostaliśmy zdradzeni.

Rusłan zacisnął dłonie w pięści; na szyi wyskoczyły mu bicze żył.

– Mów dalej!

– Mieli dwa transportery opancerzone, a my z gołymi rękami, tylko karabiny. Zabrali go do garnizonu.

– Trzeba było prosić o pomoc Gulde! Tam przecież on rządzi, miał wam dać wsparcie w razie kłopotów... – Kadajew mówił coraz wolniej. – To Gulda wystawił was Ruskim?

– Wszystko na to wskazuje. Bo ledwie podeszliśmy do jego meliny, powitali nas strzałami. Wróciliśmy więc pod garnizon. Mieliśmy nadzieję, że coś się uda zrobić. Ale tam zasieki, druty kolczaste i nawet pole minowe. Nijak ugryźć bez cięższego sprzętu i moździerzy. Czekaliśmy jednak. Słysząc było jak krzyczał – bojownik przełknął głośno ślinę. – Strasznie. Wył niczym zwierzę... – przerwał, widząc straszliwy wzrok komendanta.

– Mów! – ryknął Rusłan. – Mów do końca! Niech wszyscy się dowiedzą, jak było!

– Dwa dni to trwało. Dookoła chodziły patrole, siedzieliśmy niby na mrowisku. Mieliśmy już wracać, kiedy Ruscy wyrzucili ciało Hirma za bramę. Leżał tam parę godzin. Chcieliśmy poczekać do nocy, podkraść się i go zabrać. Ale potem wyszło pięciu, wsadzili go na łazika, zawieźli do lasu i rzucili byle gdzie. Tośmy im zrobili po cichu tak – mówiący przeciągnął palcem po gardle. – Zabraliśmy wóz i ciało.

– Ścigali was?

– Próbowali. Ale byle żołdat nie doścignie Czeczena w górach.

Rusłan badał uważnie ciało syna. Uniósł siną rękę o oberżniętych do połowy palcach, długo patrzył na plamę zaschniętej krwi w okolicach krocza, na zdeformowane kości nagich stóp.

– Patrz – powiedział do Polaka, rozrywając bluzę na piersiach trupa.

Mech skrzywił się na widok pociętej skóry.

– Skurwysyny – powiedział z pasją Kadajew. – Nie dość, że zakatowali, to jeszcze wycięli wątrobę, serce i nerki! I tyle jeśli chodzi o normalnych młodych ludzi – dodał zimno, wstając. – Teraz pójdę i tego twojego normalnego, ruskiego Gruzina nauczę, co znaczy wpaść w ręce komendanta Kadajewa.

Paweł patrzył na szerokie plecy Czeczena, który wyjął bagnet, zaczął go wycierać o rękaw bluzy.

– Jego chcesz ukarać? – rzucił. – Kto jest winien, on czy ci, co zabili twojego chłopaka? Kto zawinił bardziej, on czy Gulda, który nas zdradził?

Rusłan przystanął na chwilę, ale zaraz ruszył dalej, otworzył drzwi do chaty, w której leżał ranny. Po chwili dobiegł stamtąd rozpaczliwy krzyk Halimy. Polak przymknął oczy, odwrócił się z powrotem do trupa Hirma. Ci, którzy go przynieśli siedzieli na ziemi, zbyt wyczerpani, aby poruszyło ich jakiegokolwiek wydarzenie.



Tarkhan pociągnął gęsty, słodki dym z misternie rzeźbionego ustnika. Wciągnął opar do płuc, wstrzymał na chwilę oddech. Czuł, jak narkotyk przenika do krwiobiegu. To lubił najbardziej, wolał tę chwilę od ekstazy upojenia. Obok Dżochar mrużył oczy. Gdyby nie muzyka, zapewne słysząc by było jego mruczenie. Twardy sunnita o żelaznych zasadach miał tę jedną słabość, wyniesioną z koszmaru wojny. Opium dawało od czasu do czasu ukojenie, odrywało od okrutnej rzeczywistości, zsyłało łaskę zapomnienia.

– Dzięki Allanowi za to ziele – powiedział w przestrzeń.

– To nie zioło – poprawił leniwie Tarkhan. – Opium nie robi się z konopii.

– Może i tak, pewnie masz słuszość, Hamsajew. Dla mnie wszystko co rośnie i ma liście to ziele.

Tarkhan poczuł się jak za dawnych czasów. W górach też nieraz siedzieli przy wodnych fajkach, choć nie tak wielkich i ozdobnych, jak w portowej knajpie w Zonguldak, tureckim mieście nad Morzem Czarnym. Wtedy częściej palili po prostu tytoń, bo Dżochar nieczęsto pozwalał sobie na te wielkie odstępstwa od zasad. Za to potrafił wydobyć niezwyklej aromat z najpodlejszego towaru, dodając do niego odpowiednich ziół.

Siedzieli w pokoiku przeznaczonym dla ważnych gości, gdzie nikt nie zakłócał im spokoju. Gospodarzowi tawerny wydano specjalne dyspozycje.

– Powiesz mi w końcu, skąd wytrzasnąłeś tę pancerną terenówkę? – spytał Dżochar. – Przez te wszystkie podróże i przemykania się pod ścianami nawet nie zdążyłem zapytać. Uratowali nas niespodziewanie, zabrali z samego środka piekła, a potem równie nagle wyrzucili w centrum miasta. Kto to był?

Tarkhan spojrzął kątem oka na kompana. Rozprostował ramiona, przeciągnął się i pociągnął z fajki.

– Nikołaja Petrosjana znasz?

– Byłego zastępcę sekretarza stanu Rady Bezpieczeństwa Rosji? Tego od afery z wypłacaniem okupów?

– A ilu znasz Nikołajów Petrosjanów? Tego, tego właśnie.

– Nie żartuj. Skąd niby? Ale... – Dżochar wytrzeszczył oczy. – Chcesz powiedzieć, że to ktoś od niego? Przecież ten gość siedzi w jakimś zasranym łagrze. Podobno obrósł w piórka i stawiał się władzy.

– Siedzi. Ci ludzie byli nie od niego.

– Więc po co zadajesz takie durne pytania?

– Bo ochronę przysłał nam człowiek, przy którym Petrosjan w czasach największej swojej potęgi to zaledwie drobna finansowa płotka.

– Kto to? Nie powiesz?

– Nie musisz wiedzieć nic więcej – Tarkhan odłożył ustnik.

– Zaraz – mruknął Dżochar. Także przerwał palenie. Umysł miał już opłatany mglistą pajęczyną odurzającej substancji, wciąż jednak myślał na tyle trzeźwo, by skojarzyć fakty. – Jeśli to ryba grubsza od najbogatszych Nowych Ruskich i może sobie pozwolić na taki numer jak z nami, to musi być jakoś powiązany z rządem. Może nawet z samym prezydentem. Jak skłoniłeś kogoś takiego do współpracy?

– Tacy ludzie też miewają zobowiązania – uśmiechnął się Tarkhan.

– Wobec ciebie? Pożyczyłeś mu na wódkę?

– Lepiej. Miał u mnie dług życia.

– Uratowałeś go?

– Jego córkę. Ten człowiek prowadzi szerokie interesy. Możesz sobie wyobrazić, że sześćdziesiąt procent inwestycji w wydobywaniu ropy na tamtym terenie należy do niego? Oczywiście nieoficjalnie. Ja tam byłem tylko na jakimś ułamku procenta i żyłem jak król. A jemu porwali córkę. Miejskowa mafia postanowiła, że trzeba wyssać trochę dolarów z takiego bogacza. Zapłacił okup, a jakże. Dla niego dziesięć milionów to jak splunąć. Nawet się nie wdawał w targi i negocjacje. Zawiózł walizki, gdzie kazali. Ale chłopaki postanowili bardziej się obłowić. Zamiast wypuścić dziewczynę, przysłali biznesmenowi obcięty palec. Tym razem chcieli dwudziestu milionów.

– Niektórzy nie znają umiaru – pokręcił głową Dżochar.

– Nie znają – zgodził się jego towarzysz. – Ale ci na dodatek, byli dobrze zorganizowani. Ani ochroniarze tego oligarchy, ani miejscowa

milicja, nie potrafili ich wytropić. Co więcej, kilku gliniarzy zginęło podczas jednej z operacji, kiedy za bardzo się zbliżyli do kryjówek bandytów. A ci przenieśli się zaraz do innej meliny. Przyjechali nawet ludzie z FSB, ale oni też mieli trudności. Sprawa oparła się o bramy Kremla. Wtedy ktoś w moskiewskim kontrwywiadzie przypomniał sobie o moim istnieniu. Kiedy zagrożeni są kumple ministrów, nieważne staje się wszystko inne, nawet to, że przecież miałem być kimś zupełnie innym. Przyszli do mnie, jak to oni mają w zwyczaju – nad ranem i razem z drzwiami. Oczywiście kazałem się skurczybykom w dupę całować, ale wtedy wszedł ten gość. Wtedy jakoś zmiękłem. Miał smutne oczy, ale nie takie smutne, jak niekiedy miewają ludzie o ponurym usposobieniu. Przypominały mi oczy matki, kiedy patrzyła na ciało mojego starszego brata. Zwrócili go jej suchego jak drzewo o podciętych korzeniach, porznętego i wypatroszonego. Właśnie po tym wszystkim poszedłem do partyzantów. Ale to przecież wiesz, opowiadałem tysiąc razy.

Zamyślił się, trwało to dłuższą chwilę. Opium nigdy jakoś nie umiało złagodzić wspomnienia brata i oszalałej z rozpaczki matki.

– Mów, co z tym porwaniem – odezwał się wreszcie Dżochar.

– A, tak – Tarkhan poprawił się, oparł wygodniej na poduszkach. – Zgodziłem się. Rozumiesz, nie potrafiłem mu odmówić. Widać było, że facet naprawdę kocha to dziecko całym sercem. Z tymi miliarderami jest tak, że jak już mają dzieci, rzadko je sami wychowują, zrzucają obowiązek na jakieś niańki, służące, wynajętych nauczycieli. A ten wszędzie, gdzie tylko mógł, zabierał małą, dbał o nią lepiej niż niejedna matka. Popytałem więc tu i tam, uruchomiłem różne znajomości. Wreszcie namierzyłem magazyn, w którym trzymali dziewczynkę. Wziąłem dwóch miejscowych zuchów, byłych desantowców, co mieli na pieńku z tamtymi i wybrałem się w odwiedziny. Dla doświadczonego czeczeńskiego żołnierza to nie była skomplikowana sprawa. Czym jest paru mafiosów w porównaniu z ruskim batalionem szturmowym albo oddziałem specnazu? Żywa noga nie uszła z meliny. Ci dwaj, którzy ze mną byli, zostali niezłe poranieni. Jeden zmarł w szpitalu, drugi skończył na wózku inwalidzkim. Za to dziewczynce nic się

nie stało. Nawet jej nie zdążyli drasnąć. Biznesmen chciał mi płacić w złocie tyle, ile ważę, ale nie wziąłem forsy. Nie potrzebowałem więcej. Może gdybym był kim innym... Ale tacy jak my, nigdy nie mogą być pewni, co przyniesie jutro. Zbyt dużo pieniędzy to kamień u szyi. Powiedziałem więc tylko, żeby zajął się tym Rosjaninem z przestrelonym kręgosłupem i rodziną zmarłego. A u mnie zostanie mu dług życia. Przydało się.

– Przydało – potwierdził Dżochar. – Jutro przerzucają nas do Gruzji, następnie przez granicę Czeczenii. Zażyjmy jeszcze trochę tego – wskazał fajkę. – Potem nie będzie możliwości, ani czasu.

– Dałby ci Nikułajew, gdybyś zaczął ćpać w jego obozie. Nie pamiętasz, co zawsze powtarzał? Narkotyki są dla Rosjan, my powinniśmy być czyści.

– Wiem doskonale. Ale ty też zdajesz sobie sprawę, że niezmiernie rzadko po to sięgam. Człowiek bez grzechu jest jak owca pozbawiona runa. Znasz kogoś, kto przestrzega wszystkich zaleceń Proroka?

– Nie żartuj. Jednak musisz przyznać, że Nikułajew jeszcze bardziej niż Rusłan zawsze dbał, żeby u niego przestrzegać nauk Koranu.

– Co nie przeszkadzało mu knuć z Amerykanami, choć są takim samym wrogiem islamu jak Ruscy.

– Amerykanie zawsze chętnie ugryzą Rosję. A jeśli nie swoimi zębami, tym lepiej. Teraz jednak od dłuższego czasu idą z Putinem ręką w rękę, żeby tylko robić co im się podoba w Iraku.

– Obrzydliwe to wszystko – Dżochar splunął na podłogę. – Ta nasza wojna...

– Nasza wojna – wpadł mu w słowo Tarkhan – to nie jest już to, co parę lat temu. Wszystko stało się brudne, jakieś szare. Bojownicy o wolność poszli na współpracę z wrogiem, jak chociażby Kadyrow. Był Wielkim Muftim Czeczenii, a wystarczyło, by mu rosyjscy agenci pokazali w jednej ręce pięść, a w drugiej worek złota, żeby przeszedł na ich stronę. Pamiętasz? Kiedyś bojownicy nie handlowali z Rosjanami niczym innym jak bronią. Potem zaczęliśmy im sprzedawać heroinę. Teraz niektórzy komendanci prowadzą interesy związane z ropą naftową i niewolnikami.

Dawniej kupowaliśmy żołnierzy od dowódców rosyjskich, żeby z nich zrobić pastuchów. Sam miałem kilku takich wysoko w górach. Odpracowali swoje, a potem mogłem ich sprzedać rodzinom. Allah nam sprzyjał. Ale odwrócił wreszcie swoją twarz, strącił Iczkerię na dno. Przecież chyba już nikt na świecie nie pamięta, że Czeczeni chcą przede wszystkim wolności. Amerykanie z Rosjanami potrafili tak tym zamotać, że wyszliśmy na zwyczajnych terrorystów, jak ludzie ben Ladena.

– Strasznie się zrobiłeś gadatliwy na tej Syberii – zauważył cierpko Dżochar.

– Siedziałem z różnymi typami do późna w nocy, piliśmy, jedli i gadali.

– To picie – na ustach Grumana zagościł krzywy uśmiezek. – Dużo mówisz o Koranie, a nie przestrzegasz nawet tego zakazu.

– Pamiętaj, że muzułmanin w podróży może spożywać alkohol i nawet jeść wieprzowinę. A ja na tej Syberii byłem jak w podróży właśnie. Teraz też przecież nie prowadzimy osiadłego trybu życia.

– Zawsze można wymyślić wytłumaczenie. Dla wszystkiego.

– Zawsze – przytaknął Hamsajew. – I dla wszystkiego. Po to Bóg dał rozum człowiekowi, żeby go używał z pożytkiem dla siebie. A Rosjanie mawiają, że po to też mu dał wątrobę.

Zamilkli, zajęli się ustnikami fajki.



Rozdział 5

Witam wielmożnych panów w moich skromnych progach – uśmiech na twarzy oficera wywiadu był równie szeroki, co nieszczerzy.

Patrząc na tę twarz, którą od razu określił jako ulizaną, Wadim pomyślał, że kapitan Wiktor Malinin jest najbardziej rasowym przedstawicielem służb wywiadowczych, jakiego w życiu widział. Wyglądał tak, jak stanowi przepis na szpiega – niepozorny, nierzucający się w oczy, o nijakich, aczkolwiek na pierwszy rzut oka wzbudzających sympatię rysach. Jeśli ktoś taki wejdzie w obce sobie towarzystwo, w krótkim czasie przestaje być zauważany przez jego członków. Łatwo przy kimś podobnym powiedzieć rzeczy, których przychodzi potem żałować. Piekielnie inteligentny i bezwzględny, pozbawiony jakichkolwiek skrupułów. Tacy ludzie z reguły nie zakładają rodziny, bo nie potrafią obdarzyć miłością nikogo poza nimi samymi. Pozory pryskają dopiero, kiedy spojrzy się w oczy agenta. To prawda, co mówi powiedzenie, iż są one zwierciadłem duszy. W końcu to jedyne miejsce, gdzie można zobaczyć bezpośrednio mózg, nawet jeśli są to tylko nerwy wzrokowe, będące jego wypustkami.

Malinin na pewno był kiedyś wrażliwym młodym człowiekiem, który jakimś trafem znalazł się w szkole GRU. Tacy są najlepszym materiałem dla tej formacji. Wołkowski miał okazję przekonać się, jak wygląda edukacja agentów. Im człowiek bardziej wrażliwy, a przy tym ma niezły umysł i jest uparty, tym lepiej. Każdego bowiem można złamać. A wrażliwi łamią się inaczej niż inni – ich upadek sięga samego dna. W chwili zwątpienia gotowi są nawet popełnić samobójstwo, nie umieją się sami wyprostować. Wtedy pojawia się przewodnik – ktoś, kto podaje im rękę, składa potrzaskaną osobowość od podstaw, tyle że klei duszę podopiecznego w nieco innym kształcie niż przedtem. Hitlerowcy mieli bardzo skuteczną metodę w elitarnych szkołach SS. Młody człowiek otrzymywał do wychowania i tresowania szczeniaka. Przebywał z nim

każdą wolną chwilę, część szkolenia przechodzili razem. A potem – z tego, co Wadim pamiętał, najczęściej po dwóch latach – esesman otrzymywał rozkaz, by strzelić psu w łeb. Trudno sobie nawet w przybliżeniu wyobrazić, jakie to dla młodego człowieka przeżycie, jak może strzaskać kręgosłup moralny. Ale za to ten, kto zdobył się na wykonanie rozkazu, nigdy potem nie wahał się popełnić najgorszej zbrodni. Wrażliwy, młodzieńczy umysł umierał, wydając na świat bestię. Podobnie Czerwoni Kmerowie w Kambodży wykorzystywali dzieci do dokonywania egzekucji. Coś, co zdrowy człowiek ocenia jako zbrodnię, dla małego chłopca szybko staje się normą. Wadim nie zakwalifikował się na kurs szpiegowski drugiego stopnia. Nie nadawał się zupełnie do podobnej pracy, a raczej po prostu nie chciał jej wykonywać. Wolał stanąć z wrogiem oko w oko, rozwiązywać sprawy po męsku, a nie za pomocą brudnych gierki, do jakich wywiad ma tak wielkie zamiłowanie.

– Witam – powtórzył Malinin.

Wyciągnął rękę. Pierwszy ujął niezbyt dużą dłoń kapitana równy mu stopniem Zachariasz Wiktoренко, następny był Siergiej. Gdy przyszła jego kolej, Wadim z zaskoczeniem stwierdził, iż szczupłe palce gospodarza są zadziwiająco mocne i sprężyste.

– Kto jest tutaj dowódcą? – Wadim wskazał szerokim ruchem zabudowania koszar garnizonu.

– Do czasu przyjazdu nowego pułkownika pełnię jego obowiązki.

– A co się stało z poprzednim? Zginął w akcji?

– Zginął raczej dlatego, że mógł nie chcieć podejmować pewnych akcji – uśmiech oficera nie zmniejszył się nawet o milimetr.

Major wolał więcej w tej chwili nie dopytywać. Mieli ważne zadanie do wykonania, a tajna misja rządzi się swoimi prawami. Przeszli do gabinetu zajmowanego przez Malinina. Wołkowski widział po drodze ponure twarze i złe błyski w oczach żołnierzy. Mógł się jedynie domyślać, że przejęcie dowodzenia przez kogoś ze znienawidzonego powszechnie wywiadu było im nie w smak. Desantowcy są zazwyczaj bardzo przywiązani do swoich

oficerów. Ta więź wzmacnia się w warunkach bojowych, jest nieodzowna w tego typu oddziałach.

– Ma pan nam pomóc odnaleźć dwóch obywateli rosyjskich narodowości czeczeńskiej – powiedział Wadim formalnym tonem. – Z tego, co wiemy, Tarkhan Hamsajew i Dżochar Gruman w najbliższym czasie pojawią się na terenie któregoś z zachodnich dystryktów. Może sunzeńskiego albo nadterecznego. Nie wiemy jednak, co zamierzają potem.

– Z pewnością zechcą się przedostać do Rusłana Kadajewa – Malinin spoważniał. – To prawa ręka Achmada Nikułajewa. Jeśli gdzieś ma się reaktywować Klan Wilka, to tylko tam.

– Klan Wilka? – Wadim zmarszczył brwi. – O czym rozmawiamy w tej chwili?

– Nie powiedzieli wam w Moskwie? Naprawdę? W takim razie nie wiecie nawet w przybliżeniu, o co w tym wszystkim chodzi. To typowe. Zapomnieli albo nie zdążyli. Albo nie chcieli.

– O czym zapomnieli, albo nie chcieli powiedzieć?

– Uprzedzić was, że schwytanie tych dwóch nie jest priorytetem i nigdy nie było.

– Hamsajew i Gruman są nam bardziej potrzebni na wolności niż pod kluczem.

Wołkowski i Wiktoренко spojrzeli po sobie.

– To znaczy – powiedział bardzo powoli Wadim – że nasza obława w Petersburgu była z góry skazana na niepowodzenie?

– To znaczy – odparł Malinin – że nie powinniście ich wtedy schwycić. Ale oni i ich przyjaciele z Czeczenii powinni wyjść z tego przekonani o waszej pełnej determinacji.

– To wiele wyjaśnia – powiedział Zachariasz. – Chociażby ten opancerzony wóz. Tylko jeden człowiek w tamtym regionie dysponuje czymś podobnym, ale wierzyć mi się nie chciało, że to jego cacko.

– Tylko jemu mogło to ujść na sucho – uzupełnił Wiktor. – Taki kowbojski rajd w biały dzień.

– A gdybyśmy ich jednak złapali, do czego było już bardzo blisko, zdołaliby uciec z transportu?

– Coś w tym rodzaju.

– Skurwysyństwo – skwitował Wołkowski. – Zawsze musicie urządzać taki cyrk?

Malinin w odpowiedzi wzruszył jedynie ramionami. Spojrzał przelotnie na Siergieja, który przysłuchiwał się rozmowie.

– A wy zawsze wtajemniczacie we wszystko waszych sierżantów? – spytał z wyraźną przyganą. – To, o czym rozmawiamy jest ściśle tajne.

– Bez obaw. Sierioża nasłuchiwał się w życiu więcej tajnych wiadomości niż obaj mamy włosów na głowie.

– Co nie znaczy...

– Skończmy ten temat – uciął major. – Chłop jedzie z nami na tym samym wózku, powinien wiedzieć, co jest grane.

– Jak pan uważa – skrzywił się Malinin. – Ale w razie wpadki może się okazać świetnym źródłem informacji.

– Ty byłbyś znacznie lepszym, a jakoś się nie czepiam – rozległ się głęboki głos sierżanta.

Wiktorenko spojrział na Wołkowskiego w oczekiwaniu, że ten przywoła podwładnego do porządku. Jednak Wadim z nieco prowokującym uśmiechem patrzył na kapitana GRU.

– Pyskacz, co? – mruknął Malinin. – Znamy i takich. Do usranej śmierci nie dochrapie się oficerskiej szarży. Zawsze sobie wypruje gwiazdki ostrym jęzorem.

– Pyskacz – potwierdził dziarsko Wołkowski. – Ale i pięść ma twardą. Jak dobrze przypierdoli, nie ma co zbierać. Lepiej z nim nie wchodzić w osobiste spory. Na dodatek jest bardzo spostrzegawczy i cholernie nie lubi, kiedy ktoś kombinuje na boku.

– To ma być groźba? – Malinin zmarszczył brwi.

– Tylko ostrzeżenie. Człowiek w obcym, nieprzyjaznym miejscu powinien być bardzo ostrożny, prawda?

Wiktor nie odpowiedział. Spojrzał na Zachariasza, wyciągnął rękę.

– Ma pan coś dla mnie, kapitanie. Wiktorenko drgnął.

– A tak, rzeczywiście.

Grzebał przez chwilę w plecaku, zanim wyciągnął podłużny, zapieczętowany pojemnik. Oficer GRU zerwał zabezpieczenie, wytrząsnął z pakietu dwie niezbyt duże paczki, owinięte szarym papierem, folią i związane sznurkiem. Wołkowski nie musiał nawet pytać, co jest w środku, Malinin bowiem natychmiast wyjął scyzoryk, wbił największe ostrze w pierwszy pakunek, po czym je oblizał. To samo zrobił z drugą paczką.

– Świetnie – powiedział zadowolony.

– Kurwa twoja mać – Wadim popatrzył na Wiktorenkę. – Nawet podczas takiej akcji musicie przemycać prochy? Mało macie heroiny od miejscowych?

Zachariasz wyglądał na nieco zdezorientowanego.

– Kur... Naprawdę nie miałem pojęcia... Wołkowski machnął ręką.

– Miałeś czy nie, teraz to nieważne.

– To nie chamska hera, ale szlachetna kokaina – wyjaśnił Malinin. – Jest tutaj paru ludzi, którzy jej potrzebują.

– Rozumiem. Zaopatrujesz generalicję?

W tej chwili stało się jasne dla Wołkowskiego, dlaczego zwykły kapitan wywiadu wojskowego ma, aż tak silną pozycję. Nie powierza się dowodzenia bazą desantu każdemu, komu jest to do czegoś potrzebne, nawet jeśli pracuje we wszechwładnej formacji. Służba w Czeczenii to dla sprytnych i przedsiębiorczych osobników przede wszystkim prochy, handel ludźmi i narządami oraz kokosowe interesy z ropą naftową. Wywiadowca na pewno ma różne haki na każdego oficjela w tym rejonie Kaukazu. Musi też mieć błogosławieństwo Moskwy. Zawsze jest coś za coś. On zdobywa cenne wiadomości, potrafi na swoim terenie zdziałać cuda, więc pozwala mu się korumpować wszystkich dookoła. Dzięki temu zyskuje nowe źródła informacji i tak to się kręci.

– Wybaczy pan, panie majorze – Malinin strzyknął śliną przez zęby. – Gównu pana powinny interesować moje sprawy.

– Zapewne – odparł swobodnie Wadim. – Jednak są pewne kategorie ludzi, których nie cierpię. Do nich należą podli cwaniacy, w tym politycy, tak zwani wielcy biznesmeni i podobny element. Ale jest też kategoria ludzi, których nie toleruję, a nawet nienawidzę. Na samym szczycie listy znajdują się handlarze narkotyków i terroryści.

– Z takim nastawieniem powinien pan pracować w odpowiednim wydziale milicji. Ale jeśli już los pchnął pana tutaj, trzeba się pogodzić, że współpracownik okazał się dilerem. Niech się pan nie przejmuje. Ta drobna kontrabanda nie będzie miała wpływu na naszą misję.

– Owszem. Z całą pewnością nie powinna mieć wpływu.

– Cieszę się, że doszliśmy do porozumienia.

Wiktor zawiązał dodatkowo paczki w folię spożywczą, żeby zasłonić otwory uczynione nożem. Wołkowski patrzył z zainteresowaniem na ruchy oficera GRU. Widać było po nim ogromną wprawę.

– Ale do porozumienia dojdziemy dopiero teraz – powiedział Wadim, podchodząc do biurka. Kapitan podniósł na niego wzrok, zdziwiony. – Taaa... Trefny towar naprawdę nie może zakłócić przebiegu akcji.

Położył rękę na paczuszce po lewej stronie. Właściwie chciał położyć, bo Malinin był szybszy. Podczas wyszkolenia w GRU kładziono nacisk na refleks w podobnych sytuacjach. Potężna dłoń majora przykryła rękę kapitana. Chwycił środkowy palec, odciągnął go daleko w tył, aż chrupnęło w stawie. W następnym ułamku sekundy opakowanie z kokainą, wyrzucone do tyłu, wylądowało w rękach Siergieja.

– Uważaj na Wiktorenkę – rozkazał Wołkowski, nie odwracając głowy.

Sierżant upuścił pakunek pod nogi i spojrzał czujnie na oficera FSB, jednak tamten najwyraźniej nie zamierzał mieszać się w całą sprawę. Wadim tymczasem trzymał już drugą paczuszkę.

– Sierioża, weźmiesz to gównno i zrobisz z nim porządek.

– Skur... – Malinin stłumił przekleństwo. Mówił przez zaciśnięte zęby. – Wiesz, ile to jest warte? Ile przez ciebie jestem do tyłu?

– Trzeba było nie płacić jak kto głupi, tylko brać w komis – odparł lekko major. – Odbijesz sobie z procentem kiedy indziej.

– Nie ty tu dowodzisz!

– Mam to gdzieś – Wadim podał Siergiejowi drugą paczkę. Sierżant wyszedł. – Opowiadaj lepiej o tym Klanie Wilka. Co za idiotyczna, pretensjonalna nazwa.

– Nie myśl, że puszczę to płazem – Malinin wskazał wzrokiem drzwi, za którymi zniknął komandos. Porzucił uprzejme formy. – Zapłacisz za wszystko.

– Jasne, ale dopiero po wykonaniu zadania. Nie pieprz teraz głupot, tylko mów to, co powinniśmy usłyszeć.



Halima władczyim gestem kazała wynieść z izby kadź wypełnioną brudną, mętną od mydlin wodą. Dwóch bojowników spełniło polecenie, łąpiąc spode łba. Dziewczyna wiedziała, że przed brutalnością mężczyzn chroni ją jedynie strach, jaki odczuwają przed wujem Rusłanem oraz świadomość, kto jest jej ojcem. Muzułmański wojownik nie powinien słuchać rozkazów kobiety. Z jednej strony czuła nieprzyjemny dreszcz na myśl co by się stało, gdyby pozwolono im zatańczyć z nią po swojemu, z drugiej zaś często bywała rozbawiona widząc, jak twardzi, surowi żołnierze podporządkowują się poleceniom młodej kobiety.

– Jesteś jak ta wasza wilczyca – powiedział pewnego dnia Paweł. To było dość dawno, kiedy widzieli się, zanim ojciec wysłał ją pod opiekę krewnych. – Potrafisz przeciwstawić się losowi, znaleźć swoje miejsce pośród największej zawieruchy. Po tym poznać prawdziwego człowieka.

Wtedy zaczerwieniła się i uciekła. Wysoki, przystojny Polak trochę ją onieśmielał. Nie była przyzwyczajona, żeby mężczyźni rozmawiali z nią w ten sposób. Nawet Rusłan traktował siostrzenicę jedynie jako dziecko, którym trzeba się opiekować i któremu czasem należy ustąpić, żeby nie patrzeć na łzy i gniew. Chociaż ostatnio się to zmieniło. Patrzył na nią spod

zmarszczonych krzaczastych brwi, a jednocześnie dostrzegała w jego oczach wyraz jakby podziwu zmieszanego z lekką niechęcią.

– Halima – Dymitr przypomniał o swoim istnieniu. – Miałaś opowiedzieć legendę o wilczycy.

Drgnęła. Przypomnienie słów Pawła dziwnie zbiegło się z prośbą rannego. Nie pozwoliła go zabić. Wuj wtargnął do chaty w chwili, kiedy zmieniała bandażę na przedramionach Szewadze. Nóg już nawet nie odwijala. Nie była w stanie znieść widoku skóry odchodzącej od kości, smród stawał się zbyt dokuczliwy. Rusłan miał w ręku bagnet. Na widok dziewczyny schował go, ale wy dobył pistolet, wycelował w głowę Rosjanina. „Giń, przeklęty”. Wypowiedział te słowa przez ściśnięte gardło, zduszony głos bardziej przypominał krzyk sokoła, niż ludzki język. Halima rzuciła się na rannego, przykryła go własnym ciałem. Nie pamiętała dokładnie, co mówiła, jak przekonywała. Słowa pędziły szybko, gorączkowo i żarliwie. Miała jedynie świadomość, że co chwila powtarza, iż rannego nie godzi się szlachtować jak psa. Kadajew był wściekły. Złość rozpierała go tak, że strzelił kilka razy w ziemię, tuż obok nóg siostrzenicy. Chciał ją przestraszyć, zmusić do porzucenia Rosjanina. Przywarła tym mocniej do nieszczęśnika, nie zważając na bardzo bliski, nieprzyjemny odór. Wreszcie Rusłan nieco ochłonął. Z nim właśnie tak było – łatwo wpadał w gniew, ale równie szybko wracał do równowagi.

W codziennym życiu wybuchał bardzo często, drażniły go zupełne drobiazgi, na które inni nie zwracali uwagi. Jednak w chwilach skrajnego napięcia, gdy nadchodziło prawdziwe niebezpieczeństwo i prawdziwe problemy, niezmiennie zachowywał zimną krew, zupełnie jakby stawał się innym człowiekiem. Może dlatego był znakomitym dowódcą w polu, za to na leżach i melinach bywał niezmiernie uciążliwy dla podwładnych. Inna rzecz, że potrafił zachowywać żelazną dyscyplinę. Zawsze powtarzał, że nauczył się tego od jej ojca. Widząc, iż dziewczyna nie zrezygnuje, schował broń, przyjrzał się Halimie bardzo uważnie.

– Zakochałaś się w tym ruskim Gruzinie? – spytał, krzywiąc się z niesmakiem.

– A gdyby nawet? – spojrzała wyzywająco.
– Achmad nie byłby tym uszczęśliwiony.
– Wuju, wiesz jak bardzo cię szanuję. Musisz jednak zrozumieć: to sprawa między mną i ojcem.
– Mam więc rozumieć, że naprawdę pokochałaś tego zaprzańca? A co na to powie...

– Proszę, wuju, nie przy nim – ruchem brody wskazała Dymitra.

Rusłan odwrócił się na pięcie i wyszedł, klnąc pod nosem. Była mu wdzięczna. Wiedziała, że nie zrobiłby czegoś podobnego dla żadnej innej kobiety. Własną żonę, którą kochał nad życie, zwałóby za włosy i sprawił lanie za nieposłuszeństwo. A jej nawet nie dotknął. To nie był tylko respekt przed jej ojcem. Przecież ojciec nie powiedziałby mu złego słowa za takie postępowanie. Nie powinna się przecież sprzeciwiać decyzjom mężczyzny, w dodatku dowódcy dużego zgrupowania partyzantów.

Żona wuja... odeszła na samym początku drugiej wojny w Czeczenii. Ojciec po śmierci siostry długo nie mógł się otrząsnąć. Często powtarzał, że była najśłodsza istotą na świecie. Piękna niczym letni poranek i cicha jak strumyk pośród skał. Potrafiła dać mężczyźnie odpoczynek i orzeźwienie. Rusłan po stracie małżonki zamknął się w sobie. Niektórzy byli zgorszeni, że muzułmanin w taki sposób okazuje ból po śmierci kobiety. Nie potrafił ukryć rozpacz. Może sprawiło to życie w kraju, w którym Rosjanie od stuleci próbowali krzewić własną kulturę. Dla Czeczena, nawet najbardziej prawowierne wyznawcy islamu, kobieta nie jest aż takim niczym jak dla ludzi wychowanych na naukach ajatollahów z Iranu, czy fanatycznych mułłów z Afganistanu. Z lękiem myślała o kadim, który patrzył na nią niby myszołów na przerażoną ofiarę. Dla niego jej pozycja w obozie była czymś niepojętym. Młoda kobieta, bez zasłony na twarzy, najczęściej ubrana po prostu w połowy mundur. Milczał, bo najwyraźniej ważniejsze od sztywnych poglądów było porozumienie z ojcem w jakichś niezwykle ważnych sprawach.

– Opowiesz? – Dimka poruszył niecierpliwie głową. Syknął z bólu. Nie widział strużki krwi zmieszanej z ropą, ale czuł, że ruch spowodował

pęknięcie skóry za uchem. – Niewiele mi zostało. Możesz nie zdążyć.

– Nie opowiadaj głupstw! – fuknęła. – Wydobrzejesz. Przecież boli cię coraz mniej. Allah potrafi działać nie takie cuda.

Nie odpowiedział. Był wdzięczny za kłamstwo, ale odrętwienia ciała nie odczuwał jako oznak zdrowienia.

– Długo każesz się prosić?

– Nie, niedługo – uśmiechnęła się. – Posłuchaj, skoro jesteś taki ciekawy. Zaczęło się tak, jak to się zwykle zaczyna: Bóg stworzył świat. Nie wiem, do czego był mu potrzebny, może uczynił to, by udowodnić swoją potęgę, a może powołał go do istnienia przez zapomnienie lub pomyłkę, dokonując jakiegoś o wiele donioślejszego dzieła. Jakby nie było, powstała ziemia i woda, i rośliny, i ptaki, i inne zwierzęta oraz ludzie. Bóg zapewne odwrócił twarz, zajmując się jakimiś swoimi sprawami, zostawił dzieło stworzenia samemu sobie.

– Dziwny początek – przerwał jej Dymitr. – Ułomny i nieuważny ten bóg. Naprawdę tak się zaczyna ta legenda?

– Tak się zaczyna moja opowieść i taki jest w niej stwórciel. Chcesz posłuchać dalej? To nie przerywaj co chwila. W pewnym momencie Bóg zauważył, że świat nie jest taki, jaki być powinien, jakiego by oczekiwał. Okazał się pełen przemocy i krzywd. Żyjące na nim istoty zabijały się i pożerały nawzajem. Największy zawód sprawili mu ludzie. Dał im przecież rozum i moc czynienia dobra lub zła. Jakże musiał być rozgoryczony Stwórca, widząc, co się stało z jego dziełem i jak człowiek korzysta z powierzonej mu wolności. Starał się przemówić do ludzi, skłonić ich, by częściej używali serca i rozumu, raczej budowali niż niszczyli. Na próżno. Człowiek potrafi być niesłuchanie uparty i zatwardziały. Wreszcie Bóg rozgniewał się. Nie widział sensu istnienia świata w takiej postaci, jaką przybrał wbrew boskiemu zamysłowi. Zesłał więc wielki wiatr. Wiatr, przy którym hulające po szczytach gór wichury i pustynne samumy są ledwie niewinnym powiewem, marnym cieniem prawdziwej potęgi przyrody. Wiatr miał zmieść wszystkie żywe istoty, zostawić jałową ziemię, na której można by zasiać nowe życie.

– Jałową ziemię, na której można zasiać życie – powtórzył ranny. – Żeby stworzyć coś naprawdę nowego należy zniszczyć stare do cna. To przesłanie okrutne, ale i mądre zarazem.

– Mądre okrucieństwo i okrutna mądrość – przytaknęła. – Huragan szalał, niszczył wszystko przed sobą. Żywe stworzenia porzucały domy i bezpieczne do tej pory kryjówki, uciekały jak najdalej od żywiołu. Gdzie można się jednak schronić przed czymś podobnym? Przecież świat nie jest nieskończony, nie można więc wiecznie uciekać. Wiatr zatoczył krąg, spadł z jeszcze większą siłą, ogarnął kurzawą wszystko i wszystkich. Przez wycie wichru Bóg nie słyszał błagań i obietnic poprawy. Zapewne nie chciał już słyszeć. Przecież został przez ludzi wielokrotnie oszukany. Człowiek łatwo korzy się i przysięga porzucić grzech, jednak wywiązuje się ze ślubowania bardzo niechętnie i niezmiernie rzadko. Było jednak jedno stworzenie, które nie uchodziło w panice. Szara wilczyca stawiała czoło wichurze. Własnym ciałem zasłaniała przed morderczymi podmuchami szczenięta. Nie chciała zrezygnować, pragnęła za wszelką cenę uchronić młode życie. Była gotowa narazić się na gniew potężnego i rozgniewanego Boga. Ten wpadł w jeszcze większą złość. Tchnienie boskiej wściekłości wzmogło wiatr jeszcze bardziej. Drzewa fruwały w powietrzu niczym suche patyczki. Jednak wilczyca nie poddała się. Wbiła pazury w ogołoconą z roślinności ziemię, najeżyła sierść na karku i stanęła przeciw straszliwym podmuchom. Obok przelatowały, niesione nimi, nieszczęsne zwierzęta. Te, które jeszcze poruszały się o własnych siłach wciąż uciekały. Ale przykład wilczycy obudził w niektórych nadzieję. Coraz więcej ludzi i zwierząt zatrzymywało się przy walecznej matce. Słaniali się na nogach, ledwie wytrzymywali napór huraganu, jednak trwali, gromadzili się, stawali czymś podobnym do litej skały. Im więcej ich było, tym mniej wiatr mógł działać. Gniew Boga wreszcie zaczął gasnąć. W końcu Pan Świata zrezygnował z zemsty. Są tacy, którzy mówią, że Bóg zrozumiał, iż dopóki żyje choć jeden niepokorny wilk, nie uda się całkowicie zniszczyć Ziemi. Jednak ja sądzę, że gdyby chciał, mógłby zmieść jednym ruchem brwi nie tylko to, co nas otacza, ale i wszystkie gwiazdy. Myślę, że docenił dzielne serce wilczycy i

tych, którzy poszli za jej przykładem. Dopóki po świecie chodzi choć jedna tak wspaniała istota, nie zniszczy go, aby nie uczynić krzywdy sprawiedliwym. Dlatego waleczny górski lud Czeczenów postanowił wziąć sobie za godło wilczycę i umieścić ją w herbie Iczkerii.

Halima skończyła, zapadła cisza. Dymitr leżał z zamkniętymi oczami, jego pierś unosiła się płytkim oddechem. Dziewczyna wstała. Niech śpi, biedak. Choć raz utuliła go do snu opowieść, a nie gorączka i złe majaki.

– Ta wilczyca – chropawy głos zatrzymał ją w połowie drogi do drzwi.

– Tak? – odwróciła się.

Dimka patrzył na nią ciemnymi, czarnymi w nikłym świetle oczami.

– Ta wilczyca pokonała przeciwności nie siłą, ale łagodnością. Nie walczyła, nie próbowała wszcząć buntu. Trwała jedynie przy swoim, pragnęła ocalić to, co kochała. Miłość potrafi pokonać każdą przeszkodę.

– Nigdy nie patrzyłam na tę opowieść od takiej strony.

– Bo nigdy nie patrzyłaś na siebie cudzymi źrenicami. Ty też potrafisz dopiąć swego, nie uciekając się do krzyku i przemocy. Jesteś jak ta wilczyca. Może ona miała na imię właśnie Halima?

– Chyba naprawdę lepiej się czujesz, skoro zacząłeś żartować – dziewczyna była zadowolona, że w półmroku Dimka nie może dostrzec rumieńca na jej twarzy.

– To nie żart. Naprawdę przypominasz czułą, upartą wilczycę. Gdyby nie twoje troskliwe dłonie i niezłomna wola, dawno bym gryzł ziemię. A już na pewno od wczoraj...



Szli zapomnianym traktem. To była trudna droga, prowadziła przez przełęcz i skalne osypiska. Z daleka góry wydają się jednolitą masą, dla oddalonego od nich obserwatora są twardym bytem, którego nic nie zdoła skruszyć. Dopiero z bliska widać pęknięcia, osuwiska, luźne kamienie, które tylko czekają, by wyprysnąć spod nóg albo spaść na głowę

nieostrożnego wędrowca, wzbudzić lawinę, która porwie wszystko na swojej drodze. Szli w milczeniu, chłonąc rześkie powietrze wczesnego poranka. Niebo posiniało, widać było skłębione, bure chmury.

– Deszcz będzie – przerwał ciszę Dżochar. – Pospieszmy się.

Trakt wspinał się wysoko, na jego końcu majaczył poszarpany wiatrami szczyt. Właściwie nie była to już droga, ale naturalne skalne schody, jakby wyrzeźbione przez naturę dla kogoś nadludzkiego wzrostu. Przystanęli, aby nabrać sił przed uciążliwą wspinaczką, Hamsajew wyjął z torby mapę.

– Właśnie tak nasi waleczni przodkowie dotarli do serca Iczkerii. Przemierzali bezdroża, pokonywali przełęcze i zdobywali szczyty. Rozsiedli się wreszcie w pięknym kraju i żyli w spokoju, dokąd Rosjanie nie postanowili wziąć ich pod but.

Tarkhan skrzywił się. Gruman dostrzegł to i uśmiechnął się pod nosem. Przyjaciela irytował jego zwyczaj, by przy każdej okazji dawać wyraz patriotyzmowi i nienawiści do Rosjan. Powtarzał często, iż każdy Czeczen, który mieni się być synem udręczonej ojczyzny myśli podobnie, ale nie musi zaraz o tym mówić.

– Chodźmy. Trzeba pokonać stromiznę, zanim lunie. Podczas deszczu muszą tutaj płynąć potoki wody. Te schody wyglądają jak progi, wyrzeźbione przez rzekę.

Ruszyli, czując na twarzach pierwsze drobne krople.

– Przydałoby się trochę mgły – mruknął Tarkhan. – Jeśli by nas ktoś śledził, jesteśmy tutaj niby karaluchy na białym prześcieradle.

Dżochar odwrócił się, obrzucił uważnym spojrzeniem przestrzeń za plecami.

– O tej porze przy takiej pogodzie tylko największy szaleniec wyprawiałby się w wysokie góry.

– Jak my?

– Jak my. Nie tylko deszcz. Te chmury wróżą prawdziwą zawieruchę.

Ledwie wypowiedział te słowa, nadleciał pierwszy podmuch, wyrwał mapę z ręki Tarkhana. Płachta papieru poszybowała wysoko, niczym spłoszony, wielki ptak.

– Szybko – popędził Dżochar. – Na bok! Wskazał niewielkie wgłębienie w skale, właściwie małą jaskinię. Ledwie tam dotarli, z nieba puściły się strugi deszczu, szarpane huraganowymi podmuchami.

– Na morzu marynarze nazywają takie coś białym szkwałem – wydyszał prosto w ucho towarzyszowi.

– Prawda, pływałeś na poławiaczach.

– Wprawdzie dość krótko, ale bardzo intensywnie. Niech oficerom na mojej ostatniej łajbie wygniją jelita. Ale czegoś się tam jednak nauczyłem. Czytać pogodę z urody chmur i szeptu powietrza.

– A mniej poetycko?

– Zwyczajnie łupie mnie w kościach na deszcz. Nabawiłem się reumatyzmu.

Nawałnica ucichła równie niespodziewanie, jak nadeszła. Wyszli z kryjówek. Po wysokich progach płynęły strumienie wody.

– Będzie ciężko – powiedział Tarkhan. – Trudna ta nasza droga do ziemi ojców.

– Najgorsze, że ulewa znów może nadlecieć, a my musimy iść.

– Jakoś musimy dać radę. Zapomniałeś już, jak się chodzi po mokrych górach?

Dżochar nie odpowiedział. Podszedł do skały, podskoczył, znalazł oparcie dla stopy i rąk. Rozpoczęli mozolną wspinaczkę.



Rozdział 6

Generał Michaił Sierpin odłożył na biurko raport, przysłany przez ministra Wiktořenkę. Jakiś agent o kryptonimie Habibi zdawał się mieć zaskakująco dokładne informacje na temat ściganych ludzi. Sierpin zastanawiał się jednak, na ile są one prawdziwe. Nie raz spotkał się z tajnymi współpracownikami, którzy tworzyli rozmaite legendy. Jedni wyciągali tą drogą pieniądze, inni oszukiwali, aby udowodnić swoją wartość. Wzrok generała spoczął na słuchawce zielonego telefonu. Stał obok urządzenia bliźniaczo podobnego, tyle że czerwonego. Ten stanowił bezpośrednie połączenie z sekretariatem prezydenta. Zielony wstawili mu po awanturze ze zbiegłymi Czeczenami. Ponoć na rozkaz samego Pierwszego. Sierpin podniósł słuchawkę. Skoro już ma tę linię, należy z niej skorzystać chociaż od czasu do czasu.

– Wiktořenko – minister odezwał się prawie natychmiast.

– Witam, panie ministrze. Ten raport, który otrzymałem dzisiaj – generał trącił palcem skoroszyt, jakby rozmówca mógł to widzieć. – Jest pan pewien, że to wiarygodny materiał?

– Jestem pewien na tyle, na ile można być w naszym fachu czegokolwiek pewnym. Ale Habibi to osoba godna zaufania.

– Kobieta? To pseudo...

– Nieważne. Ważne, że nigdy się nie zawiodłem na informacjach z tego źródła. Ale to nie jest pogawędka na telefon, nawet z tak doskonale ekranowanym łączem. Proszę do mnie przyjechać. Wysłać kierowcę?

– Nie trzeba. Mój dyżurny szofer czeka na dole.

Po kilku minutach mknęli na sygnale zatłoczonymi ulicami Moskwy. Kierowca był prawdziwym artystą w swoim fachu. Potrafił się wcisnąć w luki pozornie zbyt małe dla okazałej limuzyny. Moskiewscy kierowcy niechętnie ustępowali z drogi uprzywilejowanemu pojazdowi, który nie był ani karetką pogotowia, ani wozem straży pożarnej, czy milicji. Wielu z

kasty nowobogackich miało pozwolenie władz na używanie sygnałów dźwiękowych i świetlnych. Widząc taki nieoznakowany samochód z kogutem, użytkownicy dróg sądzili, że to kolejny Nowy Ruski spieszący na spotkanie biznesowe, kolację albo nawet do ekskluzywnego burdelu. Pod gmach ministerstwa spraw wewnętrznych zajechali w niecały kwadrans. Sierpin mignął przepustką strażnikowi, wszedł przez bramkę w drzwiach. Oczywiście broń musiał zostawić na portierni, która bardziej przypominała szklany bunkier niż pomieszczenie recepcjonistów. Wysoki, szeroki w barach strażnik zaprowadził go do gabinetu ministra. Generał nie cierpiał tej całej pompy i ceremoniału. Spotkanie z byle dygnitarzem zaczęło ostatnio przypominać królewską audiencję. Wszedł do wielkiego pokoju. Stare stylowe meble i obrazy na ścianach pogłębiały wrażenie wizyty w pałacu monarchy

– Boicie się, żeby goście z wrażenia nie paskudzili po kątach? – spytał zgryźliwie Sierpin.

– Skąd takie przypuszczenie?

– Przyprowadził mnie tutaj bardzo efektowny goryl. Może za bardzo napasiony sterydami, w życiu bym go nie wziął do „Alfy”, ale rzeczywiście robi wrażenie. Zdawało mi się, że bardziej mnie pilnował, niż pokazywał drogę. Tym bardziej, że znam ją przecież doskonale.

– Nowe dyrektywy dotyczące bezpieczeństwa – odparł krótko Wiktoренко. Gestem uciął dalsze złośliwości gościa. – Proszę opowiedzieć o swoich wątpliwościach. Szkoda czasu na puste gadanie.

– Jak pan chce, panie ministrze. Przystudiowałem dokładnie raport i doszedłem do pewnego wniosku. Wierzyć mi się nie chce, aby poszukiwani tak szybko zostali przerwuceni do Gruzji.

– Nie docenia pan Amerykanów, generale. Sierpin wyduł wargi. Amerykanów?

– A co Jankesi mają wspólnego z dwójką czeczeńskich terrorystów?

– My grzebiemy w ich tajnych akcjach, a oni w naszych. Tak się toczy ta gra. Ale proszę się nie obawiać. Tym razem działali w porozumieniu z nami.

– A ja bardzo bym chciał wiedzieć, w co właściwie gramy.
– Nie tylko pan – odparł poważnie Wiktoренко. – Sam nie jestem pewien, czy rozgrywamy partię szachów przeciwko arcymistrzowi, czy pospolitego dupaka w gronie wesołych żołdaków. To zresztą nieważne. W obu przypadkach przegrana będzie katastrofą. Osobiście jednak wolałbym szachy. Łatwiej przewidzieć ruch przeciwnika niż odgadnąć, kto właśnie wrzepił bolesnego klapsa

– Ładnie powiedziane, ale nic nie wyjaśnia.

– Jest coś, co powinno powiedzieć panu więcej. Dwa słowa, generale: Klan Wilka.

Sierpin długo milczał, zanim wycedził przez zaciśnięte zęby.

– Dlaczego mówi pan to dopiero teraz? Przecież przygotowałbym Wadima, pouczył. On nie ma pojęcia... A to niesłuchanie poważna sprawa.

– Właśnie dlatego. Pana ludzie także dowiedzą się wszystkiego na miejscu. Mój bratanek zresztą także nie otrzymał pełnych informacji. Wyjechał w przekonaniu, że ścigają przestępców, którzy mogą coś wiedzieć o planowanych, niezwykle groźnych akcjach terrorystycznych i tyle. Nie chciałem więc ryzykować, że coś pan przekaze swoim podwładnym. Nie mogliśmy mieć pewności, czy przypadkiem nie zostaną schwytani przez rebeliantów zaraz po przekroczeniu granicy. Zresztą gdyby się dostali w łapy naszych żołnierzy, też nie powinni wiedzieć zbyt wiele. Od szpiegów roi się wszędzie, a na tamym terenie działa ich szczególnie dużo. Bezpieczeństwo informacji jest zawsze ważne, ale w tym przypadku bodaj najważniejsze. Proszę się nie obawiać. W docelowej bazie wojskowej jest ktoś, kto im wszystko wytłumaczy. To także ktoś, kto jest uprawniony do przechwytywania informacji wysyłanych przez Habibi.

– Czy brak zaufania w tym przypadku nie posunął się jednak zbyt daleko?

– To polecenie samego prezydenta. Wtajemniczone mogą być tylko osoby działające bezpośrednio przy akcji. Żadnych przecieków, żadnych zbędnych informacji.

– Niewiedza może kosztować życie moich ludzi – mruknął generał.

– Może, ale takie są zasady w naszych zmaganiach z terrorystami. Pan, Michaile Siemionowiczu, przywykł traktować swoich żołnierzy jak niezwykle cenne figury. Rozumiem to. Wkłada pan w ich wyszkolenie wiele trudu, każdego sam dobiera i śledzi jego karierę. Dla mnie ci ludzie to tylko pionki. Cenne, potrafiące wiele zdziałać, ale tylko pionki, powtarzam. Przykro mi.

– Przynajmniej szczerze – odparł cicho Sierpin. – Ale w jednym pan skłamał. Wcale nie jest panu przykro. Wy, rządzący, zawsze traktujecie innych jak mięso armatnie, nawet członków własnej rodziny.

Minister wstał, w jego oczach pojawiły się lodowate błyski.

– To nie należy do rzeczy – rzekł sucho. – Impertynencji znosić nie muszę i nie zamierzam. Jeśli ma pan jeszcze jakieś pytania, słucham; jeśli nie, żegnam.

– W takim razie do zobaczenia – generał czekał przez chwilę, czy dostojnik wyciągnie rękę na pożegnanie. Minister stał sztywno, czekając aż gość wyjdzie. – Ale niech pan pamięta o własnych słowach.

– Nie rozumiem?

– Tego, co pan powiedział o szachach. Bo jeśli to rzeczywiście nie jest rozgrywka z arcymistrzem, tylko salonowiec, moi ludzie mogą okazać się bardzo skuteczni.

– Dziękuję za cenną uwagę – odpowiedział zgryźliwym tonem minister.



Trwali przyczajeni na szczycie wzgórza, między rzadkimi krzakami i niewielkimi stosami kamieni. W małej kotlinie poniżej rozłożyło się miniaturowe osiedle. Dwie, może trzy rodziny. Jego mieszkańcy zapewne usiłowali pozostać na uboczu, niezauważeni, z dala od konfliktu szarpiącego kraj. Wadim słyszał o takich miejscach od tak zwanych Czeczenców – żołnierzy, którzy zyskali to miano ze względu na służbę w tym kraju. W niedostępnych rejonach gór uchodźcy, którzy nie chcieli, albo

nie mieli szansy przedostać się przez granicę, zakładali podobne osiedla. Wojsko napotykało w nich przerażone kobiety z dziećmi, kilkunastoletnimi wyrostkami, czasem jakichś mężczyzn. Były to miejsca niebezpieczne, gdyż zaskoczeni mieszkańcy potrafili stawiać nadspodziewanie silny opór, jeśli poczuli się zagrożeni. Nic dziwnego – w kraju, w którym mężczyzna jest niejako zobowiązany posiadać kilka sztuk różnorodnej broni i umieć jej użyć, gdzie służba w wojsku zawsze była traktowana jak święty obowiązek, nawet młodzi chłopcy i kobiety mogą stanowić śmiertelne zagrożenie. Pewien czołgista opowiadał podczas suto zakrapianej imprezy historię z pierwszej wojny czeczeńskiej. Kompania czołgów wraz ze specnazem rozłożyła się opodal wioski. Nie było w osadzie mężczyzn w sile wieku, bo wszyscy poszli do oddziałów rebeliantów. Poza kobietami pozostali młodzi chłopcy, poniżej piętnastego roku życia i starcy, którzy nie mieli już sił brać udziału w ciężkich zmaganiach. Widocznie wojsko mocno się nudziło, skoro któryś z żołnierzy wpadł na pomysł, że można by – dla rozrywki – wieś spacyfikować. Poszedł pierwszy pocisk z czołgowej armaty, potem kilkanaście następnych. Dowódcy szybko zareagowali. Nie było przecież rozkazu przeprowadzać samodzielnej akcji, szczególnie, iż nie spodziewano się zagrożenia ze strony dobrze rozpoznanego osiedla. Jednak mieszkańcy poczuli się zagrożeni. Uszkodzono przecież parę domów, byli także ranni. Jakież zdumienie i panika zapanowały wśród rosyjskich żołnierzy, kiedy następnego dnia nad ranem zaroilo się wśród nich od żądnych krwi Czeczenów. Byli uzbrojeni – pożał się Boże – w siekiery, noże, jakieś motyki i kilka szabel. Czołgista wspominał to z pewnym zażenowaniem, ale i poniekąd rozbawieniem. Sławetny specnaz dał wówczas tyły. Inna rzecz, kogo wysyłano na tę wojnę: nieopierzonych, nieostrzelanych młokosów. Morale było bardzo niskie. Gdyby nie postawa samych czołgistów, kompania pancerna przestałaby istnieć. Wycofali się, tracąc jedną maszynę, która została opanowana przez napastników i ruszyła zaraz za wojskiem, prowadząc ogień z cekaemów. Któryś z pozostałych w wiosce starszych mężczyzn odbył na pewno służbę w jednostce zmechanizowanej i miał pojęcie o prowadzeniu czołgu. Szczęście, że nikt nie potrafił

obsługiwać działa. Sami Rosjanie z kolei nie bardzo mogli strzelać do własnego pojazdu, bo jak niby potem wytłumaczyć wojskowym prokuratorom, że czołg zdobyła grupa wyrostków i dziadków. Na szczęście Czeczeni sami opuścili maszynę. Ekspedycja karna wyruszyła kilka godzin później. Zastała wieś cichą i pustą. Wszyscy poszli w góry, nawet ciężarne kobiety. Być może gdzieś założyli potem podobne osiedle, jak to, na które patrzył przez szkła lornetki.

Patrzył, choć miał nieprzepartą ochotę odwrócić wzrok. Powinni ruszyć już dalej, zostawić za plecami spokojną osadę. Stali się jednak świadkami odnalezienia jej przez oddział wojska. Wadim nie wiedział, jaka to formacja. Polowe mundury desantu, piechoty i specnazu, skąpane w strugach deszczu, w oparach pasm zimnej mgły, wyglądały bardzo podobnie.

– Idziemy – powiedział Malinin. – Nic tu po nas.

– Chwileczkę – Wadim nie odrywał lornetki od oczu. Obok niego z równym zainteresowaniem patrzyli przez swoje szkła Siergiej i Zachariasz.

– Nie ma tam nic do oglądania!

– Nie ma? – odezwał się swoim grobowym głosem sierżant. – Nie ma, kurwa twoja mać? To sam popatrz!

Wadim zacisnął szczęki. Na dole trzech żołnierzy goniło przerażoną dziewczynę. Próbowwała się ukryć w ziemiance, następnie w byle jak zbitej szopie. Biegali za nią ze śmiechem, zadowoleni. W błocie leżały trupy nastoletnich chłopców. Każdy dostał strzał w tył głowy, ulewa rozmywała krew w wielkie, różowe kałuże. Pograżona w niemej rozpaczycie matka trzymała w ramionach skąpane we krwi, nagie ciało martwego niemowlęcia. Kawałek dalej trzech ludzi trzymało wrywającą się kobietę. Przeięli ją przez belkę ogrodzenia, jeden trzymał za głowę, przyciskał ją w dół, dwaj inni trzymali nogi w rozkroku. Mężczyźni, prawdopodobnie z jednej drużyny, ustawili się w kolejce, podchodzili kolejno. Brutalny gwałt, tym straszniejszy, że czyniony zupełnie na spokojnie. Wreszcie kobieta przestała się szarpać. Wadim pomyślał, że rezygnacja jest w tym wypadku jedyną rozsądną rzeczą.

Tymczasem ścigający dopadli dziewczynę. Zaciągnęli ją do ziemianki. Rozpaczliwy krzyk dotarł, aż do uszu obserwatorów. Siergiej klął płynnie pod nosem, ściskając karabin. Wiktorenko milczał, znieruchomiały, zapatrzone. Tylko Malinin odwrócił się w drugą stronę, uważnie oglądał zafoliowaną mapę, od czasu do czasu rzucał chmurne spojrzenia na towarzyszy.

Żołnierze skończyli z kobietą uwięzioną przy ogrodzeniu. Deszcz ustał, widoczność się poprawiła. Nieszczęsna zsunęła się na ziemię, upadła na plecy. Dopiero teraz Wołkowski zdał sobie sprawę, skąd wzięła się jej nagła bierność. Twarz miała granatową, oczy szkliste. Nie żyła. Ten, który ją dociskał do belki robił to na tyle mocno, że wreszcie się udusiła. Nie wiadomo skąd pojawiła się staruszka. Podeszła do trupa, długo mu się przyglądała. Wreszcie uklękła obok. Mówiła coś, patrząc na żołnierzy, uniosła drobną, pomarszczoną pięść. Mężczyźni śmiali się. Zaczęli dokładnie przetrząsać zabudowania. Z ziemianki, do której przedtem została zaciągnięta dziewczyna doleciał kolejny pełen bólu krzyk. Odskoczyły prowizoryczne drzwi, wyskoczyła naga. Jej prawy bark zwisał bezwładnie. Biegła przed siebie na oślep, po udach spływała krew. Po chwili z ziemianki wybiegli także żołnierze. Jeden podniósł lufę karabinu. Sucho puknął strzał. Dziewczyna upadła z rozkrzyżowanymi ramionami.

– Kurwa mać – warczał Siergiej. – Pierdoleni popaprańcy. Chuj im wszystkim na grób!

Wołkowski przyglądał się uważnie mundurom i naszywkom. Teraz widział, z kim ma do czynienia.

– Widzisz? – szturchnął Zachariasza. – Czterdziesta druga dywizja. W Groźnym podobno nazywają ich rzeźnikami.

– Gównu nie żołnierze – warczał Siergiej. – Skurwysyny!

Nagle rozległ się stłumiony wybuch. Z okna niewielkiego domu buchnął ogień. Jakiś żołnierz wyskoczył przez wywalone drzwi. Trzymał się za twarz. Za nim na czworakach wpełzła kobieta. Była półnaga, posiekana odłamkami, z rozerwanego boku zwisał kawał mięsa. Upadła na twarz. Nogi i ręce drżały, trzepotały w agonii. Sanitariusz zajął się natychmiast

rannym żołnierzem, inni zgromadzili się wokół kobiety, by patrzeć na mękę konania. Wadim nie widział ich twarzy, ale wiedział, że dostrzegłby na nich wyraz mściwej satysfakcji. Obok szczęknął zamek karabinu. Siergiej przestał kląć. Przyciskał kolbę do policzka. Major przydusił lufę do ziemi.

– Wariacie, chcesz strzelać do swoich?

– To nie moi – zaprotestował sierżant. – To nie ludzie!

– Ale Rosjanie. Nie wolno!

– Ją tylko zabiję – poprosił Siergiej. – Nie mogę patrzeć jak się męczy.

– Nie! Nie wolno nam się zdradzić, a ona i tak już niewiele czuje.

Idziemy!

Oderwali się od okropnego widoku z trudem, ale i z ulgą. Wołkowski spojrzał na Malinina. Kapitan bawił się bezmyślnie sznurkiem kompasu.

– To jest ta słynna stabilizacja i normalizacja w Czeczenii? – Wadim mówił przez ściśnięte gardło, z trudem tłumiąc gniew. – Tak wygląda prawda o Czeczeńcach szczęśliwych z zaprowadzenia porządku?

– Gdzie drwa rąbią – odparł Wiktor, wzruszając obojętnie ramionami. – Znasz to przysłowie? Takie rzeczy po prostu się zdarzają.

– Nie powinny.

– Człowiek jest tylko człowiekiem.

– Ale nie bestią!

– Ten oddział to ludzie wysłani na poszukiwanie zbiegów, którzy zastrzelili na granicy rosyjskich żołnierzy. Wciąż prowadzą na was obławę, myszkują po górach, chociaż dokładnie wiedzą, że to bez sensu. Można powiedzieć, że to wy sprowadziliście ich tutaj.

– I może to ma być usprawiedliwienie?

– Może nie, ale wyjaśnienie.

– To przecież zwyczajna zbrodnia!

– Zobaczysz w tym kraju jeszcze niejedno, majorze – Malinin wstał, otrzepał płaszcz. – Niegodziwość nie posiada narodowości.



Miała policzki mokre od łez. Nie wiedział, jak ją pocieszyć. Twardzi mężczyźni w zetknięciu sam na sam z rozpaczą zazwyczaj stają się bezradni. Oblicza gniewu i zagrożenia są dla nich prostsze do ogarnięcia i bardziej zrozumiałe. Bezradnie patrzył na szczupłe ramiona, którymi wstrząsały spazmy szlochu. Wreszcie wyciągnął rękę, dotknął jej włosów. Drgnęła, podniosła na niego wzrok.

– On umiera – szepnęła. – Pawka, on umiera, a ja nie mogę nic zrobić.

– To było wiadome od początku. Nawet gdyby znalazł się w szpitalu, nie miałyby wielkich szans.

– Kiedy ja nie mogę na to patrzeć. Nie wyobrażam sobie bólu i strachu, jaki przeżywa.

– Ból i lęk towarzyszą człowiekowi od zawsze. Wy, kobiety, cierpicie męki, krzyczycie i złorzeczycie podczas porodu. Wojownik też musi być przygotowany na poświęcenie.

– To nieludzkie, niepotrzebne.

Odwróciła głowę w stronę okna. Podziwiał jej profil. Prawdziwa córka swojego narodu – ostre, regularne rysy, zdecydowany, aczkolwiek kształtny nos, wyraźnie zarysowane łuki brwi. I ciemne, prawie czarne oczy. Przez całe życie wydawało mu się, że bardziej preferuje kobiety o jaśniejszych włosach i karnacji. Dopiero na terenie Kaukazu przekonał się, że czarne włosy i smągła cera mogą towarzyszyć wspaniałej urodzie.

– Halima – powiedział cicho, kładąc rękę na jej dłoni. Najpierw uczyniła ruch, jakby chciała się cofnąć, ale zrezygnowała. – Nie możesz patrzeć na to w ten sposób. Cierpienie zawsze wydaje się niepotrzebne, a jednak wszyscy cierpią, każdy na swój sposób. Skąd wiesz, jaki by się okazał ten Rosjanin, gdybyś go spotkała całego i zdrowego, wraz z oddziałem. Może zrobiliby z tobą to, co zwykli robić z kobietami podejrzanymi o kontakty z rebeliantami? Może nie miałyby litości?

– On by miał – szepnęła. – To naprawdę dobry człowiek.

Paweł prychnął pogardliwie.

– Każda armia jest pełna dobrych ludzi, tyle że podczas wojny niezmiernie rzadko można się o tym przekonać. Ci dobrzy ludzie popełniają

takie same zbrodnie, jak wszyscy inni.

– To nieprawda!

– Możesz się ze mną nie zgadzać – uśmiechnął się smutno. – Ale weź chociażby swojego wuja. Rusłan jest dobry, prawda?

– Oczywiście.

– Właśnie. A przecież niedawno chciał zastrzelić ciężko rannego jeńca. Wiesz, co potrafi zrobić ze schwytanymi Rosjanami? Jakim torturom każe ich poddawać? Dla nich jest bestią i potworem. Wypuścili listy gończe, wyznaczili wysoką nagrodę za jego głowę. W Moskwie nazywają go Osamą ben Ladenem Czeczenii. A przecież na co dzień jest szlachetny, litościwy, nigdy nie odmawia pomocy potrzebującym. Nic na świecie nie jest czarne ani białe.

– To straszne, Pawle.

– To normalne, Halimo. Zwyczajna rzecz. Pomyśl, kim ja jestem? Synem obcej ziemi, dalekiego narodu, a pętam się po Bliskim Wschodzie i państwach Kaukazu. Walczę i zabijam w imię sprawy, która powinna mi być obca. Dla was jestem sprzymierzeńcem, cennym sojusznikiem. Dla Rosjan wrogiem, godnym potępienia renegatem. Gdybyś zapytała Polaków o ocenę mojego postępowania jedni powiedzieliby, że stoję po właściwej stronie, drudzy widzieliby wręcz jako zdrajcę, jeszcze inni będą mieli za złe już nie mnie, ale wam, że wysługujecie się najemnikami.

– Co z ciebie za najemnik, skoro nie bierzesz pieniędzy.

– Kiedyś brałem. Teraz Rusłan kasę ma pustą, twój ojciec też nie śmierdzi groszem. Ale gdyby się w jakiś sposób wzbogacili, nie pogardzę zapłatą. Amerykanie takich jak ja nazywają żołnierzami fortuny. To określenie lepiej oddaje istotę rzeczy niż najemnik.

– Mógłbyś zarobić – odwróciła wzrok od okna. – Wystarczy, żebyś poszedł do przemytników.

Był zadowolony, że zdołał oderwać ją od ponurych myśli o rannym.

– Brzydę się handlem ludźmi i narkotykami.

– Wuj też handluje heroiną.

– Żeby zdobyć środki na prowadzenie walki, a nie napychać własną kabzę. To jest właśnie to, o czym mówiłem – nic nie jest czarno–białe. Ocena zależy od nas samych. W mojej religii zabójstwo jest złem. A jednak zabijamy. Muzułmanom Koran zabrania przecież bardzo stanowczo samobójstwa. A jednak bojownicy islamscy wysadzają się w powietrze, podejmują akcje, z których nie mają szans powrócić.

– Otrzymują rozgrzeszenie.

– Tak, jedni imamowie ich rozgrzeszają, a drudzy potępiają. Przecież co jakiś czas zbiera się rada duchownych, żeby wykląć wszystkich dokonujących aktów przemocy w imię Mahometa i Allaha. Kto ma słuszość? Z punktu widzenia bojowników ci duchowni, którzy wspierają walkę zbrojną. Ale z punktu widzenia reszty świata, imamowie występujący przeciwko terroryzmowi.

– A ty jak sądzisz?

– A ja sądzę, że powinniśmy prowadzić walkę inaczej. Atakować jedynie obiekty wojskowe i związane z wojskiem. Tak przecież nakazywał wasz prorok. Dżihad nie powinien dotyczyć niewinnych cywilów.

– Ale przecież nasi żołnierze walczą z wojskiem rosyjskim. A nawet wtedy, kiedy organizują zamach na koszary, gdzie ginie tylko wojsko, i tak nazywa się ich zamachy terrorystycznymi.

– To jest coś, co się nazywa retoryką. Chwyty polityczne. Władze Rosji ściśle współpracują w tym względzie z władzami krajów, z którymi na ogół mają napięte stosunki. Na zewnątrz kłóć się, posuwają do rozmaitych gróźb i form nacisku, ale w tajnych spotkaniach, telefonicznych rozmowach, podejmują wspólne decyzje. Dlatego bojownicy czeczeńscy zostali zrównani z terrorystami Al–Kaidy, talibami czy irackimi wywrotowcami, którzy katują przede wszystkim ludność cywilną. Pomogli im w dziele umniejszenia wartości waszej walki ludzie pokroju Basajewa.

– Skąd wiesz to wszystko?

– Umiem patrzeć i myśleć, Halimo.

– Nie lubiłeś Szamila, prawda?

– Nie lubiłem. Uważałem, że należy go zlikwidować, bo jego akcje z reguły były bezmyślnymi i bezsensownymi aktami przemocy. Robił to, czego tak naprawdę chcieli Rosjanie. Swoimi zamachami zrobił więcej w interesie rosyjskiej racji stanu niż ktokolwiek inny. Udowodnił światu, że Czeczeni są groźni, koniecznie trzeba ich kontrolować.

– To odważne słowa w kraju, gdzie jest uważany za świętego.

– Mówię, co myślę, a mam ku temu podstawy. Nic nie poradzę, że może się to komuś nie spodobać.

Milczała przez chwilę ze zmarszczonymi brwiami. Widać było, że intensywnie myśli.

– To dlatego kiedyś odszedłeś? Wróciłeś dopiero po śmierci Basajewa.

– Musiałem wyjechać do Afganistanu. Szamil kazał mnie ścigać jak psa i przynieść moją głowę. Ruslan pomógł mi się przedostać do Iranu, ułatwił kontakty. On też w głębi duszy miał wiele żalu do Basajewa. Pewnie także mu ulżyło, kiedy król zamachów wreszcie zniknął.

– To także nie jest biało–czarne?

– Jak wszystko.

Opuściła wzrok na dłoń Pawła, wciąż spoczywającą na jej ręce.

– Rozmawiasz ze mną – powiedziała, jakby dokonywała wielkiego odkrycia.

– Dziwi cię to? – spytał z przekornym uśmiechem.

– Nie jestem przyzwyczajona. Ojciec ze mną też czasem rozmawiał, ale on studiował w Odessie, nabrał zachodnich obyczajów. Muzułmańscy mężczyźni niechętnie tłumaczą cokolwiek kobietom. Zaś młoda niewiasta w ogóle nie powinna się przy nich odzywać nieproszona.

– Widzisz, znów mamy do czynienia z różnymi spojrzeniami. To samo postępowanie, które dla twoich ziomków jest naganne, według mnie stanowi coś zwyczajnego, nad czym w ogóle się nie zastanawiam.

Dziewczyna spojrzała mu prosto w oczy. Jasne tęczęwki Polaka były tak inne od tych, do których od urodzenia przywykła, że za każdym razem, kiedy w nie patrzyła odczuwała niepokój. Takie oczy mieli przecież

wrogowie. Nagle przypomniał jej się Dymitr. Znow targnął nią szloch. Paweł westchnął ciężko.

– Halima, czy ty się w nim, aby nie zakochałaś?

Pokręciła przecząco głową.

– On wygląda strasznie. Cuchnie od niego, skóra odchodzi, widać kości. Żal mi go, tak okropnie żal...

– Czasem litość przeradza się w miłość. Uspokoila się w jednej chwili, spojrzała na niego gniewnie.

– Mam tylko jedno serce i jedną duszę – oznajmiła twardo. – Nie znajdzie się w nim miejsce dla wroga. Pamiętaj o tym.

Drzwi otworzyły się gwałtownie, stanął w nich Rusłan.

– Zbieramy się z samego rana – rzucił. – W ciągu trzech dni musimy dotrzeć do bazy Achmada, a po drodze mamy jeszcze parę ważnych spraw do załatwienia. Trzeba się spieszyć. Ty, Halima, zostajesz tutaj. Wrócimy z twoim ojcem. Moja kwatery o wiele lepiej nadaje się na siedzibę Klanu Wilka niż ta jego nora pod wodospadem.



Hamsajew dyszał ciężko po długotrwałym biegu. Przez kilka lat wiele się w Czeczenii zmieniło. Dzisiaj uciekali nie przed Rosjanami, ale przed swoimi. Nawet nie wiedzieli, kiedy spotkali sporą grupę uzbrojonych górali z objuczonymi mułami. Przemytnczy. Pojawili się jak spod ziemi. Dla obu stron okazało się to wielkim zaskoczeniem.

– My swoi – pierwszy zareagował Dżochar. Przywódca przemytncików odpowiedział grubym przekleństwem, zarepetował pistolet. Tarkhan nie czekał, wypalił mu między oczy. Gruman ułamek sekundy później puścił serię pod nogi najbliższym. Zdołali uskoczyć za załom granitowej ściany, ścigani pociskami. Potem pędzili na oślep, pilnując jedynie, żeby nie połamać nóg. Na szczęście kręta ścieżka, usiana sporymi głazami, utrudniała oddawanie celnych strzałów pościgowi.

Przyczaili się tuż pod szczytem, na półce skalnej. Okazała się znakomitym punktem obserwacyjnym, nierówne, poszczerbione krawędzie mogły służyć za prowizoryczne strzelnice. Kiedy tylko przemytnicy pojawili się na dole, Tarkhan oddał pierwsze strzały. Po chwili kule zaświstały nad nimi, zastukały o skałę poniżej. Kilku ludzi podjęło próbę przedarcia się za wielki głaz w połowie zbocza, skąd mogliby prowadzić skuteczniejszy ostrzał. Wtedy odezwał się także karabin Dżochara. Przemytnicy zawrócili, zniknęli między krzewami i nierównościami terenu.

Tarkhan złożył dłonie w trąbkę.

– Porozmawiajmy! – zawołał. Z dołu nikt nie odpowiedział.

– Porozmawiajmy! – powtórzył Hamsajew. Tym razem odezwał się schrypnięty głos.

– Nie mamy o czym, psy! Zabiliście nam dowódcę!

– Bo nas chciał zabić!

– Wolno mu, jego teren!

– A bronić się nie wolno?

– Poddajcie się! Wtedy pogadamy.

– Wtedy wyprują nam flaki – mruknął Dżochar. – Co to za ludzie?

– Czeczeni, jak my. Skundlił się kraj, to i ludzie skurwieli.

Spojrzał w dół. Nikogo nie było widać. Doświadczeni górale doskonale wiedzieli, jak i gdzie należy się schronić.

– Dajcie nam spokój! – krzyknął. – Przecież to nie ma sensu!

– Zabiliście jednego z naszych. Krew za krew! Niech ten, co go zastrzelił zejdzie do nas. Drugi może iść wolny.

– Oszalałeś? – teraz odezwał się Gruman. – Nie myśmy was napadli, nie my chcieliśmy od razu strzelać!

Pomyślał natychmiast, że to jałowa dyskusja. Zacietrzewieni przemytnicy nie odpuszczą. Trudno przemówić do rozsądku komuś przywykłemu od lat bezwzględnie likwidować każdego, kto może mu zagrozić. A przecież intruzi na ścieżce, którą idzie kontrabanda to zawsze spore zagrożenie i niewygodni świadkowie. Tacy ludzie, jak ci na dole, pilnie strzegą swoich sekretów.

– Niech jeden z was zejdzie porozmawiać! Nie musimy tak krzyczeć.
– Pewnie – prychnął Dżochar. – A oni oczywiście go nie rozwalą. Niech któryś podejdzie tutaj! – zawołał.

– Żebyście mieli zakładnika?

Tarkhan roześmiał się, choć sytuacja była jak najmniej zabawna. To się nazywa prawdziwy pat. Obie strony udają dobrą wolę, nie mając sobie w zasadzie nic do zaoferowania poza wymianą strzałów. Odwrócił się. Do szczytu wzniesienia zostało jeszcze może pięćdziesiąt metrów. Ścieżka aż do samego końca biegła wśród skał, dając możliwość ukrycia.

– Zajmij ich trochę – powiedział, biorąc plecak kolegi.

– Co chcesz zrobić?

– Ubezpieczyć nas na przyszłość. Za dziesięć minut ruszaj za mną.

– A oni? Pójdą przecież za nami.

– Niech idą.

Hamsajew zmierzał na górę ostrożnie, uważając, by spod nóg nie osunęły się kamyki, które mogły zdradzić jego pozycję. Ścieżka przecinała podwyższenie, prowadziła między dwoma głazami sprawiającymi wrażenie, jakby zostały ciśnięte z nieba niedbałą ręką stwórcy. Z dołu dobiegały okrzyki Grumana i przemytników. Hamsajew odpiął klapę plecaka, rozwiązał rzemień i sięgnął do środka.

Dżochar wyczerpał już wszelkie argumenty. W zasadzie pozostały jedynie wyzwiska, którymi przykuwał uwagę pościgu. Z każdą chwilą wymieniane inwektywy stawały się coraz mniej wybredne. Wreszcie, kiedy nazwał matkę rozmówcy rosyjską dziwką, zagadały karabiny. Zerknął na zegarek. Do dziesięciu minut pozostały jeszcze dwie, ale dookoła gotowało się od pocisków. Wreszcie usłyszał charakterystyczne puknięcie, a po kilku sekundach z góry spadł granat. Wybuchł o dobre dziesięć kroków w prawo, ale zaraz znów doleciała cała seria znajomych odgłosów. Z lufy podwieszanej pod karabinem trudno celować, strzelając pionowo, na wzór moździerza, ale ktoś wreszcie musiał trafić. Gruman wystrzelał do końca magazynek, po czym odczołgał się do tyłu. Do góry biegł ile sił w nogach. Przemytnicy natychmiast zorientowali się, że ścigani opuścili bezpieczną

do tej pory półkę. Pędzili więc za nimi, siejąc kulami na oślepa. Dżochar dopadł przyjaciela w chwili, kiedy tamten przeciągał cieniutki drucik wszerz drogi.

– Uważaj – syknął. – Zabijesz nas! Dżochar rzucił mu chmurne spojrzenie.

– Musisz tak? Nie można było po prostu wysadzić zapalnikiem czasowym?

– Wiesz, jak jest z takimi zapalnikami. Bywają zawodne w trudnych warunkach. A poza tym tamci mogliby przebiec, zanim nastąpi wybuch. Trudno wyliczyć ich prędkość z dokładnością do sekundy.

– Swoich zabijemy.

– Mam gdzieś takich swoich. Zwyczajni bandyci – podniósł się, pociągnął Grumana za ramię. Odgłosy pościgu były coraz bliżej. – Rusz się. Chyba, że chcesz oberwać razem z nimi!

Dżochar bez słowa puścił się biegiem w dół na złamanie karku.



Rozdział 7

W izbie panował zaduch nie do wytrzymania. Mimo to Halima siedziała wytrwale przy łóżku Dymitra. Żaden z bojowników już ich nie pilnował, choć Rusłan nakazał ludziom strzec córki Nikułajewa dzień i noc bez chwili przerwy. Żaden mężczyzna nie był w stanie wytrzymać w smrodzie dłużej niż kilka minut, a kobiet, z natury odporniejszych na podobne doznania, w obozie nie było, poza starą kobietą, która była na pół obłąkana po stracie całej rodziny. W dzień była pomocna, pracowała w kuchni, wykonywała proste zajęcia, ale nocami dopadały ją lęki i straszliwe wspomnienia.

Szewadze majaczył. Wstrząsały nim dreszcze. Otwierając oczy, widział nad sobą piękną twarz dziewczyny, wiedział, że mówi do niego, nie słyszał jej jednak. W uszach brzmiały słowa piosenki, którą często śpiewali wieczorami w bazie. W rozgorączkowanej głowie rwała się na części, sklepane mozolnie wielkim wysiłkiem umysłu. Melodia uciekała i wracała, nie chciała zupełnie odejść, dać wytchnienia i choć minuty spokojnego snu.

*Srogimi chmurami niebo zasłonięte,
Nerwy jak struny gitary napięte,
Deszcz bębni w namiot od nocy do rana,
Brzmi w nim wieczności pieśń już zapomniana,
Idziemy walczyć wszystkimi siłami,
Czołgi, piechota, wozy z armatami,
Dusze skrwawione zacierają ku Bogu,
A my się pchamy wciąż i wciąż do przodu,
Wypij za los, pij bracie aż do dna,
Pij za tych, którzy w domu śpią co dnia,
Wypij za nas, przekłeta wojna nam,
Za braci pij, co byli z nami tam.*

Piosenka pogrążała go w coraz głębszej malignie, twarz dziewczyny zamieniała się w wykrzywione oblicze złośliwego demona. Próbował go odegnąć, ale nie potrafił znaleźć w pamięci słów modlitw, których nauczyła go matka.

Halima słuchała rannego, zupełnie nie rozumiejąc, co znaczą wypowiedane nieskładnie słowa. To, co jeszcze w głowie Dymitra stanowiło jakąś całość, ulatywało w cichą przestrzeń nocy pełnym chaosem, wylewało się bełkotem ze splekanych ust, jakby rozum przestał panować nad językiem. Zresztą nie tylko nad językiem. Ciało rannego od kilku dni zupełnie już odmawiało posłuszeństwa. Załatwiał się pod siebie, choć jeszcze niedawno prosił o kaczkę i basen. Podawali mu je dyżurujący żołnierze. Czynili to niechętnie, często wręcz brutalnie, ale wydawało się, iż jest to dla Dimki mniejsze upokorzenie niż gdyby zdawał się na pielęgnowanie przez oszalałą starą niewiastę. Halimie stanowczo zabroniono wszelkich podobnych czynności. Co innego dbać w taki sposób o własnego męża, wojownika Proroka, a co innego troszczyć się o pogardzanego wroga. Muzułmańska dziewczyna nie powinna oglądać nagości obcego mężczyzny ani wachać jego ekskrementów. Surowe obyczaje islamu uległy na pewno rozluźnieniu w warunkach górskiej kryjówki, ale to rozluźnienie nie mogło pójść zbyt daleko, chociaż po opuszczeniu obozu przez wuja dziewczyna zauważyła, iż niektórzy poczuli się znacznie swobodniej. Może nie tyle chodziło o Rusłana, co o kadiego z Afganistanu. Święty mąż bezwzględnie pilnował przepisanych Koranem modlitw. Cały oddział pięć razy dziennie rozkładał dywaniki, żołnierze klękali, a ich brodate twarze zwracały się w stronę Mekki. Halima także brała udział w modłach, zajmowała miejsce za mężczyznami, jak każe obyczaj. Ojciec kiedyś tłumaczył jej, iż nakaz, by kobiety modliły się z tyłu nie wynikał z lekceważenia Mahometa dla płci pięknej, ale raczej z faktu, że mężczyźni patrzący na pochylające się przed nimi kobiety mogliby niedostatecznie skupić się na modlitwie. Wtedy wydało jej się to wyjaśnienie zarazem zabawne, jak i nieprawdziwe. Przebywając między wojownikami, przekonała się jednak o jego słuszności. Ludzie wuja

potrafili patrzeć na nią pożądliwie. Nieraz chwyciła kątem oka ich spojrzenia, nerwowe wysuwanie koniuszka języka. Wielu zostawiło żony gdzieś po miastach i osiedlach, wielu straciło całe rodziny, a byli też młodzi mężczyźni, w których buzowała niewyżyta, pierwotna siła. Chodzili na akcje, ostrzeliwali rosyjskie posterunki, wracali potwornie zmęczeni, nieraz poranieni, ale zbyt długi pobyt w cichym obozie sprawiał, że w krótkim czasie energia zaczynała ich rozpierać. Jedynie niektórzy mieli kochanki gdzieś w okolicy. Nieraz korzystali z okazji, by wyrwać się na schadzki w umówionych miejscach.

Halima często zastanawiała się, jak to możliwe, że potężna rosyjska armia z całym swoim sprzętem, samolotami i helikopterami, nie zapuszcza się w te okolice. A nawet jeśli czasem przeleci jakiś MiG czy śmigłowiec, nie zwraca uwagi na zabudowania rozrzucone wśród wzgórz. Wprawdzie przy takich okazjach wyglądają na porzucone, ale armia powinna takie miejsca jednak sprawdzać. Dopiero niedawno Paweł jej wytłumaczył ten fenomen. Zacytował polskie powiedzenie, że kiedy nie wiadomo, o co chodzi, musi chodzić o pieniądze. Rusłan Kadajew opłacał odpowiednich ludzi w rosyjskich siłach i czeczeńskich formacjach reżimowych, żeby udawali ślepych i głuchych. Dziewczyna zupełnie nie pojmowała, że coś podobnego może w ogóle działać. Przecież Rosjanom bardzo zależy na ujarzmieniu Czeczenii, zaangażowali tu tak wielkie siły i środki, że wojskowi powinni za wszelką cenę zlikwidować wszelkie ośrodki oporu. Czy pieniądze są dla nich ważniejsze od życia własnych żołnierzy i korzyści ojczyzny? Jej wątpliwości wzbudziły niezwykłą wesołość Mecha.

– To słodkie i cudownie naiwne – powiedział, kręcąc głową z niedowierzaniem. – Doskonale rozumiem, o co ci chodzi. Honor, obowiązek, takie właśnie sprawy. Ale pamiętaj o jednym. Nie wszystkim Rosjanom zależy na Czeczenii. Są tacy, którzy od początku sprzeciwiają się i sprzeciwiali zbrojnemu załatwianiu spraw w tym miejscu. To idealisci, wierzący, iż każdy konflikt można załagodzić pokojowo. Są też tacy, którym ten niewielki region wielkiej Rosji jest zwyczajnie obojętny – należy Czeczenia do imperium – dobrze. Nie należy, drugie dobrze. Takich

jest chyba większość. To politycy starają się wywołać wrażenie, jak to jest istotne, to oni prowokują wojny, a nie zwyczajni ludzie. Zwyczajni ludzie chcą spokojnie żyć, mieć co jeść i gdzie mieszkać, a nie zaglądać innym w garnki. Gorzej, że typowo terrorystyczne zamachy dokonywane przez Czeczenów albo te przypisywane im sprawiają, że ci obojętni będą milczeć i akceptować politykę Kremla. Nikt przecież nie ma ochoty być następną ofiarą.

– A ci, którzy biorą od wuja pieniądze?

– Nie tylko pieniądze. Również narkotyki i informacje o lukratywnych interesach. To ludzie, którzy chcą się dorobić. Trafili w sam środek piekła, niektórzy nie mają ochoty umierać za swój kraj bez wyraźnego powodu, inni nie poświęciliby życia za żadne skarby, bo mają tę swoją ojczyznę głęboko gdzieś. Korzystają jak mogą i z czego tylko mogą. Sprzedają nam nie tylko chwile spokoju, ale i broń. Rosyjskie samoloty możemy strącać dzięki rosyjskim „Strielom”. Jeszcze niedawno od niektórych dowódców można było kupić także żołnierzy. Nie patrz tak. Rosyjscy oficerowie potrafili za parę tysięcy dolarów zamienić podwładnych w pasterzy. Bojownicy nie mieli czasu zajmować się gospodarstwami, a przecież trzeba było je jakoś utrzymywać. Rusłan swego czasu miał w górach chyba cały pluton piechoty.

– Nie uciekali?

– A dokąd? W nieznanym górach czekała ich pewna śmierć. Mogli próbować wracać do armii. I co ich tam czekało? Oficer, który ich sprzedał już by się postarał, aby zamilkli na wieki. Niektórzy dowódcy czeczeńscy odsprzedawali ich potem rodzinom. Tak, Halimo, handlowali nie tylko jeńcami wziętymi w boju. Ludzie twojego wuja obcięli parę palców różnym rosyjskim chłopcom, nagrywali to i wysyłali taśmy, żeby skłonić bliskich do zapłacenia okupu.

To było straszne. Z jednej strony Halima zdawała sobie sprawę, że dzieją się różne rzeczy, że nie tylko Rosjanie są okrutni. Z drugiej jednak strony dreszcz ją przechodził na myśl, że słyszy taką opowieść nie z trzecich czy czwartych ust, ale od kogoś, kto patrzył na to własnymi oczami.

– Ty też to robiłeś? – spytała z odrazą.

– Nigdy, dziewczyno – poczerwieniał z oburzenia. Tylko ten jeden raz widziała go rozgniewanego. – Nie jestem rzeźnikiem tylko najemnikiem. Czeczeni to naród surowy, często okrutny. Ja wychowałem się w innej kulturze. Waszą mogę rozumieć, akceptować, ale to nie znaczy, że mam coś robić wbrew swoim przekonaniom.

– Najemnicy też robią różne rzeczy – odparła prowokująco.

– Prawda – przytaknął. – Znałem jednego takiego, Serba. Duszan Sokowicz mu było. Powiedzieć o nim zwierzę to obraza dla każdego żywego stworzenia. Robił takie rzeczy, że nie mogli na to patrzeć nawet czeczeńscy żołnierze. Teraz podobno nadal jest najemnikiem, ale zaciągnął się do reżimowej milicji w Groźnym. Podobno zatrudnili go jako przewodnika i tropiciela.

Paweł za każdym razem rozmawiał z nią jak równy z równym, nie zważając na gniewne spojrzenia i cierpkie uwagi Rusłana, lekceważąc pełne potępienia milczenie kadiego. Wuj Rusłan widział w niej jedynie ukochaną córkę męża siostry i wypróbowanego towarzysza broni. Polak najwyraźniej dostrzegał drugiego człowieka.

Westchnęła ciężko. Znów została sama w towarzystwie mrukliwych bojowników. Po wyjściu silnego oddziału w obozie zostało może trzydziestu ludzi, w większości takich, którzy niedawno odnieśli rany albo chorowali.

– Halima – rozmyślania przerwał wysilony szept. Drgnęła, złękła się, bo głos brzmiał jakby dochodził z zaświatów. Dymitr patrzył na nią wielkimi, gorejącymi oczami. Wyglądał jak upiór, jakby wyszedł z grobu po kilku tygodniach, zerwał bowiem z rąk bandażę, zrzucił opatrunki z twarzy, ukazując straszliwie zmasakrowaną skórę. Odór ropy i zepsutej krwi tym mocniej przywodził na myśl otwartą mogiłę. Podniósł z wysiłkiem głowę.

– Co robisz? – zawołała drżącym głosem. – Oszalałeś?

– Oszalałem – wymamrotał. – Tak... Oszalałem. W chwili, gdy poszedłem na tę wojnę byłem niespełna rozumu. Wybacz, Halimo.

– Co mam wybaczyć?

– Poszedłem zabijać i ranić. Chciałem się przysłużyć ojczyźnie. Ale co to za zasługa strzelać do ludzi?

– Wojownik musi zabijać. Głowa chorego opadła ciężko.

– Nie jestem wojownikiem. Nigdy nie byłem. Jestem poetą. Może niezbyt dobrym, może grafomanem, ale tworzyłem... Nie niszczyłem!

– Jesteś dzielny, Dimka. Żołnierz musi być dzielny.

– Większość żołnierzy to tchórze – powiedział głosem nieoczekiwanie dźwięcznym i czystym. – Nie sztuka mordować, mając w ręku karabin. Sztuką jest nie stchórzyć, gdy się stanie naprzeciwko uzbrojonego bydlaka.

Halima zadrżała przerażona. Działo się coś dziwnego. Człowiek pogrążony w majakach mówił wyraźnie i z sensem. W błędnych źrenicach widać było, że tak naprawdę rozmawia z kim innym i gdzie indziej.

– Tak, Nastia – mówił Dymitr. – Wziąłem karabin do ręki, bo jestem poetą. Lermontow zakończył życie gdzieś na Kaukazie, może i mnie taki los pisany. Nie płacz, głupia. Wrócę to się z tobą ożenię. A po co niby teraz mamy się pobierać? Kto wie, czy wdową zaraz nie zostaniesz. A wdowa, Nastka, nawet młoda, to nie to samo co panna na wydaniu.

Halima zdała sobie sprawę, że Szewadze przemawia do swojej narzeczonej, którą zostawił w Moskwie, a może na Syberii, gdzie mieszkała jego matka. Czy to prawdziwa rozmowa, jaką odbyli przy pożegnaniu, czy może wytwór rozgorączkowanej imaginacji?

– Nie wolno płakać – ciągnął ranny. – Co by powiedział twój ojciec? Przecież on jako oficer i w Afganistanie był, i w pierwszej wojnie czeczeńskiej. Generała Lebedzia znał. Spytaj jego, powie czy można tak płakać.

Halima położyła okład na czole Dymitra, pogładziła mokre, zlepione włosy, spieczone wargi zwilżyła szpatułką owiniętą mokrą watą. Uspokajał się powoli, cichł, pogrążał w nieświadomości. Zamknął oczy.

– Śpij – szepnęła. – Zapomnij o wszystkim.

Oddychał chrapliwie, nierówno. Dziewczyna wstała z twardego taboretu, rozprostowała ramiona. Pora samej się wyciągnąć, doczekać poranka.

Niech będzie słoneczny albo mglisty, wietrzny lub deszczowy, ale zawsze świeży i pełen nowej nadziei, nawet jeśli jest ona tylko ułudą.



Bazy Omara Guldy strzegły wysokie szczyty, z których strażnicy mogli prowadzić dokładną obserwację całego terenu dookoła. W okolicy nie było drzew, jedynie niskie zarośla, które mogły dać schronienie pojedynczym ludziom, ale na pewno nie całemu, wielkiemu oddziałowi. Dlatego Rusłan zdecydował, że podejść w nocy. Pochmurne niebo i siąpiący deszcz były okolicznościami z jednej strony sprzyjającymi, ale z drugiej utrudniały poruszanie się i wykrywanie pułapek. Paweł właśnie klęczał przy jednej z nich, przyświecając sobie małą latarką z niebieskim filtrem. Czujnik ruchu, produkcji rosyjskiej, migał miarowo czerwoną diodą. Mech zastanawiał się, dlaczego takie urządzenia są wyposażone w zewnętrzne sygnalizatory stanu gotowości. Przecież dzięki temu w nocy łatwiej je wypatrzeć. Oczywiście światelko można wyłączyć, jednak wymaga to znajomości konstrukcji czujnika, gdyż łatwo wraz z diodą rozłączyć obwód zasilania. Polak uśmiechnął się do siebie. Na każdą elektronikę człowiek wymyśla zaraz sposób. Gulda rozstawił czujniki ruchu, a Rusłan miał wykrywacze właśnie tych urządzeń. Kawałek dalej z przodu inny człowiek z oddziału zajmował się kamerą na podczerwień. Teren był gęsto usiany podobnymi niespodziankami, zupełnie jakby to były znakomicie chronione rosyjskie koszary. Bliżej obozu zapewne rozłożono miny. A przecież trzeba się do niego zbliżyć tak, by strażnicy nie zorientowali się, że ktoś nadchodzi. Z drugiej strony, właściwie nie ma sposobu, by tego w końcu nie odgadli. Najważniejszy w takich sytuacjach jest czas. Dlatego postanowili użyć podstępów. Za chwilę system zamelduje uszkodzenie czujnika, potem awarię kamery. To się zdarza dość często, ale ludzie czuwający nad bezpieczeństwem muszą sprawdzać każdą awarię. Na to właśnie liczył Rusłan. Gulda czuje się na pewno zagrożony po tym, co stało

się z Hiramem. Nieudzielenie pomocy było aktem jawnej zdrady. Mnogość rosyjskiego sprzętu zabezpieczającego potwierdzała tylko, że komendant poszedł na układ z wrogiem o wiele bardziej niż to praktykowano zazwyczaj, aby zapewnić sobie względny spokój. Komendanci polowi z reguły jakoś dogadywali się z szefami rozrzuconych po górach garnizonów, którzy też nie mieli ochoty na ciągłe utarczki.

Paweł skończył pracę przy czujniku, dał sygnał latarką. Po chwili zbliżył się Kadajew, jak zawsze bezszelestnie.

– Czekamy – szepnął. – Kamera też już odłączona.

Odpełzli kilkanaście kroków do tyłu. Mech usłyszał ciche pstryknięcie. Rusłan włączył pasywny noktowizor, przycisnął wizjer do oka. W ciszy słychać było jedynie szum deszczu i szelest liści, poruszanych lekkim wiatrem. Minęło kilkanaście minut, ciało Polaka zaczynało ogarniać senne odrętwienie.

– Idą – Rusłan szturchnął nagle Pawła. – Twoja kolej. Mech podniósł do oka karabin, włączył zamontowany na nim sprzęt noktowizyjny. Od strony obozu zbliżało się trzech ludzi. Barwne plamy rozmazywały się, ale postacie były wyraźne. Spod nóg idącego nieco z przodu wyrwała się nagle niewielka sylwetka. Idący stanęli. Paweł zacisnął szczęki – królik. Zaraz jednak rozluźnił się. Może to nawet lepiej. Skoro spłoszyli dzikie zwierzę, powinni nieco się uspokoić. Nie można jednak liczyć, że wszyscy na raz podejną do jednego urządzenia. Należy przestrzegać żelaznych zasad zachowania w niespokojnym kraju. Rzeczywiście – jeden z ludzi Guldy ruszył w stronę uszkodzonej kamery, a dwóch w pewnym oddaleniu czekało aż skończy pracę. Potem skierowali się ku czujnikowi ruchu. Znów powtórzyła się poprzednia procedura. Tym razem jednak nie miała zakończyć się jak przed chwilą. Polak nacisnął spust dwa razy po sobie, błyskawicznie. Zakończona tłumikiem lufa Wintoreza wypluła pociski, kolba lekko kopnęła strzelającego w ramię. Słychać było jedynie cichutkie puknięcia i świst. Dwie postacie z tyłu osunęły się na ziemię. Ten, który dłubał przy czujniku ruchu w pierwszej chwili nie zauważył, że dzieje się coś niepokojącego. Dopiero po dłuższej chwili podniósł głowę, ale było za

późno na jakiegokolwiek działanie. Dwóch bojowników trzymało go już pod rękę, trzeci uderzył precyzyjnie w splot słoneczny. Ostrzegawczy krzyk uwiązał w gardle, zamienił się w cichy jęk. Przyciągnęli go do miejsca, gdzie leżeli Paweł z Rusłanem. Na znak dowódcy zalepili jeńcowi usta taśmą, rzucili go na trawę. Dwóch unieruchomiło mu nogi, jeden chwycił za głowę, dwóch następnych rozkrzyżowało ręce. Rusłan wyjął nóż, w niebieskim świetle latarki pokazał ostrze schwytanemu. Oczy tamtego zrobiły się wielkie jak spodki. Rusłan przyłożył nóż do lewej dłoni jeńca, nacisnął z całej siły. Z gardła nieszczęśnika wydobył się stłumiony, rozpaczliwy skowyt.

– Będziesz mówił? – Kadajew pochylił się nad człowiekiem, któremu poleciały łzy. Pokazał mu odcięty palec.

Odpowiedziało gorliwe kiwnięcie.

– Tylko nie wyj, bo obetnę twój dumny łeb bagnetem, a to długo trwa i podobno bardzo boli.

Taśma została zerwana z twarzy jeńca. Zachłysnął się powietrzem, z trudem stłumił krzyk bólu.

– Po co? – jęknął po czeczeńsku łamanym językiem. – Ja Ruski. Tylko sprzętu pilnuję. Kazali dowódca, to siedzę tutaj i naprawiam.

Paweł dopiero teraz przyjrzał się mężczyźnie bliżej. Rzeczywiście nie miał brody, włosy ciemne, ale rzadkie, rysy bardziej kałmuckie niż kaukaskie.

– Przeprowadzisz nas do obozu – powiedział Kadajew. – Ilu tam ludzi?

– Cały oddział, będzie ze stu, może nawet stu dwudziestu. Dobrze uzbrojeni, pilnują się. Nie wiem, ilu was, ale trzeba z batalion, żeby zdobyć.

– Nie będziemy zdobywać. Pięciu nas idzie i ty. Pokażesz kwaterę Guldy. Zrobimy swoje, a potem cię puścimy. Zgadzasz się?

Znów odpowiedziało gorliwe kiwanie głową.

– Paweł, będziesz nas ubezpieczał.

– Wolałbym iść z tobą. Przyda się ktoś z chłodną głową, bo wy wszyscy strasznie jesteście rozgorączkowani.

– Nie tym razem, przyjacielu. To przede wszystkim sprawa klanu i rodziny. Do grupy uderzeniowej biorę tylko krewnych i przyjaciół Hirma. Reszta oddziału idzie jako wsparcie, a ty dobierz sobie kilku zuchów, erkaemy i zajmijcie najdogodniejsze pozycje. Dziś powojujemy tak, jak to robili od wieków nasi ojcowie. Staniemy z wrogiem twarzą w twarz.

Bojownicy sprawnie związali jeńcowi ręce na plecach. Któryś założył mu przedtem opatrunek. Paweł cofnął się. Sprawy klanu, czy plemienia są w tym kraju ważniejsze od wszystkiego innego. Dawniej Czeczeni, mówiąc o takich związkach, posługiwali się jedynie terminem „rodzina”. Nazwę „klan” przejęli od Rosjan, może dlatego, że lepiej oddawała faktyczny stan rzeczy. Jednak właśnie przez takie wewnętrzne konflikty kraj nie był w stanie wybić się na niepodległość. Ci sami dowódcy, którzy wczoraj jeszcze mienili się wojownikami wolności

I oddawali cześć tradycyjnym zasadom, dzisiaj współpracowali z Rosjanami. Dawali się kupić za odrobinę władzy i wpływów, za możliwość załatwienia czegoś dla swoich krewnych i przyjaciół. Niewielu było takich, co przechodzili na stronę nowego reżimu z wewnętrznego przekonania.

– W drogę – Rusłan podniósł karabin. – Pora zapytać Omara Guldę o kilka ważnych spraw.



Siedzieli przy ogniu długo w noc. Malinin znalazł grotę, w której mogli się schronić przed siąpiącym deszczem. Była wysoka, sklepienie przechodziło z czegoś na podobieństwo gotyckiego łuku w wyciągnięty wysoko stożek, na którego końcu za dnia było widać krążek nieba. Wymarzone miejsce dla strudzonego wędrowca. Wadim był pewien, że nie trafili tutaj przypadkiem, choć oficer GRU zarzekał się, jakoby nigdy przedtem nie podróżował po tej części dystryktu, a kwaterę znalazł psim śwędem. Zresztą to było w sumie nieistotne. Prawdopodobność agenta zawsze jest wątpliwa. Nawet kiedy mówi, iż kocha kobietę, nawet jeśli ryzykuje dla niej życie i ma z nią

potomstwo, nie można mu ufać, bo może po prostu wykonywać w ten sposób jakąś misję.

Czekali na informacje, które obiecał przekazać im tej nocy. Dlatego tak długo nie spali. Trzeba było to wszystko przetrwać.

Klan Wilka. Wołkowski po raz pierwszy w życiu usłyszał tę nazwę. Sądząc z reakcji Wiktořenki, on też nie był wtajemniczony. Malinin beznamiętnym głosem opowiadał o organizacji Czeczenów. Była tak tajna, że przez dłuższy czas niewielu spoza kręgu zainteresowanych wiedziało o niej, nawet w szumnie proklamowanej przez rebeliantów Czeczeńskiej Republice Iczkerii. Nazwa „klan” była tu zresztą nieco myląca. Do stowarzyszenia należeli ludzie z rozmaitych części kraju, z różnych rodzin, często skłóconych i na co dzień okazujących sobie wrogość. Klan Wilka, czy – jak tego chcieli czeczeńscy tradycjonałiści – Ród Wilka powstał na początku drugiej wojny czeczeńskiej. Malinin twierdził, że finansowały go tureckie agendy CIA, wywiadu brytyjskiego, a nawet niemiecka BND, tradycyjnie mająca na Bliskim Wschodzie znakomite układy. Działalność klanu zwrócona była, co oczywiste, przeciwko Rosji. Amerykanie chcieli za pomocą czeczeńskich separatystów osłabić pozycję konkurencyjnego mocarstwa w tym regionie świata, a przy okazji na forum międzynarodowym. W ogóle początek tej wojny w rejonie Kaukazu był inspirowany przede wszystkim działalnością obcych wywiadów. Malinin sugerował, że Putin pozwolił się po prostu wpuścić w ten konflikt.

– Tak... dał się zrobić jak dziecko – wtrącił wtedy Siergiej. Kapitan GRU poczerwieniał. Pyskaty sierżant nieodmiennie go irytował. – Generałowi Lebedziowi udało się zakończyć jedną wojnę, a Putin zaczął następną zupełnie bez sensu. W dodatku podczas kampanii wyborczej załatwił właśnie tego jedyne go faceta, który mógł coś jeszcze z tym zrobić.

– Co sugerujesz? – spytał ostro Malinin.

– To, co wszyscy i tak wiedzą. Helikopter z Lebedziem spadł podczas wyborczych przepychanek, dokładnie w chwili gdy generał zyskiwał poparcie.

– To obrzydliwe insynuacje. Mówisz to, co chcą nam wbić w głowę wrogowie Rosji. Lebidź był zwyczajnym, tępym...

– Uważaj – ostrzegł Wołkowski. – Sierioża miał okazję poznać generała osobiście. Lepiej przy nim nie mówić takich rzeczy.

Ale Siergiej nie wyglądał na poirytowanego. Wręcz przeciwnie – uśmiechał się ironicznie.

– Byłem kiedyś na pokazach lotniczych jako jego ochrona – rzekł nieoczekiwanie łagodnym tonem. – To było w ramach większych manewrów. Lebidź siedział w łoży honorowej. W pewnej chwili podchodzący do lądowania śmigłowiec spadł i stanął w płomieniach. Wiesz, kto był jednym z pierwszych przy maszynie? Kto własnymi rękoma wyciągał ludzi ze środka, pracował na równi z innymi? Pieprzył swoje dystynkcje, pieprzył, że galowy mundur będzie wyglądał jak szmata, miał w dupie, że helikopter może lada chwila wybuchnąć. Już wiesz, kapitanie, za co kochali go żołnierze i dlaczego potrafił być konkurencją dla Putina? Był autentyczny, nikogo nie udawał. Ludzie czują takie rzeczy, a Rosjanie czują je znacznie lepiej niż inni.

– Uważasz więc, że Władimir Władymirowicz nie nadaje się na prezydenta?

To było niebezpieczne pytanie, szczególnie w ustach człowieka z wojskowego wywiadu. Wołkowski spojrzał ostrzegawczo na podwładnego. Nie zawsze przecież będą siedzieć w tej dziczy. Po powrocie do Moskwy Malinin może narobić sporych kłopotów. Ale sierżant nie dał się sprowokować.

– To nie tak – zamrugął szybko, przetaił oczy bo jakaś drobina popiołu z ogniska zaplątała się pod powieką. – Putin przywrócił nam narodową dumę. Sprawił, że mogliśmy poczuć się znów godnymi szacunku Rosjanami, a nie zadupiem cywilizacji. To mu trzeba przyznać. W tym znaczeniu od samego początku dobrze sprawował urząd. Ludzie znów zaczęli dostrzegać blask mocarstwa. Ale wolno mi chyba myśleć, że Lebidź byłby lepszy?

Malinin nie odpowiedział, kiwnął tylko głową. A potem podjął dalszą opowieść o Klanie Wilka. Do organizacji należeli czołowi przywódcy

rebelii, w tym prezydent wolnej Czeczenii, Asłan Maschadow. Członkami byli oczywiście Szamil Basajew, Zelimchan Jandarbijew, a także późniejszy prezydent z ramienia Rosji, wówczas Wielki Mufti Czeczenii, Achmad Kadyrow. Prawdopodobnie to dzięki niemu właśnie, kiedy zdecydował się przejść na stronę rosyjską, wywiad dowiedział się o istnieniu tajnego stowarzyszenia. Dopadła go zemsta zdradzonych pobratymców. Zginął spektakularnie, na stadionie w Groźnym podczas obchodów Święta Zwycięstwa, dziewiątego maja dwa tysiące czwartego roku. Stało się to dwa lata po likwidacji klanu, dokładnie w rocznicę akcji wojska i sił FSB przeciwko spiskowcom. Ta likwidacja zresztą była przedsięwzięciem militarnym i logistycznym na wielką skalę, a przy tym została przeprowadzona zupełnie niejawnie – udało się ukryć jej rozmiary przed światem. Gdyby prawda wyszła na jaw, mógłby znacznie ucierpieć prestiż Federacji Rosyjskiej. Schwymano przywódców stowarzyszenia w ich bazie na terenie Dagestanu. Zdumienie wywiadu wywołało to, iż najważniejsi w organizacji nie okazali się ani Maschadow, ani Basajew czy choćby Jandarbijew. Wręcz przeciwnie – ich działalność stanowiła zupełne peryferia aktywności klanu, w zasadzie przeprowadzali jedynie mniej istotne dla sprawy akcje. Głową spisku był Alik Naumajew, niezbyt znany komendant polowy, a jego zastępcą Rujan Nikułajew, starszy brat Achmada, obecnego samozwańczego prezydenta Czeczenów.

– Amerykanie ich nie ostrzegli? – to pytanie zadał Wiktoренко. Wiedział przecież doskonale, jakie stosunki panują w wywiadzie i kontrwywiadzie. – Na pewno mieli jakieś wiadomości o planach pacyfikacji. Nasi oficerowie są bardzo łasi na dolary.

Malinin wzruszył ramionami.

– Wiedzieli na pewno, ale nie zrobili nic, dla Czeczenów do samego końca było to zaskoczenie. CIA już wtedy zaczęła pojmować pewne proste prawdy o konfliktach w tej części świata. Arabowie nienawidzą ich o wiele bardziej niż nas, to wiadomo od dawna. Jednak liczyli, iż takie narody jak Czeczeni będą im sprzyjać. Pewnie tak by było, gdyby nie ludzie, którzy zwąchali się z Al-Kaidą. Zaczęli prowadzić własną politykę za plecami ich

władz. Pamiętacie? Maschadow nie raz odcinał się od zamachów Basajewa, potępiał go za terroryzm.

Do Wadima dotarło nagle z całą mocą, co znaczą słowa kapitana. To nie Kadyrow czy inny zdrajca wystawił Klan Wilka. Niemożliwe, żeby pojedynczy człowiek, w istocie rzeczy znajdujący się gdzieś na marginesie działań grupy wiedział aż tyle, aby pomóc rozbić jądro problemu. Zdradzili Amerykanie. Przestraszyli się. Ich służby często chowają głowę w piasek i przestają działać albo działają w zupełnie przeciwnym kierunku niż na początku. Jak wtedy, gdy George Bush po pierwszej wojnie w Zatoce Perskiej namawiał irakijskich Kurdów do powstania. Potem Waszyngton albo odmawiał pomocy, albo słał ją tak, że zrzuty spadały na terytorium kontrolowane przez armię Saddama. Podobno jeden z cenniejszych transportów spadł, owszem, prosto na głowy oczekujących Kurdów, ale za to bez spadochronów, powodując ofiary. Potem słynny Chemiczny Ali, jak o nim mówiono – prawa ręka i lewy pośladek Husajna, zdecydował o użyciu broni masowego rażenia. Delegacji kurdyjskiej, skarżącej się na zakazane praktyki Iraku, amerykański sekretarz stanu miał odpowiedzieć coś w rodzaju „czy oczekiwaliście, że będą was polewać perfumami?”. Dla polityków nie mają znaczenia losy jednostek, cierpienia kobiet, dzieci, tragedie całych narodów. Przecież ataki irackiej armii siały śmierć wśród cywilów, a nie wojowników, którzy prowadzili walkę. Dla polityków liczą się jedynie cele – raz doraźne, innym razem odległe, długofalowe. Najważniejsza zaś jest przecież nie etyka, ale skuteczność. Moralność to domena słabych. Mocarze nie potrzebują się krępować zbyt wielkimi nakazami i zakazami.

Likwidacja Klanu Wilka była regularną rzezią. Z obecnych w bazie rebeliantów nie uszła żywa noga. Nie oszczędzono nikogo, nie brano jeńców. Dowodzący akcją wiedzieli już, co trzeba; nie musieli pozyskiwać dodatkowych informacji. Poza tym każdy żyjący członek organizacji stanowił zagrożenie. Oczywiście jakaś część uratowała się, przebywając gdzieś w terenie, a niektórzy – ci co zdecydowali się zdradzić swoich – zostali w ostatniej chwili ostrzeżeni przez służby specjalne.

– Co chcieli zrobić? – Wiktor rozłożył ręce po oczywistym i nieuchronnym pytaniu Wołkowskiego. – Nie wolno mi tego wyjawiać. Planowali przedsięwzięcie naprawdę na wielką skalę. Coś co mogło zagrozić bezpieczeństwu Rosji, zachwiać pozycją państwa. Możemy się jedynie domyślać, o co chodziło, ale w takich sprawach domysły to trochę za mało.

– Mieli do sprzedania tajemnice wojskowe? Może byli w stanie zorganizować jakiś wielki przerzut broni z Iranu?

Malinin spojrział na Wiktorenkę z politowaniem.

– Takimi rzeczami nikt się nie przejmuje. Ale zagrożenie było ogromne.

– Musiało – wtrącił Wołkowski. Dał upust nurtującym go myślom. – Musiało, jeżeli sami Amerykanie wystawili klan naszym służbom. Najpierw nakręcili wszystko, napędzili machinę, a potem się cofnęli, jak to mają często w zwyczaju. Początkowo sądziłem, że to po prostu kolejny ich blamaż. Ale zaczyna mi się zdawać coś wręcz przeciwnego. Ile na tym ugrali?

Kapitan zamilkł zaskoczony, dłuższy czas wpatrywał się w twarz Wadima.

– Sporo – odpowiedział po dłuższej chwili. – A pan, majorze, powinien zgłosić się do departamentu wywiadu. Stanowczo szkoda takiego talentu i spostrzegawczości na zmarnowanie w brygadzie antyterrorystycznej. Tam poradzi sobie każdy trochę inteligentniejszy osiłek. Wspaniały ciąg skojarzeń.

– To nic nadzwyczajnego. Likwidacja Klanu Wilka nastąpiła nieco ponad pół roku po zamachu na World Trade Center, to nietrudno policzyć. Samo wystawienie klanu nastąpiło zapewne zaraz po tragedii. Amerykanie zrozumieli, że z islamistami nie poradzą sobie, działając wciąż w ten sam sposób, powielając te same schematy postępowania, że potrzebna im będzie wolna ręka ze strony Rosji, aby prowadzić wojnę z Irakiem, wysyłać kolejne misje do Afganistanu, przycisnąć Iran i przy okazji także Koreę Północną. Sprzedali więc Rosji sprzymierzeńców. Cokolwiek by Czeczeni zamierzali i jakie korzyści mogła Ameryka z tego wyciągnąć, okazało się to

niewiele warte w porównaniu z porozumieniem między mocarstwami, ustaleniem nowych stref wpływów i zielonym światłem dla działań zbrojnych. Nasz rząd protestował przeciwko interwencji w Iraku, ale pod negocjacyjnym stołem machał przyzwalająco ręką. Młodszy Bush zafundował światu nową Jałtę.

Malinin roześmiał się.

– To chyba trafne porównanie. Nie ma to jak poświęcić sojuszników w imię wyższej sprawy. Najbardziej skuteczni są przecież ci, którzy najpierw z głębokim przekonaniem coś budują, by potem z jeszcze większym entuzjazmem obrócić w perzynę misterną konstrukcję. Jedno trzeba przyznać CIA: opanowali do perfekcji właśnie takie techniki. Mają wydziały zajmujące się tworzeniem, pracujące gorliwie, z pełnym przekonaniem o słuszności działań. A potem wchodzi do akcji inni ludzie, równie ideowi, którzy nie cofną się przed niczym, a ze złota potrafią uczynić gówno z podziwu godną biegłością. W tym gównie taplają się później dotychczasowi przyjaciele Stanów Zjednoczonych.

Wołkowski patrzył z obrzydzeniem na kapitana. Wiktor najwyraźniej napawał się wypowiedzianymi słowami. Dla niego zdrada nie była czymś nagannym. Miał z nią do czynienia na co dzień, była wierną towarzyszką życia agenta. Zdradę postrzegał i podziwiał tak, jak normalny człowiek chłonie zmysłami prawdziwe dzieło sztuki. Zdrada była dla niego cenniejsza od złota, więcej – chwilami mogła się okazać wręcz bezcenna. Była towarem, a właściwie walutą w rozgrywkach wywiadów i handlu informacjami. Właśnie przez takich jak kapitan GRU świat wygląda żałośnie. Dzięki nim podłość bywa silniejsza od skrupułów. Anty terroryści także nie są aniołami. Sporo w oddziałach różnych indywiduów. Uczy się ich zabijać bez zastanowienia, przygotowuje na poświęcenie życia niewinnych w razie konieczności.

Jednak w porównaniu z takimi typami jak Malinin zdają się niewinni niczym niemowlęta w kołysce.

– Ale czym się właściwie zajmował ten cały Klan Wilka? – spytał Wiktoренко.

Kapitan GRU rozłożył bezradnie ręce.

– Mówiłem już, to tajemnica. Ścisłe tajne spec–znaczenia. Powinno wam wystarczyć, że rzecz dotyczyła bezpieczeństwa państwa i tyle.

– Trochę mało.

– Więcej powiedzieć nie mogę. Jedno jest pewne: idioci od ben Ladena atakiem na Amerykę odsunęli od Rosji ogromne zagrożenie. Te wszystkie bomby w Dagestanie czy metrze, masakra na Dubrowce, nawet rzeź w Biesłanie to małe piwo w porównaniu z zamysłami klanu. Myśleliśmy, że po zgotowanej hekatombie ta organizacja już się nie odrodzi.

– Myśleliście? – spytał z niedowierzaniem Zachariasz. – Naprawdę tak myśleliście? Przecież idee nie umierają. Tylko człowieka można zabić.

– Może inaczej. Nie przypuszczaliśmy, że pojawi się jakaś siła, która skłoni tych paru ocalałych członków stowarzyszenia do odgrzania cuchnącego kotleta. Ale się pojawiła.

– Iran czy Korea? – spytał Wołkowski i natychmiast sam sobie odpowiedział: – Stawiam na Iran. Koreańczycy mają dość problemów na innych polach działalności.

– Majorze, albo pan więcej wie niż chce przyznać, albo naprawdę ma pan umysł analityka. Przecież Iran to w tej chwili, na dobrą sprawę, nasz sojusznik. Regularnie sprzeciwiamy się na forum ONZ próbom zachodniego interwencjonizmu w stosunku do tego państwa.

– Bez przesady – Wadim wyduł wargi. – Iran może jest naszym cichym sprzymierzeńcem, ale USA to dla tego kraju najgorszy wróg. Przecież przywódcy irańscy nie zawsze postępują racjonalnie. Może ktoś doszedł do wniosku, że skoro Putin dogaduje się z Bushem, nie ma co się z nami pieścić.

– No cóż, nie będę zaprzeczał – uśmiechnął się Malinin. – Chociaż w zasadzie powinienem. Ma pan sporo racji. Jedno jest pewne. Irańscy przywódcy sprzyjają działaniom Klanu Wilka. Więcej, dzięki ich poparciu spiskowcy mają spore środki finansowe. Dość duże, żebyśmy nie mogli liczyć na lojalność własnych oficerów z rozmaitych garnizonów. Mamy w Czeczeniu także różnych przybyszów z Pakistanu i Afganistanu.

Przerzucanie specjalnie szkolonych terrorystów wzmogło się w ostatnim czasie. Uzyskaliśmy także pewną informację, że wśród członków organizacji jest znany szyicki kadi. To właśnie w tym wszystkim jest najgorsze – islamiści są tak zdeterminowani do działania, że sunnitom zdaje się nie przeszkadzać obecność doradców z konkurencyjnego odłamu religijnego, przyjmują pomoc od każdego. A przecież proklamowali się kiedyś jako republika wahabicka. Chcieli powołać samodzielny kaukaski kalifat.

– Trzeba im było pozwolić – mruknął ponuro Siergiej. – Sami by się wykończyli.

– Może i było tak. Jednak władze doszły do innego wniosku. Z rozkazami żołnierz nie powinien dyskutować.

– Nie powinien – zgodził się Wadim. – Ale należy mówić ludziom, dlaczego podejmuje się pewne decyzje. Na przykład co zamierzają separatyści zrobić teraz.

W republice panuje niby pokój, a my działamy w warunkach wojennych.

– Bo taki to i pokój – wzruszył ramionami Malinin. – Nie ma formalnego powstania, ale bunt zawsze się tli i jest gotów wybuchnąć w każdej chwili.

– Nie uciekaj od odpowiedzi.

– W tej chwili nie mogę wam zbyt wiele wyjawić. Przyjdzie czas, wszystkiego się dowiecie.

– A kiedy ten czas przyjdzie? – spytał ze złością Wiktoренко. – Może już po wszystkim? To by nawet pasowało do waszych wojskowych metod.

– Dowiecie się ile trzeba, ale dopiero w chwili, kiedy będzie wiadomo, czy nasza mała wycieczka w ogóle na coś się przyda.

Na tym rozmowa się urwała. Siedzieli i pólleżeli, zapatrzeni w płomień. Wadim miał ochotę zadać jeszcze jedno pytanie, ale postanowił poczekać aż zostaną z Malininem w cztery oczy.



Rozdział 8

Alarm nocny w garnizonie stał się już, na szczęście, historią. Strzały, które wiatr przyniósł po północy od strony zachodniego masywu postawiły na nogi całą jednostkę. Wyjechały nawet samochody z patrolami, ale hałasy szybko umilkły. Dowódca doszedł do przekonania, że czeczeńscy separatyści albo strzelali na wiwat, albo pokłócili się między sobą. To zdarzało się dość często, szczególnie, że ludzie Guldy prowadzili nie tylko ożywiony handel bronią i narkotykami, ale przemycali także alkohol. Zazwyczaj oszałamiali się heroiną lub opium, wtedy byli niegroźni, ale bardzo źle reagowali na wódkę, którą sprowadzali głównie na użytek rosyjskich żołnierzy. Wywoływała w nich agresję do tego stopnia, że bez powodu potrafili podchodzić pod koszary i ostrzeliwać je z karabinów, wykrzykując obelgi. Było to czasem nieco uciążliwe, ale nie stanowiło poważnego zagrożenia. Generał Patkin tolerował obecność w pobliskich górach sporego zgrupowania bojowników. Miał ich przynajmniej pod kontrolą, a korzyści z wymiany towarów były zbyt duże, aby zabijać kurę znoszącą złote jajka. A poza tym zyskał ciche przyzwolenie Moskwy na takie traktowanie Guldy. Rebelianci w tym rejonie stanowili doskonały pretekst, by tłumaczyć obecność silnych oddziałów rosyjskich. Zatem on przymykał oczy na obecność wroga, a przełożeni na jego bierność. Dzięki temu wszyscy byli zadowoleni i oprócz pojedynczych incydentów nic nie zakłócało swoistej symbiozy. Alarm został zatem odwołany od razu, kiedy straż zorientowała się, że garnizonowi nic nie zagraża.

Generał podniósł się ciężko z łóżka. Materac, sprowadzony specjalnie z pewnej pekińskiej manufaktury, a który miał przynieść ulgę obolałemu kręgosłupowi, wyleżał się już, przestał płynnie dostosowywać do kształtu ciała przy zmianie pozycji. Rzemieślnik z Kraju Środka był niewątpliwie mistrzem w swoim fachu, jednak materiały, jakich używał, były prawdziwie przysłowiowej, chińskiej jakości.

Na stołku przy posłaniu czekała codzienna poranna porcja leków. Patkin z rozrzewnieniem wspominał czasy, kiedy zamiast kropeł i tabletek zażywał krzepki samogon z kiełbasą, a całość zakąszał papierosem skręconym z mocnej machorki. Była żona powtarzała często, że ze zdrowiem nie ma żartów, a taki tryb życia doprowadzi na skraj przepaści każdą wątrobę. Człowiek w wieku dwudziestu paru lat czy nawet trzydziestu uważa się za nieśmiertelnego, przynajmniej pod względem kondycji ciała. Dolegliwości przychodzą później, tym większe, im bardziej lekceważyło się w młodości podstawowe zasady. Wielu Rosjan wyznaje zasadę, iż nie należy walczyć z alkoholizmem, ale zwalczać należy kaca. To dość lekkomyślne i ryzykowne przekonanie, choć niepozbawione swoistego uroku. Doskonale pamiętał moment pierwszych symptomów choroby. Zaczęły się, jak na ironię, następnego dnia po uzyskaniu gwiazdek generalskich, to znaczy drugiego maja dziewięćdziesiątego ósmego roku. Całonocna popijawa w gronie świeżo promowanych wyższych oficerów odezwała się ostrym bólem po prawej stronie, pod żebrami. Diagnoza lekarska była jak wyrok – albo alkohol, albo życie. Wybrał to drugie, chociaż czasem – patrząc na balujących żołnierzy – zadawał sobie pytanie, czy było warto.

Niewesołe rozmyślenia przerwało wejście adiutanta.

– Co tam, Stiopa? Czego chcesz od samego świtu?

– Kapitan Tietugin prosi, żeby natychmiast pojawił się pan na wartowni.

– Kapitan Tietugin może poczekać – burknął generał. Skrzywił się, łykając wielką kapsułkę. – Powiedz, że przyjmę go za godzinę.

– Kiedy on nie chce tu przychodzić. Prosi, żeby pan jak najprędzej dotarł na posterunek przy głównej bramie.

– Wyślij go do diabła.

– Próbowałem, ale jest bardzo stanowczy. Coś się stało. Pod lasem widziałem sporą grupę żołnierzy.

Patkin wstał, ogarnął się pospiesznie. Tietugin nie był wielkim służbistą, nie uznawał może dyscypliny za największą cnotę, ale też nie zawracał dowódcy głowy byle czym. Często w ogóle nie informował go o sprawach, o których w innych jednostkach pierwszy dowiadywał się zazwyczaj

najwyższy stopniem oficer. Załatwiał to najczęściej na szczeblu niższym, z szefem sztabu jednostki, pułkownikiem Liszczenką. Generał nie próbował nawet wychowywać rzutkiego oficera. W pewnym wieku człowiek zaczyna doceniać cudowny lek dla duszy, jakim jest święty spokój.

– Leć, zobacz, co tam się stało. Widzę przecież, że ledwie ustoisz w miejscu, tak cię korci. Kapitanowi powiedz, że zaraz przyjdę.

Wyszedł w chłodny, wrześniowy poranek. Po nocnym deszczu trawa lśniła w promieniach wschodzącego słońca. Ostatnie dni tak właśnie wyglądały – rano było pięknie, zdawało się, że do wieczora będzie słonecznie, ale jeszcze przed południem gromadziły się chmury, a po południu zaczynał padać deszcz, uparty i dokuczliwy, przykry jak cała ta ziemia. Przy bramie wartownicy wyprężyli się na widok generała, ale oczy im uciekały w kierunku zbiegowiska pod lasem. Dowódca przyspieszył kroku, niedbałym gestem odpowiedział na salut żołnierzy. Wojsko powinno w tej chwili przebywać w koszarach, na zaprawie porannej między barakami, a nie wyłazić z garnizonu. Gdyby Czeczeni podjęli jakąś akcję, byłoby sporo ofiar. Wystarczy podkraść się, puścić dwie salwy z lekkich moździerzy, przy takim tłoku efekt murowany. Można też strzelić z dalszego dystansu z granatników RPG–panc. Oczywiście pocisk przeciwpancerny nie narobi wiele szkody, zabije najwyżej jedną, dwie osoby, ale to też niekoniecznie. Ostatnio ktoś zaczął sprzedawać Czeczenom granaty odłamkowe do tej broni. Trochę to bez sensu z wojskowego punktu widzenia, w prawdziwym boju bardzo mało skuteczne, ale do ataków terrorystycznych może się przydać.

– Co tam? – spytał, podchodząc do grupy. Żołnierze rozstąpili się. Generał zobaczył szerokie plecy Tietugina.

– Kapitanie?

Oficer odwrócił się, kiwnął na powitanie głową. A potem wskazał na coś przed sobą. Patkin stanął obok podwładnego. To, co zobaczył sprawiło, że tabletki i woda podeszły z powrotem do gardła. Z trudem pokonał mdłości. Podobne widoki znosił o wiele lepiej po południu, kiedy organizm nieco się wyregulował, nabierał życia. Do pnia wielkiego dębu przywiązany był

okorowany konar drzewa. Na szczycie tego konaru tkwiła ludzka postać. Generał podczas pobytu w Czeczenii, a przedtem w Afganistanie, miał okazję widywać jeńców wbitych na pal, zawsze jednak byli to Rosjanie. Tym razem umęczony człowiek miał charakterystyczną brodę i smagłą cerę. Na policzkach zaschły strugi krwi, przywodząc na myśl zamarłe strumienie łez. Oczy nieszczęśnika wyłupiono. Generał podszedł bliżej. Ręce, związane mocno w nadgarstkach wyglądały dziwnie. Z bliska było widać, że trzy palce prawej dłoni zostały odcięte – jeden całkowicie, dwa w połowie, tak jakby uderzono raz, niezbyt celnie. To też było zaskakujące. Czeczeni na ogół odcinali palce starannie, pojedynczo. Nieszczęsny trup był także wykastrowany, w dodatku bez żadnej finezji. Jednym okrężnym cięciem pozbawiono go od razu wszystkich atrybutów męskości. Członek, jak na urągowisko, tkwił między martwymi wargami. Aby nie wypadł, oprawcy podwiązali linką szczękę nieboszczyka. Oberżnięte uszy i nos dopełniały wrażenia obcowania z nieludzkim bestialstwem.

– Poznaje go pan, panie generale?

Patkin wypuścił powietrze przez wydęte usta.

– Gulda – powiedział z pewnym trudem. – Nie ma wątpliwości. A gdybyśmy jakieś jednak mieli, podpisali przecież swoje dzieło.

Rzeczywiście, przez pierś białego na pal biegł wycięty nożem napis.

– „Omar Gulda, pies zdradziecki” – odczytał Tietugin. – Napracowali się, żeby tak ładnie i wyraźnie wyryć te słowa.

– Kto to zrobił?

– Co za różnica? Widać Czeczeńcy zaczynają rznąć się między sobą. Albo coś się szykuje, albo to ostatnie podrygi separatystów.

– Byłby najwyższy czas na ich koniec – westchnął nieco obłudnie generał. – Ale to tylko pobożne życzenia. W górach wciąż roi się od rebeliantów, wbrew temu, co podają w moskiewskich wiadomościach.

Kapitan spojrzał na niego ironicznie, ale nie odezwał się. Roi się przecież dzięki takim dziadym jak Patkin.

– Daruj sobie ten wzrok, kapitanie – generał okazał się bystrzejszy niż Tietugin przypuszczał. – Wiem, co myślisz. W tym położeniu nie pozostaje

nam nic innego jak zorganizować karną ekspedycję. Diabli wiedzą, kto nastanie po Guldzie. Przecież mógł równie dobrze paść ofiarą własnych ludzi. Wystawił nam ostatnio tamtego gówniarza od przemytu broni. Takie postępowanie mogło się nie spodobać także jego żołnierzom. Ten trup jest ostrzeżeniem, a może nawet wyzwaniem.

– Dla nas?

– Wątpię. Raczej dla tych, którzy chcą się jeszcze z nami dogadać, albo ujawnić. Do stycznia z amnestii skorzystało zaledwie kilkuset rebeliantów. Ten oddział był chociaż z grubsza oswojony

– Oswojony jak biały niedźwiedź – mruknął kapitan. – Z tym zwierzęciem też nigdy nie wiadomo, kiedy ugryzie. Ale fakt faktem, mieliśmy ich przynajmniej na oku.



Halima stała nad łóżkiem Dymitra. Czoło miała przewiązane czarną chustą z symbolem flagi – zielonej, na samym dole ozdobionej wąskim białoczerwono-białym pasem. Szewadze nie mógł już mówić, ale w jego oczach bez trudu mogła wyczytać pytanie.

– Tak, to oznacza, że zaczynamy działania wojenne. Każdy człowiek wuja Rusłana musi być gotowy na śmierć. A przecież ja też należę do jego oddziału.

Szewadze przymknął na chwilę oczy, znów spojrzał pytająco.

– Nie wiem – wzruszyła lekko ramionami. – Kiedy wrócą tutaj z ojcem, on zadecyduje, co mam dalej robić. Pewnie każe mnie wywieźć gdzieś w góry, z dala od zbrojnych działań.

Na twarzy Dimki dostrzegła wyraz ulgi. Kto inny pewnie nie byłby w stanie odczytać mimiki rannego. Poparzona skóra zniekształciła rysy, odchodziła płatami, ukazując żywe, podchodzące krwią i limfą mięso. Dziewczyna zupełnie nie rozumiała, dlaczego oparzeliny nie chcą się w ogóle goić, na żadnym skrawku ciała nie następuje poprawa. Dopiero Doku,

który pracował kiedyś w szpitalu i znał się trochę na ranach uświadomił jej, co mogło się stać. Rosjanin nie uległ jedynie poparzeniu od wysokiej temperatury. Leżał w pobliżu płonącego helikoptera i zalały go także paliwa, a związki ropy naftowej nie ułatwiają leczenia, szczególnie w takich niesprzyjających, polowych warunkach. Zakażenie wdawało się praktycznie wszędzie, gdzie tylko było to możliwe.

Od chwili próby zabicia jeńca, Rusłan więcej nie zaglądał do jego chaty. Dał Dymitrowi spokój, nie kłął nawet po dawnemu „ruskiego Gruzina” i daremnego trudu, z jakim go wlekli do bazy. Halima była wdzięczna opiekunowi. Przywiązała się do chorego, a on obdarzył ją uczuciem o wiele silniejszym niż wdzięczność. Pewnego razu, rzucając się w malignie, zaczął znów wymawiać imię swojej dziewczyny Nastii, ale łączył je z imieniem opiekunki. Raz wołał Nastka, raz Halima, a czasem wychodziła z tego przedziwna zbitka słów. Zakochał się tak, jak tylko wdzięczny żołnierz może zakochać się w pielęgnującej go kobiecie. W tej chwili, leżąc bezwładnie, nie mogąc wydobyć słowa, żałował, że nie wyznał jej tego kiedy jeszcze był w stanie. Nic by to nie zmieniło, nie mógł liczyć na wzajemność. Jej serce należało do innego, to wiedział doskonale. Nie miał tylko pewności, czy ten ktoś to docenia. Tego też żałował – nie zdecydował się podczas ostatniej rozmowy z Pawłem zagadnąć go o to. Ale coś nie pozwalało wydobyć właściwych słów. A może raczej podświadomie nie chciał ranić siebie samego, poruszając ten temat. Zazdrość to uczucie okropne, ale jakże ludzkie. Dopiero w obliczu śmierci człowiek widzi, jaką wszystko jest marnością i co się w życiu liczy najbardziej. Nie majątek, nie sława, nawet nie dobre zdrowie. Istotne jest tylko i wyłącznie szczęście. Ważne jest, by choć przez moment go dostąpić, dotknąć palcem skrawka nieba, rzucić okiem na bramy raju. Ileż by oddał za to, by Halima go pokochała, żeby powiedziała mu o tym w ostatnich godzinach życia. Nic się z taką miłością nie da uczynić, wydaje się niepotrzebna jak pusta tykwa. A jednak ważne jest, by odejść z tego świata żegnanym łzami kochającej kobiety.

Zdawał sobie sprawę, że te myśli są szalone i zupełnie zbędne. A jednak nie był w stanie się od nich opędzić. Oczyma wyobraźni widział swojego trupa i łkającą na jego piersi dziewczynę. Ten obraz przynosił złudzenie radości, nawet ulgi. Ale przecież nic podobnego nie będzie miało miejsca. Halima uroni kilka łez, nic więcej. Na pewno bardziej niepokoi się o ukochanego, który wyruszył z Rusłanem. Od chwili odejścia Polaka stała się bardziej milcząca i odległa. Boże, dlaczego tak musi być? A teraz ubrała się w strój czeczeńskich wojowników. On odejdzie, a ona zostanie ze swoją miłością do człowieka z obcego narodu. Czy ta miłość nie złamie jej serca? Czy ojciec nie sprzeciwi się związkowi z niewiernym tej najbliższej sercu osoby? Nagle zrobiło mu się żal, ale tym razem nie siebie. Jego już nic nie czeka, pozostaje tylko wyglądać śmierci. Ale oni zostaną na tym świecie, który może ich uczynić nieszczęśliwymi. Może nie zazną nawet tej odrobiny radości, do jakiej każdy człowiek ma święte prawo. Nie czuł tego, ale wiedział, że po policzkach ściekają mu łzy. Halima zrozumiała je po swojemu.

– Wszystko będzie dobrze, Dimka – powiedziała łagodnie, jakby przemawiała do przestraszonego małego dziecka. – Musi najpierw być gorzej, żeby potem było lepiej. Jeszcze staniesz na nogi, zobaczysz góry, słońce i drzewa.

Odwróciła głowę w stronę okna, żeby nie dostrzegł w jej oczach straszego żalu. Był przecież już tak osłabiony, że nawet nie gorączkował. Przestał jeść, bo nie był w stanie ani gryźć, ani łykać. Nawet aromatyczny rosół nie przechodził przez gardło. Krztusił się jedynie i prawie wszystko wypluwał. Karmiła go cierpliwie, licząc, że choć odrobina pokarmu dostanie się do żołądka, rozejdzie po ciele ożywczym strumyczkiem. Widziała daremność wszelkich zabiegów, a jednak nie ustawała w wysiłkach. Zaczęła podejrzewać, że rany to jedna sprawa, ale jest i druga, może ważniejsza – Dymitr po prostu stracił ochotę do życia. Trudno zresztą było się dziwić. Młody chłopak, gdyby nawet zdołał przeżyć, do końca życia zostałby kaleką. Straszliwe poparzenia, masa odłamków, liczne poważne urazy. Musiał mieć żelazny organizm, skoro nie zmarł od ran

jeszcze na polu walki. Podobno ludzie trzymają się życia za wszelką cenę, nawet jeśli nie mają nadziei na normalną egzystencję po wyzdrowieniu. Ale ten chłopak już zrezygnował. Gasł w oczach, z godziny na godzinę wyglądał gorzej.

– Wszystko będzie dobrze – powtórzyła.

Patrzył na nią błagalnie. Zaklinał ją w myślach, żeby domyśliła się, aby postawić na jego mogile krzyż. Jemu było wszystko jedno, ale matka na pewno by tego chciała. Zawsze była bardzo religijna, nawet w czasach, gdy władza patrzyła jeszcze na to krzywym okiem. Codziennie modliła się do maleńkiej ikony, ustawionej na komódce w sypialni. Wizerunek Matki Boskiej był prawdziwym dziełem sztuki, przechodzącym w rodzinie z rąk do rąk przez pokolenia. Ikonę dziedziczyły zawsze córki albo synowe. Dimka nie wiedział, ile była warta, ale na pewno sporo. Na pewno teraz też, każdego wieczora posiwiata ze zmartwienia kobieta wypowiada słowa licznych modlitw, zaklina Boga o zdrowie i życie dla jedynaka.

A może modli się już za jego duszę? Może wojsko powiadomiło ją, że syn zaginął, wypełniając obowiązek względem ojczyzny?

*Nie dożyję już pewnie do rana,
Zgasnę nim dotknie mnie palec dnia,
Napisz, proszę, siostró kochana,
Do rodziny ślij słowa choć dwa.*

Jest z nim właśnie jak z tym umierającym żołnierzem w piosence. Tyle że nikt nie otrzyma listu od litościwej sanitariuszki, nie znajdzie się nikt, kto potwierdzi wiadomość o śmierci syna. Będzie jeszcze przez jakiś czas żyła nadzieją na powrót syna, marzyła, że list od dowódcy nie mówił o zgonie, a tylko zaginięciu żołnierza, który jakimś cudem zdołał się uratować. Na wojnie zdarzają się takie rzeczy. Na ojca też czekała. Stawała w oknie i wyglądała na jesienną ulicę, rozświetloną mokrym blaskiem lamp. A potem z westchnieniem siadała w fotelu, brała do ręki robótkę i

próbowała zapomnieć o nadziei i rozpaczy, które na przemian ścisnęły i rozdzierały kochające serce. A przed snem modliła się przed ikoną. Czasem klękał obok niej i prosił Boga o powrót ojca z całych sił, tak żarliwie, jak tylko dziecko potrafi. Były chwile, kiedy miał pewność, że Bóg go wysłucha i nawet jeśli rodzica gdzieś zabili, On wskrzesi go swoją nieskończoną mocą, by nie ranić duszy małego chłopca, który wierzy i ufa w litościwą dłoń opatrzności. Niestety, złudzenia rozwiewają się szybciej niż mgła na silnym wietrze. Ale w głębi duszy mężczyzna na zawsze pozostaje małym, przesadnym chłopcem. Wychodząc na ulicę, nadeptuje próg domu, nie stąpa po spojeniach płyt chodnikowych, spluwa cichaczem na widok czarnego kota. Czyni wszystko, żeby zapewnić sobie małe, codzienne sukcesy. Jeśli obrócić się w prawą stronę, a potem nie zrobić obrotu w lewo, kierownik w robocie będzie się czepiał. Jeśli wejść na krawężnik prawą nogą zamiast lewą, nie umówię się z dziewczyną. Jeżeli nawlekę pas w spodnie sprzączką nie w tę stronę, co zawsze, cały dzień będę miał pecha. Takie rytuały zastępują modlitwę, choć niby to ona powinna służyć odegnaniu nieszczęść, zaczarowaniu nieprzychylnych duchów. To po prostu daje znać o sobie lenistwo. Łatwiej wykonywać rytualne czynności niż zatrudniać umysł modłami. Czynności przesadne nie przeszkadzają myśleć i marzyć. Można na nich zostać przyłapanym, zawstydzić się ale dlaczego niby? Przecież chyba wszyscy tak robią.

Halima pochyliła się nad chorym, zwilżyła mu wargi szpatułką, spróbowała wlać odrobinę wody w półotwarte usta. Zakrztusił się. Gardło zupełnie już odmawiało posłuszeństwa. Napiłby się wina, ale nie cierpkiego, wytrawnego, importowanego z Bułgarii. Chciałby raczej poczuć słodycz zwykłej nalewki z porzeczek albo jabłek. Duszę zaś oddałby za łyk ciężkiego portwajnu. Przedtem, kiedy mógł jeszcze przełykać jedzenie, marzył o smaku pieroga z kapustą. Mama robiła najlepszy pieróg na świecie. Zapiekała ciasto z nadzieniem w piekarniku, wszystko wspaniale doprawione, pieprzne... Albo bliny. Uwielbiał zapach wzbudzonej drożdżami gryczanej mąki, woń rozgrzanego masła i lekki syk smażonego ciasta. Czasem udawało się zarobić jakieś dodatkowe pieniądze, wtedy

bliny były z odrobiną kawioru. Ale Dimka, prawdę rzekłszy, lubił najbardziej same, prosto z patelni. Jednak teraz domowe przysmaki pozostawały jedynie wspomnieniem. Pamiętał smak, ale ślina nie napływała do ust. W tej chwili marzył tylko o winie. Dziwiło go to, bo zawsze wolał chłodne, rześkie piwo. Już w szkole wymykał się z kumplami nad rzekę, by pracowicie opróżniać butelki i puszki. Pili radośnie wszystko, nie przebierali w gatunkach. Zresztą jakie tam na Syberii można było znaleźć gatunki! Dopiero w Moskwie przekonał się, ile jest różnych piw na świecie. Wódki zaś nie znosił. W wojsku też nie nauczył się jej lubić. Pił czasem wieczorami we wspólnym pokoju albo przy ogniskach, zimą nosił na nocne warty dyskretną piersiówkę, ale zawsze próbował zdobyć skądś piwo. A jednak na łożu boleści zapragnął czegoś słodsze, czegoś, co mogłoby rozgrzać ściśnięty żołądek, sprowadzić zapomnienie, otępić umysł całunem alkoholowego oparu. Ciężko umierać z jasnym umysłem.

– Muszę iść – westchnęła ciężko Halima. – Trzeba pomóc w kuchni. Szalona Zoja zaniemogła, a nasi mężczyźni słabo sobie radzą z gotowaniem jeśli ich zostawić zupełnie samych.

Dymitr zamknął oczy. Idź, dziewczyno, nie patrz na ludzki zewłok, który daje jeszcze marne oznaki życia. Idź, wejdź między zdrowych ludzi, niech twoja uroda ucieszy ich oczy. Rannemu nic już nie pomożesz. Gdyby mógł do ciebie powiedzieć chociaż jeszcze jedno słowo, poprosić... Usłyszał skrzypnięcie drzwi, pod powiekami zatańczyło światło. Starał się zasnąć, pograć w świat, w którym mógł chociaż przez chwilę poczuć się zdrowym człowiekiem. W koszmarach sennych nogi grzęzły w gęstym powietrzu, a wszelkim ruchom towarzyszyło poczucie, jakby ciało zanurzone zostało w gęstej smole. Ale i tak, było to lepsze od okrutnej rzeczywistości.



Dżochar opatrywał ramię Tarkhanowi. Hamsajew przymknął oczy, starając się zapomnieć o przeszywającym bólu, ogarniającym rękę od barku aż do nadgarstka. Złamał kość tuż nad stawem łokciowym. Gruman na szczęście miał pewne pojęcie o leczeniu. W oddziale Mowsara Barajewa, do którego trafił na samym początku powstańczej kariery, był szkolony na sanitariusza. Dopiero po jakimś czasie dowódca zauważył, że szczupły, niepozorny chłopak nadaje się do tego jeszcze mniej niż bojowy rumak do orki. Wziął go więc do oddziału szturmowego. Pracując ze starym fleczerem, Dżochar nauczył się całkiem sporo. Złamania przydarzały się dość często. W zwyczajnym czasie ludzie mieszkający w górach ulegają podobnym urazom niewiele częściej niż żyjący na nizinach. W czasie wojny, podczas walk i forsownych przepraw jest znacznie gorzej. Zmęczeni, osłabieni bojownicy potrafili zasnąć podczas marszu, spaść ze skały, utknąć w jakiejś szczelinie, a w boju nieraz nie pozostawała inna możliwość niż wybierać drogę na łeb, na szyję w dół, byle tylko ujść kąśliwym pociskom.

– Nie wiem, czy dasz radę dalej iść – powiedział z troską Gruman.

– Przecież uszkodziłem rękę, a nie nogę!

– Teraz bohater z ciebie, bo jeszcze nie dotarło do mózgu, żeś ranny.

Jeszcze nie wystąpiła opuchlizna. Jutro, pojutrze poczujesz, co znaczy ból.

– Wtedy powinniśmy już być w pobliżu punktu spotkania.

– Może wrócimy do tej osady, którą minęliśmy rano? Zostaniesz u nich.

Dobrzy ludzie w górach nie odmawiają pomocy.

– O ile w naszych górach jeszcze mieszkają jacyś dobrzy ludzie. Łatwiej teraz dostać kulę w plecy niż kubek wody – Tarkhan syknął, bo towarzysz dociągnął mocno bandaż, ściskając łupki. – Najpierw przemytnicy, potem ci przekłeci pasterze... Gdzie się podziała Czeceńska gościnność i życzliwość?

– Zostały rozstrzelane – odparł ponuro Dżochar. – Podobnie jak spokój i nadzieja.

Dzień wcześniej zostali potraktowani ogniem przez kilku pastuchów. Być może wzięli ich za rosyjskich zwiadowców. Nawet nie zawołali, nie zadawali pytań, nie próbowali po prostu zaszachować bronią, sprawdzić z

kim sprawa. Zaczęli strzelać bez ostrzeżenia, na szczęście zupełnie niecelnie. Hamsajew i Gruman odpowiedzieli ogniem. Jeden z pasterzy upadł, inni ukryli się między skałami. Trzeba było jak najszybciej opuścić tamtą okolicę. Strzelanina mogła przecież sprowadzić im na kark rosyjski patrol. Z tego, czego dowiedzieli się jeszcze w Turcji wynikało, iż praktycznie cały teren Czeczenii jest nasiąknięty oddziałami okupacyjnymi. Specnaz, wojska desantowe, w bardziej zapalnych punktach nawet komanda „Wympiełu”. „Wympieł”... nazwa tej formacji odzywała się niemiłym zgrzytem we wspomnieniach. To właśnie ta jednostka razem z „Alfą” i milicją atakowały teatr na Dubrowce. Wtedy ostatni raz Tarkhan widział komendanta Barajewa, który dowodził akcją. Gaz wypełniał pomieszczenia, szahidki krzyczały. A oni dwaj czekali w pomieszczeniach pod sceną, wiedząc, że atak sił rosyjskich oznacza koniec. Można zginąć w walce albo dać się wziąć do niewoli. Tarkhan wtedy właśnie wykazał się niespodziewanie zdrowym rozsądkiem. Trzymał za kark Dżochara i powtarzał jak mantrę, że wojny nie wygrywa się trupami, że czasem warto się przycziąć. Nawet tygrys nie zawsze staje twarzą w twarz z wrogiem. A potem żołnierze ich znaleźli i stała się rzecz niesłychana – zostali najpierw zatrzymani, spędzili kilka tygodni w areszcie, a potem otrzymali nową tożsamość, pieniądze i kontakty na nowe życie. Dżochar nieraz zachodził w głowę, jak to było możliwe. Jedynym wytłumaczeniem mogła być czyjaś interwencja. Czyja? Gruman uparcie twierdził, jakoby to sam Basajew poszedł na układy z Rosjanami. Tarkhan wzruszał ramionami. Co za różnica? Najważniejsze, że przeżyli i mają szansę znów walczyć.

– Skończone – Dżochar spojrzał krytycznie na swoje dzieło. – Jeśli nie będziesz za bardzo wymachiwał tą ręką, powinna się zrosnąć jak trzeba. W Indiach opiekunowie słoni używają do leczenia złamań mleka kokosowego, a także oleju i liści tej rośliny. Podobno kości zrastają się wtedy nawet w niecałe trzy tygodnie. My tego nie mamy, więc będziesz musiał uważać dwa razy dłużej.

Tarkhan położył rękę na temblaku. Prowizoryczne łupki z jednej strony sterczały w dół, a z drugiej w bok.

Wyglądało to jakby nie tyle złamał rękę, co otrzymał dodatkowe jej kawałki.

– Możesz teraz udawać chrześcijańskiego pokutnika – zaśmiał się Gruman. – Jakbyś krzyż przed sobą targał. Trzeba będzie głośno krzyczeć, żeśmy pobożni muzułmanie, bo nasi gotowi cię wziąć za krzewiciela obcej wiary.

– Dobrze ci się śmiać. Ciesz się, że nie ciebie to spotkało.

– A pewnie, że się cieszę. Już widzę, jak ty byś mnie opatrzył. Równie dobrze mógłbym kazać sobie tę rękę urznąć i przyszyć na plecach.

– Dziwnie dobry masz humor.

– Może dlatego, że jesteśmy wreszcie na własnej ziemi. Poczułem to. Znajomy oddech gór, powietrze rześkie, ale nie lodowate, jak na dalekiej północy.

– Żeby tylko ten powiew gór nie zamienił się w chuch ruskiego żołnierza siedzącego nam na karku.

Dżochar wzruszył ramionami, wyprostował się, przeciągnął aż zatrzeszczały stawy.

– Nie chcę teraz o tym myśleć. Idziemy odnaleźć dawnych towarzyszy walki, z nimi spróbujemy przywołać do życia Republikę Iczkerii.

– Najpierw wyjdźmy z tych przeklętych przełęczy i wąwozów.

– Tarkhan, strasznie dzisiaj jesteś ponury. Rękę tylko złamałeś, a minę masz jakbyś zwichnął przyrodzenie tuż przed pokładzinami.

– Zaczyna boleć.

– Ostrzegałem.

– Tak, ostrzegałeś – rzucił opryskliwie Hamsajew. – Daj morfinę. Sam sobie nie zrobię zastrzyku lewą ręką. Nie umiem.

– Na to będzie jeszcze czas. Dopiero jeśli zacznie boleć nie do wytrzymania.

Tarkhan skrzywił się, splunął w bok.

– To znaczy kiedy?

– Sam będziesz wiedział. Ale to i tak bez sensu. Morfina jest dobra kiedy leżysz, a nie wtedy gdy musisz się wspinać. Tu przydałaby się raczej koka

albo chociaż amfa. Jeśli się boisz cierpienia, wracaj do tej wioski. Mamy dolary, one na pewno przemówią na twoją korzyść.

– Chcesz mnie obrazić? Mam się zachowywać jak stara, jęcząca kobieta? Idziemy, nie ma czasu do stracenia.

Hamsajew wstał dziarsko i poszedł przed siebie, choć czuł w kolanach pewną miękkość i drzenie.



Paweł włókł się na końcu oddziału, pogrążony w myślach. Na czele maszerował sprężystym krokiem Rusłan. Wyprostowane ramiona i uniesiona głowa świadczyły o pełnym zadowoleniu. Obejrzał się raz i drugi, zdumiony, że Mech, zwykle podążający obok albo tuż za nim, oddalił się tak bardzo. Nie zwalniał jednak, nie próbował zostawać z tyłu. Oddział powiększył się o ludzi Guldy, którzy przyłączyli się do nich po płomiennym przemówieniu Kadajewa. Tej nocy komendant połowy zachowywał się jak szaleniec. Najpierw wyrwał Omara z samego środka obozu. Wraz z pięcioma ludźmi spadł na wroga niczym jastrząb, wywiązała się krótka strzelanina. Paweł z wydzielonym odwodem przycisnął ogniem stanowiska wartowników, a do obozu wkroczyła reszta oddziału. Zaskoczenie było zupełne. Straże w dużej części musiały pozasypiać, przekonane o niezawodności elektronicznych zabezpieczeń. Tu i ówdzie rozgorzała jeszcze walka na noże. Polak też musiał się bronić przed jakimś rozżartym młokosem, który zaszedł ich stanowisko z boku. Zdzielił chłopaka pięścią od góry w głowę, kładąc od razu na ziemi. Wyłuskał wierzgającemu kindżał z rękojeścią wysadzaną szlachetnymi kamieniami, najwidoczniej rodzinną pamiątkę. A potem Rusłan urządził prawdziwe widowisko. Miał sporo czasu. Nawet gdyby zaalarmowani strzelaniną Rosjanie wysłali patrole, dotarłyby najwcześniej przed świtem.

Ludzie z rodziny Hirama trzymali Guldę. Jego żołnierze przyglądali się temu ze złością i ciekawością zarazem. Wariacki plan powiódł się

nadspodziewanie, na dodatek bez poważniejszych strat własnych. Na znak Kadajewa bojownicy puścili Omara. Ten był tak zaskoczony, że zatoczył się, z trudem złapał równowagę. Był wysoki, potężnie zbudowany. Stojący naprzeciwko niego Kadajew, któremu nic nie brakowało, wydał się nagle dziwnie mikry.

– Przyszedłem upomnieć się o krew mojego krewniaka – oznajmił głębokim basem Rusłan.

Mówił bardzo powoli i dobitnie. Namaszczenie, z jakim wypowiadał słowa przywodziło na myśl jakiś starodawny rytuał. Zapadła kompletna cisza. Paweł miał wrażenie, że cofnął się o kilkaset lat. Wiedział już, co za chwilę nastąpi. Wśród talibów był parę razy świadkiem czegoś podobnego.

– Nie ja zabiłem Hirma – odparł Gulda.

– Uczyniłeś coś gorszego niż gdybyś go sam zastrzelił – Rusłan nadal mówił powoli i dobitnie. – Przez ciebie wpadł w ręce wroga. Zginął męczeńską śmiercią, która nikomu nie przyniosła pożytku.

– Nie ja go wysłałem pod rosyjską bazę.

– Ale twoje zaniechanie sprawiło, że został schwytany. Może nawet sam go wydałeś.

– Przysięgam na Allaha...

– Milcz psie! – Kadajew przyskoczył do Omara, wymierzył mu siarczysty policzek. – Nie waż się wzywać Najwyższego swoimi parszywymi wargami. Za zdradę możesz oczekiwać tylko jednego wyroku. Pozwolę ci jedynie wybrać rodzaj śmierci.

Gulda podniósł dumnie głowę. W świetle laterek i pochodni wyglądał jak wojownik ze starej ryciny. W ogóle sytuacja nieodparcie przywodziła na myśl baśnie z tysiąca i jednej nocy.

– Tchórze – powiedział Omar głosem równie niskim i uroczystym jak Rusłan. – Chcesz zaszlachtować bezbronno. Obaj jesteśmy dowódcami, obu nam przysługują jednakowe prawa. Wzywam cię.

– Chcesz walki? – Kadajew uśmiechnął się drapieźnie. – Na noże, czy szable?

– Na szable – padła zdecydowana odpowiedź. – Jeśli cię pokonam, twoi ludzie odejdą i dadzą mi spokój na zawsze, a jeśli zwyciężysz, trudno, zrobisz ze mną co zechcesz.

– Niech będzie i tak. Ale są inni, którzy mogą zechcieć pomścić Hirama. Miał przyjaciół i krewnych w różnych oddziałach.

– To już moje zmartwienie.

Nie wiadomo skąd, pojawiły się szable. Było ich sześć do wyboru. Zgaszono latarki, pojawiło się więcej pochodni, żołnierze stanęli w wielkim okręgu, oświetlając pole walki. Napastnicy wymieszali się z żołnierzami Omara, szacunek dla honorowego rozwiązania okazał się silniejszy od wzajemnych animozji. Zresztą każdy zdawał sobie sprawę, że jakimkolwiek niestosownym zachowaniem w podobnej sytuacji skazuje się na śmierć i utratę dobrego imienia. Rusłan z Omarem ramię w ramię podeszli do ludzi trzymających broń. Kadajew wyszukanie uprzejmym gestem wskazał, aby przeciwnik wybrał pierwszy. Gulda ujął szablę roboty czerkieskiej, zwaną szaszką. Nie miała ona osłon w postaci jelców, wąsów czy chociażby tarczki. Paweł był nieco zdziwiony. Taka głownia jest doskonała, ale do cięcia z konia podczas szarży, kiedy nie trzeba odbijać ciosów. Tyle wiedział nawet on, który o technice posługiwania się tą bronią miał bardzo niewielkie pojęcie. Rusłan uniósł brwi, ale nic nie powiedział. Wziął niezbyt mocno zakrzywioną szablę o rękojeści z osłoną kabłąkową i niezbyt wydatnymi jelcami. Machnął nią kilka razy, kiwnął głową z zadowoleniem, po czym ruchem brody nakazał zabrać resztę ostrzy.

– Na śmierć – powiedział.

– Na śmierć – odparł Gulda.

Stanęli naprzeciwko siebie z ostrzami wysuniętymi do przodu. Rusłan przybrał pozycję niską, typowo szermierczą – rękojeść na wysokości biodra, a sztych oczu przeciwnika. Omar rozpoczął walkę z pozycji wysokiej – dłoń i ostrze w jednej linii, na poziomie policzka. Widać było, że obaj doskonale wiedzą, co robią. Paweł miał nieodparte wrażenie sennego marzenia. Nigdy przedtem nie widział pojedynku na szable. Afgańscy wojownicy zazwyczaj załatwiali sprawy za pomocą pięści i noży.

Tutaj stało naprzeciwko siebie dwóch bohaterów ze starej opowieści. Jedynie mundury nie pasowały do okoliczności. Dziwnie wyglądała maskująca panterka w zestawieniu ze szlachetną bronią. Ale i to wrażenie minęło, kiedy walczący ruszyli w śmiertelny taniec. Pierwszy ruch wykonał Gulda. Zamarkował cięcie, wykonał błyskawiczny obrót, aby uderzyć na prawy bark. Ale i to okazało się tylko zwodem. Ostrze wykroiło w powietrzu kształt litery „S”, żeby spaść na lewe udo Rusłana. Ten nie pozwolił się zaskoczyć. Cofnął się pół kroku, odbił klingę daleko od ciała, skoczył do przodu, wyprowadzając sztych na gardło. Odbył się to tak szybko, że uderzenia szabel natarcia i riposty zlały się w jedno. Odskoczyli, znów stanęli w poprzednich postawach. I znów zaczął Gulda, tym samym co poprzednio zwodem. Tym razem jednak klinga nie została zawinięta, poleciała na prawą stronę. Lekki skręt nadgarstka sprawił, że ominęła wysoką zasłonę, pomknęła w kierunku biodra. Rusłan odskoczył, przepuścił ostrze, uderzył swoją szablą w tylec broni wroga. Omar został wytracony z równowagi, musiał pójść pół kroku do przodu. W ostatniej chwili odbił mocne cięcie na głowę. Rozeszli się, zaczęli krążyć wokół wspólnego środka. Przypominali w tym ruchu samotne gwiazdy, które kapryśna natura zniecka zbliżyła do siebie, sprawiła, że związały się niewidzialnymi nićmi kosmicznych sił. Choć każda pragnie wyrwać się na wolność, muszą biec po okręgu coraz bliżej, by wreszcie spotkać się w śmiertelnym uścisku. Kadajew opuścił szablę, rozluźnił nadgarstek i palce. Gulda cały czas trzymał swoją wysoko. Nawet Mech wyczuwał, że to może być błąd. Ale błąd w przypadku mniej solidnie zbudowanego człowieka. Dla Omara szabla ważyła mniej niż lekki ćwiczebny kij dla wyrostka.

Rusłan nagle zmienił kierunek. Do tej pory szedł w prawo, zgodnie z ruchem wskazówek zegara, teraz ruszył na ugiętych nogach w drugą stronę. Gulda natychmiast dostosował się do przeciwnika. W tym momencie Kadajew zaatakował. W świetle pochodni ostrze jego szabli przypominało rozmazaną błyskawicę. Omar zasłaniał się, odbijał ciosy z podziwu godną szybkością, był czujny, bardzo uważny. Dało się zauważyć, że mimo różnicy wzrostu i siły odczuwa do przeciwnika duży respekt. Wreszcie

skontrolował. Rusłan odskoczył, unikając cięcia od dołu na wewnętrzną stronę uda. Pawłowi przypomniały się mgliście wypisy z Jana Chryzostoma Paska. Czy nie tak wyglądało cięcie „ojcowskie”, mające pozbawić przeciwnika męskości? Jako uczeń liceum zastanawiał się nad tym nieraz, ale nie potrafił sobie tego plastycznie wyobrazić. Teraz miał okazję podziwiać tę technikę w pełnej krasie. Gulda szybkim ruchem otarł lewą dłonią rękę trzymającą szablę. Podczas wymiany ciosów broń przeciwnika zarysowała skórę. Mścił się brak jelców i kabłąka. Rusłan znów poszedł do ataku. Klingi zwały się, ostrza zaczęły sunąć coraz niżej ku zaciśniętym na rękojeściach dłoniom. Omar wiedział, że o ile jego szabla zatrzyma się na jelcach broni przeciwnika, o tyle Rusłan jest w stanie sięgnąć bez trudu jego ręki. Chwycił więc przedramię wroga, zahamował ruch. Kadajew nie próbował przejąć nadgarstka Guldy. Zamiast tego rąbnął go pięścią w kość jarzmową. Uderzony odleciał do tyłu, zaraz jednak pozbierał się, ruszył do natarcia. Szabla Rusłana przecięła ze świstem powietrze, minęła o włos skroń, kiedy Gulda pochylił się w uniku, a potem została związana błyskawicznym młyńcem, zakończonym mocnym uderzeniem od góry w wewnętrzną stronę klingi. Kadajew najwyraźniej znał tę sztuczkę, nie pozwolił wytrącić sobie ostrza – odprowadził nadgarstek w prawo, przepuścił stal tuż obok swojej główki. Uśmiechnął się kpiąco i wyciął przeciwnika w twarz kabłąkiem osłaniającym dłoń. Omar zatoczył się, nie stracił przytomności, ale widać było, że cios zrobił na nim wrażenie. Paweł był przekonany, iż w tym momencie jego komendant mógł bez trudu przebić Omara. A jednak czekał aż tamten nieco ochłonie, obetrze krew z głęboko rozciętego policzka.

– Może chcesz zmienić broń, zdrajco? – padło szydercze pytanie. – Ta ci najwyraźniej nie służy. Bijesz się gorzej niż moja babka, kiedy miała osiemdziesiąt lat i wykręcone reumatyzmem palce.

Wtedy Gulda popełnił straszliwy w skutkach błąd. Skoczył do przodu bez przygotowania, zapewne bez żadnej myśli. Postanowił zmiażdżyć Kadajewa furią ataku. Ten rzeczywiście zaczął się cofać, jednak oczy miał spokojnie. Uważnie śledził każdy ruch wroga. W pewnej chwili, zamiast

zrobić kolejny krok w tył, poszedł ostro w prawą stronę. Szabla przeskoczyła z prawej ręki do lewej. Pociągnął ją ostrym skosem ku dołowi. Omar wrzasnął. Ze zranionej dłoni trysnęła krew, broń upadła na ziemię. Schylił się, próbował ją podnieść, ale w tej chwili dotarło do niego, że stracił palce. Postanowił walczyć lewą ręką. Rusłan nadepnął leżącą czaszkę, pokręcił głową.

– Koniec – powiedział spokojnie.

W tej chwili wszystko dookoła wróciło do stanu poprzedniego. Wśród żołnierzy zapanowało krótkie zamieszanie. Ludzie Kadajewa znów trzymali na muszkach partyzantów Guldy.

– Miało być na śmierć – jęknął pokonany.

– I będzie – roześmiał się ponuro zwycięzca. – Jeszcze tej nocy spotkasz się z Allahem, obiecuję. Może on wybaczy przemieszanie, bo ja nie potrafię.

Paweł poszedł w góry na rekonesans. Nie miał ochoty patrzeć na oprawianie Omara. I tak słyszał jego potworne wrzaski. Niosły się daleko, sprawiły, że gdzieś zawył wilk, a potem następny. Czeczeni z patrolu wymieniali uwagi, zgadywali, co też mściciele z rodziny Hirma mogą właśnie robić Guldy. Ale po powrocie przekonali się, iż rzeczywistość przeszła najśmielsze oczekiwania. Polak po raz pierwszy widział człowieka wbitego na pal. Widok był tak koszmarny, że ocierał się wręcz o groteskę. Omar żył jeszcze, w niekontrolowanych skurczach podrygiwał na narzędziu tortury, wbijając się przez to coraz głębiej. Miał już wylupione oczy, obcięte uszy i nos. Dopiero po chwili wśród masy krwi Paweł dostrzegł pozostałe zranienia. Zanim przybył do Czeczenii, na początku lat dziewięćdziesiątych przez pół roku przebywał w serbskim wojsku. Tamtejsi żołnierze z upodobaniem okaleczali bośniackich mężczyzn, kastrując ich i wkładając im odcięte członki do ust, zaś jądra do dziurek w nosie. To okrucieństwo było jednym z najważniejszych powodów, dla których rzucił dobrze płatną służbę. Tutaj zaś jeden muzułmanin uczynił coś podobnego drugiemu. Niepojęte. Dlatego następnego dnia szedł w ociążu. Nie miał ochoty na rozmowy z Kadajewem.

Z zamyślenia wyrwał go głos komendy z przodu. Postój. Zrzucił plecak, usiadł, stopy położył na kamieniu. Niektórzy rozsznurowywali buty. On tego nigdy nie robił. Jakoś tak już jest, że najlepiej zawiązuje się je za pierwszym razem. Potem, jeśli zrobić to w czasie drogi, nigdy jakoś nie można sobie należycie poradzić, zawsze coś zaczyna uwierać i swędzieć. Rusłan nie usiadł. Robił przegląd oddziału. Zapewne zastanawiał się, którym z nowych podwładnych może zaufać. Część poszła za nim z przekonania, część ze strachu, a niektórzy po prostu nie mieli co ze sobą zrobić. Tylko krewniacy Guldy odmówili służby dla zabójcy. Odeszli wolno, wyposażeni w broń i żywność.

– O co ci chodzi? – Kadajew stanął wreszcie nad Pawłem. – Pogniewałeś się?

– Nie. O co niby?

– To co masz taką minę?

– Niepotrzebnie torturowałeś Guldę.

– Zasłużył.

– Może i tak. Ale uważam, że to było niepotrzebne. Rusłan przysiadł obok niego.

– Wy, ludzie z Zachodu, jesteście bardzo dziwni. Niby potraficie urządzać sobie nawzajem krwawe łaźnie, mordować całe narody, ale kiedy przychodzi co do czego, zaczyna z was wyłazić litość. Nie może być zmiłowania dla zdrajców! Nie chcesz ze mną gadać, bo uważasz mnie za zwyczajnego kata?

– Nie o to chodzi. Dawno przestałem być, jak to nazywasz, człowiekiem Zachodu. Nie wiem, czy umiałbym dzisiaj żyć w mojej ojczyźnie. Nie wiem, czy mógłbym poradzić sobie w normalnym świecie. Ale co do Guldy, to trzeba było go albo zastrzelić jak psa, albo zatłuc szablą. Zemsta by się i tak dokonała.

– Ludzie muszą widzieć, co grozi za zdradę.

– Wystarczy sama śmierć, uwierz mi. A jeśli ktoś jeszcze zechce zdradzić, nie ma takiej kary, która go powstrzyma. To sumienie dyktuje sposób postępowania, nie knut nad karkiem.

– Może w twoim przypadku. Ludzie są jak psy w stadzie. Widziałeś kiedyś jak się gryzą? Przywódcą zostaje ten, który jest najbardziej bezwzględny.

Mech spojrzał rozmówcy prosto w oczy.

– Nie chodzi o to, że potępiam twoje postępowanie. To co innego.

Ruslan bardzo długo wytrzymał wzrok Pawła. Wreszcie dał spokój, popatrzył w kierunku ludzi z oddziału.

– Widzę, że nie o to. Czyżbym widział w tobie lęk?

– Raczej obawę.

– Czego się obawiasz? Zemsty tych, którzy już odeszli? Duchów?

– Nie żartuj. Odczuwam niepokój, Rusłanie. Dopadł mnie nagły smutek, a to nigdy dobrze nie wróży.

– Tak bywa. W górach człowieka czasem dopadają ponure myśli.

– Widzisz, obawiam się, że śmierć Guldy sprowadzi na nas nieszczęście. Miał wśród komendantów polowych wielu przyjaciół. To oni mogą się o niego upomnieć, nie kto inny.

– Niech się upominają – Kadajew zacisnął wargi, resztę słów cedził przez zęby. – Zetrę w pył każdego, kto sprzeciwi się słusznej sprawie, kto zechce stanąć przeciwko zamiarom Klanu Wilka. To jest najważniejsze.

– Zapomniałeś jednak dzisiejszej nocy o klanie. Omar był przecież członkiem sprzysiężenia, prawda?

– Okazał się zdrajcą.

– Być może, ale tego nie jesteś w stanie udowodnić z całą pewnością. Okoliczności śmierci Hirama to zbyt mało. Wy wszyscy nie jesteście już tylko wojownikami. Prowadzicie politykę. Za pomocą karabinów, zamachów i demoralizacji wroga, ale zawsze politykę. A w polityce niczego nie możesz udowodnić jeśli nie złapiesz za rękę, chociaż i wtedy różnie bywa. Zawsze znajdą się tacy, którzy powiedzą, że zarządziłeś wroga dla innych celów niż zwykła rodowa zemsta. Usunąłeś ewentualnego konkurenta do najwyższych stanowisk po zwycięstwie.

– Niech mówią, co chcą. Nic mi nie mogą zrobić.

– Mam nadzieję. Ale mam naprawdę złe przeczucia. Ruslan zaśmiał się.

– Czyżbyś zrobił się równie przesądny, jak my?

– Każdy jest przesądny, niezależnie od miejsca urodzenia. Ale ja czuję coś innego. Taki niepokój nachodzi człowieka nocą, kiedy uświadamia sobie sprawy, których nie dostrzega za dnia.

Kadajew poklepał go po ramieniu.

– Nie martw się czymś, co jeszcze nie nastąpiło i pewnie nie nastąpi. Ale jak chcesz, idź z tyłu. Może tak nawet będzie lepiej. Niech ludzie Guldy nie łączą cię ze mną tak, jak nasi. To czasem może się przydać.

Paweł uśmiechnął się krzywo.

– Widzisz? Tak właśnie uprawia się politykę.

Kadajew odszedł, kręcąc głową. Paweł patrzył na sylwetkę komendanta z mimowolnym podziwem. Takiego człowieka trudno przerazić, trudno go też przekonać do czegoś, czego nie uważa za słuszne. A przede wszystkim niezwykle trudno go złamać.



Rozdział 9

Na wielkiej polanie świeża trawa pozarastała zrytą ziemię i wykroty po wybuchach, deszcze splukały plamy zrudziałej krwi, trupy zabrano i pochowano, pozostały jeszcze wraki trzech helikopterów i trochę zniszczonego, wojskowego sprzętu. Dla doświadczonego żołnierza wszystko tutaj było bardzo czytelne, obserwowanie śladów przypominało oglądanie mapy. Nie musieli się zresztą wysilać. Malinin doskonale wiedział, co tutaj zaszło. Nic zresztą dziwnego, bo w końcu kto inny jak nie wywiad wojskowy powinien uzyskiwać wszelkie ważniejsze i mniej ważne informacje, żeby sprawnie pracować?

– Nasze wojska natknęły się tutaj na dwa zgrupowania terrorystów. Wpadły jakby w przygotowaną wcześniej pułapkę. Mówię „jakby”, bo to był zbieg okoliczności. Czeczeńcy postanowili zatrzymać się tutaj na odpoczynek akurat w momencie, kiedy nadleciały nasze śmigłowce. Gdyby nie to, desantowcy i specnaz wylądowaliby za nimi i urządzili regularny pościg, może nawet rozbili oddziały.

– Brak rozpoznania – powiedział ironicznie Wadim. – Znam to doskonale. W Biesłanie też zawiodła praca wywiadu, i na Dubrowce, i w wielu innych miejscach. Czy dlatego szef garnizonu, w którym przejąłeś dowodzenie został odwołany?

– Został odwołany, bo nie mogliśmy mieć do niego zaufania.

– My to znaczy kto? – spytał Wiktoренко. – Armia czy wywiad?

– Na jedno wychodzi.

– Nie na jedno. GRU nie ma zaufania do nikogo, ale zawsze zwała winę za uchybienia na wojsko.

– A FSB ma?

– Taka praca. Ale ja przynajmniej niczego nie udaję. Tam u was ktoś musiał odpokutować za niepowodzenie. Może dowódca jednostki miał zbyt wiele do powiedzenia? A może za dużo o tobie wiedział?

– Twoja dociekliwość jest zupełnie zbędna, a zgryźliwe uwagi nie na miejscu. Wywiad niczego nie robi bez wyraźnego powodu.

– Tyle że czasem ten powód nie jest związany z interesem ogólnym, ale waszymi płaskimi rozgryweczkami – Wołkowski zatrzymał się w miejscu, gdzie zobaczył szczątki radiostacji. – A potem giną ludzie. Nie odpowiadaj nawet – machnął niecierpliwie ręką. – Nie mam ochoty na durne przekomarzanie. Powiedz lepiej, czy te czeczeńskie oddziały miały jakiś związek z naszą sprawą?

– Dowodzili nimi ludzie niegdyś będący na peryferiach działań Klanu Wilka. Zachodzi obawa, że dzisiaj mogą stanowić oś spisku.

Szli kawałek w milczeniu, zagłębili się w las.

– Jest coś, co mnie nurtuje – powiedział Siergiej do Wiktořenki. – Może mi pan odpowiedzieć na osobiste pytanie?

– To zależy od pytania..

– Chodzi o pańskie imię. Zachariasz. Bez urazy, ale to nieco dziwne.

Kapitan uśmiechnął się.

– W Rosji raczej rzadkie, prawda? Mój świętej pamięci ojciec w latach osiemdziesiątych służył w Polsce. Znasz, sierzancie, nazwę Świdnica? Tak tylko pytam. Skąd miałbyś znać? Tam była rosyjska baza wojskowa, niedaleko granicy Niemiec Wschodnich i Czechosłowacji.

– Rozumiem. Ale w Polsce to też chyba nie jest imię, które nadaje się nagminnie.

– Jeśli nie będziesz przerywał, zaraz zaspokoję twoją ciekawość. W czasie, kiedy ojciec tam przebywał, polska telewizja puszczała serial „Jak zdobywano Dziki Zachód”. Nasi żołnierze oglądali go z wypiekami na twarzach. Jedną z ważniejszych postaci był w tym filmie człowiek o imieniu Zachariasz. Kiedy się urodziłem, padłem ofiarą fascynacji szanownego rodzica. A poza tym w mojej rodzinie chyba od zawsze nadawano biblijne imiona, nawet w czasach najgłębszego komunizmu. Czy jesteście zadowoleni z takiej odpowiedzi, sierzancie Iwanow?

Siergiej uśmiechnął się. Po okresie początkowej nieufności przekonywał się coraz bardziej, że major Wołkowski miał rację, wygłaszając uwagę, iż

Wiktoренко nie jest może takim ostatnim fiutem, jakim się z początku wydawał. Był – rzecz jasna – wywiadowczym szemranym typem, ale potrafił też być całkiem sympatyczny.

Szli wykrotami, na przełaj, zgodnie ze wskazaniem kompasu. Malinin ponaglał, wprowadzał poczucie, że mają niezwykle mało czasu. W pewnej chwili zatrzymał się, zapatrzył na coś pod nogami. Wadim stanął obok niego. Zobaczył biały szkielet dużego zwierzęcia. Spory pies, to była pierwsza myśl. Dopiero po chwili przyszła refleksja i wątpliwość. Tym bardziej, że w dziurze w ziemi dały się dostrzec maleńkie kostki i drobniutkie czaszki.

– Wilczyca – powiedział Siergiej. – W dodatku z młodymi. Może zginęła wtedy, kiedy tutaj walczyli? – Wskazał na połamane gałęzie, pokaleczone pnie starych drzew i ścięte pnie młodych. – Tutaj też poszedł silny ostrzał.

– Ale już szkielet? To nie było aż tak dawno, powinno być tutaj gnijące ścierwo.

– Mrówki – wyjaśnił krótko Iwanow. – Jeździłem na wakacje do krewnych, którzy mieszkali w tajdze. Mrówki potrafią obrać trupa do kości w ciągu jednego dnia. Szkoda zwierzęcia.

– Szkoda – zgodził się Wołkowski. – Zawsze szkoda niewinnego życia. Brudna ta wojna.

– Każda jest brudna – rzucił Malinin.

– Ale niektóre bardziej. Siedzisz tutaj, w gównie po uszy i nie widzisz, jak się maże po policzkach, nie czujesz już smrodu. A w dodatku jesteś jednym z tych, którzy z upodobaniem srają dookoła, dodają własny syf do już istniejącego.

– Kiedyś odpowiesz mi za te wszystkie zniewagi – wycedził Malinin. – Przyjdzie taki moment.

– Przestań to wreszcie powtarzać – skrzywił się major. – Przyjdzie czas, pogadamy. I zdecyduj się wreszcie, czy mówisz mi na ty, czy na pan, bo na razie zależy to od poziomu twojej wściekłości.

– Do starszego stopniem należy zwracać się...

– Znam regulaminy – wpadł mu w słowo Wołkowski. – Ale znaleźliśmy się w sytuacji, kiedy możemy sobie nimi dupy podcierać. Nie lubimy się i nie polubimy, kapitanie. Dla mnie jesteś zwyczajnym rzeźnikiem, jak tamci żołdaci w wiosce. Ale dopóki pisany nam jeden los, nie widzę potrzeby zachowywania oficjalnych form. Tym bardziej, że koniec końców nie bardzo ci to wychodzi.

Siergiej przykrył gałęziami szkielety wilczycy i szczeniąt.

– Nie powinniśmy zostawiać niepotrzebnie śladów – zwrócił mu uwagę Wiktor. – Zamierzasz może sprowadzić tutaj popa i urządzić uroczysty pochówek?

– Spieprzaj – mruknął sierżant. A głośno dodał. – Miał pan kiedyś matkę, kapitanie? Pytam, bo może zrobili pana w jakimś tajnym laboratorium. Nie ma się o co zaraz wściekać. Dla oficera wywiadu to powinien być komplement. Dobra, wiem, wiem. Miał pan matkę i kochał ją. Jest pan sobie w stanie wyobrazić, jak tej biedaczce serce krwawiło na widok śmierci dzieci? Wilczyce są bardzo przywiązane do młodych.

– Rozrzucić te gałęzie!

– Sam rozrzucić... panie kapitanie – dodał po chwili na widok zmarszczonych gniewnie brwi Wołkowskiego. Nie dalej niż tego ranka otrzymał od dowódcy kolejną reprimendę i pouczenie na temat traktowania szarży Malinina. – Jeśli uważasz... uważa pan, że zaraz ktoś tutaj przyjdzie i będzie się wielce zastanawiał, kto naniósł trochę badyli, to chyba jednak lekko pan przesadza.

Malinin machnął ręką. Siergiej denerwował go z każdym dniem coraz bardziej, wykonywał jego polecenia leniwie i demonstracyjnie niedbale okazywał szacunek, ale w tym wypadku miał rację. Jeśli nawet jakiś wędrowiec znajdzie się w tym miejscu, pomyśli raczej, że gałęzi naznosił zwyczajny czeczeński pasterz. W końcu spoczęło tutaj ich święte zwierzę.

– Niedługo wejdziemy w wysokie góry. Tam nie może być już kłótni i niesubordynacji. Znajdziemy się w paszczy lwa. Albo wilka, jak kto woli. Czy to jasne? Odpowiedziało mu kiwnięcie głową i ponure spojrzenie sierżanta.



Pochowali go niedaleko innych grobów. Nie na terenie prowizorycznego cmentarza, lecz kilka kroków w bok od niedawno usypanej mogiły Hirama. Nie chcieli, żeby wróg leżał zbyt blisko ich poległych krewnych i przyjaciół. Halima nie sprzeciwiała się. Trupowi przecież wszystko jedno, a trzeba było oddać ciało ziemi jak najszybciej, proces rozkładu posuwał się bowiem z godziny na godzinę. Włożyli, czy raczej wrzucili go do dołu, odwracając twarz z odrazą. Gdyby nie obawiali się sprzeciwić ulubienicy dowódcy, wywlekliby pewnie trupa w góry i cisnęli w jakąś przepaść, choć Koran i nauki Proroka mówią, iż zwłoki należy pochować, nieważne czy należą do przyjaciela, czy przeciwnika. Pozostawienie ich na pastwę dzikich zwierząt i sił natury jest hańbiące. Wiele zmieniło się przez tysiące lat rządów człowieka nad światem, ale jedno pozostaje zawsze takie samo – ludzie sprzeciwiają się świętym nakazom; niby boją się gniewu bożego, ale zarazem nie traktują go do końca poważnie.

Dziewczyna spojrzała na grób Hirama. Kwiaty już zwiędły, za jakiś czas przerdzewieje bagnet, wbity na znak, że w tym miejscu pochowano wojownika. Jeśli tylko będzie okazja, przeniosą szczątki w bardziej godne miejsce, zakłócą spokój zmarłego, żeby zadośćuczynić własnej dumie, pokazać wszystkim, że warto być bohaterem, umierać za idee, choćby te idee były dawno nieaktualne, choćby głosili je ludzie niegodni sprawować posłannictwa. Na tę myśl stanął jej przed oczami obraz kadiego. Surowa, spalona słońcem twarz, pobrużdżona od ciągłego wystawiania na wiatry i pustynny pył. Bała się tego człowieka, choć nie uczynił jej krzywdy, ani nie zamienił z nią nawet jednego słowa. Prawowierny muzułmanin nie rozmawia z byle dzierlatką. W tej chwili pomyślała, że nie byłoby dobrze, gdyby tacy ludzie zaczęli decydować o porządku świata. Do tej pory za fanatycznych wyznawców szariatu uważała Basajewa albo Jandarbijewa. Odkąd jednak usłyszała pogadanki, jakie z bojownikami przeprowadzał kadi, zmieniła zdanie. Dla czeczeńskich przywódców szariat był drogą do

osiągnięcia celu. Dla Afgańczyka stanowił cel sam w sobie. Szamil, przynajmniej na początku, widział w islamskim prawie sposób na zjednoczenie narodu, zlikwidowanie, a przynajmniej zmniejszenie animozji między plemionami i klanami. Potem coś się zmieniło, nawet ojciec mówił, że Basajew zaczął się zachowywać dziwnie, chwilami jakby oszalał. Nigdy jednak nie posunął się do takiego lekceważenia kobiet, jak kadi. Nawoływał do terroru, ale o wiele mniej było w tym nienawiści wobec wszystkiego, co nie jest związane z islamem. Nie bardzo mógł zresztą powoływać się tylko na religię. Czeczeńscy komendanci walczyli przede wszystkim o wolność. Przed wyruszeniem do walki tańczyli w kręgu, dodawali sobie ducha, zawiązywali na głowach zielone chusty, a potem szli na śmierć z imieniem Proroka na ustach, ale pragnieniem wolności dla kraju w sercach. Hołowali tradycjom i starym obyczajom, równie ważnym jak wspólne posiłki, czy nakaz opiekowania się rannymi. Czynili to po to, by podtrzymać ducha, a nie z przekonania o jedynie słusznej drodze dżihadu. Rebelianci walczyli z jednym konkretnym wrogiem. Nienawidzili Rosjan, wszystkiego, co niosła ze sobą kremlowska okupacja. Ale ostatnio przez takich właśnie misjonarzy jak kadi, zaczęli nabierać przekonania, iż cały świat stanął przeciwko nim, a każdy wyznawca innej wiary zasługuje na śmierć. Przedłużający się konflikt przyniósł coś, co ojciec nazwał degeneracją i demoralizacją. Dotyczyła obu walczących stron. Rosjanie bez większych oporów handlowali bronią z powstańcami, kupowali od nich wódkę i narkotyki, przymykali oczy na obecność wrogich formacji na swoim terenie. Czeczeni zaczęli traktować walkę jak sposób na życie. Porywali ludzi aby ich torturować i zabić dla zabawy albo żądać okupu; dokonywali rzezi ludności poza granicami Czeczenii, mścili się na okolicznych ludach, które nie miały ochoty stanąć przeciwko mocarstwu.

Nienawiść karmi się nie tylko krzywdą, która dzieje się w danej chwili, ale przede wszystkim wspomnieniami niesprawiedliwości. Wojownicy przy ogniskach wspominają dawne walki, opowiadają o okrucieństwach czynionych przez wroga, krewni zabitego przysięgają zemstę. Halima była świadkiem ślubowania, jakie wuj Rusłan składał przed wyruszeniem na

spotkanie z ojcem. Kadi wypowiadał słowa przysięgi, a komendant powtarzał je z namaszczeniem. Słowa straszne, mówiące o krwi i śmierci, o poświęceniu życia, o straszliwej nienawiści i zemście. Sam Afgańczyk nie poszedł z Rusłanem. Wraz z eskortą udał się ku granicy z Gruzją. Od tamtej strony miał przyjść ktoś bardzo ważny. Dziewczyna nie miała pojęcia, o kogo chodzi, ale osobista misja kadiego świadczyła, że sprawa jest bardzo istotna.

– Żegnaj, biedaku – powiedziała, przysiadając na piętach przy mogile. – Zostaniesz tu na zawsze. Piękne są nasze góry, ale pewnie wolałbyś być na swoich równinach, wiosną cieszyć się słońcem, witać radośnie pierwszy śnieg. Panie – wzniosła oczy w górę – umarł poeta. Ty jesteś wszak patronem wszelkich sztuk, Ty dajesz człowiekowi możliwość tworzenia i niszczenia. Nie oceniaj drogi życia, jaką ten nieszczęśnik wybrał, ale wejrzyj, z jakich to uczynił pobudek. A może gniewasz się na muzułmańską dziewczynę, która zanosi modły za duszę niewiernego? Jeśli tak, wybaczone, ale inaczej nie potrafię. Wylałam morze łez nad jego łóżkiem. Tak bardzo chciałam, żeby przeżył. Nie dla mnie przecież. Widzisz moje serce i wiesz, że mówię prawdę. Chciałam, by wrócił do matki i narzeczonej. Może dziewczyna nie chciałaby spojrzeć na okaleczonego. Ale może potrafiłaby dostrzec piękno w zniekształconych rysach, jak ja potrafiłam. Piękno ducha, nie ciała. A matka... Ona na pewno cieszyłaby się z powrotu syna. Miała tylko jego, teraz nie ma już nikogo. Czy istnieje cięższy los dla kobiety? Dotknij palcem duszy zrozpaczonej, czekającej nadaremnie, daj jej spokój i ukojenie. Nie patrz czy nas nienawidzi, czy odczuwa tylko żal. To nieważne. Czym jest gniew człowieka wobec potęgi Allaha? Znaczący mniej niż ruch skrzydeł komara na pustyni, mniej niż skrzek nadepniętej żaby, mniej niż szelest samotnego liścia pośród gęstwy drzew. Ludzie sławią Twoją potęgę, drżą przed mocą. Czy patrzysz na ten świat? Czy pytasz naszego ojca, Abrahama, co myśli o strasznych czynach twojego stworzenia? Panie, ulituj się nad wszystkimi cierpiącymi świata.

Położyła rękę na chłodnej, spulchnionej szpadlami ziemi. Łzy zaczęły płynąć po policzkach. W ostatnich chwilach życia Dimka przestał wreszcie

cierpieć. Ciało już właściwie umarło, tylko oczy błyszcząły jeszcze iskierkami rozumu. Co chciał powiedzieć na koniec? Bo najwyraźniej chciał i nie był w stanie. Widać było, iż najbardziej dręczy go ta właśnie niemożność. Usta drżały, jednak nie umiał ułożyć ich w ruch umożliwiający chociaż odczytanie słów. Z krtani wydobywało się tylko charkotanie, płuca wypełniał duszący płyn. Młody żołnierz odchodził niechętnie, opierał się śmierci do ostatniej chwili. Jednak musiała wreszcie przyjść. Halima mogłaby przysiąc, że widziała widmowe palce dotykające czoła umierającego. Czoła, na którym dziewczyna kładła okłady uśmierzające gorączkę, które jako jeden z nielicznych skrawków skóry nie uległo strasznym oparzeniom. Dymitr odetchnął głęboko, zaczerpnął powietrza i wypuścił je z westchnieniem. Śmierć, choć ludzie tak bardzo się jej obawiają, może być wybawicielką dla cierpiących. W chwili, gdy wydawał ostatnie tchnienie, Halima odczuła niespodziewaną ulgę, zupełnie jakby przestała odczuwać uporczywy ból pokrewny temu, który był udziałem ранego.



Tarkhan miał gorączkę. Złamana ręka sprawiła, że organizm uległ osłabieniu. Wędrówka w deszczu i porywistym wiatrze zrobiła swoje. Dopadło go przeziębienie. Na szczęście zdolali dotrzeć do zrujnowanej w połowie chaty, zbudowanej na górskim zboczu. To właśnie był cel wędrówki. Tutaj mieli czekać na kogoś, kto ich przejmie i poprowadzi dalej.

- Daj wreszcie morfinę – poprosił Hamsajew. Dżochar pokręcił głową.
- To nie jest dobry pomysł. Morfina nie jest lekiem na taką chorobę.
- Ale mi przynajmniej na chwilę ulży.
- A potem będzie jeszcze gorzej. Nie tragizuj. Gdyby złamanie się paprało, miałbyś stan zapalny, to byłby problem. Ale jesteś zwyczajnie

przeziębiony. Dostałeś aspirynę z wódką, trzeba czekać aż zacznie działać. Szkoda, że nie mamy miodu.

– W dupie mam miód! Daj morfiny.

Gruman przyglądał się przyjacielowi. Podkrążone oczy, wyciągnięte rysy, na czole pot.

– Powiedz, o co chodzi naprawdę.

– Chcę, żeby mi na chwilę ulżyło.

– Kłamiesz – odparł spokojnie Dżochar. – Przejrzałem twój plecak kiedy spałeś. Wiesz, co znalazłem? Nie musisz odpowiadać. Taką ilością morfiny można obsłużyć kompanię wojska. Jesteś narkomanem, Tarkhanie. Codziennie brałeś ukradkiem kilka działek. Teraz nie możesz, a ja nie przyłożę ręki do twojego nałogu. Co innego wypalić sziszę raz na parę miesięcy, a inna rzecz oszalać się niby jakiś degenerat.

– Niech cię szlag – wydyszał Hamsajew. – Nie widzisz, że jestem chory?

– Jesteś. Ale grypa czy co tam cię dopadło, to nie wszystko. To się nazywa zespół odstawienia, prawda? Wiesz, kto tak postępuje? Kto nałogowo zażywa narkotyki. Śmiecie.

– Gównu wiesz – zachnął się Tarkhan. – Na Syberii miałem wypadek. Otwarte złamanie. Byliśmy na wyprawie, na polowaniu. Wpadłem w lodową pułapkę. Myśliwi od razu wpięprzyli mi morfinę. Radio wysiadło. Jeden poszedł po pomoc, a drugi został ze mną. Walił mi zastrzyk co parę godzin, żeby nie słuchać moich krzyków. A w szpitalu... Co to był za szpital! Na dzień dobry dostałem zgadnij co!

– Znów morfinę?

– Żebyś wiedział. I to dolargan. To jakiś krewniak heroiny. Dali mi końską dawkę, bo trzeba było czekać, aż dyżurny chirurg wytrzeźwieje. A potem znów morfinę. Nic innego tam chyba nie mieli! Łapiduch nastawiał mnie i szył bez porządnej narkozy, bo nie było anestezjologa, nie zwiotczyli mnie nawet. Leżałem nawalony morfiną jak kołchoźnik gorzałą, patrzyłem w sufit i widziałem nasz muzulmański raj. Potem, ledwie zacząłem przychodzić do siebie, znów morfina. Bolało mnie jak nie wiem co. Operacja bez narkozy to koszmar w czasie zabiegu, ale jeszcze gorzej jest

potem. Wszystko boli, bo w czasie krojenia odruchowo napinasz mięśnie. Od tamtej pory się zaczęło... Miałem pieniądze i odpowiednie kontakty. Sam rozumiesz. Byłem jak na wygnaniu, z daleka od gór i powietrza Iczkerii. Czasem człowiek chce się zapomnieć, a morfina dawała takie zapomnienie.

– Najwyższy czas z tym skończyć.

– Teraz? W tej chwili chcesz mi robić odwyk? Nie kpij. Teraz trzeba mi dać to, czego ciało się domaga. Inaczej zaczną się prawdziwe kłopoty – chory zaczął mówić, szybko, natarczywym tonem. – Wiesz, jak wygląda człowiek na głodzie i co robi?

– Przytrzymam cię, jak będzie trzeba.

– Nie pieprz! Jak mnie chcesz utrzymać? Rozwalisz mi tylko to złamanie!

– Nie chcę iść dalej z ćpunem!

– Daj morfinę!

– Zapomnij o tym!

– Daj mu – rozległ się od drzwi głęboki, władczy głos. – Ma rację, teraz nie czas na leczenie.

Dżochar zamarł na ułamek sekundy, a potem skoczył do karabinu.

– Zostaw! – szcęknął zamek. Gruman znieruchomiał, końcami palców dotykał parcianego paska kałasznikowa. – Do swojego chcesz strzelać?

W drzwiach stała szczupła, wysoka postać. Mężczyzna wszedł dalej, stanął przy oknie. Za nim pojawili się uzbrojeni ludzie.

– Kim jesteś? – spytał zaczepnie Dżochar. – Czego chcesz od spokojnych ludzi?

Odpowiedział mu krótki, gardłowy śmiech.

– Spokojnych? Bardzo spokojnych. Jak wiadomo tylko spokojni ludzie zwykli chadzać z karabinami.

– W Czeczenii każdy chodzi z karabinem.

– Zgoda. Ale nie będziemy tak gadać bez celu. On ci powie, kim jestem – wskazał brodą Tarkhana. Ten zmrużył oczy, spróbował zogniskować

wzrok. Brak narkotyku dawał się coraz mocniej we znaki. – No, Hamsajew, nie poznajesz?

– Sajf ad–Daula – wyszeptał Tarkhan. – To ty, czcigodny kadi?

– To ja. Widzę, że brak morfiny nie osłabił do końca twojego umysłu. Wstrzyknij mu dawkę – rozkazał Grumanowi. – Na razie potrzebuję go w dobrej formie. A przynajmniej na tyle dobrej, żeby nie myślał tylko o jednym.

Po chwili na twarzy Hamsajewa odmalowała się ulga. Dżochar spoglądał na niego z mieszaniną współczucia i pogardy. Potem przeniósł wzrok na przybysza. Legendarny Sajf ad–Daula, poszukiwany przez chyba wszystkie wywiady świata.

– Nie myślałem, że zjawisz się po nas osobiście, święty mężu – powiedział Tarkhan.

– Powiedzmy, że nie miałem nic lepszego do roboty. Wtajemniczyłeś go we wszystko?

– Na tyle, na ile mogłem. Sam przecież nie wiem wielu rzeczy.

– Masz medalion?

Hamsajew wysupłał z kieszeni krążek na jasnym, nowym rzemieniu.

– Załóż go. Ty też – kadi rzucił Dżocharowi maleńkie zawiniątko. Gruman rozwinął natłuszczony papier.

Medalion z wizerunkiem wilka lśnił, widocznie świeżo odczyszczony. – Przed tobą nosił go wielki wojownik, jeden z najodważniejszych jakich poznałem w całym życiu. Mam nadzieję, że okażesz się godny takiego dziedzictwa.

Obdarowany skłonił głowę z szacunkiem, założył rzemień na szyję, ucałował wizerunek wilka.

– Będę się starał ze wszystkich sił.

– Podobno wyrwaliście się Rosjanom z zasadzki.

– Jesteś bardzo dobrze poinformowany, Sajfie ad–Daula.

– Korzystając z pomocy niewiernego – dokończył z potępieniem kadi.

– Ten Rosjanin miał wobec mnie dług wdzięczności. Niewierni też niekiedy kierują się honorem. Czy lepiej, żeby nas zabili albo złapali?

– Zostawmy to – uciał ad–Daula. – Nie ma czasu do stracenia. Moi ludzie zaraz sporządzą dla Tarkhana jakieś nosze.

– Pójdę o własnych siłach – zaprotestował ranny.

– Zrobisz jak każę – warknął kadi. – Nie potrzebuję nieprzytomnego bohatera tylko sprawnego informatyka.

– Czy to ludzie? – Dżochar wskazał eskortę.

– Rusłana Kadajewa. Kierujemy się do jego obozu. Tarkhan poderwał głowę.

– A nie mieliśmy się spotkać u Omara Guldy? Taki był chyba plan?

Sajf ad–Daula spojrzał surowo.

– Za dużo mówisz, człowieku. Plany są po to, żeby je zmieniać. Im częściej tym lepiej, bo jeśli ktoś zdradzi, łatwiej wyprowadzić wroga w pole. Ty masz wykonywać polecenia komendanta Kadajewa. On zaś rozkazał, żeby spotkanie odbyło się u niego.

– Ale...

– Nie jesteś już Nowym Ruskim na syberyjskich polach naftowych, Hamsajew. Znalazłeś się w Czeczenii, masz uczynić co w twojej mocy, aby przywrócić do życia Republikę Iczkerii.

Tarkhan skłonił pokornie głowę. Zapomniał już, że kadi potrafi uświadomić człowiekowi, gdzie jego miejsce. Od chwili spotkania w Petersburgu minęło ponad pół roku. Wtedy Sajf ad–Daula nosił nazwisko Nursułtan Miczkur, podawał się za przedstawiciela koncernu naftowego z Kirgistanu. Kto wie, może to nawet było jego prawdziwe nazwisko. O ile członkowie Al–Kaidy mają w ogóle jakieś prawdziwe dane. Przybył z posłannictwem od prezydenta Achmada Nikułajewa, z wiadomością, iż Klan Wilka znów istnieje. „Jesteś wciąż żołnierzem Mowsara Barajewa – powiedział, patrząc przenikliwie, jakby umiał poznać myśli i uczucia rozmówcy. – Wyszedłeś cało z rzezi na Dubrowce po to, by walczyć, a nie liczyć dolary. Przyszedł czas, wzywa cię ojczyzna”. Teraz znów, jak wtedy, miał ochotę zapytać, gdzie znajduje się kraj rodzinny rozmówcy. Podobno w Afganistanie, ale czy można to powiedzieć z całą pewnością? Afgańczyk, który jest łącznikiem z Iranem. Gdzie może mieć korzenie ten, którego

Rosjanie i ludzie Zachodu nazywają terrorystą i bezustannie poszukują? Czy w ogóle może mieć jakieś korzenie? Ktoś taki powinien mieć wolną głowę i także serce, nie może wiązać się ani z miejscem, ani z ludźmi.

– Nie potrzeba mi przypominać o powinnościach wobec dowódcy – powiedział Hamsajew hardo. – Zrobiłem wszystko, co trzeba, a może więcej niż tacy, którym wydaje się, że bohaterstwo i zasługi dla kraju mierzy się liczbą zużytych pocisków. Łatwiej strzelać i podkładać bomby niż budować silną organizację.

– Nic nie zostanie zapomniane – odparł kadi. – Jeśli się powiedzie, w odrodzonym kraju możesz liczyć na wdzięczność najwyższych władz.

– A jeśli się nie powiedzie...

– Tego nie bierzemy pod uwagę.

Dżochar trzymał w palcach małą strzykawkę, pozostałą po działce morfiny. Zasluchany w rozmowę Hamsajewa z przybyszem zapomniał o niej zupełnie. Dopiero kiedy poczuł ukłucie w udo, otrząsnął się. Napięcie, jakie towarzyszyło ostatnim dniom wędrówki w tej chwili opadło na tyle, że zupełnie bezwiednie oparł dłoń o nogę, wbijając igłę, kiedy ręka spłynęła w dół zupełnie bez kontroli świadomości. Zaklął pod nosem. Diabli wiedzą, co może zawierać krew narkomana. Może Tarkhan nie szlajał się po różnych zakazanych spelunach, miał forszę, więc kupował zawsze czysty towar, ale koniec końców ktoś to może wiedzieć z całą pewnością?

– Może wreszcie zaczniemy się zbierać? – powiedział ze złością. – Podobno szkoda czasu na bezowocne rozważania.

– Szkoda – przytaknął kadi.

Skinął na ludzi. Natychmiast zaczął się ruch. Tarkhan przymknął oczy. Czuł dobroczynne działanie narkotyku, troski odeszły gdzieś daleko. Nie znikły zupełnie, ale stały się odległe, prawie nieobecne.



Minister Wiktorenko uśmiechał się miło. Wielu ludzi dawało się nabrać na ten rozbrajający uśmiech. Dyplomata jako żywo przypominał wtedy głupiego Iwana z rosyjskich baśni. Kto nie potrafił dostrzec uważnych, błyszczących inteligencją oczu, ten zaczynał go traktować protekcjonalnie, a nawet nieco z góry. Rozmówcy tracili czujność, zaś minister wykorzystywał to, grał na emocjach, utwierdzał ich w przekonaniu, że faktycznie jest zwyczajnym, naiwnym poczciwiną, którego na stanowisko w resorcie siłowym rzucił kaprys prezydenta albo poparcie wpływowych przyjaciół. Niekompetentny – tak podsumowywali go za plecami. Zaś jemu jak najbardziej to odpowiadało. Pająk w sieci też udaje głupiego, powtarzał często.

Jednak amerykański ambasador nie był jednym z tych, którzy lekkomyślnie nie doceniali Wiktorenki. Wręcz przeciwnie – przekonał się kiedyś bardzo boleśnie, że dobry wujaszek jest wilkiem w owczej skórze. Cała rzecz o mało nie skończyła się skandalem dyplomatycznym. Skandalem, który wówczas byłby bardzo na rękę stronie rosyjskiej. Pierwszy raz Abraham Johnstone zetknął się, z ministrem spraw wewnętrznych przy okazji katastrofy okrętu podwodnego „Kursk”, jeszcze jako attache wojskowy. Wtedy, w obliczu tragedii, ze zdumieniem zobaczył niewinny uśmiech na twarzy swojego poniekąd imiennika – Abrama Piotrowicza. Minister próbował ugrać jak najwięcej, zniwelować wrażenie nieporadności rosyjskiej akcji ratunkowej, a przy okazji zaczął coś mówić o terrorystycznym ataku. Potem pojawiły się podejrzenia, że „Kursk” zatonął bardzo w porę, goszcząc na pokładzie wyższych oficerów o poglądach niewygodnych dla grupy sprawującej władzę. Amerykanie uczepili się tego twierdzenia, prowadzili cichą kampanię na wielką skalę, a dziennikarze węszyli za sensacją. Jednak tylko do czasu. Bush porozumiał się z Putinem. Po raz kolejny prawda okazała się mniej ważna od racji stanu. To akurat ambasadorowi specjalnie nie przeszkadzało. Dyplomacja i polityka rządzą się swoimi prawami.

– Abrahamie Georgowiczu – powiedział Wiktorenko. – Proszę podziękować szefowi wywiadu za przekazanie nam bardzo istotnych

informacji. Dzięki nim mogliśmy podjąć odpowiednie działania.

– Abramie Piotrowiczu – odparł bez uśmiechu Amerykanin. – Darujmy sobie te uprzejmości i przejdźmy do rzeczy.

Minister także spoważniał. Czasem zapominał, że Johnstonea trudno nazwać typowym zachodnim dyplomatą. Może dzięki pochodzeniu rozumiał świat wschodu lepiej od innych pracowników służby dyplomatycznej. Jego dziad był litewskim Żydem. Uciekł do Stanów tuż przed napaścią Niemiec na Polskę. W Ameryce otrzymał swoją szansę – miał okazję zarobić. Sam jeszcze nie stał się kimś, ledwie zdołał wystawić głowę nad cuchnącą powierzchnię biedy, ale synowi i wnukom ułatwił drogę na szczyty kariery.

– Jak pan chce – w głosie Wiktořenki pojawił się oficjalny chłód. – Niemniej podziękowania proszę przekazać.

– Od wdzięczności wolałbym garść informacji. Otrzymaliście cenne wiadomości. Bez naszych ustaleń błędzilibyście do dzisiaj po omacku.

– Czego pan oczekuje?

– Sprawozdania z aktywności waszych ludzi na terenie Czeczenii.

Minister roześmiał się. Sprawiał wrażenie naprawdę rozbawionego.

– Pan żąda wyjawienia spraw opatrzonych klauzulą najwyższej tajności.

– Bez nas mielibyście tylko stek bzdurnych domysłów, a nie prawdziwie tajne klauzule. W imieniu rządu Stanów Zjednoczonych zwracam się z prośbą o przedstawienie odnośnych raportów.

Wiktořenko sięgnął po szklankę, z samowara nalał gorącej herbaty. Podsunął gościowi poczęstunek wraz ze słoiczkiem konfitur.

– Domowe – mruknął. – Żona smażyła w ubiegłym tygodniu.

Johnstone skinął głową, ujął małeńką, srebrną łyżeczkę, ale zawiesił ją nad słodką masą, patrząc wyczekująco na ministra.

– Panie ambasadorze. Jest coś, czego ani pan, ani pana mocodawcy zdajecie się nie rozumieć – Wiktořenko także sobie nalał aromatycznego, bursztynowego płynu. – Z waszym pojmowaniem naszych spraw jest trochę, jak z tą herbatą. Rosyjska jest najlepsza na świecie, tak przynajmniej twierdzą ci, którzy próbowali najróżniejszych jej odmian w

rozmaitych krajach. Dlaczego? Bo przyrządza się ją w odpowiedni sposób. To nie jest jedynie kwestia samowara, unikalnego smaku wody, takiej czy innej techniki fermentowania liści. To coś więcej. Jeśli weźmie pan rosyjską herbatę, rosyjski samowar i naszą wodę do swojej ojczyzny, łatwo się pan przekona, że utraciła walory. Bo to coś jest w powietrzu. Ten smak i aromat to po prostu Rosja.

– Bardzo to interesujące – dyplomata skorzystał z okazji, że minister upił łyżeczek wrzątku. – Jak się ma jednak do informacji z Czeczenii?

– Właśnie do tego dochodzę. Herbata jest smaczna tylko i wyłącznie w Rosji. Bo to jej rosyjska odmiana. A Czeczenia także jest częścią naszego kraju. Wam się czasem wydaje, że to jakieś państewko wchłonięte przez złe imperium. Tymczasem jest z nią jak z herbatą – Czeczenia jest rosyjska. Jej mieszkańcy są obywatelami Federacji Rosyjskiej. Jej legalny rząd uznaje zwierzchnictwo Moskwy. Wszystko, co dzieje się na terenie tego skrawka ziemi jest naszą wewnętrzną sprawą.

– Nawet jeśli dotyczy bezpieczeństwa międzynarodowego?

– A czy wy spowiadacie nam się z postępów nad ujęciem Osamy ben Ladena? Zresztą, proszę to sobie pozwolić powiedzieć, panie ambasadorze, łapiecie go tak, żeby przypadkiem nie schwytać.

– Pan coś insynuuje?

– Zwracam jedynie uwagę na fakty. Przecież król Al-Kaidy jest poważnie chory. Potrzebuje opieki lekarskiej na poziomie o wiele wyższym, niż połowa czołówka medyczna. Potrzebuje podłączania do skomplikowanych urządzeń. Ktoś mu to zapewnia i ułatwia. Na pewno nie my, bo nie mamy interesu.

– A my mamy, tak?

– A wam jest potrzebny wróg, żeby usprawiedliwić kolejne wojny i przedłużający się pobyt w Iraku.

– Sugerowanie, że Ameryka cichaczem wspiera swojego największego wroga jest co najmniej nie na miejscu, panie ministrze. Gdybyśmy rozmawiali oficjalnie...

– Gdybyśmy rozmawiali oficjalnie – przerwał mu Wiktoренко. – Nigdy bym czegoś podobnego nie powiedział, a z kolei pan nie miałby śmiałości pytać o ustalenia operacyjne wywiadu rosyjskiego. Nic nie sugeruję, raczej głośno myślę. Ben Ladena możecie mniej lub bardziej kontrolować, pewnie macie ludzi w jego otoczeniu. Gdyby jego zabrakło, przywództwo obejmie kto inny. A, jak wiadomo, Arabowie lubią robić czystki po przejęciu władzy ot tak, na wszelki wypadek.

– Jak wszyscy – zauważył ambasador.

– Ale nie wszyscy zabijają ludzi, których uznają za niegodnych zaufania. Dlatego wam jest na rękę istnienie Osamy. Wydaje orędzia, grozi, wzywa do przejścia na islam, ale za wiele nie robi. Tak to wygląda z boku.

Johnstone wzruszył ramionami. Rosjanin, jak zwykle, gdy porusza się trudny dlań temat, sprowadza rozmowę na boczne tory. Taka już jest rosyjska polityczna ruletka – z jednej strony strategia faktów, a z drugiej stawianie zasłon dymnych. Rozmowa z nimi przypomina łapanie wiatru w palce: niewiele z tego pożytku, wszystko się zawsze prześliznie. Trzeba wrócić do konkretów, przycisnąć rozmówcę, obejść. Może wtedy wydobędzie się z niego coś więcej.

– Panie ministrze, świat jest zaniepokojony sytuacją na Kaukazie. Nie ma tygodnia, żeby organizacje humanitarne nie składały petycji i protestów na nasze ręce.

– Niech składają – wzruszył ramionami Wiktoренко. – Od tego są. Do was piszą w sprawie Czeczenów, nas zawiadamiają o łamaniu praw w Iraku.

– Ale tu chodzi o zbrodnie wojenne! Nie tylko popełniane dawniej, ale i teraz.

– Panie ambasadorze, Czeczenia ma swój rząd, który jest uprawniony do wnoszenia skarg na siły federacyjne obecne na terenie republiki. Jak dotąd nie wpłynęło w tej sprawie ani jedno pismo. Powiem więcej. Prezydent czeczeński nieraz dawał wyraz wdzięczności za obecność formacji rosyjskich, zwracał uwagę na przestępstwa popełniane przez rebeliantów.

Johnstone westchnął w duchu. Tak, to jest właśnie to. Kolejna niezawodna metoda – zaprzeczać rzeczywistości, nadawać sprawdzonym, wiarygodnym informacjom zupełnie nowy wymiar.

– Goebbels powiedział, że powtórzone tysiąc razy kłamstwo staje się rzeczywistością. Wszystkie siły polityczne stosują podobną taktykę od tysiącleci, ale wy, Rosjanie, doprowadziliście ją do perfekcji.

– Niepotrzebny sarkazm i zacierzowanie, Abrahamie Georgowiczu. Mamy tu się dogadywać, a nie sprzeczać i doprowadzać do eskalacji wzajemnych animozji.

– Tylko stwierdzam fakt. Jeśli pan zauważył, zupełnie beznamiętnie.

– Co do jednego ma pan rację. To bardzo dobry sposób. Proszę spojrzeć chociażby na Biblię. Żydzi uciekli z Egiptu. Czy zdarzyły się wtedy jakieś cuda, czy nie, to rzecz osobna. Mojżesz uczył się u najmądrzejszych kapłanów, znał wszystkie ich sztuczki, mógł sobie pozwolić na pokaz mocy. A potem wyszli za granicę królestwa. Faraon ścigał ich. Nie wiem czy bardzo zażarcie, bo w końcu zdołali ujść, ale zawsze. Jakoś Egipt po tym fakcie nie upadł, nic szczególnego się nie stało, ale dziejopisowie narodu wybranego zdołali tak przedstawić sprawę, że wygląda, jakby władca najpotężniejszego państwa ówczesnego świata poniósł dotkliwą klęskę.

– Nie wiedziałem, że zagłębia się pan tak w biblijne rozważania.

– To bardzo pouczająca lektura. Weźmy Mojżesza. Jak by pan go określił? Człowiek wychowany na dworze królewskim, otrzymał miłość i wykształcenie, nie wiedział nawet, że jest Żydem. A jednak, kiedy przyszło co do czego, za nic miał więzi z egipską rodziną. Dzisiaj mówilibyśmy o zdradzie, nieprawdaż? Wtedy zresztą takie postępowanie oceniano chyba podobnie. A jednak stał się bohaterem, do dziś symbolizuje siłę, która zdołała wyzwolić uciskany lud. Nieważne, że sprzeniewierzył się swoim dobroczyńcom, nieważne, że złamał serce przybranej matce. Osiągnął cel, przyczynił się do stworzenia państwa Izrael. Bo w polityce najważniejsza jest skuteczność. Nie sądzi się zwycięzców.

– Bardzo trafne i interesujące, panie ministrze. Ale w przypadku interesujących nas zagadnień skuteczność będzie większa, jeśli otrzymamy

potrzebne informacje. Nie tylko wy potraficie robić użytek ze swoich służb specjalnych.

Wiktorenko milczał przez dłuższą chwilę.

– Jedno, co mogę panu powiedzieć to, że zagraliśmy va bank. Do Czechenii posłaliśmy ludzi nieuwikłanych w dochodzenie w sprawie Klanu Wilka.

Johnstone zacisnął zęby, przymknął oczy, policzył do dziesięciu.

– Mam rozumieć, że są tam jacyś amatorzy?

– Nie amatorzy. Najlepsi fachowcy, jakich mamy. Ale nieuwikłani, powtarzam.

– Nie ufacie pracownikom własnego wywiadu?

– A wy swoim do końca ufacie? Zawsze istnieje możliwość, iż każdy, kto jest w takiej sprawie został kupiony.

– Albo przekonany.

– Dlatego wyjechali tam ludzie, którzy nie wiedzieli nawet, po co tak naprawdę jadą.

– A gdzie teraz są? Minister roześmiał się.

– Panie ambasadorze, rozumiem, że warto spróbować, ale czy naprawdę liczy pan na to, że coś powiem? Wy, Amerykanie, łatwo sprzedajecie swoje tajemnice. Załóżmy, że powiem panu. Zatrzyma pan to dla siebie? Proszę nawet nie odpowiadać. Dowie się sekretarz obrony, sekretarz stanu i paru innych wysoko postawionych osób. I któryś wszystko wyśpiewa swojej kochance. A kim są kochanki takich person, nawet nie muszę wspominać.

– Mam więc przekazać prezydentowi, że odmawia pan współpracy? Że zostaliśmy wykorzystani i odsunięci?

– Może pan przekazać, co chce. Prawda jest taka, że nie pozwolimy wam się mieszać w sprawy na terytorium Rosji.

– Kiedyś był taki dowcip – Johnstone wstał. – Czym się różni Ameryka od Związku Radzieckiego. Zna pan to?

– Proszę mówić – Wiktorenko również podniósł się z fotela.

– Związek Radziecki wtrącał się w sprawy Stanów Zjednoczonych na terenie Ameryki, a Ameryka wtrącała się w wewnętrzne sprawy Związku

Radzieckiego na całym świecie.

– Tak, rzeczywiście coś takiego funkcjonowało. O ile się nie mylę, ten żart wymyślili Polacy. Był nawet śmieszny. Ale teraz mam wrażenie, że układ sił wygląda dokładnie odwrotnie. Nie oszukujmy się, nie jesteśmy w tej chwili sojusznikami z przekonania, ale z konieczności. Amerykański interwencjonizm przybiera coraz bardziej niepokojące formy. W każdym razie może pan uspokoić swoich. Trzymamy rękę na pulsie.

– Jak zawsze?

– Jak zawsze. Z nielicznymi wyjątkami.

– No cóż, w takim razie dziękuję za rozmowę.

Ambasador skłonił się, ale nie podał ręki na pożegnanie. Czekał, co zrobi minister. A na twarzy Wiktořenki zakwitł znów pogodny, niewinny uśmiech wiejskiego głupka. Wyciągnął prawicę, mocno uściśnął dłoń rozmówcy, kładąc na niej kordialnie drugą rękę, jakby żegnał się z najdroższym przyjacielem.

Ambasador odruchowo odpowiedział uśmiechem. Rosjanie bywają zupełnie nieprzewidywalni.

– A przy okazji – rzucił niedbale minister. – Nikołaj Petrosjan, ten sam, który niedawno ułatwił ucieczkę czeczeńskim terrorystom, kazał pana pozdrowić.

– Dlaczego akurat mnie? Nie znam go.

– Widocznie ma słabość do Amerykanów, a pan jest niejako solą swojej ziemi na terenie Rosji. Może będzie miał jakiś interes do ambasady? Kto ich tam wie, tych Nowych Ruskich.

Johnstone wyszedł, mając w głowie zupełny mętlik, stanął w korytarzu. Rosyjski szef resortu spraw wewnętrznych postanowił najwyraźniej uświadomić wywiadowi amerykańskiemu, iż zna powiązania biznesu rosyjskiego z amerykańskimi agendami. A może wręcz przeciwnie – pozdrowienia od człowieka, z którym rezydent CIA utrzymuje kontakty jest jawną manifestacją lojalności Petrosjana wobec rządu Federacji Rosyjskiej. Zresztą obie te możliwości można połączyć w jedno. Jest zresztą jeszcze inna opcja, dotycząca prawdziwych pobudek biznesmena, jego roli w

nieudanej obławie na wystawionych przez amerykański wywiad Czeczenów... Ale czy to nie jest zbyt grubymi nićmi szyte? Chyba że intryga jest jeszcze bardziej złożona. Tego nie zdoła rozstrzygnąć w tej chwili, stojąc pod drzwiami gabinetu ministra.



Rozdział 10

Wrócili do obozu po przeszło tygodniu nieobecności. Na widok nowego grobu Rusłan tylko uniósł brwi. Poczuł niejaką ulgę. Obecność rannego Rosjanina nieco mu doskwierała, tkwiła w duszy niczym niegroźna, ale dolegliwa zadra. Od czasu, kiedy uległ prośbom Halimy i nie zastrzelił Szewadze, czuł coś w rodzaju upokorzenia. Jego ludzie widzieli, że zwyczajna niewiasta ma coś do powiedzenia w bazie surowego komendanta. Niby nikt nic nie mówił, nie szeptał nawet za plecami, ale Kadajew wiedział doskonale, iż podwładni dostrzegli rysę na granitowym monolicie charakteru dowódcy. Teraz problem poniekąd zniknął, rozwiązał się sam.

Halima wybiegła im na przeciwko, wypatrując pilnie wysokiej, szczupłej postaci ojca. Nie widziała go ponad pół roku, a tym bardziej wyglądała powrotu oddziału, że odkąd powrócił kadi, nie miała lekkiego życia. Znów zaczął pilnować modłów, żołnierze przestali się do niej odzywać, bojąc się narażenia na gniew Afgańczyka. Ci, których przyprowadził z wyprawy też ją niepokoił. Jeden był czarniawy, o ponurym wejrzeniu, widać było w jego rysach turecką krew, a drugi, ten ze złamaną ręką miał okropnie rozbiegane oczy. Nie wiedziała, który bardziej ją przerażał. Gruman patrzył na nią z wyraźną pożądlivością. Żaden z ludzi wuja nie odważyłby się otwarcie spoglądać w ten sposób na ulubienicę dowódcy. Nie zaczepiał jej, nie rzucał nieprzystojnych uwag, ale była pewna, że gdyby oddaliła się gdzieś sama, miałyby go natychmiast na karku. Hamsajew z kolei w ogóle nie zwracał na nią uwagi. Widać było, że jest czymś wiecznie zaprzątnięty, myślami przebywa daleko od miejsca, w którym się znalazł. Mnóstwo czasu spędzał z kadim przy komputerze z satelitarnym łączem internetowym. Halima doskonale wiedziała, że porozumiewają się z jakimiś tajemniczymi grupami, pewnie z zagranicy. Nigdzie nie jest tak łatwo się schować, jak w sieci. Ludzie z Al-Kaidy mieli swoje wypróbowane

sposoby komunikacji. Każdy zakładał kilkadziesiąt kont pocztowych, logował się na nie przez różne serwery, wymieniał informacje nie tylko z innymi członkami organizacji, ale także z postronnymi osobami. Zacieranie śladów stało się wśród arabskich bojowników sztuką, ich umiejętności w tym względzie były bardzo wysoko rozwinięte. Klan Wilka zaczął korzystać właśnie z tych doświadczeń. Nikt o tym dziewczynie nie opowiadał, ale nie było też możliwości, żeby mężczyźni nie uronili w jej obecności jakiegoś słowa lub zdania. Reszty łatwo się domyślała. Nie wiedziała jedynie najważniejszego: jaki jest cel reaktywowania Klanu Wilka, co zamierzają zrobić jego przywódcy. Jedno było pewne – w Rosji zbliżały się kolejne wybory prezydenckie oraz parlamentarne, więc Czeczenia mogła się spodziewać kolejnej fali przemocy, prowokacji, udowadniania przez władze, że jej okupacja jest nie tylko koniecznością, ale także dobrodziejstwem dla świata, bo zamieszkują ją sami terroryści, których w ryzach utrzymuje jedynie wojsko i milicja. Ten niewielki skrawek terenu na Przedkaukaziu służył zadziwiająco wielkim i dalekosiężnym celom politycznym.

Ojciec jechał konno. W mundurze gruzińskiego kroju wyglądał niczym księżę lub król z dawnych czasów, a nie ścigany zażarcie przez Rosjan prezydent wolnej Iczkerii. Obok stąpał koń niosący na grzbiecie wuja Rusłana. Na widok córki Nikułajew zeskoczył z siodła, pobiegł jej naprzeciw, rozkładając ręce. Mogła przysiąc, że czuje na plecach kamienny, potępiający wzrok kadiego, obserwującego tę scenę gdzieś z tyłu. Było jej wszystko jedno.

– Tatku – przytuliła się mocno do rodzica. – Tak bardzo tęskniłam.

– A ja tak się o ciebie bałem. Przyszła wiadomość, że Rosjanie zabili całą rodzinę Supyana Mizjewa. Dopiero po dwóch tygodniach Rusłan zawiadomił mnie, że jesteś bezpieczna – dostrzegł, że córka rozgląda się. Stała na palcach i nad jego ramieniem obserwowała oddział. – Nie bój się, on niedługo przyjedzie. Poszedł z patrolem pod bazę rosyjską w Szatoj. Jeśli im się uda zasięgną języka. Doszły nas słuchy, że nagle zmieniło się tam dowództwo, a to może oznaczać coś niedobrego.

Halimę aż wstrząsnęło na myśl, co oznaczają słowa „zasięgnąć języka”. Widziała przecież, jak są traktowani rosyjscy jeńcy. Komendanci każą zamykać ich w cuchnących jamach, biją i torturują, często nie po to nawet, żeby wydobyć informacje, ale by taką drogą mścić krzywdy, a często po prostu się zabawić. Dla muzułmanina zemsta jest czymś bardzo ważnym. Ale przecież nie tylko dla wyznawcy proroka. Paweł opowiadał kiedyś przy ognisku o zwyczajach mieszkańców Kosowa. Przysłuchiwała się temu, siedząc z boku, w cieniu, by nie kłuć ad-Dauli w oczy swoją obecnością. W tamtym kraju, jeśli jeden dzieciak w szkole złamie drugiemu kredkę, pokrzywdzony jest mu zobowiązany zniszczyć dwie. Jeśli to nie pomoże i konflikt istnieje nadal, należy zbić sprawcę. Przy braku rezultatu ojciec poszkodowanego musi uderzyć jego przeciwnika. A jeśli i to pozostaje bez echa, powinien pobić ojca chłopca. Tak to się toczy aż do zabójstwa. Nieważne, czy ten ktoś jest muzułmaninem, czy chrześcijaninem. Zemsta musi nastąpić.

– Nie powinnaś mieć nadziei na wzajemność tego człowieka – powiedział cicho ojciec. – To przede wszystkim żołnierz i morderca. Nie wiem, czy potrafi obdarzyć kogoś prawdziwą miłością.

– A poza tym jak by to wyglądało, żeby córka prezydenta chciała wiązać się z innowiercą – mruknęła.

– Możesz mi wierzyć, że to w tej chwili najmniejszy nasz problem.

Puściła go odeszła krok w tył. Dostrzegła cienie pod zmęczonymi oczami i troskę w spojrzeniu.

– Coś się stało, ojczy? Coś bardzo złego?

– Nie miejsce i pora, córeczko. Wyjaśnię ci wszystko później, kiedy będę wiedział dostatecznie dużo.

Ruszył do przodu, tam, gdzie bojownicy strzegący obozu utworzyli szereg, prezentując broń. Halima została z tyłu. Nie godziło się, by kobieta szła obok wodza odbierać honory.

– Witaj, siostrzenico – usłyszała głos z tyłu. Ruslan także zsiadł z konia, stanął obok niej. – Nie masz się już kim opiekować.

– Zmarł przedwczoraj, wuju. Cierpiał prawie do samego końca.

– Życie człowieka jest ciągłym pasmem cierpień – odpowiedział dziwnie stłumionym głosem. – Ledwie jedno się skończy, nadciąga następne. Nigdy nie wiesz, kiedy i z której strony spadnie grom. Gruzin przynajmniej ma to już za sobą.

– Co się stało? Dlaczego jesteście z ojcem tacy dziwni?

– Jeszcze nic takiego nie zaszło, Halimo, ale niebawem może zajść.

– Nie powiesz mi, co?

– Kiedy przyjdzie czas, a mam nadzieję, że nigdy.

Halima przygryzła wargi. Co takiego mogło się zdarzyć, że ci dwaj wielcy wojownicy stali się aż tak przygaszeni?

– Przyprawdziliście sporo ludzi – zauważyła.

– Jutro będzie ich jeszcze więcej. Przybędą wtajemniczeni dowódcy z plutonami ochronnymi. Dlatego lepiej, że Rosjanin umarł. I tak musiałbym go zabić. Nie wolno okazywać słabości, nawet jeśli jest ona podyktowana miłością do ulubionej siostrzenicy.

– Kadi już by tego dopilnował.

– Sajf ad-Daula wyznaje najtwardsze prawo szariatu. Musimy być mocni i bezwzględni, jeśli chcemy wygrać z silniejszym i nie znającym skrupułów przeciwnikiem.

– To dlatego wysłałeś Pawła z patrolem? Żeby chrześcijanin nie drażnił swoją obecnością kadiego i komendantów?

– Bystra jesteś, dziewczyno. Niech pierwsze trudne chwile miną bez niego.

– Ale przecież on jest po naszej stronie. Podejrzewałbyś go o zdradę?

Rusłan odetchnął głęboko.

– Nigdy. Ja to wiem i ty to wiesz. Jednak dowódcy zazwyczaj nie mają zaufania do najemników. To są sprawy Klanu Wilka, żaden cudzoziemiec nie powinien być w nie wtajemniczony. Wiesz, jak jest z naszymi dowódcami. Niby uznają zwierzchność prezydenta, ale w głębi duszy każdy uważa siebie za równego najwyższej władzy. Jeśli jeden drugiemu nadeptnie na odcisk, będą się spierać do końca życia, nie zważając na dobro kraju.

Zamilkł, zapatrzył się na Achmada, witającego się z kadim.

– Jestem taki sam – dodał cicho. – Nie potrafię wyrzucić z serca i umysłu jarzma krwawych obyczajów. Przestrzeganie ich nie zawsze prowadzi do dobrych rezultatów. Chodźmy, muszę osobiście wszystkiego doglądnąć. Mam nadzieję, że pod moją nieobecność dyscyplina nie uległa zbyt wielkiemu rozluźnieniu.

Halima szła za wujem, zastanawiając się, co takiego zaszło podczas misji. Kadajew nigdy przedtem nie ujawniał skłonności do podobnych przemyśleń. Zawsze powtarzał, że najpierw działa, a potem rozważa skutki i w tym tkwi jego siła.

Ojciec obejrzał się na nich. Nawet z daleka można było dostrzec ogromny smutek w ciemnych oczach, tym łatwiej, że nie ukrywał się on tylko w żenicach, ale rozlewał po całej twarzy, ściągając kąciki warg ku dołowi, pogłębiając zmarszczki i cienie wokół powiek.



– Niech to szlag jasny trafi!

Malinin pochylał się nad laptopem. Wydobył go kwadrans wcześniej ze specjalnego pojemnika w plecaku. Klatka zabezpieczająca została wykonana z tytanowych płaskowników, pokryta była wodoodpornym materiałem. Nic złego nie mogło urządzenia spotkać podczas drogi. Jednak komputer uparcie nie chciał działać. Zasilanie wprawdzie funkcjonowało, na ekranie wyświetlały się pierwsze napisy, ale potem całość zamierała i nie można było jej ruszyć.

– Sprawdzał ktoś ten sprzęt przed zapakowaniem? – spytał leniwie Siergiej.

– Pewnie, że sprawdzał! Najlepszy informatyk w jednostce.

– Taaaak – powiedział przeciągle sierżant. – To mamy problem.

– Rzuć na to okiem, Sierioża – poprosił Wołkowski. Malinin skrzywił się z niechęcią.

– Nie pozwolę byle komu przy tym majstrować.

– Jak chcesz – wzruszył ramionami major. – Sierżant Iwanow zajmuje się w mojej jednostce wszystkim, co dotyczy informatyki. Ale jeśli uważasz, że jest niegodny dotknąć sprzętu będącego własnością GRU...

– No dobrze – kapitan odsunął się od laptopa. Siergiej zresetował urządzenie. Patrzył uważnie na pojawiającą się listę sprzętu. Odpalił komputer jeszcze raz, wszedł w ustawienia BIOS.

– Tak – mruknął. – Są rzeczy możliwe do zrobienia, bądź niewykonalne. Trudno, żeby system ruszył, jeśli nie widzi dysku twardego.

– Nie wyszukuje automatycznie?

– Nie widzi. Najwidoczniej jest mocno uszkodzony albo w ogóle go nie ma. Czego można oczekiwać? Wie pan, co wkładają wasi armiejcy do takich urządzeń? Różny badziew z manufaktur w Malezji czy innym Tajwanie. A może tego twardego skręcał jakiś chiński skazaniec i chciał zdążyć za wszelką cenę, bo okazało się, że tego dnia ułaskawienia jednak nie będzie. Jakby nawet ruszył ten pieprzony dysk, pewnie by się okazało, że nie chodzi karta graficzna, szlag trafił modem, napęd optyczny albo klawiaturę.

– Co teraz?

– Gówno – padła zwięzła odpowiedź. – Możemy używać tego złomu jako blatu pod kubki z kawą. Szkoda, że zostawiliśmy nasz sprzęt w Dagestanie, teraz byłby jak znalazł.

– Kurwa mać – powiedział z pasją Malinin. – Czy u nas tak zawsze musi być?

– Musi – odparł Wadim, nie czekając aż Iwanow znów powie coś naruszającego dobre imię wyższych władz Rosji. – Rosjanin powinien sobie radzić z przeciwnościami losu zawsze i wszędzie. Takie wyzwania powodują, że jesteśmy mistrzami prostych rozwiązań.

– Daruj sobie tę filozofię dla ubogich – burknął Wiktor. – Bez komputera nie nawiążemy kontaktu z naszym człowiekiem po tamtej stronie barykady. Mieliśmy odebrać wiadomość dzisiaj. Dokładnie pięć minut temu. Następny termin upływa za godzinę, a ostatni za trzy.

– A jak się nie odezwiemy? Jest kontakt awaryjny?

– Kontakt nie ma pojęcia, że nie odbierzemy informacji. To połączenie działa tylko w jedną stronę. Nie może otrzymać żadnych wiadomości, bo to by mogło go zdekonspirować.

– To połączenie z netem naprawdę było aż takie ważne?

– Wiele by ułatwiło. Bez odpowiednich wiadomości musimy działać po omacku, mamy jedynie szansę uzyskać jakieś dane z centrali. Jeśli nie spieprzył się także wasz telefon satelitarny. Podobno możecie go użyć w stanie wyższej konieczności. Taka chwila chyba właśnie nadeszła.

– Działa – uśmiechnął się Siergiej. – Sprawdziałem dzisiaj rano. Na ewentualny kontakt jesteśmy umówieni codziennie, ale dopiero po południu możemy dać albo sygnał gotowości, albo o wpadce. W tym pierwszym wypadku trzeba potem odczekać jeszcze półtorej godziny. Czyli mamy trochę czasu.

Położył się na trawie, wyciągnął nogi.

– Nie możesz rozkręcić tego szmelcu i sprawdzić, czy może jednak nie da się czegoś naprawić? Będziesz tak leżał?

– Po co robić coś, co nie ma sensu? Lepiej odpocząć.

– W trumnie odpoczniesz.

Sierżant przewrócił się na bok, podniósł na łokciu.

– A skąd pan wie, że na tamtym świecie dadzą człowiekowi odpocząć? Może po śmierci zacznie się taka bieganina, że całe to parszywe życie będziemy wspominać jako niezłe wczasy nad Adriatykiem? Ja tam jestem wierny zasadzie, żeby nie odkładać odpoczynku na później, jeśli tylko jest okazja. Wszystko inne może spokojnie poczekać.

Malinin zgrzytnął zębami i sam zaczął grzebać przy laptopie.

– Właściwie co się naprawdę stało z dowódcą jednostki w Szatoj? – Wołkowski postanowił wreszcie o to zapytać, nie czekając na lepszą okazję.

– Desantowcy w bazie wydawali mi się cokolwiek źle do nas nastawieni.

– Mówiłem, został odwołany w trybie pilnym.

– Jak pilnym?

– Bardzo pilnym! – kapitan odkręcił kolejną śrubkę, nacisnął ze złością zatrzask. Chrupnął łamany plastik. – Co za różnica?

- Jestem po prostu ciekawy.
- Oho – Iwanow nawet nie otworzył oczu. – Słyszę, że naprawa przebiega jak się patrzy.
- Kazał pan, musiał sam – odparł Malinin. – Może uda mi się coś jeszcze z tym zrobić.
- Uda się na pewno dokumentnie rozpieprzyć. Ale skoro pan się nudzi...
- Dowiem się w końcu, jak było z tym dowódcą?
- To na pewno tajemnica – wtrącił Zachariasz Wiktoренко. – Wywiad nie ujawnia takich informacji.
- Wywiad mógłby zrobić wyjątek, jeśli chce naszymi rękami wyciągać kasztany z ognia.
- Daj spokój. Przecież Wiktor nic nie powie. Wołkowski usiadł obok leżącego sierżanta. Oparł się na łokciach, spojrział w niebo.
- Nie powie, to wiem doskonale. Wietrzę w tym wszystkim jakieś łotrostwo. I nie chodzi tylko o tego pułkownika z Szatoj. Nasz kochany kapitan GRU nie chciał wyjawić nawet, czym się zajmował Klan Wilka w przeszłości. O co teraz chodzi skupionym w tej organizacji separatystom też się prędko nie dowiemy. Ale żeby nas wysłać na śmierć, proszę bardzo, nie ma przeciwwskazań.
- Malinin podniósł pokrywę laptopa, zapatrzył się na drukowane płytki i wiązki okablowania. Twardy dysk lśnił nowością.
- Sierzancie, może byś jednak ruszył dupsko i spojrział na to?
- Siergiej podniósł się leniwie, stanął nad kapitanem, patrzył przez dłuższą chwilę, a potem wrócił na poprzednie miejsce.
- Co robisz?
- Przecież spojrziałem. Wystarczy. Wszystko w tym ścierwie jest wymieszane. Każdy flak od innego producenta, dopasowane na siłę, połowa zupełnie niekompatybilna, zasilanie zostało przełożone z modelu z poprzedniej epoki, a płyta główna z gówna, jeśli mogę zrymować. Nie mogło się nie rozsypać, i tak dobrze, że nie mieliśmy tutaj małego ogniska. Sprzęt w sam raz do działań dywersyjnych. Tylko owinać w kolorowy

papier i posłać w prezencie najgorszemu wrogowi, żeby mu z nerwów pompka strzeliła.

– Skoro mamy to już ustalone – rzekł Wołkowski. – Może wrócimy do tematu. Uchyliż chociaż rąbka tajemnicy? Należy nam się chyba odrobina wiedzy.

Malinin cisnął ze złością laptopem o skałkę.

– Powiem wam nawet więcej niż odrobinę. To chyba dobry moment. Wpakowaliście się w to bagno i nie ma odwrotu.

– Zamieniamy się w słuch, prawda Zachariaszu? Wiktoренко kiwnął głową z entuzjazmem. Malinin spojrział z odrazą i pretensją na szczątki komputera, zanim zaczął.

– Separatyści czeczeńscy w ostatnim czasie zaczęli interesować się sprowadzaniem pewnych materiałów z terenu Iranu.

– Jakich materiałów? Można konkretniej?

– Rozszczepialnych. Wadim gwizdnął przeciągle.

– Chcą skonstruować bomby z wsadem uranowym. Takie do skażenia większego terenu. Tutaj nie da się zrobić niczego więcej, ale i to wystarczy. Gdyby coś takiego odpalić w Moskwie, pół miasta, jak nie lepiej nie nadawałoby się przez dłuższy czas do życia.

– Właśnie. Taki ładunek może być groźniejszy w skutkach niż niewielka głowica nuklearna, bo wywala w powietrze cały syf i jeśli tylko wieją wiatry, obrywa wielki spłacheć terenu, większy niż po eksplozji atomowej. Człowiek ma to do siebie, że potrafi wymyślić najbardziej wredne rozwiązania.

– Iran postanowił skorzystać z determinacji Czeczenów? Ale to jednak trochę bez sensu, zaczepiać kraj, który staje w ich obronie.

– Im chyba zaczyna być wszystko jedno. Sam powiedziałaś, że dla islamskich ekstremistów każdy jest wrogiem. Ajatollahów musi boleć, że Iran ma już broń atomową, ale nie bardzo może jej swobodnie użyć. Brakuje im rakiet i samolotów do przenoszenia. Zaatakować zniecka Izrael, proszę bardzo, jednak dalsze cele są poza ich zasięgiem.

Malinin wyjął z kieszeni munduru piersiówkę, pociągnął solidny łyk.

– Niby tak. I właśnie o to chodzi. Zresztą jaki sens miałyby atak na Rosję albo państwa NATO, nawet gdyby mogli użyć konkretnych głowic jądrowych? Odwet zmiotłby ich z powierzchni ziemi. Wymyślili więc coś innego. Muszę powiedzieć, że to niesłychanie sprytne, bo będzie trzeba najpierw udowodnić udział Iranu. Wyobraźcie sobie...

Przerwał im narastający warkot. W górach głos odbija się od skał, często bardzo trudno ustalić kierunek, z którego dochodzi odgłos. Zresztą w tych okolicznościach było wszystko jedno.

– Spieprzamy – pierwszy zareagował sierżant. – Kryć się. To Mi-24! Tylko to cholerstwo wydaje taki świst.

Natychmiast pozbierali rzeczy, ukryli się jak który mógł wśród skał i kamieni okalających wypłaszczenie, będące miejscem odpoczynku. Wadim pomyślał, że głupio byłoby zginąć od ognia swoich podczas wykonywania tak ważnej misji. W głowie kołatała mu się jedna myśl – skażenie promieniotwórcze. Jakim trzeba być potworem, żeby chcieć użyć tego typu broni? I natychmiast przed oczami stanął mu obraz plądrowanej czeczeńskiej osady. Takie postępowanie musi budzić nienawiść. Straszna nienawiść, sięgająca daleko poza granice rozsądku i instynktu samozachowawczego...

Śmigłowiec przeleciał nad nimi, zatoczył krąg. Miał pełne uzbrojenie, spod kadłuba groźnie sterczały wyrzutnie rakiet, na pokładzie karabiny i lufy działek. Taka bestia potrafi obrócić w perzynę spory kawał terenu. Oby tylko pilot nie nabrał jakichś podejrzeń. Wadim pomyślał, że nazwanie go w kodzie NATO terminem „Hind”, czyli „Łania” było wyrazem wisielczego humoru. Powinni go ochrzcić raczej nosorożcem. Rosyjscy żołnierze słusznie toto nazywają latającym czołgiem. Maszyna zwiła nad miejscem, gdzie niedawno siedzieli, zaczęła się zniżać. Było dość miejsca, żeby ją posadzić, ale koła nie dotknęły ziemi. Otworzyły się drzwi, wyleciał przez nie jakiś duży, podłużny przedmiot. A potem helikopter błyskawicznie wzbił się w powietrze i odleciał na południowy zachód.

Odczekali kilka minut, zanim odważyli się wyjść. Wiktoренко pierwszy podszedł do tajemniczego ładunku. Stał nad nim, patrząc z

niedowierzaniem.

– Żołnierz – powiedział drętwym głosem. – To rosyjski żołnierz.

Wadim stanął obok niego, po chwili dołączyli Wiktor z Siergiejem. Trup patrzył na nich szklanymi oczami. W czole ziała wielka dziura wylotowa.

– Strzał w tył głowy – orzekł Zachariasz. – Co tu się dzieje?

– To, co wszędzie – odpowiedział Malinin. – Pewnie porachunki. Ktoś komuś zepsuł interes, albo coś w tym rodzaju.

– I mówisz o tym tak spokojnie?

– A jak mam mówić? Jeszcze do was nie dotarło, jaka to brudna wojna? Mamy tutaj wojsko, ale w nim powstają układy mafijne. W lwiej części Czeczeńcy też od dawna już nie biją się o wolność, ale na pierwszym miejscu stawiają pieniądze.

– A ty do jakiej mafii należysz? – spytał kąśliwym tonem Wołkowski. – Tylko nie mów, że jesteś czysty jak łąza.

– Nikt nie jest czysty jak łąza. Były dowódca desantowców w Szatoj, o którego przedtem tak dopytywałeś, też miał swoje za uszami. A ten tutaj – wskazał trupa – może jest ofiarą, Bogu ducha winnym frajerem, który usłyszał za dużo albo sprzeciwił się czemuś, co uznał za niegodziwe, ale równie dobrze może to być wredny skurwiel, którego spotkał zasłużony los. Może żołnierze pozbyli się upierdliwego oficera, jakiegoś sadystycznego zboczeńca. Takie rzeczy też się zdarzają.

– Do kolejnej rodziny pójdzie list, że syn albo ojciec zaginął w akcji – mruknął Siergiej. – Nie powinniśmy go obszukać?

– Nie jesteśmy żandarmerią wojskową ani policją – pokręcił głową Malinin. – Mamy swoje zadanie do wykonania. Chcesz się wtrącać we wszystko, co się tutaj dzieje? Czasem lepiej wiedzieć za mało niż za dużo.

– Lepiej? – parsknął Siergiej. – I to mówi oficer wywiadu.

– Tak, to mówi oficer wywiadu.

– Zastanawiam się tylko, dlaczego zadali sobie trud by wyrzucić zwłoki na tym płaskowyżu. Mogli zrzucić je po prostu z wysokości. Nawet lepiej, bo nikt ich by na pewno nie znalazł na niedostępnych zboczach.

– Kto wie? Może chodziło właśnie o to, żeby zostały odnalezione? A może mieli po prostu taki kaprys? Spadajmy stąd lepiej. W tym cholernym kraju chyba nie ma już miejsca, gdzie można by liczyć na odrobinę spokoju. Musimy znaleźć jakiś mocniej zadrzewiony teren.

– A opowieść o Klanie Wilka?

– Nie czas na to w tej chwili. Na pewno znajdzie się jeszcze odpowiednia okazja.



Dżochar czuł się w obozie Rusłana niezbyt pewnie. Nie bardzo mógł się odnaleźć. Odwykł już trochę od surowych obyczajów ojczyzny. Modlitw przedtem zbyt skrupulatnie nie przestrzegał, a teraz musiał pięć razy dziennie rozkładać dywanik. Kadi dbał o zbawienie dusz powierzonych jego pieczy wojowników. Nawet Tarkhan musiał poddać się dyscyplinie, choć złamana ręka mocno mu dokuczała. Nadweręzał ją codziennie na klawiaturze komputera, bo pracy miał sporo, a jedna dłoń nie wystarczała. Po kilku dniach nauczył się dość dobrze sobie radzić, mimo bólu. Gruman nie widywał przyjaciela zbyt często, więc właściwie zupełnie nie miał go kogo gęby otworzyć. Na dodatek zaczynał mu doskwierać brak kobiet. W czasie działalności na terenie Rosji przyzwyczał się, że zaspokojenie męskich potrzeb jest zawsze na wyciągnięcie ręki. Z zapalem poznawał wszelkie domy publiczne okolic, w których gościł. Tutaj zaś znalazł się niczym spragniony podróżnik pośrodku pustyni. Złościło go to, starał się z tym walczyć, ale z każdym dniem, a właściwie z każdą godziną jego myśli coraz bardziej krążyły wokół jednego tematu. Córka Achmada Nikułajewa, nawet w zbyt luźnym, workowatym mundurze, wyglądała nad wyraz ponętnie. Wodził za nią oczami, kiedy zdawało mu się, że nie może tego dostrzec. Zastanawiał się, jak sobie radzą inni. Ale przecież żaden z nich nie był skazany na zupełną abstynencję. Wielu miało jakieś kobiety po okolicznych osiedlach. Poza tym znali doskonale otoczenie, wiedzieli,

gdzie co można i do kogo się zwrócić. Jego traktowano cokolwiek nieufnie. Przybysz z Rosji, tyle było wiadomo. Może byłoby mu łatwiej gdyby został wprzęgnięty w kołowrót codziennych obowiązków. Iść z patrolem, czyścić broń, wykonywać prace porządkowe, to wszystko pozwoliłoby zapomnieć chociaż na chwilę o dręczącej potrzebie. Poza tym włączony w rytm życia obozu miałyby okazję zadzierzgnąć znajomości, skorzystać ze wskazówek zadomowionych tutaj ludzi. Czasem nachodziła myśl, żeby uszczknąć coś z zapasów morfiny Hamsajewa. Ale to by oznaczało stoczenie się na dno. Nie po to przez parę lat trzymał się w Rosji z dala od nadużywania takich łatwych rozkoszy, żeby teraz ulec pokusom. Przyjdzie czas, zacznie się walka, a wtedy potrzebny jest jasny umysł i sprawne ciało. Wojna w górach to nie potyczka trwająca minuty, jak ta na ulicach Petersburga, ale wielki wysiłek, wymagający żelaznej kondycji. Tarkhan miał szczęście w nieszczęściu z tą złamaną ręką. O ile radził sobie jakoś podczas wędrówki, o tyle w naprawdę forsownym marszu z oddziałem, obciążony bronią i plecakiem, mógłby odpaść pierwszego dnia. W tej sytuacji, w jakiej jest teraz, w razie czego zostanie w obozie, a jeśli by trzeba było się ewakuować, umieszczą go wśród rannych. Nawet jeśli nie będzie można ich wsadzić na samochody albo muły, przynajmniej będą szli bez dodatkowych ciężarów.

Myśli Grumana skłębiły się nagle i porwały na strzępy. W drzwiach domu zajętego na kwaterę prezydenta stanęła Halima. Dżochar wzdrygnął się. Mógłby przysiąc, że mimo dzielącej ich odległości czuje upojny zapach młodego ciała. Wśród niskich, drewnianych zabudowań wyglądała jak niedostępna księżniczka z baśni o Aladynie. Na tamtą poddanym nie wolno było nawet spojrzeć pod karą gardła. Tutaj mógł wprawdzie patrzeć do woli, ale nic z tego nie wynikało. Nie widział jej od wczorajszego popołudnia. W największej chacie obozu miała się odbyć narada komendantów należących do Klanu Wilka, więc dziewczyna pomagała przygotować ją na tę okoliczność. Z kolei zaraz po posiedzeniu, wieczorem, bojownicy zostaną zaprzysiężeni, zawrą klanowe braterstwo krwi. Wiedział mniej więcej, jak to będzie wyglądało. Przeszedł już przecież taką inicjację.

Na środku placu zostanie rozpalone wielkie ognisko. Żołnierze zgromadzą się w kręgu, aby zatańczyć wojenny taniec. Każdy będzie musiał wystąpić na środek i uczynić choć kilka rytualnych kroków. Niektórzy, porwani atmosferą, zaczną płaszać jak w transie, robić ewolucje i przejęte od Rosjan prysiudy. Obyczajnie przodków potrafią bardzo mocno oddziaływać na wyobraźnię. Dopiero na samym końcu zrobią coś, czego na ogół się nie praktykuje – każdy zatnie się nożem w lewe przedramię, aby uronić kilka kropel krwi na ziemię. Tę samą ziemię, którą przed gniewem Boga ocaliła święta wilczyca. Następnie będą mogli oszołomić się opium. Dżochar zdołał się już zorientować, że na tę część uroczystości, Rusłan Kadajew wyraził zgodę bardzo niechętnie. Jego ludzie mówili o tym między sobą. Komendant nie tolerował narkotyków i alkoholu. Za ich użycie bez zezwolenia groziła nawet kara śmierci. Może dlatego zdołał tak długo utrzymać dyscyplinę w licznym i odciętym do świata oddziale.

Halima poszła do studni. Oparła się o drewnianą obudowę cembrowiny, zajrzała w głąb, jakby chciała tam coś odnaleźć. Dżochar odwrócił wzrok. Jak ciężko to wytrzymać! Przecież niewiasta powinna być odpoczynkiem dla wojownika, służyć mu ciałem i ciepłem serca, a nie przypominać odległą galaktykę, piękną lecz najzupełniej nieosiągalną. Wiedział, że nie powinien nawet słowem zaczepiać dziewczyny, bo gdyby odpowiedziała życzliwie, dała jakikolwiek pozytywny sygnał, mógłby stać się natarczywy. Zaś coś, co uszłoby w przypadku zwykłej Czeczenki, mogłoby mieć zgubne skutki dla mężczyzny, jeśli rzecz idzie o córkę prezydenta. Nie wytrzymał jednak. Zbliżył się cicho, stanął tuż za nią.

– Dziewczyna nie powinna pochopnie spoglądać w czeluść studni.

Drgnęła, krzyknęła z przestachu i odwróciła się ku niemu.

– Dlaczego? – spytała drżącym nieco głosem.

– Bo zamiast wymarzonego kochanka może wypatrzeć demona.

– Nie szukam mężczyzny – zmarszczyła brwi. Nie mogła się zdecydować czy jest bardziej przestraszona, czy zagniewana.

– Dziewczyna zawsze myśli o chłopcu – w jego głosie słychać było napięcie i oczekiwanie. – Tak ją stworzył Allah.

– Myśli, ale o takim, którego już ma, a nie poszukuje marzeń w wykopanej dawno temu dziurze.

Była wygadana i śmiała. Dżochar zmrużył oczy.

– Z mężczyznami jest jak z pieniędzmi: przychodzą i odchodzą. Jak one są niestali, chętnie zmieniają właściciela.

– Kobiety są inne – spojrzała mu prosto w twarz. – Nie potrzebują ciągłych zmian. Wam, żołnierzom, wydaje się, że świat jest prosty jak miecz i bezlitosny niczym uderzenie ostrza. Myślicie, że coś wam się należy, bo w każdej chwili możecie zginąć. Pewnie słusznie myślicie, skoro oddajecie życie za dobrą sprawę. Ale musisz coś wiedzieć. W moim sercu jest tylko jedno miejsce, dla jednego.

Uśmiechnął się. Poczul nagle, jak duża część poprzedniego napięcia opada. Halima potrafiła dać jasno do zrozumienia, że nie życzy sobie zalotów. W dodatku uczyniła to tak, by nie dotknąć jego dumy. Piękna i sprytna. Skłonił głowę.

– Mam nadzieję, że ten, kogo dopuścisz do serca będzie na to zasługiwał.

– Ja też mam taką nadzieję – odparła, nie odpowiadając na uśmiech.

A potem oddaliła się w kierunku polowej kuchni, gdzie dym i para dawały znać, że najwyższy czas wziąć się za wyteżoną pracę w przygotowaniu posiłku.

Dżochar wzruszył ramionami, skierował się do chaty, w której pracowali Sajf ad-Daula i Tarkhan.

– Salam allejkum – powiedział, wchodząc. Starał się, aby zabrzmiało to nieco kpiąco.

– I tobie pokój – odparł poważnie kadi. – Dobrze, że przyszedłeś. Widziałem przez okno jak rozmawiasz z tą dziewczyną. Jest piękna, to musisz przyznać.

– Z najwyższą chęcią. Jest piękna. Ale nie dla mnie, niestety.

– Tak – westchnął Afgańczyk. – Kocha najemnika, Polaka. Szkoda wielka. Takie już są kobiety. Allah stworzył je niedoskonałymi. Łatwo im zawróci w głowie ten, kto nosi w sobie znamię inności. Dla muzułmanki

zawsze bardziej atrakcyjny będzie płowowłosy przybysz o wodnistych błękitnych oczach niż smagły, czarnooki sokół.

– Coś nie tak jest z tym Polakiem? – spytał Gruman.

– Przeciwnie. To doskonały żołnierz i wierny przyjaciel. W naszym obozie znajdziesz takich, którzy mu zawdzięczają życie. Ale zawsze to obcy i w dodatku chrześcijanin. Nie można mieć do nich krzty zaufania.

Dżochar zastanawiał się, dlaczego ad-Daula mówi to wszystko. Czyżby chciał, aby islamski wojownik wyrwał Halimę z pęt miłości?

– O ile się nie mylę – ciągnął kadi. – I jeżeli otrzymałem wiarygodne wieści – wskazał komputer. – Tej dziewczynie niewiele zostało szczęśliwych chwil.

– Mam jej je osłodzić? Ona tego nie zechce.

– Człowieku – Afgańczyk był zgorzony. – Naprawdę choć przez sekundę wydawało ci się, że zależy mi na uczuciach jakieś tam dziewczuchy? Boli mnie, jeśli muzułmanka obdarza miłością innowiercę. Oni potrafią tylko krzywdzić.

– Naprawdę mu nie ufasz?

– Nie ufam każdemu obcemu. Ze strony komendanta Kadajewa to wielka lekkomyślność trzymać kogoś takiego przy sobie w chwili wskrzeszenia Klanu Wilka, ale uparł się, a ja nie na wszystko mogę mieć wpływ.

Dżochar pochwycił sceptyczne i ironiczne zarazem spojrzenie Tarkhana. Uśmiechnął się do przyjaciela samymi kącikami ust.

– Jak wam idzie? Oczywiście jeśli wolno zapytać. Kadi popatrzył na ekran, pogładził brodę z zadowoleniem.

– Nasi przyjaciele w Iranie są gotowi. Ludzie zostali przeszkoleni, odpoczywają, zażywają ostatnich chwil rozkoszy na tym świecie. Będziemy mogli rozpocząć działania, gdy tylko czeczeńscy dowódcy porozumieją się w sprawie dywersji na terenie Rosji. Po raz pierwszy nie będziecie prowadzić wojny z imperium zła zupełnie osamotnieni.



Tym razem Sierpin nie musiał się fatygować do ministra. Wiktoренко pojawił się bowiem w jego kwaterze, zdenerwowany i nieco roztrzęsiony.

– Nie nawiązaliśmy kontaktu z Habibi – oznajmił w drzwiach. – Nie dało się. Zaczynam mieć obawy, że nasi ludzie znaleźli się w ogromnym niebezpieczeństwie.

Generał po raz pierwszy widział szefa spraw wewnętrznych w takim stanie. Nic dziwnego – wysłał na tę trudną misję własnego bratanka. Jeśli Zachariasz zginie, trzeba będzie spojrzeć rodzinie w oczy. Nawet jeśli nie przyzna się do swojej roli w tej sprawie, to ciężka próba. W tej chwili współczuł szefowi spraw wewnętrznych.

– Zapomina pan, panie ministrze, że za dwadzieścia minut mamy nawiązać łączność naszymi kanałami? Wadim zgłosił gotowość w wyznaczonym terminie, przecież meldowałem.

– Nie zapominam! Ale mam coraz większe obawy. Czas nagli. Jeśli nasi wysłannicy nie wywiążą się z zadania, skutki mogą być opłakane.

– Wtedy zamiast operacji chirurgicznej i oczyszczenia ogniska zakażenia trzeba będzie dokonać brutalnej resekcji.

– To nie takie proste. Chcieliśmy przy tej okazji schwytać wszystkich, dosłownie wszystkich członków spisku. Tym razem nie wolno wypuścić ani jednego z nich. Atak na oślepa na pewno to uniemożliwi. I jest jeszcze coś – zagryzł wargi.

Sierpin czekał cierpliwie. Widać było, że stary lis, wytrawny polityk czuje się cokolwiek zagubiony.

– Nie możemy liczyć na pełną sprawność jednostki przeznaczonej do bezpośredniego wsparcia.

Generał cmoknął przez zęby.

– Co się stało?

– Mamy bunt w koszarach pod Szatoj.

– Bunt?!

– Żołnierze znaleźli trupa pułkownika Olega Mirko, poprzedniego dowódcy. Od razu padła cała dyscyplina. Cholerny świat – zmiął w ustach bardziej ordynarne przekleństwo. – Tak to jest z tymi oficerami. Jak który do dupy, wojsko się rozłazi i potrafi położyć każdą akcję. Ale jeśli za dobry, żołnierze go kochają zbyt mocno. Stawiają wyżej lojalność względem swojego pułkownika niż czynników wyższych, a nawet ojczyzny.

– Trupa, mówi pan – rzekł z zastanowieniem Sierpin. – To znaczy, że agent, który tam działał dokonał morderstwa. Miał na to zgodę?

– Absolutnie nie. Zostanie pociągnięty do odpowiedzialności.

– Jakoś mi się wierzyć nie chce, żeby ktoś ważył się na taki czyn bez odpowiedniego poparcia, czując się bezkarny.

– Ta sprawa zostanie wyjaśniona. To w tej chwili najmniej ważne. Zostaliśmy z ręką w nocniku w tamtym rejonie. Coś trzeba będzie koniecznie wymyślić.

– Wybuchły w koszarach jakieś zamieszki?

– Zamieszki nie. To w końcu batalion desantowy, morale mają bardzo wysokie. Ale odmawiają wykonywania rozkazów nowego dowódcy. To jego obwiniają o to zabójstwo...

– Po co w ogóle zdejmowaliście tamtego pułkownika?

– Wydział operacyjny kontrwywiadu GRU upierał się, że Mirko jest niepewny ideologicznie.

– Niepewny ideologicznie – powtórzył bardzo powoli generał. – To nomenklatura z poprzedniej epoki. W czasach Stalina, Chruszczowa czy Breżniewa mogło to oznaczać wszystko. A teraz?

– Też wszystko. Mieliśmy podejrzenia, że pułkownik może nie wykazywać należytej ochoty do wykonywania rozkazów wywiadu.

– Ale żeby go od razu zabijać? Wiktoренко skrzywił się.

– Mówiłem już, to sprawa do wyjaśnienia. Należy jednak pamiętać o paru rzeczach. Przede wszystkim to Czeczenia. Niby wiemy, co tam się dzieje, ale nie do końca. Dotyczy to także stosunków w naszych formacjach. Oleg Siergiejewicz Mirko cierpiał na przypadłość, którą

nazywa się patologiczną uczciwością. Przypuszczam, że ktoś skorzystał z okazji, żeby się na nim odegrać.

– Mówi pan o tym bardzo spokojnie.

– A jak mam mówić? Tak się dzieje zawsze i wszędzie, gdzie zajrzy wojna. Gorzej, że nie możemy skorzystać z doskonałej jednostki uderzeniowej.

– Jeśli pan chce, mogę tam jednak posłać moich chłopaków.

– Człowieku! – minister machnął ręką. – To środek Czeczenii. Pieprzone wysokie góry i rozmaite pułapki. Tam musi działać wojsko znające teren! Ale o czym my rozmawiamy? Przecież nawet nie wiadomo, co się dzieje z naszą grupką.

– Trochę cierpliwości. Zaraz nas połączą.

– Albo i nie.

– Nie wierzę, żeby moi ludzie dali się w kaszy zjeść w ciągu tak krótkiego czasu.

Zamilkli, nie spoglądali na siebie nawet. Sierpin nie chciał się do tego przyznać sam przed sobą, ale martwił się o Wadima i Siergieja. Wystarczy, że zginął Zorka, ci dwaj powinni przeżyć. Ale wojna nie jest łaskawą ani sprawiedliwą panią. Ofiary wybiera na oślep. Wojna! Zaśmiał się w duchu. Gdyby wierzyć ostatnim komunikatom, w Czeczenii panuje przecież pokój i przyjaźń między bratnimi narodami, a akty terrorystyczne są coraz rzadsze, wręcz sporadyczne, w dodatku surowo potępiane przez całą opinię społeczną republiki.

– Długo jeszcze? – spytał minister.

Zrobił to tylko dlatego, żeby przerwać przedłużającą się ciszę, która zaczęła mu już ciążyć. Sierpin spojrzął na zegarek, pokazał palec wskazujący.

– Minuta. Możemy przejść do pokoju nasłuchu.

Przeszli przez korytarz do pomieszczenia naprzeciwno. Krzątało się tam trzech ludzi. Widząc generała, stanęli na chwilę, aby oddać honory. Sierpin machnął tylko ręką, więc wrócili do zajęć. Dowódca wskazał ministrowi krzesło przy konsoli ze słuchawkami.

– Proszę je włożyć. Kiedy tylko zostanie nawiązane połączenie, przekażą je tutaj.

– Cisz! – zawołał sierżant siedzący przy dużym ekranie, na którym biegały kolorowe linie. – Mamy sygnał.

Wiktoренко czym prędzej wcisnął słuchawki na uszy.

– Ja Pliszka, ja Pliszka. Wieża, słyszysz mnie?

– Tu Wieża – powiedział do mikrofonu Sierpin. – Jak mnie słyszycie?

– Łączność jak żyłeta – padła odpowiedź.

– Dlaczego nie skontaktowaliście się z nami przez sieć?

Po drugiej stronie dał się słyszeć krótki śmiech.

– Wywiad musi przestać zaopatrywać się na tajwańskim bazarze.

– Rozumiem. Melduj.

– Jesteśmy w komplecie. Pogoda dobra, jednak warunki narciarskie...

– Spadaj, Sierioża – doleciało z tła. Po chwili rozległ się głos Wołkowskiego. – Rozkręcił się nam żartowniś. Przepraszam, szefie. Czasem mu odbija.

– Jakbym nie znał naszego sierżanta. Mów.

– Potrzebujemy jakichś informacji, żeby dostać się do obozu Kadajewa. Wiecie, co się tam w ogóle dzieje?

Sierpin spojrzał na ministra. Ten odchrząknął, zanim przemówił.

– Wiemy, że zwołali wielką naradę. Zbliża się chyba chwila ostatecznych decyzji. Musicie ich jak najszybciej odnaleźć.

– A wasz człowiek? Na pewno możecie się z nim jakoś połączyć.

– Możemy i nie możemy. Przedtem albo nie potrafił, albo nie chciał podać współrzędnych. Raczej nie potrafił. Nie wie przecież, że nie odebraliście jego wiadomości. Mamy kontakt tylko w jedną stronę.

– Ale może coś będziemy jeszcze wiedzieć – wtrącił się generał. – Nasi spece od informatyki na pewno zdołają zlokalizować komputer, z którego łączył się do sieci. Wprawdzie ktoś tam może się zorientować, że grzebiemy na łączach, ale w tym położeniu powinniśmy podjąć ryzyko.

– Powinniśmy wiedzieć jak najszybciej, gdzie jest baza Kadajewa! – W głosie Wołkowskiego zabrzmiała irytacja. – Trzeba to podać jednostkom

uderzeniowym, przecież muszą się przygotować do działania.

Sierpin milczał przez chwilę.

– Do tej pory – powiedział, pochylając się do mikrofonu, jakby skłaniał się do ucha rozmówcy. – Stanowiliście grupę zwiadu, mieliście pełnić rolę obserwatorów dla głównych sił. Od dzisiaj sami stanowicie jednostkę uderzeniową. Wsparcie stało się sprawą cokolwiek problematyczną. Przynajmniej w tej chwili.

– Nie rozumiem.

– Możecie podziękować oficerowi GRU, który was prowadzi. Żołnierze z Szatoj znaleźli trupa swojego dawnego dowódcy. Podobno w koszarach panuje prawdziwe pandemonium.

Tym razem po drugiej stronie zapanowała cisza.

– Skurwysyn – stwierdził Wołkowski beznamiętnym tonem. – Tego można się było po nim spodziewać. Tacy zawsze w końcu coś przesolą i przepieprzą. Zostaliśmy zupełnie sami?

– Nie – Wiktoренко znów zabrał głos. – Postaramy się zorganizować inny desant, przerzucimy jakieś siły w pobliże bazy terrorystów.

– Jeżeli Kadajew do tego czasu stamtąd się nie wyniesie. Postaramy się jakoś znaleźć go sami...

– A kto tak bardzo chce znaleźć obóz pułkownika Kadajewa? – rozległ się odległy, ale doskonale słyszalny głos. Ręce do góry!

– Kurwa mać – syknął Wołkowski – To Czeczeni. Mają nas.

– Jeśli tak bardzo chcecie, zaprowadzę was do niego – głos stał się wyraźniejszy. Mówiący najwyraźniej podszedł do Rosjan. – Ręce do góry!

– Kim jesteście?

– Grupa zwiadu, właśnie od komendanta Kadajewa.

– Doku, przymknij się! – zawołał ktoś. – Oni jeszcze nadają. Najpierw...

W słuchawkach rozległo się ciche pstryknięcie. Połączenie urwało się. Generał i minister patrzyli sobie głęboko w oczy.

– Chyba nie będzie innego wyjścia – powiedział cicho Sierpin – jak wysłać moich ludzi, kiedy tylko ustalimy, gdzie może się znajdować ta przeklęta baza.

- Jak pan to sobie wyobraża?
- Mam pewien pomysł. Ale najpierw musimy coś wiedzieć o lokalizacji wroga. Nie można odczytać wiadomości wysłanej do naszych przez Habibi?
- Uległa skasowaniu. Dwie minuty po nadaniu plik ulega dezintegracji. Gówno odszukamy, tylko jakieś strzępki, nieczytelne ślady.
- Sprytne rozwiązanie, ale bardzo obosieczne.
- Tak to już jest w tej robocie – Wiktoренко zacisnął wargi w wąską kreskę. – Mamy więc z głowy nie tylko desant, ale nawet zwiad.
- Niekoniecznie – zaoponował Sierpin. – Jeśli ich nie zaszlachtują, ale wezmą do obozu na spytki, może coś jeszcze uda im się wykombinować.
- Nie zna pan Czeczenów – odparł ponuro minister. – Obetną im palce, albo nawet dłonie, żeby nie mogli za wiele zdziałać. Jeśli więźnia pozbawić tych części ciała nadal można skutecznie przesłuchiwać i zadawać tortury.
- Sierpin pokręcił głową.
- A czy nie można użyć wreszcie satelitów? Przecież to nie takie trudne stwierdzić obecność zgrupowania partyzantów.
- To nie takie proste, generale. W terenie górskim łatwiej się ukryć nawet przed okiem satelity. To po pierwsze. Po drugie baz terrorystów jest w tamtym rejonie kilka. Jeśli zaatakujemy nie tę, którą należy, ostrzeżemy tych z Klanu Wilka. A po trzecie Czeczeni doskonale wiedzą, kiedy przelatują satelity i ukrywają się wtedy po różnych zakamarkach. A właściwie robią coś jeszcze sprytniejszego – raz się chowają, a raz nie. Przez to nie wiadomo do końca, czy baza opustoszała, czy też ktoś w niej siedzi. To nie film „Czas Patriotów”, gdzie to wszystko było o wiele prostsze. To brutalna rzeczywistość. Jest jeszcze czwarty czynnik, nie mniej istotny od tamtych, które wymieniłem. To pogoda. Góry są tak często spowite grubą warstwą chmur, że satelity w ogóle stają się mało przydatne.
- To beznadziejne – westchnął generał. – Podejmuje się taką akcją, a nie zabezpiecza podstawowych spraw. Jak mogliście się zdać na jeden, jedyny mail? Dlaczego nikt nie czuwał przy zapasowym sprzęcie gdzieś w centrali? Takie niedopatrzenie aż prosi się o wewnętrzne dochodzenie.

Wiktoренко nie odpowiedział.

– Rezultat pracy wywiadów – mruknął Sierpin – to suma popełnianych błędów, prawda? Tylko dlaczego te najgorsze pomyłki przydarzają się właśnie nam?



Rozdział 11

Paweł spotkał Halimę dopiero na drugi dzień po powrocie. Jeńcy, których schwycił po drodze, siedzieli w głębokiej jamie w ziemi. Zabronił im robić krzywdę większą niż parę razów, choć bojownicy mieli szczerzy zamiar rozwłóczyć ich wnętrzności po okolicznych drzewach. Rusłan i prezydent powinni mieć możliwość przesłuchać ludzi, którzy pragnęli odnaleźć ich siedzibę.

– Witaj, Czarnobrewa – Polak uśmiechnął się promiennie na widok dziewczyny.

Odpowiedziała niewyraźnym skrzywieniem warg. Była ubrana nie w mundur, jak tego dnia, kiedy się rozstawali, ale w długą, zwiewną sukienkę. Wyglądała w niej wcale nie jak córka przywódcy wolnych Czeczenów, ale raczej niczym zwyczajna, bardzo ładna kobieta, jakie czasem można spotkać na ulicach miast. Poza tym zdawało się, że w ciągu tych paru dni przybrała na wadze. Nie była już tak wiotka w talii, przybyło jej nieco w piersiach i biodrach.

– Nie patrz na mnie – szepnęła. – Wiem, że wyglądam okropnie.

– Nieprawda, jesteś śliczna. Ale wyglądasz rzeczywiście trochę inaczej niż zazwyczaj. Spotkajmy się za pół godziny tam, gdzie zawsze.

Patrzyła na niego długo nieodgadnionym spojrzeniem, w którym czały się mroczne myśli i smutek.

– Lepiej nie...

– Proszę, zrób to dla mnie! Musimy przecież porozmawiać. Tak długo cię nie widziałem.

Odeszła bez słowa. Nigdy do tej pory tak się nie zachowywała. Mech był bardzo zaniepokojony. Czyżby ojciec stanowczo zabronił jej widywać się z najemnikiem? O ile zdążył poznać Achmada Nikułajewa, wydawało się to raczej mało prawdopodobne. Mogło mu się nie podobać, że córka spotyka się z obcym, ale prezydent patrzył dalej od innych. Minęły już czasy

Szamila Basajewa, nie ma także jego wiernych psów w rodzaju bezwzględnego zabójcy Rappaniego Mikunina. Czeczeni zostali porzuceni nawet przez cichych sojuszników, muszą radzić sobie sami. A do tego potrzebny jest ktoś o jasnym, szerokim umyśle, jak Nikułajew. Kimś takim był też Machadow, któremu Rosjanie zarzucali działalność terrorystyczną, a który daremnie starał się powstrzymać zapędy samobójców spod znaku Basajewa. Nikułajew musi powstrzymać eskalację nienawiści, przekonać świat, że Czeczeni chcą po prostu żyć we własnym kraju. To trudne, być może nawet niewykonalne, ale trzeba próbować.

Rozmyślając tak, szedł w stronę kępy drzew umiejscowionej prawie kilometr poniżej obozu. Wśród zieleni znajdowała się niewielka jaskinia. Wejścia do niej strzegły gęste gałęzie ostrokrzewu. Trzeba było wiedzieć, jak je ominąć i dotrzeć do maleńkiego wejścia, ukrytego w dodatku za sporym kamieniem. Halima i Paweł nie byli jedynymi, którzy korzystali z tego zakątka. Spotykali się tutaj niektórzy bojownicy, aby palić zakazane przez komendanta opiumowane papierosy i raczyć się zdobyczym alkoholem. Nikt nigdy głośno nie mówił, że podobne miejsce w ogóle istnieje. Zainteresowani w ogóle nie wspominali o jakiegokolwiek możliwości wyrwania się spod czujnego oka komendanta.

Przyjdzie czy nie przyjdzie? Wszystkie inne myśli wyparła ta jedna. Stęsknił się za Halimą. Z niechęcią przyznawał, że rozstania sprawiają, iż myśli o niej coraz częściej. Niby niewiele ich jeszcze łączyło: kilka skradzionych pocałunków, parę czułych słów. Dla doświadczonego mężczyzny nie jest to nawet wstęp do myśli o prawdziwym związku. Jednak w warunkach wojennych wszystko nabiera innego wymiaru, przeżycia stają się bardziej intensywne, niewiele znaczące w zwyczajnych warunkach gesty okazują się niezwykle sugestywne, mówią więcej niż gorące słowa, szeptane upalną nocą wprost w pachnące maciejką włosy kochanki. Żołnierz potrzebuje mieć do kogo wracać. Zabijanie powoduje, że w sercu powstaje dziwna, bolesna pustka. O wiele łatwiej ją zapełnić miłością niż czymkolwiek innym. Poza tym miłość wiele potrafi usprawiedliwić, nawet strzelanie do innych ludzi. Zakochany walczy, aby

uchronić wybrankę. Czymże zresztą innym jest wmawianie wojsku miłości do ojczyzny? Ma ona wytłumaczyć zadawanie i przyjmowanie śmierci. Ilekroć jednak razy dowódcy prócz prawienia komunałów o obowiązku, uciekają się do osobistych uczuć podkomendnych, opowiadają, jak dzielna postawa i poświęcenie mogą odsunąć niebezpieczeństwo od narzeczonych i żon.

Czekał w chłodnym cieniu groty Zerknął za zegarek. Zostało pięć minut. Jeśli Halima nie zjawi się w tym czasie, trzeba wracać na górę. Dziewczyna nigdy się nie spóźniała. Już jedna minuta zwłoki oznaczała, że na pewno się nie zjawi. Wstrzymał oddech. Zaszleściły delikatnie krzewy przed wejściem. Przymknął oczy i odetchnął z ulgą. Jest!

– Bałem się, że uciekniesz – powiedział szeptem, wstając.

Podeszła do niego, ich wargi złączyły się w pocałunku. Objął ją. W pierwszej chwili uczyniła ruch, jakby chciała umknąć, ale Paweł trzymał zbyt mocno. Przywarła do niego całym ciałem. Wyczuł coś dziwnego. Pod zwiewnym materiałem sukienki Halima coś ukrywała. Coś, co było przyczyną zmienionej sylwetki.

– Co tam masz? – spytał.

– To nic, kochany, to tylko na próbę.

– Co na próbę?

– Nie pytaj.

Sięgnęła w tył, rozpięła zamek błyskawiczny. Zsunęła ramiona sukienki. Paweł patrzył, zupełnie zaskoczony. Najwyraźniej pragnęła mu się oddać w tym miejscu i w tej chwili. Widział to w jej oczach. Jednak to, co ujrział pod ubraniem Halimy sprawiło, że wstrzymał oddech.

– Co to jest? – wskazał uprząż, w której liczne kieszenie wypełniały prostokątne kostki.

– Nieważne – sprawnie ruchem pozbyła się obciążenia. – Teraz to nieważne.

Rzucił na ziemię bluzę munduru. Halima stała przed nim zupełnie naga. Przed oczami miał wysokie, jędrne piersi. Smagła skóra była w dotyku miękka niczym jedwab. Ukląkł, zanurzył twarz w wonnych, gościnnych półkulach. Jęknęła, kiedy ujął wargami sutek i przygryzł go leciutko.

Osunęła się powoli tak, że klęczeli teraz razem. Gorączkowo pozbywał się ubrania. Po chwili leżeli na twardej, zimnej ziemi, od której dzielił ich tylko materiał jego munduru. Wszedł w dziewczynę zachłannie, ale zarazem delikatnie, nie chcąc jej sprawić bólu. Musiał pokonać lekki opór. Poczł zawrót głowy. Pierwszy raz w życiu kochał się z dziewczicą. Wszystkie kobiety, które miał przed nią były jeśli nie bardzo doświadczone, to mające inicjację dawno za sobą. Krzyknęła cicho, objęła go mocno. Spletli się w uścisku, jakby chcieli połączyć się w jedno ciało. Jeszcze nie poczuł rozkoszy spełnienia, a już do serca wkradł się żal i tęsknota.

– Co ci jest, kochany? – spytała czując, że coś się z nim dzieje.

– Nic, maleńka, to nic. Chciałbym z tobą uciec.

Nie odpowiedziała. Jej orgazm przyszedł nagle, jak to się zdarza niedoświadczonej kochankom. Tym większym stał się przeżyciem. Paweł dołączył do niej prawie w tej samej chwili, ale z pełną świadomością tego, co się dzieje.

– Świat jest okrutny – powiedziała, patrząc w sklepienie grotty. – Moglibyśmy być razem szczęśliwi.

– Jeszcze możemy.

Pokręciła głową, wstała zaczęła się ubierać. Usiłował ją powstrzymać, nie chciał, żeby zakładała uprząż.

– Nie zatrzymuj mnie – poprosiła ze łzami w oczach. – Są rzeczy ważniejsze od szczęścia pojedynczego człowieka.

– Jakie rzeczy. Jak można tak mówić? Jesteś młodą dziewczyną, masz prawo do skosztowania słodczy życia.

Włożyła przez głowę sukienkę, popatrzyła na Pawła, a w jej wzroku dostrzegł nieznaną do tej pory twardość.

– Jestem Czechenką – podniosła dumnie głowę. – I muszę być gotowa na wszystko.

Zanim zdążył odpowiedzieć, wybiegła. Pozbierał błyskawicznie części umundurowania. Wciągnął spodnie, wskoczył w buty, zasznurował je pośpiesznie. Jeszcze zdąży ją dogonić, zanim dobiegnie do obozu. Przecież nie wolno tak tego zostawić.

Wejście do jaskini przysłonił jakiś cień.

– Odsuń się – rzucił, myśląc, że to któryś z żołnierzy Rusłana postanowił zażyć samotności z narkotykiem, albo butelką wina.

Przybyły nie wykonał polecenia. Zamiast tego pchnął Polaka mocno w pierś. Paweł zatoczył się, oparł o przeciwległą ścianę. Zgrzytnął zębami, zacisnął pięści.

– Ty... – wychrypiał.

– Uspokój się – powiedział znajomy, niski głos.

– Rusłan? – zdumiał się Mech. – Co tutaj robisz? Znasz to miejsce?

– Masz mnie za głupiego?

No tak, Paweł nie myślał o tym do tej pory, ale gdyby się choć chwilę zastanowił, sam doszedłby do wniosku, że Rusłan od dawna musiał znać prawdę na temat wybiegów swoich ludzi. Nie był zwyczajnym, tępym oficerem – trepem, jak nazywają takiego gnębieni nadmierną dyscypliną żołnierze. Kadajew musiał w pewnej chwili pogodzić się z faktem, iż podwładni muszą znajdować jakąś ucieczkę od rzeczywistości, przebywając z dala od rodzin. Dopóki nie przekraczali pewnych granic, nie wracali do obozu pod wyraźnym wpływem narkotyków lub alkoholu, nie chełpili się sprytnym wyprowadzeniem w pole dowódcy, dopóty trzeba było przymknąć oko na pewne sprawy. Sytuacja powstańców stawała się coraz cięższa. To, co jeszcze kilka lat temu byłoby napiętnowane i ukarane z całą surowością, teraz stawało się jeśli nie dozwolone, to przynajmniej niechętnie tolerowane, oczywiście pod pewnymi warunkami.

– Chcesz mnie zastrzelić za miłość do twojej siostrzenicy? – spytał wyzywająco Mech, patrząc na odpiętą kaburę przy pasie komendanta.

– Przeszła mi taka myśl przez głowę. Przecież zhańbiłeś ją swoim niewiernym nasieniem, a prawowierny wojownik Proroka nie powinien puścić tego płazem. Tak... Przeszła ta myśl i zginęła. Co się stało, to już się nie odstanie, a dziewczynie należała się chociaż chwila radości.

– Gorzka taka radość. Rusłanie – przyskoczył do dowódcy, chwycił go za ramiona, potrząsnął mocno. – Ona ma na sobie pas szahida! Co to znaczy?

- Nie wiesz, co oznacza pas szahida?
- Wiem. Ale dlaczego Halima go nosi?

Kadajew uwolnił się delikatnie z uścisku Polaka. Usiadł prosto na ziemi, wskazał Pawłowi, by uczynił to samo.

– To moja wina – mruknął. Mech milczał, czekając w napięciu na dalsze słowa. – Ostrzegaleś, że zabicie Guldy może się obrócić przeciwko nam. Liczyłem się z zemstą jego rodowych, ale zemstą po wszystkim, kiedy nadejdzie czas. Wtedy mogliby mnie zabić, albo powołać radę starszych i dochodzić swoich roszczeń. Jednak oni postanowili uderzyć natychmiast.

- W niewinną dziewczynę?

– Nie w nią, ale za jej sprawą we mnie i jej ojca. Achmad stanowczo odmówił ukarania mnie za torturowanie i zabicie Omara. Trudno jednak powstrzymać zapędy wpływowych dowódców. Wobec tego Halima musi, wraz z innymi chłopcami i dziewczętami, wyruszyć na misję samobójczą. Najpierw uczy poruszać się swobodnie z ładunkiem rozłożonym na ciele. Wszyscy przeznaczeni na męczeńską śmierć muszą to przechodzić. Prezydent ma w ten sposób udowodnić, że jest gotów poświęcić nie tylko życie innych bojowników, ale nie pożałuje także własnej krwi – odetchnął głęboko. – Oferowałem swoje życie, sam chciałem włożyć pas szahida. Nie zgodzili się, gdyż jestem bardziej od innych potrzebny w sprzysiężeniu. Krewniacy tego zdrajcy podburzyli innych komendantów, wiedzieli, że uderzając w Halimę, uderzą najcelniej. Narada o mało nie przerodziła się w krwawą jatkę. W końcu Achmad musiał ustąpić. Miał do wyboru poświęcić córkę albo naszą sprawę. Nikułajew jest prezydentem, a nie zwyczajnym człowiekiem, który może kierować się sercem.

- To nieludzkie.

– Wojna jest nieludzka, czyżby jeszcze to do ciebie nie dotarło? Mogę przysiąc tylko jedno. Ci, którzy zmusili Achmada do takiej decyzji i wymogli na nim tak wielkie poświęcenie, nie ujdą zemsty.

– W dupie mam twoją zemstę, Rusłanie, wiesz?! Kolejne morderstwa nie wrócą nikomu życia. A wy, Czeczeni, jeśli wreszcie nie nauczycie się, że bez wybaczenia nie da się egzystować na dłuższą metę, nigdy nie

odzyskacie wolności – mówił szybko, coraz szybciej, jakby chciał wyrzucić z serca pokładę żalu. – Rosjanie korzystają z waszych wiecznych swarów i kłótni, umieszczają między wami szpiegów, żeby jątrzyli i uniemożliwiali porozumienie. Nie muszą się zresztą bardzo starać. Sami potraficie rozpieprzyć wszystko. Zabijając w ten sposób Guldę, sam zachowałeś się, jakby wróg ci zapłacił za wbicie klina między dowódców.

– I to mówi najemnik – zadrwił Kadajew. – Ktoś, komu płaci się za zabijanie.

– Kiedy ostatnio mi zapłaciłeś?

– Nie pamiętasz, jak brałeś pieniądze za głowę każdego zastrzelonego Roskiego? Siedziałeś ze snajperką na dachu kamienicy w Groźnym i łupałeś do wszystkiego, co się rusza. Kto postępuje w ten sposób, jak nie zwyczajny najemnik.

– Od tamtej pory minęło wiele czasu, sporo się zmieniło. Nie raczyłeś tego zauważyć?

Mech poderwał się, zaczął krążyć po niewielkiej przestrzeni jaskini. Rusłan siedział nieruchomo, wpatrzony w refleksy słońca na ścianach. Pulsowały w rytm ruchu liści, poruszanych powiewami leniwego wiatru.

– Zauważyłem – odezwał się komendant po chwili. – Jesteś mi bardziej przyjacielem niż podkomendnym. Masz rację. Czeczeni nie potrafią wyrwać się z więzów starych obyczajów. Dlatego musimy zrobić coś, żeby wstrząsnąć światem i nami samymi.

– Co właściwie zamierzacie? Jaki cel postawił sobie Klan Wilka?

– Dowiesz się w swoim czasie.

– A Halima będzie wtedy jechała na śmierć? Rusłan nie odpowiedział.

– Porwę ją – wydusił Paweł przez zaciśnięte gardło. – Chcesz, zabij mnie teraz, ale porwę ją.

– Naprawdę się zakochałeś.

– Niech cię szlag, człowieku! Czy to takie dziwne? Ona jest jak słoneczny poranek, kiedy świetlista rosa paruje z trawy. Czujesz wtedy ciepło i nieziemsko pachnącą wilgoć. To nie zwyczajna kobieta. Możesz tego nie widzieć, ale ja ślepy nie jestem. Siedziała przy tym poparzonym

Rosjaninie, dawała mu nadzieję i karmiła ludzkim współczuciem. Okazywała serce wrogowi, choć to przecież rosyjscy żołnierze bestialsko zamordowali jej braci, przyczynili się do śmierci matki. Ona powinna być przykładem, jak należy postępować. Dla was i dla mnie. Dla całego świata...

– Jesteś chrześcijaninem – odrzekł twardo komendant. – Dla was wybaczenie jest cnotą, dla nas słabością.

– Czas może to zmienić.

– Może, ale nie w tej chwili. Nadchodzi pora walki i wielkich przemian. Ale najpierw musimy zwyciężyć. Bez tego niczego nie zdołamy.

– Mam już gdzieś waszą walkę.

Paweł rzucił się w kierunku wyjścia. Rusłan krzyknął wysokim, gardłowym głosem. Ledwie Polak wyskoczył na zewnątrz, chwyciły go mocne ręce, wepchnęły z powrotem. Poczował, jak w brzuch kłuje go lufa karabinu.

– Przytrzymajcie go tutaj do popołudnia, a potem przyprowadźcie do obozu – rozkazał Kadajew. Potem zwrócił się do Pawła. – Wybacz, inaczej nie można. Gdyby to ode mnie zależało, pozwoliłbym ci odejść z Halimą. Ale nie jestem panem serca ani mojego, ani twojego. Dziewczyna zaraz zostanie odesłana z transportem do bazy wypadowej na teren Rosji. Jeszcze dzisiaj przekroczą granicę z Dagestanem. Rano każę ci uwolnić. Zrobisz wtedy, co zechcesz. Ja wychodzę dzisiaj z patrolem. Chcę się oderwać od tego wszystkiego chociaż na chwilę. Jak wrócę, a ty będziesz w obozie, jeszcze porozmawiamy.

Mech patrzył na Rusłana z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Komendant westchnął ciężko, położył mu rękę na piersi.

– Wybacz, przyjacielu.

Paweł przymknął oczy, rysy ściągnął mu grymas bólu.



Siergiej siedział na wilgotnym kamieniu. Wpatrywał się ciężkim wzrokiem w Malinina. Kapitan GRU udawał, że śpi. Jamę wypełniał ciężki odór odchodów i zgnilizny. Z góry, przez zakratowany otwór wpadało światło, jednak na dole zdawało się, iż wszystko pogrążone jest w ciemnych oparach. Wołkowski stał pod ścianą, przyglądał się swoim paznokciom, jakby mógł z nich wyczytać przyszłość. Wiktoренко z kolei leżał na przegniłej wiązce siana. Był blady, obok niego stała kałuża wymiocin. Został raniony w nogę. Próbował uciec po drodze, nawet udało mu się odbiec kilkadziesiąt metrów. Jednak człowiek, który rozbił telefon satelitarny, a którego w pierwszej chwili wzięli za Rosjanina–renegata, wycelował spokojnie i strzelił dwa razy. Obie kule trafiły, przeszły udo oraz łydkę uciekiniera. Czeczen imieniem Doku zamierzał dobić rannego, jednak Polak nie pozwolił. Dla Rosjan było to zadziwiające. Nie dość, że oddziałem dowodził obcy, nie muzułmanin, to potrafił okiełznać wściekłość półdzikiego rebelianta.

– Takiego chuja powinno się żywcem obrać ze skóry i posolić – odezwał się sierżant.

Wadim podniósł głowę, przez chwilę zastanawiał się, o kim Iwanow mówi, wreszcie dotarło do niego.

– Czego chcesz, Sierioża. Niczego lepszego nie można się po GRU spodziewać. Założę się, że po wszystkim miał rozkaz ściągnąć także nas – podszedł do Malinina, kopnął go w podeszwy ciężkich butów. – Dobrze mówię, Wiktor?

– Odpieprz się, nie widzisz, że usiłuję się przespać?

– Odpieprz? Ty nas w to wpięprzył, więc nie udawaj niewiniątka, które teraz może sobie beztrąsko zasnąć. Musiałeś rozwalić tamtego pułkownika? A jeśli już, nie mogłeś się postarać lepiej go schować?

– Dobrze go ukryłem. Żołnierze musieli dostać cynk i zaczęli szukać.

– Cynk – prychnął drwiąco Zachariasz. Poruszył się gwałtownie i syknął, bo rany zaczęły mocniej dokuczać. – Od kogo? Zwyczajnie coś im się nie podobało. Powiedz lepiej, dlaczego zastrzeliłeś tego biedaka?

– I tak prędzej niż później dostałby wyrok. Wiecie, ilu ludzi niedawno wytracił, lądując pod czeczeńskim ogniem?

– Nawet jeśli, nie byłby to wyrok śmierci. Odkąd to w Rosji sędzi się oficerów za straty w ludziach? Chyba że traktować to jako pretekst.

– Wiktoренко, nic nie wiesz o tym co się tutaj dzieje.

– Powtarzasz to jak mantrę. Jesteś nudny. Wołkowski podszedł bez pośpiechu, pochylił się i nagle, bez widocznego wysiłku poderwał Malinina na równe nogi.

– Czego? – rzucił się kapitan. Chciał uderzyć Wadima mocnym sierpowym, trafił jednak w próżnię. Major wykręcił mu rękę, założył na nadgarstek bolesną dźwignię. – Czego się czepiasz?

– A może – wydyszał mu w ucho major. – Wygląda to nieco inaczej? Pamiętasz tego trupa wyrzuconego z helikoptera? Od razu powiedziałaś, że to zwyczajne tutaj porachunki. Czy nie to samo miało miejsce z tym nieszczęśnikiem? Nie odegrałeś się za jakieś nadeptanie na odcisk i psucie interesów?

– To była ostatnia kanalia.

– Nie wierzę. Jeśli jego ludzie posunęli się do buntu po znalezieniu ciała, skoro tak ich to poruszyło, musieli go szanować, darzyć tym, co nazywa się miłością żołnierzy do dowódcy. Wojacy zazwyczaj mają gdzieś oficierskie niesnaski. Wiem z doświadczenia, że ludzie, za którymi potrafią ująć się podwładni, nie bacząc na konsekwencje, niezmiernie rzadko bywają skurwysynami. W odróżnieniu ot takich typów, jak ty.

– Daj już spokój, puść wreszcie. Złamiesz mi rękę i tyle z tego będzie.

– Fiuta bym ci najchętniej złamał i jaja urwał – Wołkowski uwolnił Malinina, który zatoczył się, oparł rękami o ścianę. – Ale zrobią to za mnie terroryści.

– Ciebie też nie będą oszczędzać.

– Na pewno, ale będzie mi lżej, kiedy posłucham twoich wrzasków.

Na górze wszczął się ruch. Kratownica podniosła się ze zgrzytem, na dół zjechała drabina.

– Czyżby mieli zamiar już zacząć? – rzucił pozornie niedbałym tonem Siergiej.

Na dół zszedł postawny bojownik, bez karabinu i pistoletu. Drabina pojechała do góry, zazgrzytała wielka kłódka. Wołkowski aż syknął, zdumiony.

– Polak, to ty? – spytał z niedowierzaniem. – Swoich też wsadzają do tej dziury?

Paweł obrzucił go pogardliwym spojrzeniem, nie odpowiedział.

– Patrzcie, chłopaki – Wadim spojrział na Iwanowa i Wiktořenkę. – Na wojnie, jak na wojnie. Nigdy nie wiesz, kiedy przyjdzie na ciebie pora. Odwdzięczyli ci się za służbę?

– Nie twoja sprawa – burknął Paweł.

– Może nie moja, ale miło popatrzeć jak zamykają kogoś, kto zamknął przedtem ciebie.

Mech wzruszył ramionami. Rusłan rzeczywiście wyjechał z obozu, jak zapowiadał. Wziął ze sobą nie tylko ochotników ze swojego zgrupowania, ale także chętnych ludzi spośród pocztów ochronnych innych komendantów. Achmad Nikułajew z kolei zakazał kogokolwiek wpuszczać do swojej kwatery. Zapewne trwał pogrążony w smutku i nie życzył sobie, aby bojownicy widzieli jego ponurą twarz. Najwyższą władzę stanowił więc Sajf ad-Daula. Wykorzystał zatem okazję, żeby zinterpretować bardzo dosłownie rozkaz Rusłana o aresztowaniu Polaka. Doku próbował tłumaczyć kadiemu, że to nie tyle nakaz uwięzienia, co ścisłego dopilnowania. Afgańczyk wzruszył tylko ramionami, stwierdzając, iż nie zna lepszego sposobu dopilnowania niż wsadzenie za kratę. Paweł przypuszczał, że ad-Dauli chciał przy okazji pokazać dowódcom z Klanu Wilka, iż nawet przyjaciele tak znaczących osób jak Kadajew nie mogą liczyć na specjalne traktowanie. Mech kręcił w duchu głową. Przeprowadził kadięgo przez trzy granice, powinien chyba zasłużyć na elementarne zaufanie. Widocznie władza i wpływy uderzyły do głowy Afgańczykowi.

– Nie boją się, że możemy cię tutaj udusić? – spytał Siergiej.

– Idź w cholerę – powiedział Mech po polsku. – Mam to w dupie.

– Nieładnie mówić w towarzystwie językiem niezbyt zrozumiałym – rzucił Wadim lekkim tonem.

– A jeśli przysłali go na przesłpiegi? – odezwał się Malinin. – Może faktycznie go załatwić? Nam i tak jeden los, cokolwiek byśmy zrobili.

Spojrzeli na niego jak na wariata.

– Nie próbuj odwracać naszej uwagi cudzym kosztem – ostrzegł Wadim.
– Jeszcze z tobą nie skończyłem.

Wiktor prychnął, usiadł ciężko na ziemi. Iwanow z kolei podniósł się ze swojego kamienia, podszedł do Pawła, zajrzał mu głęboko w oczy.

– Nie wiem po co cię tutaj zadołowali, ale na twoim miejscu... – zawiesił na chwilę głos nabrzmiały groźbą. Mech skrzywił wargi w drwiącym uśmiechu, oczekując dalszego ciągu pogroźki – Na twoim miejscu – dokończył sierżant – rozejrzałbym się za jakimś kawałkiem słomy na noc. Potem robi się tak ciemno, że trudno trafić palcem do dziury w tyłku.

Paweł machnął lekceważąco ręką.

– Tak czy inaczej jutro mnie wypuszczą. Wytrzymam.
– I będziesz im dalej służył?
– Nikomu nie służę.
– No dobrze. Strasznie jesteś urażony. Nadal będziesz walczył razem z Czeczenami?

– Jeszcze nie wiem.

Zapadła cisza. Każdy z więźniów rozmyślał nad nową sytuacją. Wołkowski z ciekawością przyglądał się najemnikowi. Słyszał, że wśród separatystów zdarzali się przybysze z byłej Jugosławii, Polski i Stanów Zjednoczonych. Był jednak pewien, że od dawna już brakuje ich w powstańczych wojskach. Kondotierzy nie powinni walczyć po stronie przegrywającej, nie bardzo mogącej sprostać ich wymaganiom finansowym.

– Dlaczego zostałeś? – zapytał.

Dopiero po dłuższej chwili Paweł zrozumiał, że pytanie zostało skierowane do niego.

– Dlaczego zostałem w Czeczenii? Miałem ważne powody.

– Robisz tutaj interesy? – Nie.

– W takim razie nie rozumiem.

– A musisz?

– Ja też nie rozumiem – dodał Malinin. – Znam paru Serbów, którzy się pętają w okolicach Groźnego, ale oni babrają się w różnych podejrzanych biznesach.

Znów zamilkli. Słysząc było odgłosy krzątania na górze. Zbliżała się pora wieczornego posiłku.

– Może nasz przyjaciel z wywiadu – odezwał się Siergiej. – Opowie nam wreszcie to, czego nie dokończył przed przylotem pamiętnego śmigłowca?

– Przy nim? – w głosie Malinina słysząc było zgorszenie.

– A dlaczego nie? Przecież należy do grupy tego całego Kadajewa. O Klanie Wilka wie pewnie więcej od ciebie. Niespodzianki mu nie sprawisz, a my się trochę rozerwiemy, zanim Czeczeni nas rozerwą.

– Znów zapomniałeś, sierżancie, jak należy zwracać się do oficera?

– Pieprzyć takich oficerów. Teraz jesteśmy w pierdлу, twoja szarża lata mi koło tyłka.

Malinin poderwał się.

– Mam tego dosyć – syknął, patrząc na Wołkowskiego. – Przywołaj do porządku tego dzikusa!

– Opowiedz lepiej o planach Klanu Wilka zamiast się ciskać – odparł Wadim. – Na szacunek trzeba sobie zasłużyć.

Malinin otworzył usta, żeby rzucić ciężkie słowo, ale w końcu zrezygnował.

– Jak sobie chcecie. Na wszystko jest już i tak za późno. Na czym wtedy skończyliśmy?

– Tutejsi terroryści zaczęli sprowadzać...

– Wolę nazwę bojownicy albo rebelianci – przerwał ostro Paweł. – Ostatecznie separatyści. Terrorystami tutaj jesteście wy, Rosjanie.

– Będę mówił jak mi się spodoba – odparł równie ostro kapitan, wstając.
– Żaden przydupas gównianego terro...

Zanim zdążył dokończyć, na jego szczęce wylądowała pięść. Malinin padł jak rażony gromem, chwilę leżał nieruchomo, po czym zaczął się niemrawo zbierać. Nagle skoczył, chciał uderzyć Pawła w krocze, ale powstrzymał go błysk noża.

– Zostawili ci broń? – zdziwił się Wiktoренко.

– Nie jestem takim więźniem jak wy. Po prostu z pewnych względów ktoś nie chce mi pozwolić na opuszczenie obozu przed jutrzejszym rankiem.

– Z jakich niby powodów – spytał podejrzliwie Wołkowski.

– Nie twój interes – odparł wrogo Polak. Wskazał wściekłego Malinina.

– A jeśli on jeszcze raz nazwie bojowników terrorystami, flaki mu wypruję.

– A my zaraz potem tobie – oświadczył Wadim.

– Trudno. Terrorystą był Basajew i jego kompania. Tutaj przebywacie na wydzielonym terenie wolnej Republiki Iczkerii. Każdy obcy, nieproszony, uzbrojony człowiek jest dla tutejszych terrorystą.

– Strasznie za nimi obstajesz – mruknął Iwanow.

– Bo ich rozumiem. Nie wszystkie działania Czeczenów mi się podobają. Ale wiem, dlaczego postępują tak a nie inaczej. Na przykład Doku, ten, który chciał was rozwalić. Dla was może wyglądał jak szaleniec. Na widok Rosjan rzeczywiście dostaje amoku. Ale to nie wzięło się z powietrza.

– Chciał nam wypruć flaki, wyłupić oczy i diabli wiedzą, co jeszcze – powiedział Wiktoренко. – To chyba nie jest normalne, nawet jeśli się kogoś nienawidzi.

– Jego możecie spytać, co w tym kraju jest normalne – Mech wskazał Malinina. – Z tego, co rozumiem, on tu siedzi już dość długo. Pewnie brał udział w różnych, jak wy to nazywacie, technikach przesłuchań schwytanych rebeliantów. Brat Doku kilka lat temu siedział w czymś, co nazywacie obozem filtracyjnym. Rusłan zdołał wyrwać chłopaka, choć kosztowało to majątek. Wrócił jako warzywo. Nieszczęśnik zwariował, nie potrafił powiedzieć nic sensownego. Kilka miesięcy trwało, zanim zdołaliśmy się w pełni zorientować, jakim był poddawany torturom.

Zacisnął wargi, zamilkł. Przed oczami stanęły znowu wielkie, oszalałe ze strachu oczy młodego Czeczena. A potem zaczął mówić.

– Miał na imię Mehenmet. Chłopiec, zaledwie skończył siedemnaście lat. Spędziłem wiele nocy, nasłuchując majaczeń tego biedaka. Razem z Doku i przyjaciółmi składaliśmy w całość porwane, chaotyczne wizje. Pokrywały się z tym, co opowiadali inni jeńcy, którym jakimś cudem udało się powrócić – Zatoczył ręką dookoła. – Ta jama może się wydawać szczytem luksusu w porównaniu z warunkami tych waszych obozów. To w rzeczywistości nic innego jak więzienia o obostrzonym rygorze. Nie tyle nawet obostrzonym, co doprowadzonym do postaci zupełnie niewyobrażalnej. Przypominają najgorsze hitlerowskie obozy koncentracyjne. Chłopiec nigdy nie wiedział, w którym momencie zostanie uderzony czy dotkliwie pobity. Regulamin oczywiście stanowił jasno, co wolno, czego nie wolno, ale w praktyce nie miało to znaczenia. W ciasnych barakach stłoczono bojowników i zupełnie niezwiązanych z nimi, przypadkowo zatrzymanych ludzi. Wspólną ubikację stanowiło wiadro w kącie, już po kilku godzinach przepełnione. Po niedługim czasie brodzili więc w ekskrementach, co dla wyznawcy islamu stanowi straszliwą zniewagę. Jednak to była tylko drobna niedogodność w porównaniu z innymi sposobami znęcania. Wyrywano więźniów na przesłuchania. Śledczy przypuszczali, że Mehenmet, wie coś więcej od innych, bo schwytano go w czasie akcji na koszary. Niestety chłopaka polegało na tym, że nie wiedział w zasadzie nic. Mógł sprzedać jedynie informacje o swoim bracie, czy zgrupowaniu Kadajewa, ale takie wiadomości Rosjanom były najzupełniej zbędne, nie mogły do niczego konkretnego posłużyć. Brali go do pokoju przesłuchań prawie codziennie, wyłączając czas, kiedy musiał iść do szpitala, nabrać trochę sił. Chciał umrzeć – Pawłowi głos lekko się załamał. Odchrząknął i mówił dalej: – Chciał umrzeć ze wszystkich sił, ale nie potrafił. Sadzali go na taborecie odwracanym do góry nogami. Oprawca kazał opuścić spodnie, naprowadzał odbytnicę na nogę stołka i dociskał. Dopóki Mehenmet miał siłę, żeby utrzymać się na nogach, nie padały żadne pytania. Górale są silni, twardzi i mają wyćwiczone dolne

partie ciała. Dlatego ta tortura jest dla nich jeszcze bardziej męcząca niż dla innych. Po godzinie, czy dwóch nogi odmawiały posłuszeństwa, chłopak zaczynał czuć, jak szorstki kołek przełamuje opór. Wtedy dopiero zaczynało się przesłuchanie. Krwawił potem przy wypróżnieniach, co było tym gorsze, że od podłego, spleśniałego jedzenia wszyscy dostawali niestrawności. Rosjanie zamykali go w wilgotnej celi, w wodzie po kostki. Jej rozmiary były takie, żeby więzień nie mógł ani usiąść, ani stanąć, ani rozprostować nóg. Stara, szkoła tortur NKWD. Nie wiem, ile spędzał czasu w takim karcercze. Może to były godziny, a może dni. Zwyczajne, brutalne bicie było czymś, co można nazwać chwilami wytchnienia. Gorzej, kiedy zaczynali majstrować przy palcach. Wpychali między nie ołówki i ściskali. Znaie to, prawda? Siły specjalne szkolone są właśnie w tego typu technikach. Ból jest tak potworny, że można stracić przytomność. Zajęli się też, oczywiście, genitaliami. Wiedzieli, jak dodatkowo upokorzyć wyznawcę Allaha. Męki zadawała kobieta, sadystka, której sprawiało niewysłowioną rozkosz powoli pozbawiać męskości przerażonego chłopaka.

Na tę myśl Paweł ścisnął zęby tak mocno, że na policzkach wyskoczyły mu gruzły mięśni. Wadim, który zamierzał właśnie zadać jakieś pytanie, dał spokój.

– Nie mogli się niczego dowiedzieć. Zamknęli więc nieszczęśnika w celi z pederastami. Mehenmet wyszedł stamtąd jeszcze mocniej okaleczony psychicznie i fizycznie. Podczas wypróżniania odbytnica zaczęła mu wypadać z ciała na kilkanaście centymetrów. Spędził w szpitalu dłuższy czas, bo przesłuchania stały się praktycznie niemożliwe. Zdawało się, że zobojętniał, przestał odczuwać jakiegokolwiek cierpienia i dolegliwości. Gwałt, wyjątkowo przeciwny naturze, doprowadził go poza skraj załamania. Jednak śledczy mieli w zanadrzu jeszcze kilka sztuczek. Pewnego dnia posadzili chłopaka w studni nago, na samym wierzchołku stosu rozkładających się ciał rozstrzelanych i zamęczonych Czeczenów. Żeby zrozumieć całą potworność takiego postępowania, trzeba wiedzieć, że dla muzułmanina podobny kontakt z trupem jest wielkim tabu, stanowi

jedną z najbardziej obrzydliwych i zakazanych rzeczy. Mahomet przecież nakazywał grzebać ciała, bez wyboru – swoich i przeciwników. Różnie z tym bywało podczas wojen, ale zawsze nakaz pozostaje głęboko w świadomości wojowników. A tam w dodatku widział pod sobą twarze niedawnych towarzyszy z celi, a także ludzi, z którymi służył w oddziale i dostał się do niewoli. Po jakimś czasie zwłoki zaczęły do niego mówić. Wiele razy słyszałem jak Mehenmet rozmawia z kimś, kto dawno odszedł, czasem wypowiadał dziwnie brzmiące słowa, jakby rozmawiał z duchami w jakimś eterycznym języku. To było wspomnienie koszmarnych dni spędzonych w towarzystwie gnijących towarzyszy niedoli. I to też stanowiło gwóźdź do trumny. Pomoc Rusłana przyszła za późno. Brat Doku żył jeszcze kilka miesięcy, ale straszliwe doświadczenia sprawiły, iż zmarł w chwili, kiedy stan zdrowia zaczął się trochę poprawiać. Skonał z niewinnym, dziecięcym uśmiechem na ustach. Skonał szczęśliwy, bo udało mu się wreszcie przekroczyć granicę śmierci, dokonać tego, co usiłował zrobić przez cały pobyt w więzieniu. Najgorsze zaś było, że do końca, do ostatniego oddechu nie miał świadomości, iż przebywa między swoimi. Wciąż od nowa przeżywał tortury. Miałem wrażenie, że jego umysł zatacza nieustanne koła, wraca do wspomnień, które stały się dla niego bardziej realne niż rzeczywistość. Czasem krzyczał straszonym głosem, a czasem pisał jak mały, przestraszony kotek. Śmierć była jedynym wyzwoleniem. Nikt nie umiał mu pomóc...

Zamilkł, odwrócił się do ściany, żeby nie widzieli jego zwilgotniałych nagle oczu. Wspomnienie żałobnego nawoływania pozostało na zawsze w duszy twardego najemnika odzywało się w środku nocy, przypominało podczas samotnych wart.

– Coś się tak przymknął? – spytał ze złością Wiktor po dłuższej chwili. – To już wszystko?

– Milcz, Malinin – warknął Iwanow. – Nie widzisz, że facet jest nieswój? Jeszcze ci kozik wsadzi między żebra. I będzie miał cholerną rację.

Wołkowski syknął ostrzegawczo. Nie powinni wymieniać nazwisk. Sierżant machnął tylko ręką, jakby chciał powiedzieć „teraz to wszystko jedno”. Jednak w tej chwili okazało się, że nie jest to wcale obojętne. Paweł odwrócił nagle głowę, spojrzał na oficera GRU straszonym wzrokiem.

– Mehenmet wymieniał różne nazwiska. W malignie rozmawiał z przesłuchującymi, tytułował ich tak, jak mu kazali się do siebie zwracać. Major Machno, kapitan Doborisz... Ale jedno powtarzał chyba najczęściej. Porucznik Wiktor Siemionowicz Malinin. Jego książęca wysokość porucznik Wiktor Siemionowicz Malinin. Tak polecił siebie tytułować. Dzieciak z wybitymi zębami, zmiażdżonymi wargami i spuchniętym językiem musiał recytować tę formułkę przy każdym wypowiedzanym zdaniu.

Zapanowała głucha cisza. Wołkowski czuł, jak zimny dreszcz ogarnia całe ciało, począwszy od stóp, skończywszy na czubkach krótkich włosów. Jakby krew zamieniała się w kryształki lodu.

– Malinin to w Rosji dość częste nazwisko – odparł lekkim tonem kapitan. – A poza tym jestem kapitanem, nie porucznikiem.

Paweł nie słuchał go.

– Porucznik Wiktor Siemionowicz Malinin – powtórzył. – Oficer GRU. A ty w jakiej formacji służysz?

– Piechota. Drugi pułk 58. armii. Możesz ich zapytać – wskazał ruchem brody współwięźniów.

– Tak? Powiedzą prawdę? A ja i tak nie uwierzę. Malinin, to musi być przeznaczenie.

– Poza tym jestem kapitanem, już mówiłem!

– Teraz jesteś. Pięć lat temu na pewno nie byłeś więcej niż lejtnantem. Wiesz, co się stanie, kiedy powiem o tym Doku?

Kapitan spojrzał na pozostałych Rosjan. Wzrokiem dawał im do zrozumienia, że trzeba natychmiast zabić Polaka, nie zważając na konsekwencje. Sierżant tylko prychnął pogardliwie i odwrócił się plecami. Wiktoренко nie zaszczycił go nawet spojrzeniem. Jedynie Wadim zmierzył się wzrokiem ze zdesperowanym oficerem. Wykrzywił wargi w drwiącym

uśmiechu. Malinin zrozumiał wreszcie, że został zupełnie sam. Widział przed sobą tylko jedną drogę. Rzucił się na Mecha, celując prawą pięścią w splot słoneczny, a rozcapierzonymi palcami lewej dłoni w oczy. Odleciał natychmiast, odprawiony mierzonym i potężnym kopnięciem.

– Typowy atak sambo – powiedział spokojnie Paweł. – Użycie tej właśnie techniki utwierdza tylko moją pewność co do ciebie. Zwiążcie go lepiej – zwrócił się do Wadima i Siergieja. – Jeśli zginę, pogorszycie tylko swoją sytuację. To różnica umrzeć od strzału z karabinu lub skonać w męczarniach.

Po chwili Wiktor wił się ze skrępowanymi rękami i nogami.

– A ty – Mech pochylił się nad nim. – Możesz przedłużyć sobie parszywe życie tylko w jeden sposób. Inaczej zaraz zawołam na strażników i sprowadzą tu Doku.

Malinin znieruchomiał.

– Opowiesz nam wszystko, co wiesz o planach Klanu Wilka.

– Chyba się lepiej w tym orientujesz.

– Mam nieodpartą ochotę porównać moją wiedzę z twoją. Jeśli będziesz mówił prawdę, może nie powiem od razu tym na górze, kim jesteś. Poczekam miłosiernie, aż cię rozwalą. Może nawet zdołam jakoś przekonać komendanta, żeby pozostałych wystawił na wymianę albo zażądał okupu. Ale jeżeli złapię cię choć raz na kłamstwie, śmierć będzie strasznie bolesna.



Sierpin tarł zmęczone oczy. Ostatnie kilka godzin spędził przed komputerem, sporządzając szczegółowy raport na wniosek samego prezydenta. Zbyt długie wystawianie wzroku na światło ekranu, nieważne czy tradycyjnego, czy ciekłokrystalicznego albo plazmowego, zawsze kończyło się zapaleniem spojówek. Pytania, jakie przesłano mu za pośrednictwem kancelarii głowy państwa były tyleż szczegółowe, co zupełnie bezsensowne. W raporcie nie mógł przecież zawrzeć opisu

wszystkich okoliczności związanych z ostatnimi wydarzeniami. Gdyby miał odpowiedzieć na wszystko, zamiast raportu powstałaby książka z dialogami i licznymi przypisami. Był pewien, że Pierwszy sam tego nie wymyślił. Jakiś totumfacki, doradca albo sekretarz, rozbudował krótkie pismo z prośbą o sprawozdanie. Prezydent przecież doskonale wiedział jak wygląda i na czym polega praca wywiadowcza. Jemu zresztą wystarczyłoby parę słów, żeby miał wyobrażenie o przebiegu działań. Generał postanowił więc nie bawić się w zaspokajanie ciekawości jakiegoś bubka, któremu zdaje się, iż chwycił Boga za nogi, bo wujek załatwił mu dobrą posadę. Żeby uniknąć kretyńskich pytań i dociekań, kopertę zaadresował „Władymir Władymirowicz Putin, Prezydent Federacji Rosyjskiej w/m. Klauzula najwyższej tajności”. Teraz głupi biurokrata, szczegółiarz i specjalista od dociekań, mógł kazać się wypchać. Pism adresowanych w ten sposób nie miał prawa otworzyć żaden pośrednik. Gorzej, że prezydentowi też nie mógł napisać zbyt wiele. Zakrojona na szeroką skalę kampania nagle skarłała, groziła fiaskiem. Jeśli informatycy nie staną na wysokości zadania, będzie niezwykle trudno coś jeszcze wymyślić. Z żalem pomyślał o Wadimie i Siergieju.

– Pomszczę was, chłopaki – mruknął. – Polecę tam i urządzę krwawą łaźnię, choćby to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobię.

Minister Wiktoренко pewnie miał rację, że odkąd wpadli w łapy terrorystów, ich los został przesądzony. Sierpin miał tylko nadzieję, że zostaną po prostu rozstrzelani. O ile ktoś nie odkryje, że wśród nich są ludzie z GRU i FSB. Te formacje separatyści zwykli traktować wyjątkowo brutalnie, gorzej nawet niż specnaz. Szef spraw wewnętrznych wyszedł z budynku sztabu „Alfy” przed dwiema godzinami. Spędził ponad pół dnia w pomieszczeniu nasłuchu, a potem zwiadu elektronicznego, mając nadzieję, że jeszcze coś się wyjaśni. Niestety, w eterze – i radiowym, i sieciowym – panowała głucha cisza. Kody dostępu do serwerów ministerstwa i służby bezpieczeństwa miały dopiero nadejść. Procedury mają to do siebie, że w takich sytuacjach przedłużają i komplikują robotę. Generał mógł, co prawda, zlecić rozbicie szyfrów swoim ludziom, ale Wiktoренко się nie

zgodził. To by mogło spowodować zamieszanie, nie w samym centrum, ale na dalekich peryferiach. Przecież nie można powiadomić całej agentury o tym, co się dzieje. Przy najdrobniejszym błędzie włączą się ostrzeżenia i alarmy. Specje pewnie zdążyliby pobrać odpowiednie dane, ale rozpętałyby się piekło. Jakiś pułkownik FSB na chińskim pograniczu, chcąc się dostać do bazy danych, gdyby napotkał alarm albo już wręcz blokadę dostępu, narobiłby straszliwego rabanu. A co dopiero kilkuset takich pułkowników. Sierpin słuchał tego tłumaczenia z krzywym uśmiechem. Idiotyczne argumenty. Wszystko, byle tylko nie pozwolić wedrzeć się zbyt głęboko w system. Minister myślał raczej o innym zagrożeniu – jak każdy człowiek babrający się w brudach wszelkiego politycznego kalibru, miewał paranoiczne zachowania. Teraz też się na pewno bał, że jeśli ludzie z „Alfy” za jego zgodą złamią kody zabezpieczające wydziałów obsługujących teren Czeczenii i Dagestanu, mogą skorzystać z niepowtarzalnej okazji i posunąć się dalej w wydobywaniu informacji. Staremu aparatczykowi nie przyszło nawet przez chwilę do głowy, że taka jednostka nie musi być szczególnie zainteresowana tajemnicami wywiadu i kontrwywiadu.

Generał spojrzął na zegarek, cmoknął z wyrazem zniecierpliwienia na twarzy. Podniósł słuchawkę, nacisnął zero i osiem.

– Melduję się, szefie – oznajmił z drugiej strony rzeński głos. – Co słychać?

– U mnie nic Wowka. Może wam bezpośrednio przysłali te kody?

– Skąd! Może jeszcze zejść sporo czasu. Pilnują tego swojego kramu pilniej niż stara zakonnica cnoty. Musimy czekać. Jeśli będzie trzeba, zostaniemy na stanowiskach do rana.

– Nie czekajcie już więcej. Wystarczy.

– Jak mam to rozumieć, szefie?

– A jak ci się zdaje?

Wowka nie odpowiedział, przerwał połączenie. Dowódca mógłby przysiąc, że mimo wytłumionych ścian słyszy jak dwa pomieszczenia dalej palce programistów zaczęły gorliwie bębnić w klawiatury. Ledwie odłożył słuchawkę, rozległ się sygnał telefonu.

– Czego? – rzucił krótko. Nie spojrzał nawet na wyświetlacz. By pewien, że to Wowka chce jeszcze zasięgnąć jakichś informacji.

– To ja, Michaile Antonowiczu – powiedział Wiktoренко.

– Podacie nam te cholerne cyfry i literki?

– Niestety, pojawiły się komplikacje – minister odchrząknął. – Prawdę mówiąc, natrafiłem na duży opór ze strony dyrektora Sekcji Południowo-Zachodniej.

– Opór? – Sierpin nie wiedział, czy jest bardziej zdumiony, czy rozdrażniony. – Trzeba mu było po prostu wydać rozkaz.

– Pan sądzi, generale, że to naprawdę takie proste? Każdy wydział i każde biuro ma swoje priorytety i parytety. Wywiad i kontrwywiad dysponują sporą niezależnością. Zawsze tak przecież było. Na razie chcą sami podjąć próby namierzenia pozycji komputera naszego agenta. Jeśli sobie nie poradzą, zastanowią się nad przekazaniem kodów. Gdybym zmusił dzisiaj oficera kierującego tak ważną działką do złamania zasad i regulaminów, mogę się spodziewać w przyszłości sabotowania pewnych poleceń.

– To jakaś kpina. Kto w tym kraju właściwie komu podlega i na jakich zasadach? Niezależność wywiadu? Może prezydent też nie ma prawa wglądu w to wszystko? Myślałem, że minęły czasy, kiedy Stalin panicznie bał się Berii.

– To nie jest rozmowa na telefon – odparł nieco podniesionym tonem Wiktoренко.

– A co może mi pan jeszcze powiedzieć tą drogą?

– Próby mają potrwać do dwudziestej drugiej. Jeśli nie dadzą rezultatów, zostanie podjęta decyzja co do przekazania haseł.

– Tracimy cenny czas.

– Może. Ale proszę pamiętać o jednej, najważniejszej rzeczy. To kwestia bezpieczeństwa narodowego.

– A ten cyrk w Czeczenii nie jest kwestią bezpieczeństwa? O ile zdołałem się zorientować, powodzenie spisku Klanu Wilka – wzruszeniem

ramion zbył ostrzegawcze syknięcie ministra. – Może skutkować poważniejszymi konsekwencjami niż ataki na World Trade Center.

– Są ważniejsze sprawy...

– Tak, wiem, są sprawy większej wagi niż ludzkie życie. Ale czy jest pan tego absolutnie pewien? – Uwagę Sierpina zwróciło migające na aparacie światełko. Zgłaszała się sekcja zwiadu elektronicznego. – Przepraszam na moment, mam kogoś na linii, muszę się przełączyć. To może być bardzo ważne.

– Szefie – zabrzmiał radosny głos Wowy. – Mamy to, trzymamy ich za jaja!

– Tak szybko? – zdziwił się generał.

– Co tam oni mają za zabezpieczenia! Jakieś firewalle z poprzedniej epoki i kody jak w tym sejfie zaszyfrowany datą urodzin właściciela. To już Amerykance w Pentagonie sadzą lepsze kwiatki.

– Kiedy będziecie mogli namierzyć rejon, z którego terroryści łączyli się z siecią?

– Pracujemy nad tym. Na razie musimy wygrzebać wywiadowcom jeszcze parę rzeczy.

– Na pewno zrobicie to szybciej niż te barany zdecydują się udostępnić systemy.

– O czym wy rozmawiacie?! – zabrzmiał w słuchawce głos Wiktorenki.

Generał spojrział na konsolę telefonu i zrobiło mu się gorąco. Zamiast przełączenia linii nadusił przycisk połączenia konferencyjnego.

– Wowka, wyłącz się i do roboty!

– Na co... – dyszał minister, przez chwilę ze wściekłości nie mógł wydobyć słowa. Za to potem zaczął wyrzucać zdania z prędkością kulomiotu. – Na co sobie pozwalacie?! To już nie jest niesubordynacja, to się kwalifikuje pod zdradę stanu! Pan, generale, od tej chwili nie dowodzi swoją jednostką! Panu się uroiło, że można bezkarnie kpić z przepisów. Czeka pana prokuratorskie dochodzenie. I pana ludzi również.

– Tylko bez takich – warknął Sierpin. – Moi żołnierze robili tylko to, co im kazałem!

– Gównu mnie to obchodzi – minister zupełnie stracił panowanie nad sobą. – Zakazuję panu wszelkich dalszych działań. Proszę wydać odpowiednie rozkazy.

– Zapomina pan – uśmiechnął się generał – że nie jestem już dowódcą „Alfy”. Sam pan mnie przed chwilą odwołał. Nie mogę wydawać żadnych poleceń.

– Wobec tego powołuję pana na to stanowisko do godziny dwudziestej czwartej.

– Nie mogę przyjąć tej nominacji.

Wiktoренко milczał przez chwilę, a potem wrzasnął:

– W takim razie proszę mnie połączyć z pana zastępcą!

– Nie słyszę pana, panie ministrze – zawołał Sierpin. – Jakies zakłócenia na linii.

– Bez takich numerów! To nie amerykański film! Zaraz zadzwonię do prezydenta, on zrobi z panem porządek.

– Niech to diabli – powiedział Sierpin. – Coś przerwało połączenie.

Przeciągnął się, wstał. Dość czekania. W tej chwili każda minuta jest droga. Być może droższa od wszystkiego, co można sobie wyobrazić. „Alfa” miała za zadanie chronić obywateli przed zagrożeniem. Różnie z tym bywało w przeszłości. Nieraz w akcjach ginęli niewinni ludzie, bądź to przez brak należytego rozpoznania, bądź przeprowadzanie działań za wszelką cenę w nieodpowiednich warunkach. Czasem bruździli inni, jak w Budionnowsku siły milicyjne i wojskowi mądrze. Ale tym razem sprawa jest zbyt poważna. Tutaj nie chodzi o kilka, czy nawet kilkadziesiąt ofiar. A minister zachowuje się, jakby najważniejsze na świecie było zachowanie procedur. Może dla niego zresztą rzeczywiście były najistotniejsze. Władza zawsze boi się uchylać rąbka własnych tajemnic. A wywiad i kontrwywiad są oczami i układem odpornościowym każdej władzy.

Zignorował wściekle dzwoniący telefon i poszedł do pomieszczenia zwiadu elektronicznego.



Rozdział 12

Paweł został uwolniony około południa następnego dnia. Rusłan wrócił wcześniej z patrolu, ściągnięty przez ad-Daulę. Zaszło coś, co nie mogło czekać. Mech nie pytał o nic. Był zmęczony całonocnym czuwaniem. Nie ufał Rosjanom. Co prawda jeden był zupełnie niegroźny z powodu ran, Malinin został unieszkodliwiony, ale dwaj pozostali mogli skorzystać z okazji, by pozbyć się niewygodnego świadka dekonspiracji agenta GRU. Nie sprawiali wprawdzie wrażenia, żeby żywili do kapitana jakiegokolwiek cieplejsze uczucia, ale w obecności wroga zawsze należy zachowywać czujność. – Musimy porozmawiać.

To były pierwsze słowa, jakie Mech wypowiedział po wyjściu z cuchnącej jamy. Rusłan spodziewał się raczej wybuchu gniewu, żądania zadośćuczynienia. Awantura, jaką komendant zrobił kadiemu była iście karczemna. Padły ciężkie słowa i dosadne inwektywy. Kadajew nie baczył na pozycję i nimb duchowej wyższości Sajfa ad-Dauli. Wyraźnie dał mu do zrozumienia, że gdyby nie był koniecznym ogniwem w pracy Klanu Wilka, skończyłby z kulą w głowie za nadużycie powierzonej mu władzy. Co najdziwniejsze, kadi przyjął połajankę bez obrażania się i dąsów. Miał coś ważniejszego do przekazania. Tak ważnego, że na dalszy plan zeszły sprawy ambicjonalne.

– Rozmawiajmy więc – powiedział Rusłan. Odeszli na bok, aby nikt ich nie mógł usłyszeć.

Paweł milczał, zapatrzony w posiwiące od śniegu szczyty gór. Ciężko będzie opuszczać te okolice. Czeczenia miała w sobie coś magicznego, mieszkał w niej jakiś niesamowity duch. Spora część jej mieszkańców utrzymywała, jakoby pochodzili wcale nie od ludów kaukaskich. Według tej teorii Czeczen i mieli się wywodzić od żołnierzy Aleksandra Macedońskiego, którzy zostali tutaj jako załogi w stanicach i strażnicach wysokich gór, kiedy wielki władca szedł podbijać świat. Stąd miała brać się

waleczność i bezprzykładne męstwo obrońców Iczkerii. Stąd nabożeństwo dla broni, obowiązek, aby każdy mężczyzna posiadał jej kilka sztuk i potrafił się nią posługiwać. Stąd chęć służenia w armii, nawet jeśli była to armia okupanta. Zresztą Rosjanom nie bardzo opłacało się niegdysiejsze przymierze broni z Czeczenami. Wszyscy wielcy przywódcy tego narodu byli w przeszłości wyższymi oficerami, a nawet generałami Armii Czerwonej. Kiedy zaczęła się pierwsza wojna czeczeńska, trudno było Rosjanom walczyć z przeciwnikiem, który doskonale znał taktykę wroga, a przy tym orientował się w terenie o niebo lepiej, był zdeterminowany i gotów na największe poświęcenia. Wodzowie separatystów nie musieli szkolić kadry i wojska, gdyż wcześniej uczynili to za nich Rosjanie. Tym było trudniej ujarzmić powstańców, że Kreml wysyłał na tę wojnę nieopierzonych młokosów. Co z tego, że były to z nazwy doborowe jednostki specjalnego przeznaczenia. Taki niedoszkolony należycie specnaz okazał się kompletnym niewypałem w warunkach ciężkiej górskiej wojny. Dopiero później zaczęła napływać bardziej wartościowa siła ludzka.

– Czemu nic nie mówisz? – spytał Rusłan.

– Zastanawiam się po raz tysięczny, po co Rosjanom wasza Czeczenia. Naprawdę chodzi im o całość imperium czy tylko i wyłącznie o tych kilka kropli ropy naftowej, które można wycisnąć z tej nieszczęsnej ziemi?

– Ich spytaj.

– Wystarczyłoby, żeby zostawili was samych sobie. Zaraz zaczęłyby się klanowe wojny, nastąpiłaby krwawa rzeź. A po jakimś czasie wybrany w wolnych wyborach rząd Czeczeńskiej Republiki Iczkerii poprosiłby o unię polityczną i gospodarczą z potężnym sąsiadem.

Rusłan pokiwał głową.

– Może tak by się rzeczywiście stało. Ale dla Rosjan „może” to o wiele za mało. Ropa ropą, oczywiście jej pragną, jednak tylko przy okazji. Przede wszystkim boli ich, że nie mogą sobie poradzić z maleńkim narodem. Boją się, że za naszym przykładem pójda inni.

– Nikt dotąd jakoś nie poszedł.

– A czy ten ich strach ma w ogóle jakiś sens? Nie wiem, kto potrafi pojąć myślenie rosyjskich przywódców. Kto w ogóle rozumie, jak myśli człowiek na szczycie władzy i człowiek w ogóle? Na pewno szejtan, bo to on miesza ludziom w głowach i sercach. Z pewnością również Allah. Ale On nie wtrąca się w to wszystko. Przejdźmy lepiej do rzeczy. O czym chciałeś ze mną mówić?

Paweł odwrócił się, spojrział w wysmaganą wiatrem i spaloną słońcem twarz Rusłana.

– O Klanie Wilka. Muszę się od ciebie czegoś dowiedzieć.

– Klan Wilka to nie twoja sprawa, przyjacielu. Wiesz o nim, bo jesteś przy mnie. Sajf ad-Daula i Achmad nie są z tego powodu szczęśliwi.

– To moja sprawa – odparł twardo Paweł. – Bardzo osobista sprawa od chwili, kiedy posłaliście Halimę na pewną śmierć. Dokąd pojechała? Do Moskwy, Petersburga, Witebska czy innego miasta, gdzie popełni samobójstwo, pociągając za sobą wiele istnień?

– Co za różnica?

– Chciałbym wiedzieć.

– Wykluczone. Coś jeszcze? – głos Kadajewa stał się suchy i nieprzyjemny.

– Tak, jest coś jeszcze. Wiem mniej więcej, co zamierzacie. Domyślałem się zresztą od początku. Ale przeraża mnie sposób wykonania i skala zamierzeń.

– O czym mówisz?

– O waszych planach. Porozumieliście się z irańskimi fundamentalistami, to wiadomo, trudno takie rzeczy utrzymać w tajemnicy. Chcecie przy ich pomocy dokonać zamachów w Rosji. To też zrozumiałe. Jednak użycie do tego bomb skażonych materiałami rozszczepialnymi grozi straszliwymi, trudnymi do przewidzenia konsekwencjami. A poza tym Rosjanie są już uprzedzeni. Jeśli będzie trzeba, na każdym rogu ulicy ustawią czujniki. Takie dziewczęta jak Halima nie przejdą przez sito kontroli. A poza tym w pasie szahida nie da się umieścić naprawdę dużych

ładunków, tym bardziej podrasowanych uranem, plutonem, czy cezem. Rusłan zacisnął pięści.

– Od kogo się o tym dowiedziałeś? Od tych Rusków na dole? Kim oni naprawdę są?

– Macie tutaj krety – odparł Paweł, wskazując ruchem głowy obóz. – Ci na dole wiedzą tylko tyle, ile im przekazano gdzieś z centrali. Mieli za zadanie wyśledzić nas, sprawdzić, czy na pewno dobrze trafili i przekazać to komu trzeba. Nie uciekaj od pytań w złość, nie udawaj, że jesteś zdziwiony. Mnie nie oszukasz. Odpowiedz, mam rację? Jest tak, jak mówię?

Komendant odetchnął, uśmiechnął się lekko.

– Myślisz tak, jak chcemy, żeby myślał nasz przeciwnik. Niech sobie ustawiają czujniki. Nasi posłańcy nie będą mieli przy sobie żadnych materiałów promieniotwórczych. To ślepa uliczka. Nie dość, że Ruscy zaangażują wielkie siły, szukając tego, czego nie ma, to ułatwią szahidom pracę, bo będą zwracać większą uwagę na odczyty instrumentów niż typową wzmożoną obserwację ze strony tajniaków. A kto nas im sprzedał, dobrze wiemy. CIA, która kiedyś pomagała stworzyć Klan Wilka. Ta sama CIA brała udział w jego reaktywowaniu. Amerykance zawsze chętnie zrobią krzywdę Rosjanom, ale ostatnio zaczęli, a potem się rozmyślili. Wiedzą ile wiedzą, a wydaje im się, że trzymają wszystkie nitki w garści. To bardzo dobrze. Oni też się mocno zdziwią, zapewniam cię. Zaś nasi samobójcy mają tylko odwrócić uwagę od o wiele większej i poważniejszej akcji. Kiedy zrealizujemy nasz plan okaże się, że opad radioaktywny, którego tak się obawiali to naprawdę bardzo niewiele. Bohaterscy bojownicy, którzy wysadzą się w powietrze na terenie Rosji nie zginą na próżno.

Paweł poczuł, jak nogi się pod nim uginają. Przeróżające wnioski, które mógł wyciągnąć z ostatnich zdań wygłoszonych przez Kadajewa na chwilę odebrały mu możliwość mówienia.

– Boże – wykrztusił. – Chcecie wykorzystać to, co w tajnych fabrykach wysmażyli Irańczycy! Zamierzacie użyć prawdziwych ładunków

nuklearnych!

Twarz Rusłana ściągnęła się, zagościł na niej zimny, okrutny uśmiech.

– Nie inaczej. Dodaj – mocnych ładunków, zdolnych niszczyć całe miasta.

Paweł przymknął oczy, policzył w myślach do dziesięciu i z powrotem, opanował emocje.

– Nie wiem jak tego zamierzacie dokonać technicznie – powiedział spokojnie. – Tego już na pewno nie przeniosą ludzie w pasach szahida. Nie złożycie też nigdzie bomby z przemyconych części, bo to zbyt skomplikowane, a przy tym niepewne i stosunkowo łatwe do wykrycia. Nawet najdrobniejsze promieniowanie jest jak lampa sygnalizacyjna dla ośrodków namierzania radiologicznego. Zbyt ryzykowne.

– Wszystko jest już przygotowane. A póki co, każę rozwalić jeńców, dokąd o nich pamiętam.

– To może poczekać – Paweł położył komendantowi rękę na ramieniu. – Najpierw znajdź zdrajcę. To na pewno on miał podać tym ludziom współrzędne obozu. Rosjanie mogą się jeszcze przydać.

– Raczej nie. Mamy już pewne podejrzenia, a nawet pewność. Wiemy na pewno, jaki sprzedawczyk nosi kryptonim. Sajf ad-Daula to niesłychanie bystry człowiek.

I ma niezłą paranoję, dodał w myślach Polak, a głośno powiedział:

– Tak. Podejrzenia wszystkich dookoła. Mnie, ciebie, prezydenta, nawet siebie samego.

– I bardzo dobrze. Czasem to się przydaje. Ty się wprawdzie przesiedziałeś, ale przynajmniej oczyściło cię to z zarzutów. Ja też myślałem z początku, że kadi kazał cię aresztować, kierując się tylko niechęcią do człowieka obcej wiary. Ale okazuje się, że po prostu sprawdzał, co się wtedy wydarzy.

– Powiesz, kto nas sypał?

– Dowiesz się we właściwym czasie.

– A wyjawisz, jak zamierzacie podłożyć bomby?

– O tym też się dowiesz, całkiem niedługo. Skoro wiesz już tyle, nie widzę powodów, żebyś nie wziął udziału w dzisiejszej naradzie. Przecież cię nie zastrzelę za nadmiar posiadanych informacji – roześmiał się. – Może zrozumiesz, że trzeba to zrobić, jeśli wysłuchasz, co ma do powiedzenia prezydent. Musimy się spieszyć. Myśleliśmy, że mamy więcej czasu, ale skoro Rosjanie siedzą nam na karku, trzeba wszystko jak najszybciej dopiąć na ostatni guzik.



Kiedy zadzwonił telefon, generał Sierpin wyrzucał z szuflad osobiste rzeczy, żeby zapakować je do podróźnej torby. Przez chwilę wpatrywał się w konsolę aparatu, zastanawiając się, czy powinien w ogóle odbierać. Przecież od wczorajszego wieczora przestał być już dowódcą jednostki, został przeniesiony na zieloną trawkę. Wreszcie podniósł słuchawkę.

– Sierpin, generał w stanie spoczynku.

– Nie pieprzcie, Michaile Antonowiczu – zagrział rozgniewany głos w słuchawce. Minęło kilka sekund, zanim oficer uświadomił sobie, do kogo należy. – Żadnego stanu spoczynku, żadnych urlopów i przekazywania obowiązków. Jesteście jeszcze na stanowisku dowodzenia i tak ma zostać dopóty, dopóki nie zdecyduję inaczej.

– Pozwólcie sobie zwrócić uwagę, Władymirze Władymirowiczu, że minister Wiktoренко osobiście...

– A odkąd to podlegacie bezpośrednio ministrowi? Zaczynam się zastanawiać, kto w tym kraju jest głównodowodzącym armii i sił specjalnych.

– Przecież uzgodnił to z wami.

– Uzgodnił, czy nie – w głosie prezydenta zabrzmiała nutka niepewności – w tej chwili to nieważne. Zapoznałem się z pańskim raportem, generale, zażądałem dodatkowych dokumentów. Przed chwilą dzwoniłem do amerykańskiej ambasady i do prezydenta Stanów Zjednoczonych. Sprawa

zdaje się jeszcze poważniejsza niż sądziliśmy do tej pory. Wywiad amerykański otrzymał nowe informacje, satelity szpiegowskie nad Iranem zarejestrowały niepokojące zjawiska, wzrost promieniowania radioaktywnego w niektórych rejonach. Michaile Antonowiczu, powiedzmy sobie szczerze, złamał pan wszystkie zasady dotyczące bezpieczeństwa naszych systemów informatycznych. W innych okolicznościach zasłużyłby pan na proces, degradację i obóz karny. Ale tak jak jest, mogę panu udzielić jedynie ustnej pochwały i takiegoż upomnienia. Namierzyliście miejsce, z którego nasza wtyczka u terrorystów porozumiewała się z FSB, prawda? Taką dostałem informację.

– Tak jest. Znamy rejon. Ale to nie do końca zasługa moich chłopców, o tym chyba też pan wie. Ten agent, Habibi, odezwał się w czasie gdy Wowka... to znaczy sierżant Gersten, grzebał w bazie danych.

– Wiem, wiem. Dzięki temu mamy dokładne współrzędne. Ale zdaję sobie sprawę, że ten pański Wowka ustalił jakoś rejon, który powinniśmy przeczesać. Nie wiem, jak to zrobić.

– Ja też nie. Niektórzy mają po prostu talent.

– Proszę mu przekazać, że jego talent zostanie odpowiednio doceniony.

– Na pewno się ucieszy. Wie pan może, panie prezydencie, czy nasi ludzie w Czeczenii zostali już powiadomieni?

– Nasi ludzie w Czeczenii nie są godni zaufania. Sam sprawdziłem, jak wygląda sytuacja pod względem taktycznym i logistycznym. W pobliżu meliny bandytów pozostał w tej chwili tylko jeden większy garnizon. Dowodzi nim generał Patkin, niedołączony pierdziel, który powinien od dawna siedzieć w sztabie generalnym, bo tam stosunkowo najtrudniej coś spieprzyć. Podejrzewam, że jego podkomendni nadają się do poważnych akcji mniej niż wiejskie baby spod Nowosybirsk. Potrafią tylko rabować i brać bakszys od miejscowych. Co się dzieje w Szatoj, sam pan wie. Z kolei dalsze garnizony są wyłączone aż do rozpoczęcia akcji, z uwagi na jej bezpieczeństwo. Informacje o ruchach i dyslokacjach wojska mogłyby wypłoszyć terrorystów z gawry, a do tego nie możemy dopuścić. Nie widzę innego wyjścia, pan musi się tym zająć osobiście.

– Proponowałem takie rozwiązanie ministrowi, ale stwierdził, że „Alfa” musiałaby zbyt długo przygotowywać się do działań w zupełnie obcym terenie.

– Do ciężkiej kurwy nędzy – po drugiej stronie słuchawki dał się słyszeć głośny trzask. Zapewne przywódca państwa uderzył ręką w stół. – Na co idą wszystkie pieniądze, które topimy w szkolenie służb specjalnych? Pan też zamierza mi świecić w oczy takimi bzdurami?!

– Powtarzam jedynie opinię Abrama Piotrowicza.

– Mam gdzieś jego opinie. Nie ma czasu na podobne rozważania i durne obiekcje, generale! Ma pan zrobić wszystko, żeby udaremnić plany terrorystów, choćby trzeba było zabić wszystkich w okolicy, nie oszczędzając kobiet i dzieci. Macie strzelać do każdego Czeczena, jakiego spotkacie w tamtym miejscu, uzbrojonego czy nie. Jeśli kogoś zdołacie schwytać, macie wydobywać wiadomości wszelkimi metodami. Niech to wszyscy diabli! Utopimy ten kraik we krwi! Nie spocznę, dokąd nie wytypimy tam wszelkich objawów nieposłuszeństwa. Akcja na siedzibę Klanu Wilka to dopiero wstęp. Pokażemy światu, co znaczy sprzeciwiać się woli wielkiej Rosji. Kto podniesie rękę na integralność Federacji Rosyjskiej, temu tę rękę odrąbiemy wraz z głową.

Sierpin skrzywił się mimowolnie. Prezydent powinien sobie taką agitację zachować na inną okazję. Generałowi dowodzącemu stołecznymi jednostkami „Alfy” wystarczy krótki rozkaz.

– Zrozumiał pan, Michaile Antonowiczu?

– Tak jest, panie prezydencie.

– Wykonać. Jest dziewiąta rano. Nie zostało wam wiele czasu.

Połączenie zostało zakończone. Sierpin odłożył słuchawkę. Przez minutę siedział nieruchomo, zbierając myśli. Wreszcie nacisnął przycisk interkomu.

– Alarm – powiedział spokojnym głosem. – Ogłaszam alarm czwartego stopnia. Dowódcy sekcji mają się zameldować w moim gabinecie za pięć minut.

Opadł na fotel, odchylił głowę i przymknął oczy. Na korytarzach i we wszystkich pomieszczeniach błyskały czerwono–żółte lampy, rozlegał się mobilizujący świergot sygnałów dźwiękowych. Generał chłonał ciszę własnego pokoju, starał się jak najbardziej odprężyć przed czekającą go karuzelą zdarzeń.



Dzochar stał skamieniały. Dwóch bojowników celowało do niego z karabinów. Twarze mieli ściągnięte gniewem, w oczach błyski nienawiści.

– O co wam chodzi? – spytał zduszonym głosem. – Nic nie zrobiłem.

– Nie nam się będziesz tłumaczył, zdrajco! Zdrajco? Słowo zabrzmiało w uszach przykrym echem. Nikt do tej pory tak go nie nazwał. To on raczej wyciągał oskarżycielski palec, wskazując podejrzane osoby. Po Dubrowce nazwał zdrajcami Mowsara i Szamila, kiedy zorientował się, czym w rzeczywistości był ich atak i do czego prowadził.

– Nie jestem zdrajcą – podniósł głowę. – Mogę spojrzeć w oczy każdemu i...

Zdanie przerwało uderzenie. Jeden z żołnierzy wykonał szybki krok do przodu i kolbą karabinu zadał cios w szczękę. Trafił nieco wyżej, w okolice policzka. Pocięła krew, Gruman poczuł w ustach ostre odłamki zębów. Wypluł je na ziemię.

– Mylicie się.

– Nie gadaj tyle. Idziemy do prezydenta.

W chałupie, którą zajmował Achmad Nikułajew czekali także kadi i Rusłan. Z boku siedział Polak, przyglądając się przebiegowi zdarzeń.

– Mów – powiedział ochryple Kadajew.

– Nie wiem, o czym mam mówić.

– Kiedy dałeś się zwerbować FSB. A może GRU? Nam bez różnicy.

– Nigdy – Dzochar mówił z pewnym trudem. Pozostałości zębów raniły język, policzek puchł i bolał coraz mocniej. – Zawsze byłem wierny...

– Łżesz, bydlaku! – wrzasnął Rusłan. Poderwał się z miejsca, ale usiadł zaraz, powstrzymany przez ad-Daulę. – Łżesz – powtórzył spokojniej. – Przyszedłeś do nas z Hamsajewem. Podobno zdołaliście się wymknąć strasznej obławie. Tak przynajmniej opowiadaliście wszystkim dookoła.

– Bo tak właśnie było! Gdyby nie znajomek Tarkhana, byłoby z nami krucho. Właściwie jemu zawdzięczamy...

– Widzisz, sęk w tym, że ów znajomek okazał się również związany ze służbami bezpieczeństwa Rosji. Co więcej, pracuje nie tylko dla FSB, ale karmi informacjami także CIA. Oni mają swój wywiad, my swój.

Jeśli nie jesteś zdrajcą, czy przeszło ci po tej sławetnej ucieczce przez myśl, że to niemożliwe, by ktoś ryzykował wolność i karierę, niosąc podobną pomoc dwóm terrorystom? Nawet jeśli ten ktoś ma ogromne wpływy? To był wielki błąd, ten cały teatr. Jak to przedtem powiedziałaś, Pawle? – zwrócił się do Polaka.

– Wywiad zawsze robi coś, dzięki czemu można go zdemaskować – powiedział Mech. – Lubią przesadzać, a im więcej w ich działaniach kombinacji, tym większa możliwość wpadki.

– Tak jest – kiwnął głową Rusłan. – O to mi chodziło. Przesadziliście, Gruman.

– Klnę się na Allaha, nic o tym nie wiem! – Dżochar mówił bardzo szybko, nie chciał, by mu przerwano. – Tarkhan zjawił się u mnie niespodziewanie. Przed rozstaniem po Dubrowce ustaliliśmy, że nie będziemy się szukać, a jeśli nastąpi wpadka i znajdziemy się w podobnej sytuacji, powiemy kilka umówionych zdań. Znacie przecież ten system. Dlatego od razu wiedziałem, że przyszedł z obstawą i trzeba się bronić. Nie miałem pojęcia, o co chodzi. Najpierw nie było czasu dopytywać, dopiero potem opowiedział mi o odrodzeniu Klanu Wilka. A może...

Zamilkł. Obecni przypatrywali mu się w zupełnej ciszy. A mózg Grumana pracował na najwyższych obrotach. Przed oczami przelatywały obrazy. Wspólne akcje podczas drugiej wojny czeczeńskiej, przyjaźń Tarkhana z Basajewem, może nawet coś więcej niż przyjaźń – jakaś dziwna więź. Ktoś, kto miał okazję ich obserwować widział doskonale, że mają

jakieś wspólne sprawy. Gruman od początku przyjaźnił się z Hamsajewem, nieraz ratowali sobie nawzajem życie, ale to była inna przyjaźń niż ta z wysoko postawionym dowódcą. Potem Tarkhan odciął się od Szamila, a jednak nigdy nie rzucał na niego gromów takich jak Dżochar, nie zdawał się rozczarowany odkryciem, że komendant polowy i wiceprezydent Iczkerii postępuje dokładnie tak, jak by tego chcieli Rosjanie. A na Dubrowce... Nadleciało wspomnienie chwil tuż przed atakiem sił specjalnych. Hamsajew zaciągnął Grumana do piwnicy, pod scenę. Chciał mu coś ciekawego pokazać, ale nie zdążył, bo rozległy się strzały i poleciał gaz. Przypadek, tak przynajmniej twierdził Tarkhan. Dżochar nie zastanawiał się nad tym. Ufał przyjacielowi. Zaufał mu również wtedy, gdy zostali uwolnieni. Za dobrą monetę przyjął zapewnienia, że ocalenie zawdzięczają temu, iż FSB uwierzyła w ich współpracę, komandosi bowiem przez pomyłkę zabili tych, którzy dogadali się z bezpieczeniakami, więc powstała niejako próżnia, w którą oni mogli wejść.

– Wykorzystał mnie – wychrypiał, patrząc na Rusłana. – Psi syn! To on jest zdrajcą! To jego powinniście tutaj przesłuchiwać!

– O kim mówisz?

– O Tarkhanie! Przecież to on do mnie przyszedł! Ja go nie szukałem.

– Hamsajew został aresztowany godzinę wcześniej niż ty. Sajf ad-Daula – Kadajew skłonił głowę przed kadim – nakrył go na podejrzanych czynnościach. Tarkhan nie docenił naszego sprzymierzeńca. Uznał, że można go oszukać, bo nie bardzo wyznaje się na komputerach. Tymczasem kadi bez większego trudu sprawdził spisy połączeń z siecią. Kilka było bardzo interesujących, do konanych w nieoczekiwanych godzinach, albo przy okazji zwyczajnych kontaktów.

– Macie więc winnego.

– Mamy dwóch. Żeby zyskać chociaż kilka godzin życia wystawił także ciebie.

– Przecież nie mogłem tutaj niczego zrobić! – Dżochar był zrozpaczony.
– Nie mam dostępu do Internetu, nawet do radia. Nic!

– Nie chodzi o to, co robiłeś tutaj, ale co mogłeś uczynić wcześniej. Wiemy, że Hamsajew pracował na dwa fronty – związał się z wywiadem brytyjskim i rosyjskim jednocześnie. Chciwy był. Najwyraźniej nie wystarczały mu pieniądze z interesów na Syberii. Chciał więcej i więcej. W dodatku stał się narkomanem. Takich jeszcze łatwiej pozyskać.

– Nic o tym nie wiedziałem. Nie kontaktowaliśmy się przez lata. Robiłem swoje, walczyłem z Ruskimi.

– Wiemy, wiemy – głos zabrał Nikułajew. – Podkładałeś bomby, zabijałeś funkcjonariuszy, konstruowałeś siatki bojowników. Znakomita przykrywka. Hamsajew też przecież dla nas pracował. Zdobywał środki na broń, pośredniczył w rozmowach z ważnymi osobistościami z różnych krajów. A jednak okazał się zdrajcą. Tyle że on się przynajmniej przyznał. Podał nawet swoje operacyjne pseudo – Habibi. Może dlatego, że dowody bardzo wyraźnie świadczyły przeciwko niemu. A ty upierasz się przy swoim. I tak już nie żyjesz, powiedz prawdę w obliczu śmierci. Może Allah wtedy łatwiej wybaczy.

Dżochar położył dłoń na sercu, podniósł oczy ku zakopconemu sufitowi, jakby chciał przebić go wzrokiem i zobaczyć niebo.

– Raz jeszcze przysięgam na Allaha. Nie jestem zdrajcą. Tarkhan wykorzystał mnie. Byłem przekonany, że działamy w słusznej sprawie. Byłem wojownikiem Klanu Wilka od samego początku i on też. Obaj składaliśmy wielką przysięgę. Nie złamałem jej, Najwyższy i Jego Prorok niech mi będą świadkami! Jeśli nie wierzycie, nic nie mogę na to poradzić. Nie będę błagał o życie. Ale w sercu jestem czysty.

Rusłan wzruszył ramionami, Sajf ad-Daula siedział z kamienną twarzą, Nikułajew odwrócił wzrok, jakby był zażenowany tą sceną. Paweł przyglądał się mówiącemu z zastanowieniem.

– To by się nawet trzymało kupy – powiedział. Kadi skrzywił się z niechęcią. Obcy nie powinien zabierać głosu nieproszony. Mech nie zwrócił na niego uwagi. Nie zamierzał nikogo przekonywać, jedynie myślał głośno.

– Taka koronkowa robota pasuje do metod FSB. Mieli zapewnioną współpracę Tarkhana, ale nie mogli go wysłać nagle do Czeczenii, żeby

wywęszył, gdzie znajduje się kwatera główna Klanu Wilka. Przecież miał siedzieć na Syberii i pracować nad logistyką. Trzeba było znaleźć pretekst, by zmusić go do ucieczki, aby został przerzucony od razu do serca organizacji. On nie wystawił Dżochara służbie bezpieczeństwa. Nie musiał. FSB na pewno miała go od dawna na oku, nie dał rady tak naprawdę uwolnić się od chwili zatrzymania na Dubrowce. Nie był na tyle groźny, żeby go od razu zdejmować, nie znaczył wiele, więc trudno by było pochwalić się sukcesem po zatrzymaniu jakiegoś tam podrzędnego terrorysty. Przy okazji dokonywał drobnych zamachów, utwierdzając opinię publiczną w poczuciu słuszności prowadzenia wojny na Przedkaukaziu. Gruman stał się dodatkową polisą Hamsajewa – świadkiem, w jak dramatycznych okolicznościach zdołali uciec z rąk prześladowców. Rusłanie – Paweł spojrzał na komendanta. – Pamiętasz, jak na wieść o ucieczce Tarkhana powiedziałaś, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło? Że będzie można wykorzystać informatyczny talent, a na Syberii zastąpi go kto inny? Sam kazałeś zorganizować im przerzut przez Turcję. Nikt nie pomyślał wtedy, że w tym może być ukryte drugie dno. Czy to dziwne, że Dżochar też się nad tym nie zastanawiał?

Gruman spojrzał na najemnika z wdzięcznością.

– Strasznie dużo mówisz, człowieku – rzucił zgryźliwie kadi. – Chcesz za wszelką cenę wybronić tego zdrajcę? To nieco podejrzane...

Paweł roześmiał się drwiąco. Twarz Afgańczyka pociemniała ze złości.

– Dla ciebie wszystko jest podejrzane, kadi. Patrzyłeś mi na ręce nawet wtedy, kiedy przeprawialiśmy się przez góry i twoje życie zależało tylko od moich umiejętności. Podobnie jak wy uważam, że powinno się zabijać zdrajców. Ale nie należy uśmiercać niewinnych. Nie masz żadnych wątpliwości, co do winy tego człowieka? Twierdzi, że został wykorzystany i coś mi mówi, że mogło tak być.

– Na szczęście nie masz tutaj prawa głosu.

– Coś jest w tym, co powiedział nasz przyjaciel z dalekiego kraju – odezwał się Nikułajew. – Wina Dżochara nie jest bezsporna. W przypadku Hamsajewa mieliśmy najpierw podejrzenia, a potem niezbite dowody.

– To morfinista – zaproponował Sajf ad-Daula. – Takiego łatwiej zmusić do wyznania prawdy. A ten będzie kręcił i kluczył. Nie mamy czasu przeprowadzić prób, by się przekonać, na ile możemy wierzyć w jego prawdomówność.

Prób? Paweł spojrzał na kadiego. To słowo oznaczało ciężkie tortury. Więzień ma prawdziwe szczęście, że brak czasu na podobne sposoby. Lepiej dla niego, by jego los rozstrzygnął się tu i teraz.

– Co proponujesz, święty mężu? – spytał Rusłan.

– Niech zachowa się jak mężczyzna i przyzna do winy.

– To twoja odpowiedź? Wiele nie wniosła, pozwól to sobie powiedzieć.

A ty, Achmadzie? – komendant zwrócił się do prezydenta.

– Mam wątpliwości. Paweł może mieć rację.

– Polak ma rację – zawołał Dżochar.

Rusłan podszedł do niego, położył mu dłoń na ramieniu.

– Dżocharze Gruman – powiedział cicho, ale dobitnie. – Dowody twojej winy nie są niezbite. Co więcej, zeznania twojego towarzysza budzą moje ogromne wątpliwości. Jednak... – nagle w jego dłoni pojawił się pistolet. Huknął strzał, na belki ściany za plecami Dżochara trysnęła krew i fragmenty mózgu. Gruman osunął się na ziemię. – Jednak – dokończył Kadajew, patrząc na trupa – nie mamy czasu dochodzić prawdy, a nie możemy obciążać niepotrzebnie się i ryzykować dodatkowo, wlokąc ze sobą niepewnego człowieka – popatrzył na Nikułajewa. – Zaraz po naradzie z komendantami należącymi do sprzysiężenia i podjęciu ostatecznych decyzji opuszczamy obóz.

Paweł patrzył na trupa i zastanawiał się, kto w tym gronie jest prawdziwym prezydentem. Tak kadi, jak i Kadajew zdawali się mieć więcej do powiedzenia w kluczowych kwestiach. Zupełnie jakby przywódca Republiki Iczkerii był bezwolną kukłą, popychaną przez tych, którzy w istocie rzeczy powinni po prostu wykonywać rozkazy. W tej samej chwili mógł się jednak przekonać, jak wygląda prawda.

– Zapominasz – wycedził zimno Achmad – że ja tutaj wydaję rozkazy i ja decyduję kiedy i dokąd się udamy. Zastrzelełeś tego biedaka, nie

zważając na moje wątpliwości.

– Zasłużył na śmierć – powiedział głośno ad-Daula. – Nieważne, czy przysłużył się zdrajcy świadomie, czy nieświadomie. Liczy się rezultat.

Nikułajew spojrział na Afgańczyka jak pies na muchę.

– Przez ciebie i takich jak ty moja córka musi poświęcić życie. Dla was ważniejsza jest sama zemsta niż skutki ważniejszych od niej poczynań. Zaczynam się zastanawiać, czy słusznie postąpiłem, wchodząc z wami w przymierze.

– Chcesz zrezygnować? – zaniepokoił się kadi.

– Nie mogę, nawet gdybym chciał. Wszystko gotowe. Jeśli nie ja, ktoś z was wyda rozkaz. Wolę mieć wgląd w to wszystko.

– Jednak...

– Milcz – warknął prezydent. Zdumiony kadi wytrzeszczył oczy. – Jesteś tu tylko gościem, uważaj, bym nie uznał cię za intruza!

Wargi ad-Dauli wygięły się we wściekłym grymasie, odsłaniając kły. Zmilczał jednak. Widać było, że Nikułajew lada chwila może przestać nad sobą panować.



Generał lustrował żołnierzy w towarzystwie ministra spraw wewnętrznych. Dwie wydzielone kompanie „Alfy” w pełnym rynsztunku bojowym prezentowały się imponująco. W południe przerzucono ich rządowymi odrzutowcami z Moskwy na lotnisko polowe pod Koczubej w Dagestanie. Tutaj czekały następne maszyny. Wiktoренко miał nieco skwaszoną minę. Nie rozmawiali na temat odwołania Sierpina i późniejszych wydarzeń. Minister przekazał jedynie coś w rodzaju błogosławieństwa głowy państwa dla tej misji. Wątpliwości Abrama Piotrowicza dotyczyły jedynie liczebności oddziału. Jednak generał postarał się je rozwiać. W tym wypadku najważniejszym czynnikiem jest zaskoczenie. Jeśli w pierwszej fazie operacji uda się unieszkodliwić znaczącą liczbę separatystów, reszta

stanie się formalnością, będzie można przeprowadzić działania wspierające z użyciem śmigłowców i samolotów.

– Nie możemy liczyć, że działanie będzie precyzyjne jak cięcie skalpela – powiedział, kiedy siedzieli nad mapą Czeczenii i Dagestanu. Na to mamy zbyt mało czasu, nie można przeprowadzić należytego rozpoznania. Mamy zdjęcia satelitarne i lotnicze terenu, ale one nie są w stanie pokazać wszystkich niespodzianek. Tu, widzi pan – stuknął palcem w mapę – znajduje się jedyne miejsce, które mogą jakoś wykorzystać. Sytuacja jest o tyle skomplikowana, że uderzenie musi być niespodziewane i szybkie. Terrorysty nie mogą mieć czasu na ucieczkę, bo jeśli zdołają się wyrwać, hydrze niebawem odrosną liczne głowy. Dlatego nie możemy użyć miejscowych środków przenoszenia wojska, na początku absolutnie nie wolno podrywać sprzętu latającego. W chwili, kiedy wpadli nasi ludzie, Czeczeni zostali ostrzeżeni o bliskim niebezpieczeństwie. Jak słusznie zwrócił na to uwagę prezydent, ich szpiedzy na pewno obserwują każdy ruch wojska.

– Stwierdziliśmy wzmożoną aktywność oddziałów czeczeńskich w dystrykcie itumkalińskim i przyległych.

– Tym bardziej nie ma na co czekać. Trzeba się modlić, by w chwili desantu terrorystów zastać jeszcze na miejscu. Dlatego, jak już powiedziałem, musimy działać błyskawicznie i znienacka.

– A jak chce pan tego dokonać?

– Użyjemy małego podstępu. Najlepszą formą dezinformacji jest podanie informacji jak najbardziej prawdopodobnej, choć w istocie rzeczy mylącej.

– A konkretnie co ma pan na myśli?

– Konkretnie porozumiałem się już w tej sprawie z najwyższym dowództwem.

– A ja się nie dowiem, o co chodzi? – spytał z goryczą Wiktoренко.

– Pan czyni w tej sprawie honory domu. Ale czy gospodarz musi wiedzieć wszystko?

– Nie ufa mi pan?

– To nie kwestia zaufania. Kiedy przyjdzie czas, będzie wiadomo, na czym fortel polega. Na razie nie wie o nim nawet prezydent. To moja osobista odpowiedzialność. Jeśli się nie uda, armijny prokurator mnie będzie udowadniał niedołęstwo. Jednym możemy się w każdym razie pocieszać. W nowym położeniu, ruchawki w koszarach pod Szatoj przestały mieć większe znaczenie. Jednostka i tak nie może zostać wykorzystana w bezpośredniej akcji.

Zatem nikt nie będzie pytał, dlaczego został zabity doskonały dowódca. Kiedy się to skończy nie polecą z tego powodu głowy, a kompromitująca prawda o samowolnych poczynaniach oficerów wojskowego wywiadu nie stanie się przedmiotem dochodzenia. Wiktoренко spojrział pytająco.

– Tak, o tym też wiemy. Wowka musiał wydobyć cały pakiet informacji wywiadu na temat ostatnich działań na terenie Czeczenii. Całą noc to opracował z pięcioma pomocnikami. Przy okazji złapał wasze informacje dotyczące aktywności GRU. Niektóre przypadki są wyjątkowo oburzające. Gdyby ujrzały światło dzienne... Szkoda gadać. Musicie wreszcie zadbać, żeby przestała tam pracować banda skorumpowanych skurwysynów i zimnych morderców.

– Wszędzie w służbach znajdują się tacy ludzie.

– Wiem, ale może bez przesady.

– Chce mnie pan pouczać? – w głosie Wiktořenki zabrzmiała groźba. – Proszę robić swoje, nie wtrącać się w sprawy służby bezpieczeństwa. To może się źle skończyć.

– Niech pan nie grozi. Za chwilę wyruszam na wojnę. Nie wiem, czy wrócę. W takich chwilach człowieka niełatwo przestraszyć. Przecież wiem, że choćby zstąpił na ziemię anioł, by przemówić do waszych sumień, i tak będziecie robić, co wam się podoba.

– To śmieszne, że prawi mi morały ktoś, kto szkoli ludzi do zabijania.

– Tym bardziej powinien się pan zastanowić. A teraz może będzie pan łaskaw dokonać przeglądu oddziału.

To przecież nie był mój pomysł, żeby wygłosić do nich na lotnisku kilka słów. Ja to zrobię już w samolocie, po swojemu. Mam nadzieję, że ten

pański człowiek z Szatoj zrobił co do niego należało. Inaczej pozostaje nam jedynie przelecieć nad terenem w charakterze wycieczki.

– Proszę się nie obawiać, to pewny agent.

– Po ostatnich wydarzeniach, wybaczy pan, mam spore wątpliwości co do sprawności waszych pracowników.

Minister przeżuwał upokorzenie, idąc wzdłuż szeregów i patrząc bez większego zainteresowania na gotowych do drogi żołnierzy. Powinien im powiedzieć coś pokrzepiającego, przemówić do serc i sumień. Przecież całe życie potrafił to robić doskonale. W dawnych czasach, podczas wieców z okazji obchodów święta Pierwszego Maja, czy Rewolucji Październikowej przemawiał długo i namiętnie, zyskał nawet przydomek „Wodolej”. Potem, kiedy przyszły *głasnost* i *pieriestrojka*, z pewnym obrzydzeniem zmienił treść wystąpień, ale pozostawił umiejętność zaangażowania w przemowy. Ale dzisiaj miał pustkę w głowie. Jedyne, co mu przychodziło ta myśl to:

– Powodzenia, chłopcy. Sprawcie się dobrze. Generał dał znak. Kolumna żołnierzy powędrowała do maszyn po wilgotnym pasie lotniska. Światła odbijały się w asfalcie niczym w gładkiej tafli jeziora.

– Mam nadzieję, że wrócicie wszyscy – powiedział cicho Wiktoренко.

– A ja mam nadzieję, że damy radę zrobić wszystko, czego się od nas oczekuje – odparł Sierpin.



Komendanci należący do Klanu Wilka zasiedli przy dużym stole. Przy takich stołach zwykle się umieszczają goście weselnych. Paweł znalazł się między Rusłanem, a człowiekiem o nieco mongolskich, czy raczej tatarskich rysach. Hakkan Sulejmanoglu pochodził z Turcji. Podobnie jak Polak był kiedyś zwyczajnym najemnikiem. Doszedł jednak z czasem do stanowiska komendanta polowego. To był pewien ewenement, bo dla Czeczenów był jednak obcy, ale okazał się wyjątkowo sprawnym dowódcą. Poza tym do muzułmanina miejscowi mieli więcej zaufania niż do

innowierców. Zresztą Mech nie zazdrościł Turkowi, bo i nie było czego. Dowodzenie oddziałami to żadna przyjemność. Co innego prowadzić wojsko w czasie walki, a inna rzecz zapewniać mu zaopatrzenie, kwatery, dbać o dyscyplinę.

Paweł zaraz po wejściu ostatnich uczestników narady zrozumiał, dlaczego Kadajew posadził go właśnie w tym miejscu. Komendanci patrzyli na niego złym okiem, wymieniali między sobą uszczypliwe uwagi. Jasne włosy i niebieskie oczy budziły nieufność, choć wiedzieli, że mają do czynienia z wypróbowanym sprzymierzeńcem. Hakkan traktował go z większą życzliwością. Sam obcy, wiedział, jak bywa trudno cudzoziemcowi wśród ludzi przywiązanych do plemiennych obyczajów.

– Nie przejmuj się – szepnął Kadajew. – Niektórzy z nich potrafią być naprawdę niezdyscyplinowani, ale nie dzisiaj. Nawet półobląkani w boju szaleńcy stają się poważni kiedy mowa o trzech rzeczach – losach republiki, wpływach na rządy w przyszłej wolnej Iczkerii i pieniądzech.

Polak z powątpiewaniem spojrzął po surowych, zaciętych twarzach. Przeciwno opinii Rusłana świadczyło chociażby to, że zbierają się po raz drugi, choć wszystko powinno być omówione na poprzedniej naradzie.

Wreszcie wszyscy zajęli miejsca, ucichł szmer ostatnich rozmów. Prezydent Nikułajew powstał, ale zanim zdążył coś powiedzieć, odezwał się krępy przysadzisty komendant naprzeciwko Pawła.

– Co się stało ze zdrajcami Grumanem i Hamsajewem? Dlaczego nie postawiono ich przed trybunałem? Dlaczego nie zaproszono żadnego z nas na przesłuchania? Nie powinniście załatwiać takich spraw poza naszymi plecami. Jesteśmy podobno członkami jednego stowarzyszenia. Przysięgaliśmy nie mieć przed sobą tajemnic.

– A czy w jakikolwiek sposób ukrywaliśmy, że podejrzani zostali schwytani? – odpowiedział, pytaniem na pytanie Achmad. – Mogliśmy to przecież zrobić w zupełnej tajemnicy, nieprawdaż?

– Powinniśmy mieć możliwość uczestniczenia w przesłuchaniu zdrajców – upierał się komendant.

– Wszyscy? – rozległ się drwiący głos Rusłana. – Jakby to wyglądało i ile trwało? Poza tym to byli moi ludzie.

– Jacy twoi? Ty ich tylko przejąłeś.

– Na jedno wychodzi. Dowiedzieliśmy się, czego trzeba. A teraz może przystąpimy do omówienia najważniejszych spraw.

– Co się stało z tymi ludźmi? – krępy komendant nie dawał za wygraną.
– Może ich uwolniliście? Może prezydent skorzystał z prawa łaski?

– W pewnym sensie – uśmiechnął się Kadajew – zostali uwolnieni. – Na twarzy jego interlokutora odmalowało się oburzenie, ale zanim zdążył je wyrazić słowami, Rusłan dokończył. – Można ich sobie obejrzeć. Leżą na kupie śmieci za obozem. Kiedy Rosjanie się tutaj pojawią, będą mogli pochować swoich agentów.

– Doszły nas słuchy, że jeden z nich...

– Dość! – warknął Nikułajew. – Nie mamy czasu. Musimy przystąpić do rzeczy.

Zapanował gwar. Uczestnicy narady spierali się między sobą, czy należy żądać dalszych wyjaśnień w sprawie Grumana i Hamsajewa, czy przejść nad ich egzekucją do porządku dziennego.

– To nie jest zbyt rozsądne siedzieć tutaj i gadać – Paweł pochylił się do ucha Kadajewa. – Jeśli przeciwnik zna naszą pozycję, należałoby zmienić miejsce pobytu natychmiast.

– Pozostać w obozie to na razie mniejsze ryzyko – odparł równie cicho Rusłan. – Wyobrażasz sobie wspólny przemarsz do innej bazy? Tylu ludzi natychmiast zwróci uwagę ruskich obserwatorów. A jeśli ewakuujemy się jak należy, pójdziemy mniejszymi kolumnami, zebranie się w umówionym miejscu zajmie zbyt dużo czasu. W najbliższym od nas porządnym garnizonie panuje w tej chwili bunt i bezhołowie, nie będą w stanie przeprowadzić żadnej akcji. Zresztą – spojrzął na zegarek – na wszelki wypadek postaramy się wyłączyć ich z gry. Druga co do odległości większa jednostka nie nadaje się do niczego. To ci, z którymi się dogadywał Gulda. Zanim się ruszą z pozostałych minie trochę czasu. Zresztą wszędzie mamy rozstawionych ludzi. Jeśli tylko poderwą się helikoptery, albo w naszą

stronę polecą samoloty, będziemy mieli dość czasu, żeby się ukryć i zorganizować planową ucieczkę.

– Zgadza się – dorzucił z drugiej strony Hakkan. Mimo tumultu dotarła do niego treść rozmowy. – Lepiej załatwić wszystko tutaj, zaraz. Jeśli się ruszymy, a w dodatku wtedy nas zaatakują, towarzystwo w ogóle się rozlezie i nie pozbieramy ich przez tydzień. Poza tym najważniejsze jest teraz doprowadzić sprawy do końca. Potem może nas wszystkich szlag trafić.

– Mogłem podjąć wszelkie decyzje samodzielnie – nad gwarem podniósł się głos prezydenta. – Mogłem was zlekceważyć, bo to właśnie do mnie zwrócili się emisariusze z Iranu! Docieńcie wreszcie to, że postanowiłem zasięgnąć waszej opinii, udzielić wam głosu w dyskusji! Nasi przyjaciele czekają. Co mam im powiedzieć? Że nie przystąpimy do pracy, choć wszystko jest przygotowane, bo moi dowódcy zachowują się niczym rozkapryszone kobiety? Jeśli chcecie, mogę natychmiast wysłać wiadomość o odstąpieniu od akcji. Tylko szahidów nie zdołam już odwołać. Poświęcę życie na darmo.

Po tych słowach zapadła cisza. Prezydent wskazał kadiego.

– Sajf ad-Daula omówi najistotniejsze kwestie i opowie o problemie, który ostatnio się pojawił. Potem wysłuchamy waszych uwag.

Paweł słuchał Afgańczyka jednym uchem. Po rozmowie, którą odbył z Rusłanem, miał w głowie chaos, targały nim sprzeczne uczucia. Z jednej strony rozumiał desperację Czeczenów, przecież widział, jak są traktowani przez wojska okupacyjne, nieraz oglądał zmasakrowane trupy albo chłopców i dziewczęta ze śladami po wycięciu narządów do przeszczepów. Oglądał rozpacz matek, gniew ojców i synów. Jednak to, co chcieli teraz zrobić przechodziło najśmielsze oczekiwania. Rzecz była do przeprowadzenia w sposób tak prosty, że aż budziło to mimowolny podziw. Iran przecież jest wielkim eksporterem ropy. Tankowce z cennym ładunkiem przemieszczają się po całym świecie, zawijają do wszystkich portów. W dodatku jednostki te pływają pod najróżniejszymi banderami. Wystarczy załadować bombę na pokład statku. Załoga nie musi o niczym

wiedzieć. Wystarczy jeden wtajemniczony człowiek, który w odpowiednim momencie uruchomi mechanizm detonatora. Żeby uniknąć ryzyka, na każdą jednostkę przydzielono po trzech ludzi. Tankowce–pułapki zawiną do portów w Stanach Zjednoczonych, Rosji i Wielkiej Brytanii, mniej więcej w tym samym czasie, wszystkie znajdą się w miejscach przeznaczenia jednego dnia. Tak to zostało obliczone. I bodaj właśnie zgranie stanowiło największą trudność operacji. Do załóg płynących do Rosji dokooptowano bojowników czeczeńskich, którzy kiedyś służyli we Flocie Czarnomorskiej. Otrzymali sfałszowane książeczki marynarskie, pełne wpisów od różnych armatorów. Do USA i Anglii popłynąć mieli ludzie z Palestyny, Afganistanu i samego Iranu. Wszystkie jednostki były już gotowe do drogi bądź właśnie wypływały na morze. Część z nich Irańczycy przetrzymywali pod różnymi pretekstami, reszta kończyła tankowanie. Tuż przed serią wybuchów nuklearnych miała nastąpić fala samobójczych zamachów w wielkich miastach różnych krajów świata, aby odciągnąć uwagę wywiadów. Przy tym wszystkim porty niezwykle trudno kontrolować. A w razie czego wystarczy, że wybuch nastąpi na redzie. Wtedy też zginie mnóstwo ludzi, zostanie zrujnowana infrastruktura ważnych arterii przeładunkowych. Dla Polaka była to przerażająca wizja. Nie bardzo rozumiał, po co członkowie Klanu Wilka zebrali się dzisiaj jeszcze raz, skoro wszystko zostało już ustalone. Dopiero słowa kadiego wyjaśniły tę kwestię. Po powtórny omówieniu sposobu wykonania zadań przez poszczególne zespoły, przystąpił do sprawy najistotniejszej.

– Po przedstawieniu prawdziwego planu na poprzednim spotkaniu napotkaliśmy opór w łonie organizacji – powiedział, patrząc przenikliwie na zgromadzonych. – Wielu z was przestraszyła perspektywa użycia broni jądrowej zamiast wzbogaconych konwencjonalnych ładunków, o czym była mowa na początku. Klan Wilka przestał być monolitem, dotarły do nas wieści o krytycznych uwagach komendantów, o jakichś skrupułach, sianiu pesymistycznych nastrojów. Niektórzy są przeciwni wspólnemu uderzeniu na Rosję i Stany Zjednoczone. Wciąż traktujecie USA jak sprzymierzeńca. Zapominacie, że Ameryka zostawiła nas samym sobie. Pierwszy Klan

Wilka sprzedali Roskim właśnie współpracujący z nami doradcy CIA. Drugi też pomogli zbudować i znów go usiłowali wystawić na strzał wroga. W związku z tymi wątpliwościami musieliśmy podjąć odpowiednie kroki, aby zabezpieczyć się przed zdradą o wiele poważniejszą niż w przypadku Hamsajewa i Grumana.

– Na czym polegają te odpowiednie kroki?

Kadi spojrział na Nikułajewa. Prezydent skinął głową. Na ten znak Rusłan wyjął krótkofalówkę.

– Wejść – rzucił.

Drzwi otworzyły się gwałtownie, okiennice odskoczyły, w okamgnieniu zaroilo się od bojowników. Każdy miał ściśle wyznaczone zadanie i wykonywał je perfekcyjnie. Nie upłynęły nawet trzy sekundy, a za każdym z komendantów stał człowiek, przykładając mu lufę do karku.

Krępy dowódca naprzeciwko Pawła zaklął głośno.

– Niech was porwą ruskie diabły – wycharczał wściekle. – Więc po to przeciągaliście rozmowy! Dlatego mamiliście nas, że ostateczne decyzje jeszcze nie zapadły!

– Tak, to część planu, który musieliśmy w ostatniej chwili nieco zmodyfikować – odparł spokojnie prezydent. – Niestety, okazało się, że nie można odrodzić Klanu Wilka w dawnej postaci. Ta przeklęta wojna zniszczyła w nas zbyt wiele.

– Nic już od nas nie zależy? – spytał inny komendant, którego Polak znał jeszcze z początków drugiej wojny czeczeńskiej. – Po co więc było to całe przedstawienie?

– Potrzebowaliśmy zgromadzić was wszystkich w jednym miejscu. Musieliśmy mieć pewność, że mamy sprawy pod kontrolą, a prawda nie wyjdzie na jaw zbyt szybko. Świat jest pełen zdrajców.

– Co z nami zrobicie?

– Nad ranem ewakuujemy obóz. Pójdziecie pod strażą.

– Nasi ludzie się o nas upomną!

– Wasi ludzie złożyli przysięgę krwi przywódcy Klanu Wilka. To ona ich wiąże w tej chwili, jemu mają być bezwzględnie posłuszni.

Paweł słuchał tego ze zdumieniem i pewnym podziwem. Pomyśleli o wszystkim. Rzeczywiście, dla przestrzegających twardych zasad wojowników ślubowanie, które złożyli kilka dni wcześniej było czymś na kształt świętego przymierza. Nawet jeśli zdarzą się przypadki buntu, będą sporadyczne i łatwe do wyeliminowania. Dowódcy skupieni w Klanie Wilka zapewnili materiał ludzki do załóg statków i samobójczych ataków, zrobili w ten sposób swoje i w zasadzie przestali być potrzebni. Nikułajew grał do końca, do ostatniej chwili, żeby uniemożliwić im jakiegokolwiek działanie mogące zakłócić realizację zamierzeń, a przy okazji pozbawić realnego wpływu na żołnierzy. To było szaleństwo, potworność i doskonale przygotowana masowa zbrodnia. Paweł miał ochotę wykrzyknąć to wszystko Rusłanowi w twarz, ale powstrzymał się. Nie miał ochoty dołączyć do uwięzionych komendantów.

– To dlatego poświęcił pan nawet córkę, prezydencie? – To musiał powiedzieć, czuł, że inaczej wściekłość rozsądzi go na drobne kawałki. – Po to, aby dowódcy zyskali przekonanie, iż mają wpływ na bieg spraw?

Nikułajew nie odpowiedział, nawet na niego nie spojrzał. Do pomieszczenia wbiegł spocony bojownik, szepnął coś na ucho Rusłanowi. Ten wyszedł. Przy stole panowała ciężka cisza. Po kilku minutach Kadajew wrócił.

– Dostaliśmy wiadomość, że nad północną granicą przeleciały samoloty. Bez obaw – podniósł rękę, uciszając obecnych. – To transportowce z dostawą sprzętu dla wojska. Po południu stacja nasłuchu rzeczywiście przekazała nam informację, że kwatermistrzostwo sztabu rosyjskiej armii rozmawiało w tej sprawie ze sztabem w Moskwie. Samoloty kierują się do bazy pod Itum, więc muszą przelecieć w pobliżu naszych pozycji. Najpierw mieli transport skierować do Szatoj, ale tam przecież mają bunt, więc musieli zmienić trasę. Trzeba wygasić wszystkie źródła światła, ludziom nie wolno palić papierosów. Ostrożności nigdy za wiele. Przyspieszamy też ewakuację. Gotowość do wymarszu ogłaszam na godzinę drugą. Ty, przyjacielu – zwrócił się do Polaka – dopilnujesz rozstawienia wart, zorganizujesz patrole. Rozpoznacie kierunki na Szatoj, Urus–Martan, Itum–

Kalin i Szaraj. Szejtan jeden wie, może Ruscy będą jednak chcieli przeprowadzić jakąś akcję. Podczas przemarszu razem z Doku pójdziesz w zwiadzie.

Paweł skinął głową. Rusłan najwyraźniej po raz kolejny uznał, że obcokrajowiec nie powinien przebywać w pobliżu podczas dramatycznych wydarzeń, dotyczących spraw Klanu Wilka. Polakowi przyszła do głowy myśl, czy przypadkiem Kadajew z Nikułajewem nie zamierzają pozbyć się niewygodnych dowódców w sposób bardziej radykalny niż areszt.

Rusłan zwrócił się do prezydenta:

– Chyba powinniśmy dać sygnał wydzielonym oddziałom. Na wszelki wypadek trzeba zapewnić pobliskim garnizonom zajęcie.

Nikułajew skinął przyzwalająco dłonią. Patrzył na uwięzionych przywódców, a w jego oczach widać było prawdziwy żal.

– Wybaczcie, przyjaciele – powiedział cicho. – Wybaczcie ci wszyscy, do których mógłbym mieć stuprocentowe zaufanie. Wykonaliście wspaniałą robotę, pomagając w organizacji przerzutów i szkoleniu ludzi.



Rozdział 13

Zachariasz Wiktoренко oddychał ciężko. Wadim za dnia z troską obejrzał rany. Zaczynały się zaogniać. Chociaż tyle dobrze, że kule nie utkwily w mięśniach, nie strzaskały kości. Jednak bez pomocy i należytej opieki może wdać się zakażenie. Czeczeni zabrali im wszystko, łącznie z pakietami opatrunkowymi i antybiotykami, a Wołkowskiemu nie przyszło do głowy, żeby poprosić o pomoc Polaka, gdy separatyści rano zabierali go na górę. Zaraz jednak przyszła myśl, że ten człowiek mógłby wcale nie chcieć pomagać wrogom.

Siergiej przyklęknął przy rannym. Kawałkiem szmaty, zwilżonej w kałuży pozostałej po ostatniej ulewie, ocierał spoconą twarz Wiktorenki. Malinin zwinął się na przegniłej słomie. Był na nich obrażony. Major też nie miał ochoty z nim rozmawiać. Podobnie jak Polak, zyskał pewność, że to właśnie kapitan był oprawcą młodego Czeczena. Obrzydzenie i antypatia, jakie od początku czuł do oficera GRU nabrały w tej chwili wręcz monstrualnych rozmiarów. Wśród oficerów „Alfy” sporo mówiło się o zagrożeniu ze strony terrorystów czeczeńskich.

W środkach masowego przekazu pokazywano zdjęcia z zamachów, trupy ofiar i rozmiar zniszczeń. Trzeba było dopiero na własne oczy zobaczyć zrujnowany wojną kraj, żeby cokolwiek zacząć z tego zrozumieć.

– Nienawiść – powiedział do siebie.

Siergiej spojrzał na niego. W ciemnościach, rozproszonych jedynie nikłym światłem Księżyca, oczy sierżanta błyszczały podobnie jak oczy dzikiego zwierzęcia w świetle reflektorów. Obaj – i major, i podoficer – bardzo dobrze radzili sobie po ciemku. Była to kwestia zarówno treningu, jak i osobistych predyspozycji. W rosyjskich oddziałach specjalnych dobierano ludzi starannie, wbrew obiegowym opiniom stanowiącym, że „Wypieł” czy „Alfa” to po prostu lepiej dofinansowane jednostki wojska. Może tak bywało na dalekiej prowincji, gdzie wysokie umiejętności nie

były aż tak ważne, ale w plutonach uderzeniowych, pozostających w bezpośredniej dyspozycji sztabu generalnego rzecz miała się inaczej. Dlatego Wadim z przerażeniem patrzył na to, co wyprawiali żołnierze w Biesłanie, postępując wbrew wszelkim prawidłom sztuki. Rzeź była najzupełniej niepotrzebna, a większość ofiar spowodowała strona rosyjska. Oczywiście bezpośrednia odpowiedzialność za zbrodnię spada na terrorystów, bo przecież to oni zajęli szkołę. Gdyby jednak dowodził tam ktoś taki jak generał Sierpin, wypadki potoczyłyby się zupełnie inaczej. Specnaz, regularna armia i milicja nie nadają się do odbijania zakładników. Kończy się to zawsze rozlewem krwi. Rosyjskie podejście do tych spraw różni się od zachodniego. Tam za wszelką cenę unika się strat wśród cywilów. W Rosji antyterrorysty mają przede wszystkim zlikwidować zagrożenie. Śmierci zakładników winni są zawsze ci, którzy ich zaatakowali i wzięli do niewoli. To wpaja się komandosom na szkoleniach. Można ciężko ranić lub zabić niewinną ofiarę, jeśli tylko jest szansa wyeliminować przy tym terrorystę, taka jest naczelną zasadą. Należy poświęcić jednostkę, aby uratować większą grupę ludzi. Kiedyś dowództwo zorganizowało wspólne ćwiczenia z brytyjską jednostką SAS. Na wieczornej popijawie Rosjanie pocięli się z Anglikami właśnie o podejście do życia ludności cywilnej. Wreszcie któryś z oficerów „Alfy” napomknął o Krwawej Niedzieli w Belfaście. Wtedy pułkownik Brytyjczyków zarzucił Rosjanom, że w Federacji taka Krwawa Niedziela jest normą, a nie wyjątkiem. Coś w tym było. Jednak trzeba dobrze poznać naturę człowieka Wschodu, tego bliskiego i dalekiego, żeby pojąć różnicę. Terrorysty arabscy zgodnie twierdzą, że większe obawy budzą w nich akcje na terenie Rosji niż te przeprowadzane w krajach zachodnich. To, że ukrycie się za zakładnikiem nie gwarantuje nietykalności daje do myślenia nawet na wpół obłąkanym szahidom. Wszystkim oprócz Czeczenów. Ale ci nie są szaleni. A raczej jest w nich coś więcej niż zwykłe wariactwo, jakie staje się udziałem nabuzowanych religijną ekstazą chłopców z Palestyny.

– Nienawiść – powtórzył.

– Co chce pan przez to powiedzieć? – spytał Siergiej.

Wadim popatrzył na niewyraźną postać Malinina.

– Niektórzy mówią, że głównym motorem świata jest miłość – powiedział z namysłem. – Może tak jest gdzie indziej, ale na pewno nie tutaj. W Czeczenii najważniejsza jest nienawiść. To przez takich jak on – machnął ręką w kierunku oficera GRU – i takich jak ci na górze. Ale oni stali się bestiami właśnie przez podobnych naszemu kapitanowi. Przekupstwo, narkotyki, handel ludźmi i wszelakie zbrodnie.

– Gówno wiesz – odezwał się Malinin, nie zmieniając pozycji. – Czeczeni to ludzka mierzwa, która powstała przeciwko mocarstwu. Wiesz, co dawniej robiono z osobnikami sprzeciwiającymi się legalnej władzy? Wiesz, jakimi metodami posługiwał się chociażby Piotr Wielki?

– To ma być usprawiedliwienie dla tego, co wyprawialiście z tamtym chłopakiem?

– Mehenmet Zułajew był zaprzysiężonym członkiem pierwszego Klanu Wilka.

– Dlatego zasłużył na takie tortury? Słyszałeś, co mówił Polak. Nie wiedział nic ważnego.

– Ale byli tacy, którzy wiedzieli. Nie zdajesz sobie sprawy, jak to działa, czy co? Dziecko jesteś? Nie ma lepszego sposobu, żeby zmiękczyć innych niż torturować właśnie tego, który nie może wiele powiedzieć, by było wiadomo, że nie będzie zmiłowania, litość może istnieje, ale gdzieś daleko, w innej galaktyce.

– Obrzydliwe.

– I skuteczne. Uważasz, że sprawiało mi to przyjemność?

Wołkowski roześmiał się z przymusem.

– Tak, kapitanie, jak to cię nazywano? Jego książęca wysokość Wiktor Siemionowicz Malinin. Uważam, że sprawiało ci to nie tyle nawet przyjemność, co regularną rozkosz. Jesteś gorszy od zbrodniarzy, z którymi walczysz. Tacy jak ty na widok cierpienia dostają wzwołu, a krzyki męczonych doprowadzają ich do wytrysku.

– Ty skurwysynu – z gardła oficera GRU wydobył się wściekły warkot.
– Gdyby nie to, że i tak nas rozwalą...

– To co? – tym razem major roześmiał się szczerze. – Zabiłbyś mnie? Musiałbyś mi poderżnąć gardło we śnie, inaczej nie masz szans. Nie jestem bezbronnym, przerażonym młokosem, a chyba tylko z takimi potrafisz sobie radzić.

Malinin nie odpowiedział. Emanowała od niego tak wielka wściekłość, że można ją było prawie namacać w gęstym, cuchnącym powietrzu.

– Może opowiesz nam jeszcze jakąś ciekawą historię o swoich bohaterskich czynach?

Wołkowskiemu odpowiedziała cisza. Najwyraźniej kapitan postanowił nie dać się więcej sprowokować. Wadim z kolei uparł się wyrwać z niego jeszcze jakieś słowo. Z jednej strony bawił go bezsilny gniew Malinina, z drugiej złościła niezłomna pewność siebie i brak jakichkolwiek wyrzutów sumienia.

– Ciekawe, co takiego...

– Ćśśśś – przerwał mu Iwanow. – Słyszycie? W zupełnej ciszy doleciał odległy warkot.

– Śmigłowce? – szepnął obudzony z gorączkowej drzemki Zachariasz.

– Nie – odpowiedział również szeptem sierżant – to samoloty. Transportowce – dodał po chwili głośno. – Lecą z zaopatrzeniem, wysoko.

Nadzieja, która wstąpiła w serca więźniów, upadła w jednej chwili.

– A wy co? – spytał drwiąco Malinin. – Myśleliście, że ktoś przyjdzie nam z odsieczą? Najpierw musieliby wiedzieć, że w ogóle żyjemy. A nie powinniśmy, bo uratował nas tylko ten przeklęty Polak, kurwa jego mać. Poza tym nawet gdyby ktoś zaatakował obóz, Czeczeni wrzucą tu, po prostu wiązkę granatów. Jesteście...

– Zamknij się, Wiktorze – poprosił Wadim bardzo łagodnie, ale głosem, w którym słychać było groźbę.

Nie miał ochoty słuchać, co ma jeszcze do powiedzenia kapitan, tym bardziej, że w jego słowach było wiele słuszności. Nawet pokrewieństwo Zachariasza z ministrem nie jest powodem, aby wysłano tutaj wojsko do odbicia jeńców. Tym bardziej, że nie mieli żadnej możliwości przekazać centrali swojej pozycji. Ostatni zamiar podczas połączenia satelitarnego nie

mógł powiedzieć zbyt wiele. No i sprawa najważniejsza – ilu żołnierzy mogłoby zginąć, ratując czterech niewiele znaczących ludzi? To się nazywa rachunek ekonomiczny wartości ludzkiego życia. Właśnie on stanowi podstawę polityki wewnętrznej i zagranicznej, wszelkich międzynarodowych układów. Lenin powiedział, że jednostka jest zerem. Rządy tak zwanych państw demokratycznych realizują swoje cele dokładnie zgodnie z myślą największego rzemieślnika socjalizmu. Tak nazywał Włodzimierza Iljicza ojciec w chwilach rozdrażnienia. Wielki kowal, któremu udało się przekuć carskie imperium w sierp połączony z młotem. Rosja to kraj, do którego nie można przykładać zwykłej miary.



Nawała zaczęła się tuż po zapadnięciu zmroku. Nawała, tak musiał to określić generał Patkin ukryty w schronie dowodzenia. Separatyści otworzyli ogień z wszelkich dostępnych środków. Moździerze, granatniki karabinowe i RGP–panc, amerykańskie bazooki, nawet przeciwlotnicze „Striely”. Brama rozpadła się na kawałki, załogi za żelbetonowymi umocnieniami zostały praktycznie ogłuszone. Dyżurny radiotelegrafista nadawał do sztabu prośby o wsparcie, jednak pozostawały bez echa. Wreszcie Patkin sam dopadł do mikrofonu.

– Przyślijcie lotnictwo! Można tych gnojków bez trudu przegonić z tych krzaków!

– Niech się pan trzyma, generale. Wszelkie środki powietrzne muszą pozostać w dyspozycji sztabu głównego. To, co się u was dzieje, to na pewno tylko działania odciągające.

– To odciąganie może się dla nas tragicznie skończyć!

– Musi pan sobie radzić. W końcu jesteście jednostką wojskową!

Tymczasem Czeczeni ruszyli do ataku. Bojownicy o pomalowanych ciemnymi farbami twarzach z wyciem wdarli się przez wyłomy w zasiekach i ogrodzeniach. Napotkali zmasowany ogień z umocnionych

stanowisk. Powoli rosyjscy żołnierze opanowywali się. W otwartym polu podobny atak wroga na pewno spowodowałby ucieczkę. Tutaj nie było dokąd uchodzić. Wszędzie poza terenem bazy czekała śmierć albo – co gorsza – niewola.

– Ludzie Guldy? – generał spojrzał bezradnie na pułkownika Liszczewicza.

– Niemożliwe. Przecież obóz Omara przestał istnieć tej samej nocy, której go zarznęli. Słyszał pan przecież, ten atak jest prawdopodobnie tylko działaniem mylącym. Bandyci szykują coś większego albo po prostu chcą związać nasze siły.

– Generale – zawołał od swojej aparatury radiowec – połączyłem się z moim kuzynem, tym drucikiem ze sztabu w Groźnym. Terrorysty oprócz nas zaatakowali pięć innych jednostek. Szczególnie zajadłe ostrzeliwują te, przy których mamy lotniska.

Patkin nasłuchiwał przez chwilę strzelaniny i krzyków. Podeszedł do stanowiska radiowego, z którego dolatywały meldunki. Z chaotycznego na pozór zalewu słów wywnioskował, że atak bojowników rozwija się na całej linii wschodnich i południowych umocnień koszar. Na razie nie zaistniało zagrożenie zdobycia któregoś ze stanowisk, Czeczeni nie bardzo nawet próbowali. Gorzej było z budynkami gospodarczymi i mieszkalnymi, bo ostrzał napastników poszedł przede wszystkim w tym kierunku. Pod morderczym ogniem znalazła się większa część załogi, padli pierwsi zabici i ranni.

Pułkownik Liszczenko stanął za generałem.

– Na dziedzińcu mamy pięć starych wozów bojowych piechoty – powiedział. – W dwóch zostały zdemontowane karabiny i wyjęte nieuszkodzone części, ale trzy nadają się do natychmiastowego użytku. Trzeba to wykorzystać, inaczej bandyci zrujną nam całą infrastrukturę bazy.

– Tak, mogą to zrobić. I zostaniemy jak ten wyklęty przez plemię Arab z gołą dupą pośrodku Sahary – dokończył Patkin. – A tyle razy prosiłem, żeby nam przysłali więcej opancerzonych zabawek. „U was spokój”

słyszałem za każdym razem „Są tacy, co bardziej potrzebują”. Dali te pięć trupów, dobrze, że mechanicy zdołali złożyć z nich chociaż trzy.

– Co pan zdecyduje? – spytał niecierpliwie pułkownik.

– Zgoda. Pana pomysł, pan wydaje w tej sprawie rozkazy.

Liszczenko rzucił na niego ciężkie, wiele mówiące spojrzenie. Generał zupełnie się tym nie przejął. Doskonale zdawał sobie sprawę, że jest miernym strategiem. Osobista dzielność, za którą go awansowano w Afganistanie i w czasie pierwszej czeczeńskiej wojny to było stanowczo za mało. Umiejętność dowodzenia kompanią niekoniecznie przekłada się na sprawność w zarządzaniu większymi jednostkami. Dlatego nie każdy oficer, znakomicie sprawdzający się na poziomie batalionu, może zostać w przyszłości równie dobrym dowódcą armii. O indolencji Patkina doskonale widzieli jego przełożeni, ale nie przeszkadzało to powierzyć mu całkiem sporego garnizonu. Tak to już jest w armii – nie wszystko da się logicznie wytłumaczyć. Generał słuchał teraz serii rozkazów wydawanych przez pułkownika. Z podziwem i pewną zazdrością konstatował, iż ten człowiek z łatwością ogarnia całą sytuację tylko na podstawie chaotycznych ustnych meldunków.

– Pójdę na zewnątrz – Liszczenko odetchnął głęboko. – Zobaczę, jak to wygląda, trzeba też osobiście doglądnąć wykonania poleceń. Nasi ludzie nie prezentują zbyt wysokiego poziomu wyszkolenia... Przepraszam, panie generale – dodał natychmiast, widząc przykry grymas na twarzy starszego oficera.

– Niech pan lepiej tutaj zostanie – powstrzymał go Patkin. – Mniejsza będzie strata, jeśli mnie szlag trafi. Poza tym trzeba włączyć w żołnierzy otuchę. To potrafię lepiej niż dowodzić i wolę od pracy w sztabie.

Liszczenko próbował protestować, ale generał nie chciał słuchać. Machnął ręką, jakby oganiał się do natrętnej muchy, po czym wyszedł. Pułkownik skupił się na słowach płynących z głośników. W pewnej chwili podniesione głos wzniosły się jeszcze o kilka decybeli.

– Patrzcie, ktoś z naszych idzie. Tam, od bunkra sztabowego!

– To stary! Ale też kroczy, jakby po promenadzie laźl, a nie pod ogniem!

Pułkownik słuchał z niedowierzaniem. Generał postanowił dodać wojsku bojowego ducha wzorem dawnych dowódców, którzy chodzili pod ostrzałem niczym na defiladzie. Jednakże w dawnych czasach natężenie ognia bywało mniejsze. Czyste wariactwo! Ale na ludzi chyba działało, bo ton meldunków uległ wyraźniej zmianie, stały się bardziej składne, mniej w nich było panicznych tonów. Niektórzy zapomnieli nawet, że mogą ich słuchać starsi rangą.

– Ależ ma jaja, stary zgred!

– Osłaniajcie go, kurwa wasza mać! Wzmocnijcie ogień. Co z tymi przy BTR-ach? Co się tak grzebią? Mają ruszyć! Powiedz, że jak zaraz nie wyjadą, sam im przypierdolę z granatnika, nie będą musieli czekać na Czeczenów!

– Strzelaj, Stiepan! – dobiegł jakiś odległy, ochrypły ryk. – Pokryj tamtych skurwysynów po lewej, bo nam skoszą dziadygę!

– Ale też idzie – znów bliski któregoś mikrofonu podziw. – Ja bym się zesrał w gacie, a on patrz, jakby nie kule, ale komary latały.

– Upadł, w mordę kopany, upadł! Chyba nie żyje! Niech to szlag trafi, niech ich wszystkich...

– Melduj dokładnie, co widzisz – krzyknął Liszczenko.

– Tak jest! Szef leży przy drzwiach stołówki. Zostało mu jeszcze z pięć metrów. Zaraz pošlę chłopaków, żeby go spróbowali podnieść.

– Szybciej. Co z wozami?

– Idą. Muszą objechać budynki, zaraz pójdą do ataku.

– Dałeś im wsparcie piechoty?

Milczenie było bardzo wymowne. Potwierdzało tylko to, co pułkownik powiedział o wyszkoleniu jednostki.

– No to na co czekasz, baranie?

– Tak jest, już posyłam ludzi.

Z innych stanowisk płynęły nieustanne raporty o sytuacji. Najcięższa była stanowczo tam, gdzie poszedł generał.

– Co ze starym? – rzucił Liszczenko.

– Chyba koniec... Nie, zaraz! Skubaniec podnosi się, wstaje! Strzelać, kurwa, strzelać, durnie! Co się gapicie, cipy?! Panie pułkowniku, niech pan każe także tym idiotom z osłony wartowni kryć generała!

– Słyszeliście? – wrzasnął dowódca. – Przydusić ich wszystkimi środkami!

Hałas na zewnątrz wzmógł się jeszcze bardziej. Z radiowych meldunków nie można już było wiele wyczytać. Pułkownik porzucił stanowisko, chwycił małą, połowę krótkofalówkę i wybiegł ze schronu. Padł zaraz za wyjściowymi drzwiami, schronił się za murkiem zabezpieczającym je od odłamków. Miał stąd doskonały widok. Dookoła panowało piekło – tylko tak można było to określić. Pociski obu stron krzyżowały się gęsto, szarpały drzewa, darły ziemię, żłobiły podłużne rowki i wybijały otwory w ścianach. W błysku wybuchu Liszczenko zobaczył, jak dwóch żołnierzy wciąga generała w drzwi koszarowej stołówki. W tej samej chwili z za rogu wyjechał wóz pancerny, za nim dwa następne. Szły ustawione w trójkąt, stosując taktykę czołgów. Wbijanie do głowy teorii tępych rekrutom nie pozostało, jak widać bez efektu. Gorzej, kiedy maszyny przeszły do szarży, a raczej czegoś, co miało nią być. Szyk natychmiast uległ załamaniu. Strzelcy przy cekaemach wielkim zaangażowaniem nadrabiali braki w umiejętnościach kierowców. Ze strony czeczeńskiej już po chwili nadleciał pierwszy granat przeciwpancerny. Uderzył w beton tuż przed maską pierwszego wozu. Kierowca natychmiast skręcił, zaczął jechać zakosami. Odślonił przez to biegnących zaraz za nim żołnierzy, ale też dzięki temu następny pocisk rąbnął w miejsce, gdzie BTR znajdowałby się przy normalnym manewrowaniu. Dwaj pozostali kierowcy poszli natychmiast śladem swojego prowadzącego. Pozbawieni żelaznych osłony, żołnierze eskorty pryskali na boki, kryjąc się gdzie który zdołał. Liszczenko chciał wrócić do radia, ochrzanić załogi wozów, nakazać marsz w szyku, ale nagle zdał sobie sprawę, że ta szalona taktyka, czy raczej brak taktyki, przynosi zdumiewające rezultaty. Czeczeni przenieśli praktycznie cały ogień na wozy. Jakiś granat z RPG–panc trafił w boczną burtę ostatniego. Gdyby siedzieli tam żołnierze desantu, nastąpiłaby krwawa jatka. Dlatego właśnie

w zwyczajnych okolicznościach transportery jadą prosto, czołem do przeciwnika, wystawiając na ostrzał tę część osłoniętą najsolidniejszym pancerzem. Tym razem jednak auta zostały użyte nie jako środki przenoszenia piechoty na pole walki, ale jako siła przełamująca. Im większe zawijasy robiły, im więcej pocisków przebijało jedynie przestrzeń transportową, tym lepiej. Karabiny na wieżyczkach siekły długimi seriami. Może trochę na oślep, ale zawsze mniej więcej w kierunku napastników, zmuszając ich do znacznego zmniejszenia aktywności.

– Co z generałem? – zawołał Liszczenko w mikrofon aparatu.

– Żyje – głos przedarł się przez hałas strzelaniny i szum zakłóceń. – Jest ranny... Mam nie mówić głośno, gdzie go postrzelili, bo mi jaja urwie.

Żołnierz zamilkł, a w eter popłynął znajomy głos Patkina.

– Nic mi nie jest. Wybuch mnie ogłuszył, trochę krwawię. Widział pan, jak chłopcy sobie radzą tym złomem? – dodał z wyraźnym zadowoleniem.

Rzeczywiście, wprowadzie jeden z pojazdów został unieruchomiony i płonął, ale dwa pozostałe nadal siały postrach, zwijały się w szaleńczych skrętach, pluły pociskami. Czeczeni najwyraźniej stracili ochotę do dalszej ofensywy. A może osiągnęli po prostu wyznaczony cel. Jeśli mieli związać siły nieprzyjaciela, udało im się doskonale. Zapewne liczyli też przy okazji na łatwy łup podczas plądrowania koszar. Pułkownik doskonale zdawał sobie sprawę, jaką opinią cieszy się jednostka, w której służył. Pomyślał z dumą, że separatyści musieli się niezłe zdziwić. Podobnie zresztą jak on sam.

– Utrzymamy się – usłyszał radosny głos przełożonego.

– Tak, utrzymamy się – powiedział głośno, ale tylko do siebie. W tym kraju właśnie o to chodzi: trzeba się utrzymać za wszelką cenę. Nie wiadomo dokładnie dlaczego, nie można z całą pewnością podać jakichś zupełnie poza politycznych przyczyn. Należy się utrzymać, a potem jeszcze pójść do przodu. Przyłożył krótkofalówkę do ust.

– Musimy zorganizować jakieś przeciwnatarcie.

– Jasne! – Patkin zdawał się być w wyśmienitym nastroju. – Odrzucimy ich! Śmierć bandytom!

W tej samej chwili okazało się jednak, że nie będzie to potrzebne. Rebelianci przystąpili do planowanego odwrotu. Liszczewicz z pewnym smutkiem patrzył na jedyny ocalały wóz bojowy. Znow trzeba będzie się zwiżać z przekładaniem części do mniej uszkodzonych maszyn.



– Dlaczego?

Prezydent drgnął, wyrwany z zamyślenia. Odwrócił się, na jego twarzy pojawił się wyraz niechęci.

– Dlaczego? – powtórzył Paweł. Wszedł do izby zajmowanej przez Nikułajewa bez zaproszenia, wartownikom oznajmił, że ma wiadomości od Rusłana.

– O co pytasz?

– Wie pan. O to wszystko. Dlaczego to robicie? Przecież ściągniecie na siebie straszliwy gniew, cały świat stanie wam.

– Przeciwno Iranowi, jeśli już – prezydent w pierwszej chwili zamierzał wezwać strażników, by wyrzucili intruza, ale po krótkim namyśle zrezygnował. Niebawem będzie musiał się tłumaczyć ze swojego postępowania nie tylko jakiemuś najemnikowi, ale osobom o wiele od niego ważniejszym. Może warto najpierw spróbować przekonać do swoich racji tego obcego. – Świat zwróci się przede wszystkim przeciwko tym, którzy dali środki. A jeśli zechce i nas spalić na stosie, trudno. Nam i tak jest wszystko jedno. Rosjanie nie spoczną, dopóki nie zamienią Czeczenów w niewolników. Jeśli nie znajdą okazji do kolejnej fali terroru dzisiaj, wykombinują coś w przyszłości.

– Ale posuwać się do ludobójstwa? Zginą niewinni.

– A u nas wojsko morduje tylko winnych? Zarzucają nam terroryzm, obkładają bombami, minami, zabijają, okupują kraj i krzyczą, że ci, którzy walczą o wolność są terrorystami. Nieważne czy atakujemy cele wojskowe, czy cywilne. Każde zbrojne przedsięwzięcie jest ukazywane jako akt

terroru, nawet jeśli giną tylko żołnierze okupanta. Światu nie przeszkadza, że Ruscy mordują cywilów, sieją postrach wśród bezbronnej ludności. Terror państwowy to coś, co można zaakceptować, szczególnie jeśli dokonuje go wielkie mocarstwo. Zwycięzców się nie sądzi.

– Czym innym jest walczyć z siłami wroga, a inną rzeczą dokonać masowego mordu.

– Nasza akcja nie wyrówna nawet w przybliżeniu procentowych strat w ludziach w porównaniu z tymi, jakie uczynili tutaj Rosjanie. Dla nich milion zabitych to mniej niż dla nas dziesięć tysięcy.

Paweł pokręcił głową.

– Tak nie wolno myśleć. Zawsze zdawał mi się pan rozsądnym człowiekiem. Czyżbym się mylił? Jest pan gotów dla zemsty poświęcić istnienie własnego narodu tak, jak poświęcił pan córkę?

– Nie zrozumiesz tego, człowieku. Możesz przebywać wśród nas całe życie, ale pewnych spraw nie pojmiesz nigdy.

– Co miałbym niby zrozumieć? Że należy odgryźć palec przeciwnikowi, który pozbawił mnie całej ręki? To do niczego nie prowadzi.

Nikułajew odwrócił głowę w stronę okna, chciał spojrzeć na korony gór. Zamiast tego napotkał zatrzaśnięte szczelnie okiennice. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że przecież jest środek nocy i obowiązuje zaciemnienie. Popatrzył więc na Polaka.

– Mówi pan, że niczego nie rozumiem, panie prezydencie. Mój naród doskonale zdaje sobie sprawę, czym jest ekspansja potężnego sąsiada. Do dzisiaj Rosjanie mają powiedzenie *worobiej nie ptica, Polska nie zagranica*.

– Twój kraj nie jest okupowany.

– Ale był niejednokrotnie w przeszłości. Nie o to chodzi. Walczyć trzeba z wrogiem, z jego brutalną siłą, a nie z kobietami i dziećmi. Przecież Mahomet wyraźnie powiedział, że podczas dżihadu nie mogą cierpieć niewinni. Muzułmański wojownik powinien atakować jedynie wojsko wroga albo tych, którzy na rzecz wojska pracują. Jak się ma wasze postępowanie do tych nauk?

– O to musisz zapytać kadięgo, on lepiej ode mnie poda wykładnię muzułmańskiego prawa. Mogę powiedzieć tylko jedno – my nie prowadzimy dżihadu w obronie wiary. Walczymy o wolność, a to co innego.

– To ma być usprawiedliwienie zbrodni?

– To, co ty dzisiaj nazywasz zbrodnią, nasi potomkowie określą jako wielkie moralne zwycięstwo – w oczach Nikułajewa zapłonął ogień. – Świat Zachodu zwróci się przeciwko Iranowi i właśnie to może być szansa dla wolnej Czeczenii. Bowiem kraje arabskie tym razem na pewno staną w obronie wyznawców tej samej wiary, nie porzucą ich jak to miało miejsce w przypadku Iraku, czy Afganistanu. Bo atak na wielki kraj Bliskiego Wschodu to będzie już zbyt wiele. Muzułmanie w Stanach Zjednoczonych wreszcie powstaną przeciwko chrześcijańskim ciemężycielom. Korea Północna na pewno skorzysta z okazji, żeby odegrać się tak na Amerykanach, jak i Rosji. Chińczycy też nie będą stali z boku. Mają zadawnione sprawy z Rosjanami i Japończykami.

– To oznacza wielki światowy konflikt zbrojny.

– Niekoniecznie. To oznacza wielki, światowy kryzys. Nie sądzę, by mimo wszystko ktoś odważył się rozpętać ogólnoświatową wojnę nuklearną. A wielkie mocarstwa będą miały ważniejsze sprawy na głowie niż zajmować się losami Czeczenów.

– Naprawdę pan w to wierzy?

– To jest nasza szansa, być może ostatnia. Widzisz, w moim narodzie nie ma już nadziei, zgasła, została zabita przez hordy najeźdźców. Czeczeni zaczynają być gotowi zrezygnować z wolności w imię świętego spokoju. Nie chcą zrozumieć, że tego spokoju nie zaznają nigdy. Rosjanie zawsze będą nas uciskać, wykorzystywać, a jeśli nam się to nie spodoba, zabijać. Wiesz, co to znaczy nie mieć żadnej nadziei na przyszłość? Żadnej wizji jutra? Idź w doliny, porozmawiaj z matkami, które oplakują synów, z kobietami, które zostały bestialsko zgwałcone, którym na ich oczach zabito mężów. Tak wygląda tutaj życie. Klan Wilka został powołany, aby wreszcie to zmienić.

Paweł słuchał Nikułajewa, czując pustkę w sercu. Pokrzywdzona, zalana krwią ziemia za wszelką cenę pragnie się zemścić na krzywdzicielach. To prawda, co powiedział Chrystus – kto sieje wiatr, ten zbiera burzę. Rosjanie i Amerykanie właśnie zbiorą plon długoletnich zabiegów, zostaną wezwani, by spłacić rachunek krzywd.

– Nie przekonam pana – powiedział cicho.

– Nie przekonasz. Poświęciłem ukochane dziecko, więc chyba sam rozumiesz, że nie ma dla mnie rzeczy, które warte by były pozbawienia moich rodaków wielkiej szansy.

– Szansy na wielkie, zbiorowe samobójstwo.

– Albo na uzyskanie wolności.

– Chce pan wyrządzić tak wielkie zło całemu światu?

– Jakoś ten świat nigdy nie przejmował się nami. Dlaczego mielibyśmy czuć się do czegoś zobowiązani? Nawet wasz polski papież, który ujmował się za różnymi ludźmi i narodami, który protestował przeciwko wojnie w Iraku, nigdy nie ujął się za bezwzględnie mordowanym ludem czeczeńskim. Jesteśmy dla międzynarodowej wspólnoty zupełnie niczym, więc i ona niech będzie niczym dla nas!

Po tych słowach zapadła cisza. Przerwał ją prezydent.

– Co zamierzasz zrobić?

– Odejdę.

– W tej chwili nie możemy cię wypuścić, wiesz o tym doskonale.

– Odejdę, kiedy tylko będę mógł.

– Twój wybór – Nikułajew uśmiechnął się z lekką drwiną. – Jesteś w końcu tylko najemnikiem, nie wiąże cię z nami...

– Wiąże mnie więcej niż pan przypuszcza – Polak przerwał mu gwałtownie. – Gdybym był tylko karabinem do wynajęcia, byłoby mi wszystko jedno. A nie jest, dlatego z panem rozmawiam. Nie chcę patrzeć jak ci, których podziwiałem i których pokochałem stają się tacy sami jak ich prześladowcy.

Nie czekał na odpowiedź. Trzasnęły drzwi. Nikułajew długo patrzył na ich byle jak oheblowane deski, na zacieki w miejscach, gdzie podczas

wietrznych, deszczowych dni wciskała się woda. Westchnął ciężko, oparł łokcie o stół i ukrył twarz w dłoniach. Nie dane mu było zebrać myśli. Na zewnątrz rozległ się strzał, potem drugi, zagrzecotała seria z kałasznikowa. Achmad poderwał się. W tej samej chwili do izby wpadł żołnierz z obstawy.

– Atak, panie prezydencie! Te diabły są chyba wszędzie!

Nikułajew chwycił karabin, chciał wybiec na zewnątrz, ale w drzwiach powstrzymali go strażnicy.

– Komendant Kadajew zabronił. Musimy pana wyprowadzić za obóz.

– Jeńcy! – doleciał z ciemności niski głos Rusłana. – Pamiętajcie zarżnąć tych Rusków! Za dużo po drodze widzieli.



Odgłos strzałów postawił więźniów na równe nogi.

– Skurwiele pewnie się naćpali i balują – powiedział ponuro Malinin. – Jak sobie o nas przypomną, marny nasz los.

Ostatnie słowa zagłuszył bliski wybuch granatu.

– To nie zabawa – zauważył Siergiej. – Tam coś się dzieje.

Nasłuchiwali okrzyków w chrapliwym języku czeczeńskim. Mieszały się z odgłosem strzałów. Jakiś dowódca wydawał rozkazy opanowanym, wysokim głosem.

– Ktoś ich zaatakował.

– Może jakaś inna banda. Czasem walczą między sobą.

Zamilkli, starając się odgadnąć, co dzieje się nad ich głowami. Hałas narastał, ogień z broni maszynowej gęstniał.

– Może to nasi – szepnął z nadzieją Zachariasz.

– Nie ciesz się – odparł Malinin. – Czeczeńcy zdążą nas załatwić.

– Zamknij się – Wadim miał ochotę uderzyć oficera GRU.

Na górze rozległ się bliski strzał i metaliczny odgłos rykoszetu. Ktoś szarpnął kłódkę.

– Pod ściany! – wrzasnął Wołkowski. Przeleciała mu mętna myśl, że to głupie, bo chyba chcą ich wykończyć osobiście, strzałami z bliska, a nie granatami. Do ich wrzucenia nie ma potrzeby otwierać kraty.

Na dół zjechała drabina. Jakaś postać nie tyle po niej zeszła, co się ześliznęła nie dotykając szczebli. Siergiej skoczył ku niej, nadzieją się na potężny cios w żołądek. Intruz spodziewał się podobnego przywitania.

– Spokój – wrzasnął po rosyjsku i zaraz dodał to samo w innym języku, ale również zrozumiale.

– Polak! – zawołał Wadim. – Sierioża, uspokój się – dodał ostro, bo sierżant złapał oddech i najwyraźniej znów zamierzał zaatakować. – Chyba nie przyszedłeś nas zabić?

– Wyłaźcie, tylko szybko!

– Na górze czeka pluton egzekucyjny? – spytał nieufnie Malinin.

– Bierzcie rannego i spieprzamy! Zaraz mogą tu wpaść chłopcy Rusłana. Mają wyraźny rozkaz, co zrobić z wami w razie niebezpieczeństwa. Tam na górze wasi atakują, ale zanim tu dotrą, minie trochę czasu.

– A ty co, świętym chcesz zostać? – oficer GRU cofnął się dwa kroki. – Nie wierzę ci.

– Trzymaj pysk na kłódkę – warknął Wołkowski. – Siergiej, bierz się za Wiktorenkę.

– Wyprowadzę was w bezpieczne miejsce. Ty, książęca mość, rusz się im pomóc. Ranny sam nie pójdzie.

– Trzeba go zostawić – zaprotestował Malinin. Wreszcie do niego dotarło, że Polak naprawdę chce pomóc. – Z tą nogą będzie nas tylko opóźniał.

Paweł nie odpowiedział. W ciemnościach, mimo harmideru na górze, usłyszeli wyraźnie szcęk przeładowywanej broni.

– Co ty... – syknął Wadim. – Polak, nie trzeba, damy radę.

W błysku strzału zobaczył wykrzywioną wściekłością twarz Mecha. Dotarło do niego, że najemnik wcale nie celował do Zachariasza.

– I tak bym nie mógł go zostawić sobie za plecami – wyjaśnił Paweł.

– Chodźmy już – rzucił Siergiej.

Z trudem wtaszczyli po drabinie jęczącego Wiktořenkę. Na górze, zawieszony między Wadimem i Iwanowem, starał się im jak najbardziej pomóc, skacząc na zdrowej nodze.

– Wy dokąd? – ktoś zagroził im drogę. – Paweł, gdzie ty z nimi? Komendant kazał ich zabić. Właśnie biegłem...

– Zmienił zdanie.

– Nic o tym nie wiem. Odsuń się, zaraz zrobię, co trzeba.

– Czekał, Doku, zdążysz jeszcze. Tamtych dużo?

– Co najmniej dwie kompanie. Walczą jak szatany. To nie desantniki, ani specnaz. Lepszy są od nich razem wziętych, łajdaki. Dobra, przesuń się.

Czecen szarpnął suwadło zamka. Mech uczynił krok w lewo, jakby chciał rzeczywiście wydać Rosjan strzał Rosjan. Nagle zmienił kierunek, z całej siły wyciął Doku pięścią za uchem.

– Wybacz, przyjacielu – powiedział do nieprzytomnego. – Tak trzeba.

Przedzierali się wśród gwiżdżących pocisków i wybuchów. Wreszcie Siergiej uznał, że nie ma sensu wlec rannego w taki sposób. Wziął go na ramię. Mogli dzięki temu trochę podbiec. Za domem zajmowanym przez Kadajewa była zagroda dla owiec, pamiętająca czasy, kiedy powstańcy trzymali tutaj rosyjskich jeńców, którzy pracowali przy wypasach. Paweł wprowadził do niej więźniów, zalegli pod ścianą. Podmurówka tworzyła tutaj półkolisty załom, dający całkiem niezłe schronienie.

– Musicie poczekać na swoich. Możecie się zagrzebać w sianie.

– A jak nasi nie dotrą? – spytał z obawą Zachariasz.

– To będzie po nas – odparł sucho Wadim.

– Dotrą – powiedział w tej samej chwili Paweł. – To nie jest zwykła operacja. Takiej furii w ataku jeszcze chyba nie widziałem. Strzelają do wszystkiego, co się rusza, sprawni są jak jasna cholera.

– Polak, dlaczego nam pomagasz? Przecież jesteśmy wrogami.

– Musicie swoim coś przekazać o planach Klanu Wilka.

– O tych bombach z uranem?

– O bombach. Ale nie z uranem tylko uranowych i plutonowych.

Wadim, aż się zatchnął.

– Co ty pieprzysz, człowieku?

– Nie ma czasu na tłumaczenia. Przekażcie swoim, że trzeba uważać na tankowce. Wasz wywiad niech sobie z tego wyciągnie wnioski, powinni to łatwo poskładać do kupy.

Huknęło potężnie, na ich głowy osypał się pył z podmurówki.

– Idę.

– Zostań, wybronimy cię. Nie musisz już strzelać do Rosjan.

– Nie rozumiesz. Ja uciekam przed Czeczenami. Ratując was, zdradziłem. Jak mógłbym im potem spojrzeć w oczy?

– Dokąd się wybierasz? Do Afganistanu? Może do Iraku?

– Nie wiem. Może tam, a może do Ameryki Południowej. Najemników potrzebują wszędzie.

Wstał, zgięty w pół zaczął się wycofywać ku otwartej przestrzeni.

– Możemy coś dla ciebie zrobić? Jakoś się odwdzięczyć? – Wadim miał wciąż nadzieję, że wybawca zostanie przy nich. Zrobiło mu się żal Polaka.

Paweł znieruchomiał. Po chwili sięgnął do kieszeni, rzucił na nogi Wołkowskiego jakiś przedmiot. Major namacał go. Podłużny kształt o zaokrąglonych brzegach.

– Komórka? – zdziwił się. – Mam cię zaprosić na kawę, dzwoniąc pod któryś z numerów w jej pamięci?

– Tam jest zdjęcie. Tylko jedno. Jeśli to możliwe, znajdź tę dziewczynę.

– Powiedz przynajmniej, jak się nazywa.

– Dowiesz się bez trudu. Na pewno FSB i GRU ma jej dossier.

– Zrobię, co będzie w mojej mocy.

– Zrób więcej, jeśli trzeba. Wywieźcie ją gdzieś daleko.

Warkot helikopterów wypełnił powietrze, potężny wybuch targnął wnętrznościami. Wadim chciał jeszcze coś powiedzieć, ale Pawła już nie było. Rozpłynął się w ciemnościach.



Rusłan uwijał się wśród ludzi, wysyłał do walki kolejne odwody. Uwięzieni komendanci zostali uwolnieni, stali na czele swoich pocztów ochronnych. Szybko stało się jasne, że Czeczeni nie sprostają przewadze wroga. Zanim zdolali zorientować się w sytuacji, ponieśli bardzo ciężkie straty.

– To te cholerne transportowce – mruzczał pod nosem komendant.

Był wściekły na siebie. Dał się tak podejść! Ale, z drugiej strony, lotnicze zaopatrzenie nie było szczególnym wydarzeniem. Od razu też zdał sobie sprawę, że to muszą być elitarne oddziały. Kto inny odważy się lądować ciemną nocą w górach? Musieli skakać w jedyne nadające się do tego miejsce, wypłaszczenie nazywane Stołem, odległe od bazy spiskowców o sześć kilometrów. Na pewno podczas desantu trochę ich przetrzebiło. Rusłan zaklął. Że też nie przyszło mu do głowy obsadzić tego skrawka terenu! Ale kto przy zdrowych zmysłach mógłby dopuścić myśl o takim wariactwie?... Na nic zdała się cała ostrożność, manewry odciągające, pilnowanie garnizonów. Po raz kolejny Rosjanie pokazali, że potrafią dokonywać rzeczy szalonych. A teraz na dodatek pojawiły się bojowe śmigłowce, siewcy śmierci. Gdzieś akcja nie powiodła się na tyle, żeby zablokować lotniska. A może nadleciały z bazy w Dagestanie? Mi-24 i Mi-28 wymiatały teraz stanowiska oporu, kierowane wskazówkami atakujących. Pod morderczym ogniem ginęli najlepsi z najlepszych, jakich Kadajewowi udało się zgromadzić w tym miejscu.

– Komendancie – W błysku wybuchu Rusłan zobaczył twarz bojownika. Z rozciętego czoła spływała strużka krwi. Za nim stało trzech innych. – Hakkan Sulejmanogliu zdołał otworzyć drogę na południowym skrzydle. Możesz się ewakuować razem z prezydentem.

– Bierzcie Achmada. Gdyby się opierał, worek na głowę, nawet ogłuszyć. To on jest potrzebny wolnej Iczkerii.

– Prezydent powiedział to samo, ale o tobie, dowódcu. Żołnierz skinął na towarzyszy. Postąpili do przodu.

Nikułajew podniósł lufę karabinu, otworzył usta, żeby zaprotestować. Wtedy ciemności rozdarł oślepiający błysk. Rusłan poczuł, jakby w pierś

kopnął go rozwścieczony ogier. Przed oczami zatańczyły purpurowe kręgi, w plecach pojawił się tępy ból, a potem nastąpiła ciemność.

Ocknął się w zupełnej ciszy i ciemnościach. Uniósł ręce do uszu. Ciało przeszła lodowata szpila. Zdawała się wchodzić w okolicach karku, a jej ostrze ciągnęło się aż do stóp. Ostrożnie przełknął ślinę, usiłował otworzyć powieki. W prawym uchu zaczęło głośno dzwonić, do lewego wdarły się nieco rozmyte i mętne dźwięki z otoczenia. Ludzkie głosy, stąpanie, soczyste przekleństwa po rosyjsku. Zatem już po walce. Jedyna nadzieja, że udało się ewakuować prezydenta, a komendanci, którzy przeżyli zechcą dochować tajemnic dotyczących Klanu Wilka.

– Stracił oczy i prawą dłoń. W lewym uchu na pewno pęknięty bębenek. Nie wiem, jakie ma obrażenia wewnętrzne, ale na pewno są rozległe, bo na wargach pojawia się krew przy oddychaniu.

Ten głos był blisko, gdzieś obok, przedzierał się przez wszechobecny szum. Czy te słowa dotyczą jego?

– Powinien nie żyć – ciągnął mężczyzna. – Widocznie zasłonili go ci, którzy tutaj leżą.

Szkoda, że zasłonili, pomyślał Rusłan. Po co w ogóle żyć?

– Ładować go do helikoptera? – spytał ktoś.

– A co, nie mamy swoich rannych? Zresztą obawiam się, że jak go tylko ruszymy, umrze. Po co przyspieszać? Niech sobie zdycha powoli. Popatrzę, a jak mi się znudzi, strzelę mu w łeb.

– To może być ktoś ważny. Do fotografii trudno porównać, bo mordę ma poszatkowaną, ale...

– Nie wymądrzaj się! Słyszałeś, co powiedział przed atakiem dowódca? Najważniejsze zgnieść i zlikwidować gniazdo. Nikogo nie wolno wypuścić.

– Gdyby tu był Sierpin, na pewno kazałby wziąć takiego do szpitala. Może sporo wiedzieć.

– Ale go nie ma – słowom towarzyszył gwałtowny ruch. Dół brzucha Rusłana przeszły tępy ból.

– Przynajmniej go nie dobijaj! Dzielnie walczyli. To też żołnierze.

– Durniu, takimi słowami można sobie narobić kłopotów! To zwyczajni terroryści! Milcz i spieprzaj do swojego plutonu.

Ruslan poczuł w ustach mdlącą słodycz. Głosy zaczęły się oddalać, ciemność rozproszyła się, wokół głowy zatańczyły mgliste, zwiewne postacie. A potem znów nadszedł błogosławiony, pełen zapomnienia mrok.



Epilog

Biała sala szpitalnej izolatki lśniła sterylną czystością. Pierś leżącego na łóżku mężczyzny unosiła się równomiernie. Aparatura monitorująca wydawała ciche dźwięki w rytm bijącego serca. Na twarzy chorego umieszczona została maska tlenowa, do żył w obu rękach podłączono kroplówki. Kiedy drzwi uchyliły się bezszelestnie, chory drgnął. Wieloletnie nawyki dawały znać o sobie. Zaprawiony w bojach i doskonale wyszkolony żołnierz wyczuje nie tylko podmuch powietrza, ale nawet jego cień – ową minimalną zmianę ciśnienia, kiedy w zamkniętym szczelnie pomieszczeniu zostanie uchylona choćby szparka, przez którą może się dostać powietrze z zewnątrz.

– Nie chciałem pana obudzić, generale – powiedział przybyły.

– Nie szkodzi, panie ministrze – leżący uniósł ostrożnie rękę, oswobodził się z maski tlenowej. – Mam dość samotności i beczynności.

Wiktoренко przysiadł na twardym, obrotowym taborecie.

– Wolno panu zdejmować to ustrojstwo? – wskazał maskę.

– Nigdy. Podobno to bardzo ważne.

– Przyniósłbym panu kwiaty, ale nie wolno. Czekoladek pan z kolei nie przełknie.

– Ale napiłbym się dobrej wódki. Minister roześmiał się.

– Jeszcze się napijemy – spoważniał zaraz. – Powinienem chyba pana przeprosić. Nie zrobiłem tego na lotnisku, jakoś nie miałem głowy... Raczej nie chciałem. Czynię więc to teraz.

– Za co mnie pan przeprasza?

– Za tę awanturę z odwołaniem, za wszystkie groźby i krzyki. Złamał pan wprowadzić wszelkie zasady tajności, ale ostatecznie okazało się, że racja nie leżała po mojej stronie.

– Niech się pan nie przejmuję. Prawdę mówiąc, właśnie tego się spodziewałem, podejmując ryzyko.

– Muszę też podziękować za uratowanie mojego bratanka.

Tym razem zaśmiał się Sierpin.

– Nie ma w tym żadnej mojej zasługi. Przecież pan wie doskonale, że podczas skoku połamałem obie nogi i pięć żeber. Dwa z nich przebiły płuco. W dodatku coś mi chrupnęło w krzyżu. Dowodzenie przejął mój zastępca, jemu należy dziękować.

– Może i tak. Ale ten oficer najpierw zostanie pociągnięty do odpowiedzialności.

– Co się stało? – generał usiłował się unieść, ale nie był w stanie pokonać doskwierającej od samego początku leczenia bezwładności w dole pleców.

– Kazał zlikwidować rannych jeńców.

– To rzeczywiście głupie i niepotrzebne. Moi ludzie wykonali ten rozkaz?

– W większości.

– Chcecie im wszystkim wytoczyć proces? Minister pokręcił głową, westchnął ciężko.

– Nie będzie żadnych procesów. Dowodzący akcją poniesie zwyczajną karę dyscyplinarną. Nie chodzi o terrorystów. Bandytów spotkało to, na co zasłużyli. Gorzej, że wśród zastrzelonych był Rusłan Kadajew. Moglibyśmy od niego wyciągnąć sporo ważnych informacji.

Generał przymknął oczy. Nieludzka wojna rodzi nieludzkie czyny. Żołnierze są po to, żeby zabijać. Jednak czym innym jest zgładzić wroga w walce, a inną rzeczą pozbawić go życia na zimno, z pełnym rozmysłem. Takie rozkazy mogą obudzić w człowieku potwora. A jeśli okazuje się, że zbrodnia jest bezkarna, temu potworowi wyrastają nowe głowy.

– Dobrze, że pana człowiek zdążył umieścić nadajnik – powiedział Sierpin, nie otwierając oczu. – Szczęście, że sprzęt nie zawiódł.

– Zgadza się. Inaczej nie moglibyście skakać. Ale i tak było to coś niesamowitego – Minister pokręcił głową. Teraz znał już całą prawdę o szalonym planie dowódcy desantu. Komandosi zostali wyposażeni w indywidualne pelengatory, sprzężone z GPS-em, wskazujące miejsce

lądowania z niewiarygodną wręcz precyzją. W powietrzu kierowali się na sygnał radiolatarni, podobnie jak podczas rutynowych ćwiczeń. Z tym, że na poligonie mieli za zadanie lądować w wytyczonym na lotnisku okręgu, a nie szukać skrawka ziemi wśród szczytów i stromizn.

– Dobrze, że mieliśmy chociaż odrobinę księżycowego światła – ciągnął generał. – Samo namierzanie mogłoby nie wystarczyć. I pogoda... Tak... możemy mówić o szczęściu.

– Gdyby aura okazała się niesprzyjająca, zostalibyście odwołani.

– Kazałbym skakać nawet w gęste chmury. Nie można było inaczej.

Sierpin spojrział na dostojnika. Wiktoренко zobaczył w jego oczach ból i zmęczenie.

– Tylu ludzi – wymamrotał oficer. – Tylu wspaniałych chłopaków tam zostało. Ilu zniosło na zbocza gór, ilu potrzaskało się podczas skoku? Ilu zginęło w walce? Ojczyzna wymaga ofiar, wiem – uprzedził ministra, który już otwierał usta, żeby powiedzieć coś pokrzepiającego. – Ale co innego samemu poświęcić życie, a czym innym wydać rozkaz, który jest wyrokiem śmierci.

– Wypełniście obowiązek wzorowo.

– Tak. Zapewne było warto, ale...

– Ma pan dość – minister wstał. – Proszę odpoczywać. Po wyzdrowieniu wróci pan na poprzednie stanowisko.

– Nie wrócę – powiedział prawie szeptem Sierpin. – Szef „Alfy” jeżdżący na wózku, jak by to wyglądało? Proszę mnie nie oszukiwać, doskonale wiem, co mnie czeka.

– Nie damy panu zginąć, bez obaw. Jeśli nie w jednostce, przyda się pan na wyższych szczeblach dowodzenia. Tam nie trzeba pokonywać torów przeszkód.



Inspekcja sanitarna na redzie portu w Bostonie nie była niczym szczególnym. Marynarze nieraz śmiali się z przeczulenia Amerykanów na tym punkcie. Inspektorzy potrafili przetrzepać statek od szczytu masztu radarowego aż po stępkę, a przecież w tym samym czasie przez granicę z Meksykiem przemykali się uchodźcy, przynosząc nie tylko skromny majątek i płonne nadzieje, ale także całą gamę różnych chorób. Pierwszy raz jednak kapitan widział pracowników służb sanitarnych ubranych w mundury Navy Seals. Pierwszy też raz zdarzyło się, żeby był trzymany pod lufą karabinu. Cała załoga została zgromadzona na pokładzie. Wokół niej kordon komandosów trwał bez ruchu z bronią gotową do strzału. Przetrzęsnęli wszystkie papiery przewozowe i osobiste rzeczy marynarzy, dziesięć razy liczyli, czy wszystko zgadza się ze stanem faktycznym.

– Dostajecie już kompletnego jobla na punkcie bezpieczeństwa? – zagadnął kapitan.

Pilnujący go żołnierz nie był zbyt rozmowny. Splunął w bok, poprawił karabin. Nagle na dole wszczęło się zamieszanie. Któryś z marynarzy rzucił się do ucieczki. Zaterkotały karabiny. Kapitan patrzył z przerażeniem na padających pokotem ludzi.

– Rany boskie, co wy robicie, ludzie?

Rozpaczliwe pytanie pozostało bez odpowiedzi. Komandos żuł obojętnie gumę. Minęło kilka minut, w czasie których w głowie kapitana przelatywały najróżniejsze myśli. Nie potrafił pojąć, tego, co się stało. Wreszcie na mostek wszedł oficer, który na samym początku przesłuchiwał dowódcę tankowca.

– Wygląda, że jest czysto – rzucił do żołnierza.

– A ten, który uciekał?

– Pieprzony Filipińczyk. Miał w dupie pół funta kokainy. Kiedy George zarządził rewizję osobistą, kretyn spanikował.

– Za... zabiliście wszystkich – wyjąkał kapitan. – To... to...

– Tak było trzeba – odparł twardo oficer.

– To zbrodnia! – dokończył dowódca statku.

– Zbrodnia, która mogła zapobiec jeszcze większej zbrodni – odpowiedział Amerykanin. – W tej chwili to już nieważne.

– Jak to nieważne? – zaperzył się kapitan. – Złożę skargę do kapitanatu portu, zawiadomię mojego armatora! Ta sprawa skończy się na forum Organizacji Narodów Zjednoczonych!

– Niczego nie zrobisz, o niczym nikogo nie poinformujesz – oczy komandosa były zimne i bezlitosne. – Jeśli chcesz żyć, musisz milczeć. Dostaniesz nową załogę, wpłyniesz do portu i zostawisz ładunek. A potem znów na morze. Wśród zamustrowanych ludzi będzie kilku takich, którzy poderzną ci gardło bez wahania, jeśli zaczniesz się zachowywać podejrzanie. Mam nadzieję, że to zrozumiałe, panie kapitanie? – zakończył drwiącym tonem.



Grupka roześmianych dziewcząt stała na peronie metra. Moskwa w godzinach szczytu tętniła życiem, na wszystkich stacjach kłębił się tłum ludzi. Przechodzili obok siebie z poważnymi minami, potracali się i mijali.

Jedynie na widok młodych kobiet twarz niektórych rozjaśniał uśmiech. Bezdomny człowiek w podartym, byle jak połatany płaszczu pólleżał na ławce. Obok spoczywała opróżniona w trzech czwartych butelka. Milicjanci patrolujący podziemia udawali, że nie zwracają na niego uwagi. Siedział tutaj od dwóch dni, uiścił zwyczajową opłatę, więc władza dała mu spokój. Za długo nie zabawi, bo tylko czekać aż wygryzą go stali bywalcy, którzy stanowią prawdziwą siłę zaułków tego miejsca, są dobrze zorganizowani i nie lubią obcych na swoim terenie. Na razie bezdomny miał jednak spokój. Obserwował przelewający się tłum. Z kolei tłum udawał, że – podobnie jak milicja – nie dostrzega doświadczonego przez los biedaka. Ten zaś miał dużo czasu na rozmyślanie.

Rosjanie nie uśmiechają się bez powodu. Są w tym zupełnie inni niż wiecznie zadowoleni Amerykanie, u których jest to po prostu obowiązek i

styl bycia. Są także inni od sąsiadów z za południowo–wschodniej granicy. Chińczyk uśmiecha się nawet jeśli mu spłonął dom, a żona uciekła z sąsiadem. Rosjanin może czasem odpowiedzieć na uśmiech przechodnia na ulicy, ale raczej zachowa kamienną twarz. Po co wykrzywiać się w pełnym zadowoleniu grymasie, jeśli nie ma się powodu? Ta powaga dotyczy przede wszystkim osób w średnim i starszym wieku. Młodsze pokolenia zaczynają funkcjonować nieco inaczej, imponuje im amerykański luz, nawet jeśli jest nieco sztuczny po przeszczepieniu na grunt obcej kultury.

Dziewczęta chichotały i przekomarzały się. Trochę dziwna to była grupka. Na cztery młodziutkie kobiety dwie były w dość wyraźnej ciąży. Coś podobnego widuje się raczej rzadko. Może na prowincji, gdzie życie toczy się innym rytmem. W wielkim mieście wykształcone kobiety starają się najpierw zrobić karierę, a potem myśleć o dzieciach. Bezdomny podziwiał ich urodę. Wszystkie tlenione blondynki, smukłe, nawet te ciężarne jeszcze zachowały dziewczęcą wiotkość. Spojrzeć na takie zjawisko to sama radość, czysta przyjemność.

Po przeciwnej stronie peronu wjechał pociąg. Dziewczęta zamilkły, bo przez hałas hamującego składu i tak niewiele było słyhać. Nagle, nie wiadomo skąd, dookoła grupki pojawiło się czterech mężczyzn. Wykręcili dziewczynom ręce do tyłu. Dookoła rozległy się krzyki protestów i groźby, ale wtedy podszedł piąty napastnik. Lekko kulał, a w dłoni miał legitymację. Machnął nią niedbale. Ludzie natychmiast cofnęli się, zaczęli udawać, że nic nie widzą. Aresztowane wraz z eskortą poszły w stronę wyjścia. Bezdomny podniósł się, ruszył za nimi. Mężczyźni wepchnęli kobiety do damskiej ubikacji. Zanim zatrzasnęli drzwi, wsunął się tam także bezdomny.

– Bardzo ładnie – powiedział. Zrzucił cuchnący płaszcz, zdjął zatłuszczoną czapkę. Pod spodem, na brudnej koszuli, widać było szelki z kaburą.

– Która z was to Halima Achmadowna Nikułajewa? – spytał ten, który na peronie machał legitymacją.

Odpowiedziało milczenie.

– Ty pokaż, Wadim – powiedział oficer do bezdomnego. – Są tak zrobione, że trudno poznać. Ta na zdjęciu była ciemna i bez makijażu. A tutaj...

– Nie gadaj tyle, Zachariaszu. To ta – Wołkowski wskazał jedną z ciężarnych.

– Czego od nas chcecie? My nic nie zrobiłyśmy.

– Tak... farbowane włosy, szkła kontaktowe. Jesteście niesamowite wy, kobiety. Wiesz, ile musiałem, się ciebie naszukać, Halimo?

– Nie jestem...

– Ja lecę – powiedział Wiktoренко. – Resztę uzgodnij już z moimi ludźmi. Wiesz, teoretycznie jestem jeszcze na zwolnieniu.

– Dzięki, masz u mnie dług.

– Nie chrzań. Wszyscy byliśmy mu to winni. Wyszedł z toalety, zamknął za sobą starannie drzwi.

– Poznajesz? – Wadim podsunął Halimie telefon komórkowy.

– To chyba Pawła – szepnęła odruchowo. Zrobiła się blada. – Co mi pan tutaj pokazuje?

– W tym aparacie jest twoje zdjęcie. Nie bój się, Polak żyje. Sam mi dał telefon, żebym cię odnalazł.

– Zdradził!

– Uratował ci życie. Koniec gry. Zdejmujcie te świństwa spod spodu. Nie będzie żadnego zamachu w metrze.

Halima wyraźnie oklapła. Oczy miała pełne łez. Pas szahida uwierał, był jeszcze bardziej niewygodny niż wtedy, kiedy nosiła go w obozie. Ale też wówczas nie umieszczono w nim aż tylu ładunków.

– Co z nami zrobicie?

– Nie bój się. Nie pójdziesz do więzienia. Przerzucimy cię na Zachód, a tam znajdziesz jakichś swoich, ustawisz się.

– A one? – wskazała towarzyszki.

– Zostaną przesłuchane. Pewnie staną przed sądem.

– Rozumiem – powiedziała Halima.

Rozpięła płaszcz. Wadim syknął ostrzegawczo. Dziewczyna natychmiast oderwała ręce od ubrania, pokazała, że nic w nich nie ma.

– Gdzie detonator?

– Pokaż mu, Ljuba – Halima spojrzała na koleżankę.

Wadim w tej chwili zrozumiał to, nad czym zastanawiał się cały czas, obserwując dziewczęta. Dlaczego są aż cztery, w tym tylko dwie obciążone materiałami wybuchowymi? Teraz zrozumiał. To nie Halima miała odpalić ładunek! Szahidki działały w parach. Jeśli jednej grupce nie udało się z jakichś przyczyn zdetonować bomby, uczyniłaby to druga. A dla pewności wyzwalacze znajdowały się u pilnujących ich towarzyszek.

Strzelił dokładnie w tym samym momencie, w którym w dłoni kobiety nazwanej Ljubą zobaczył przedmiot podobny do aparatu telefonu komórkowego.

Zachariasz Wiktoренко wyszedł na ulicę. Odetchnął ciężkim powietrzem, nasączonym zapachem mokrego asfaltu i spalin. Kochał to miasto, uwielbiał jego niepowtarzalną atmosferę. Kierowca czekał w samochodzie zaparkowanym w miejscu, gdzie postój był zabroniony. To był zresztą jedyny skrawek terenu, na którym o tej porze mógł w ogóle stanąć. Kapitan pomachał mu, szofer przekreślił kluczyk w stacyjce. Nagle potężny wstrząs cisnął kapitanem o ziemię. Natychmiast poderwał się, spojrzał w stronę samochodu. Był cały. Więc to nie tam. Ludzie na ulicy krzyczeli, pokazując sobie coś za jego plecami. Odwrócił się i zamarł z przerażenia. Z wejścia do metra wydobywał się kłęb czarnego dymu. Zachariasz w pierwszej chwili chciał biec z powrotem, ale zrezygnował widząc, iż strop zawalił się na schody, zamieniając je w ruinę nie do przebycia, najeżoną stalą i pozrywanymi kablami elektrycznymi.

– Kurwa mać – powiedział głośno, patrząc na biegających w panice ludzi. – Czy to już się nigdy nie skończy?

KONIEC

Książki Rafała Dębskiego wydane nakładem naszego wydawnictwa

1. Czarny Pergamin
2. Kiedy Bóg zasypia
3. Serce teściowej
4. Łzy Nemezis
5. Zoroaster. Gwiazdy umierają w milczeniu
6. Wilki i orły
7. Wilkozacy. Wilcze prawo
8. Wilkozacy. Krew z krwi



Rafał Dębski – rocznik '69. Debiutował w 1998 roku w „Nowej Fantastyce” opowiadaniem *Siódmy liść*. Pisarz wszechstronny, dobrze czuje się zarówno w czasach, kiedy Słońce było Bogiem, jak i kiedy człowiek stał się zdobywcą tysięcy Słońc. W latach 2009 – 2012 redaktor naczelny miesięcznika „Science Fiction, Fantasy i Horror”.

Z wykształcenia i wykonywanego zawodu psycholog, pracuje w gimnazjum, zmagając się ze skutkami lekkomyślnej reformy oświaty. Obok pisania książek jego wielką pasją jest historia, przez którą, niczym w krzywym zwierciadle, postrzega ludzi – ich postawy, emocje, motywacje.

Ma wielki apetyt na życie. Chciałby osiągnąć wiele i żyć tak, aby nie żałować... Najlepiej nie żałować niczego. Niestety, natura wpisała mu w geny dawkę lenistwa. To przesądza o tym, że nie boi się wyzwań i dużo pracuje. Bo dzięki temu może jak najszybciej uporać się z tym, co tak czy inaczej musi być wykonane. Niestety, jak już się zdążył przekonać, to działa w obie strony. Praca, niczym owa Ciemność, dostrzegła go, pokochała i zawsze wie, gdzie Rafała znaleźć, dopaść i usidlić.

Z Fabryką Słów opublikował powieści *Czarny Pergamin* (2006), *Kiedy Bóg zasypia* (2007), *Zoroaster. Gwiazdy umierają w milczeniu* (2010), *Wilkozacy. Wilcze prawo* (2010), *Wilkozacy. Krew z krwi* (2012), zbiory opowiadań *Serce teściowej* (2008) oraz *Łzy Nemezis* (2009). Jego teksty znalazły się także w czterech najlepszych antologiach Fabryki Słów.

COPYRIGHT © BY Rafał Dębski
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2011

WYDANIE I

ISBN 978-83-7574-583-2

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA Eryk Górski, Robert Łakuta

PROJEKT OKŁADKI Magdalena Zawadzka

ILUSTRACJA NA OKŁADCE © Ed Darack | Science Fiction | Corbis | Fotochannels

REDAKCJA Małgorzata Koczańska

KOREKTA Celina Nikolska

SKŁAD „Grafficon” Konrad Kućmiński

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



ZAMÓWIENIA HURTOWE

Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. s.k.a.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
tel./faks: 22 721 30 00
www.olesiejuk.pl, e-mail: hurt@olesiejuk.pl



WYDAWNICTWO

Fabryka Słów sp. z o.o.
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91
www.fabrykaslow.com.pl
e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl



RAFAŁ
DĘBSKI
**WILKI
i ORŁY**

POWIEŚĆ, KTÓREJ FABUŁA
ZRODZIŁA SIĘ NA PIERWSZYCH
STRONACH GAZET.



CO ODRÓŻNIA TERRORYSTĘ
OD BOJOWNIKA O WOLNOŚĆ?

JAK ODRÓŻNIĆ WROGA
OD PRZYJACIELA?

KTO TAK NAPRAWDĘ STOI
ZA TRAGEDIAMI W BIESŁANIE
I MOSKIEWSKIM TEATRZE?

BRUTALNY KONFLIKT Rosji i Cze-
czenii. Bez pardonowa wojna o wolną
Republikę Iczkerii, wartości religijne
oraz zachowanie własnej tożsamo-
ści i przekonań. Ale walka ma także
drugie dno – handel narkotykami, pie-
niądze z niezbyt czystych interesów,
zwykle ambicjonalne starcia.



fabrykaslow.com.pl



powieść sensacyjna



Patroni medialni



Wiadomości 24.pl



